

CZYTELNIA

F. PRÓCHNICKI I K. WOJCIECHOWSKI

W. Omeljan IV b.

WYPISY POLSKIE

DLA SZKÓŁ ŚREDNICH

TOM IV

WYDANIE NOWE



LWÓW — WARSZAWA
KSIĄŻNICA POLSKA T-WA NAUCZ. SZKÓŁ WYŻSZYCH
MCMXXII

d. Umiejeml. 27



824-8 (015-8)

H. Umiejem IV 8

SPIS USTĘPÓW

	Str
1. Do Boga, przez Jana Kochanowskiego	1
2. Błogosławiona, przez Teofila Lenartowicza	2
3. Z opowieści o Zwyrtale muzyce, przez Kazimierza Tetmajera	9
4. Sen, przez Bolesława Prusa	13
5. Wiesław, przez Kazimierza Brodzińskiego	22
6. W kopalni węgla, przez Stefana Żeromskiego	37
7. Matka i syn, przez Marję Konopnicką	41
8. Obiełł nam... przez Marję Konopnicką	46
9. Głupi Franek, przez Marję Konopnicką	47
10. Poznańskie, przez Jana Karłowicza	58
11. Z Pieśni o ziemi naszej, przez Wincentego Pola	62
12. Jan Matejko, według Stanisława Tomkowicza	77
13. Wyprawy kozackie, według Józefa Tretiaka	82
14. Czajki przez Bohdana Zaleskiego	87
15. W niewoli tatarskiej, przez Henryka Sienkiewicza	88
16. W lesie, przez Kazimierza Tetmajera	97
17. Przetworzony, przez Maurycego Zycha	97
18. Bitwa pod Beresteczkiem, przez Ludwika Kubalę	102
19. Pojednani, przez Henryka Sienkiewicza	108
20. Budowle renesansowe i barokowe w Polsce, według Feliksa Kopery	113
21. Wiatr halny, przez Stanisława Witkiewicza	119
22. Tatry, przez Franciszka Nowickiego	122
23. Morskie Oko, przez Adama Asnyka	122
24. Broń w dawnej Polsce, przez Władysława Łozińskiego	123
25. Maraton, przez Kornela Ujejskiego	128
26. Wewnętrzne urządzenie dawnych pałaców i domów szlacheckich przez Andrzeja Kitowicza	133
27. Marnotrawstwo, przez Ignacego Krasickiego	137
28. Pijaństwo, przez Ignacego Krasickiego	140
29. Pan Borowski, przez Henryka Rzewuskiego	142
30. Z życia szkolnego, według Andrzeja Kitowicza	157

	Str
31. Szkolne czasy Jana Dęboroga, przez Władysława Syrokomlę	160
32. Potęga uczucia, przez Bolesława Prusa	170
33. Bohaterstwo, przez Bolesława Prusa	173
34. Szkoła rycerska, przez Antoniego Chołoniewskiego	177
35. Kościuszko pod Raclawicami. Obraz Jana Matejki, przez ks. Eustachego Skrochowskiego	180
36. Pogrzeb Kościuszki, przez Kornela Ujejskiego	183
37. Chmiel, przez Ignacego Krasickiego	185
38. Strzelec i pies, przez Ignacego Krasickiego	186
39. Wino szampańskie, przez Ignacego Krasickiego	186
40. Powązki i Puławy, według Ludwika Dębickiego	186
41. Filomaci, przez Józefa Tretiaka	196
42. Pieśń żeglarzy, przez Edmunda Wasilewskiego	200
43. Tadeusz Czacki i liceum krzemienieckie, według Piotra Chmielowskiego	201
44. Ognia, przez Elżbę Orzeszkową	209
45. Wspomnienie matki, przez Maurycego Zycha	224
46. Echo kołyski, przez Adama Asnyka	230
47. Sklep starego Mincla, przez Bolesława Prusa	231
48. Z Pieśni Janusza, przez Wincentego Pola	236
49. Ksiądz Piotr, przez Kazimierza Tetmajera	239
50. Lwów pod chmurami, przez Adama Grzymałę Siedleckiego	245
51. Powitanie pułków, przez Artura Oppmana (Or-Ota)	249
Wiadomości o pisarzach, których utwory znajdują się w tej książce	253

W gimnazjach wszystkich typów, uczniowie mają poznać z osobnego wydania w całości „Grażynę“ Adama Mickiewicza.

1. DO BOGA

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
 Czego za dobrodziejstwa, którym niemasz miary?
 Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
 I w otchłaniach i w morzu, na ziemi, na niebie. 5
 Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,
 Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
 Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
 Bo nad nie przystojniejszej ofiary nie mamy.
 Tyś pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował
 I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował. 10
 Tyś fundament założył nieobeszłej¹⁾ ziemi
 I przykryłeś jej nagość zioly rozlicznemi.
 Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
 A zamierzonych²⁾ granic przeskoczyć się boi. 15
 Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
 Biały dzień a noc ciemna swoje, czasy znają.
 Tobie kwoli rozliczne kwiatki Wiosna rodzi,
 Tobie kwoli w kłosianym wieńcu Lato chodzi,
 Wino Jesień i jabłka³⁾ rozmaite dawa, 20
 Potem do gotowego gnuśna Zima wstawa.
 Z Twojej łaski nocna rosa na mdłe ziola padnie.
 A zagorzałe⁴⁾ zboża deszcz ożywia snadnie.
 Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrza⁵⁾ swej żywności,
 A Ty każdego żywisz z Twojej szcudrośliwości. 25
 Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie;
 Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.
 Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi⁶⁾;
 Jedno zawždy niech będziem pod skrzydłami Twemi!

Jan Kochanowski

Jakie uczucia względem Boga wyraża poeta w powyższym utworze?
 O jakich dobrodziejstwach bożych mówi? Które z nich przedstawiają się nam

¹⁾ Której obejść nie można. — ²⁾ Zakreślonych. — ³⁾ Owoce. — ⁴⁾ Spalone. — ⁵⁾ Patrzy, oczekuje. Dziś z tej konjugacji pozostał czas przeszły: patrzył i tryb rozkaz.: patrzaj. — ⁶⁾ Na padole ziemskim.

jako dosłownie dzieła rąk bożych? Dzięki czemu pory roku przybrały znamiona istot żyjących? Które słowa powtarzają się w tym utworze na początku wiersza lub blisko siebie? Czy potrafilibyśmy powiedzieć, dlaczego te właśnie słowa poeta powtórzył? Które wyrażenia nazwalibyśmy z dzisiejszego stanowiska archaizmami?

2. BŁOGOSŁAWIONA

(W skróceniu)

Na sądy boże dusze się śpieszą,
Jedne się smucą, drugie się cieszą,
Bo na przedniebiu stoi na straży
Anioł, co ludzkie uczynki waży:
Kiedy dobrego przeważa wążka, 5
Dusza dostaje skrzydełka ptaszka,
Nad czoło mały świecący krążek,
Przepaskę jasną z niebieskich wstążek,
Ostatnią tezkę z oczu ociera,
I już się przed nią niebo otwiera. 10

Tam się patronce swojej pokłoni,
Co się przez życie modliła do niej,
I ucałuje koniuszek szaty
Świętej Barbary i Małgorzaty,
A owe święte dalej ją wiodą 15
Pod obie ręce jak pannę młodą.

Szczęśliwa dusza patrzy po bokach,
Jak święci pańscy stoją w obłokach,
Ciż sami święci i drugich wiele,
Których widziała w wiejskim kościele: 20
Święta księżniczka pełna pokory,
Co wystawiła cztery klasztory,
I sama w jednym czas bardzo długi
Robiła biednym proste postugi,
Nosiła wodę, zmywała statki. 25
Choć miała w domu wszelkie dostatki,
I gdyby tylko sama zechciała,
Zarazby króla za męża miała:
Bo przytem była piękna, rozumna,
Ale nie taka jak druga dumna. 30
Więc uprosiła u ojca księcia,
Żeby już sobie nie szukał zięcia,
Że po wiek wieków ona dla siebie
Już upatrzyła Pana na niebie; 35
A jak wyrzekła, tak dotrzymała,
Za co światłości wiecznej dostała

I teraz stoi w słupie obłoku,
Święty klasztorzek dzierząc przy boku.

Za nią oparty o pszenny snopek
Spoczywa w niebie ubogi chłopek; 40
Żywił on biednych przez głodne lato,
Więc mu też Pan Bóg nagroził za to.
Owa uboga wieśniacza świta
Teraz się świeci jak srebrem szyta,
Ona pszenica kłosista, biała, 45
Jakoś dziwnego blasku dostała.
Przy nim pomarli synkowie mali,
Trzymają w rączkach snopki konwalji
I podawają wdzięcznie śmiejący
Swoje kwiateczki duszy idącej. 50

Gdzie się obróci, święty się ślania,
Więc się z miłości każdemu kłania,
Świętej Agacie i Petroneli,
Co się po niebie przechodzą w bieli,
Przed świętym Jackiem, przed świętym Janem, 55
I przed Maciejem i przed Florjanem.
Tam siedzą święte biskupy siwe.
A wszystko takie dobre, szczęśliwe,
Żadna im trochę lic nie zaciemia,
Bo też to niebo, nie nasza ziemia... 60
Święte patronki dalej ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą:
A ta już nie wie, jak im dziękować.
Radaby święte nóżki całować,
Ze się ubogiej żadna nie wstydzi, 65
I że tak piękne niebiosą widzi.

— „Panienci jasne, gdy to być może,
Chciałabym widzieć Matuchnę bożę,
Aby zdaleka, choć aby ździebko;
Widziałam ci ją raz nad kolebką 70
Mojego dziecka, mego Wojtuszka,
Co dziś na pańskim jest za pastuszka,
Co pasąc gąski całe poranki
Na chwałę bożą grywa w multanki“.¹⁾

„A cóż ty żądasz?“ — „Prosiłbym chciała:
Żeby też oczko na niego miała“.
75

¹⁾ Multanka, piszczałka, dudka.

Więc święte pańskie dalej ją wiodą
 Pod obie ręce jak pannę młodą:
 Aż tam wysoko, gdzie nad wszystkiemi
 Przegląda jasna królowa ziemi, 80
 A dwa aniołki wdzięczne, śmiejące,
 Trzymają sukni dwa złote końce.

Na jej rozkazy anieli służą,
 Tacy przecudni i tak ich dużo.

— „Święta Barbaro! a gdzież ów leci?“
 — „A toż na ziemię do twoich dzieci,
 By uspokoić tęskne serduszka,
 Niesie przed sobą rajskie jabłuszka“. —
 — „Chwała ci Boże! — a owo panię
 Cóż ono niesie w tym złotym dzbanie?“ 90

— „Niesie kapeczkę z krynicy świeżej,
 Co przy stolicy przedwiecznej bieży,
 Żeby w czyścowej strasznej posuszy
 Odwilżyć usta cierpiącej duszy,
 Która się łaski bożej doprasza,
 A ta duszyczka to matka wasza...“ 95

— „Chwała ci Boże! A ówże trzeci,
 Co jakby gwiazdka wieczorna leci?“

— „Ten do waszego pośpiesza kuma,
 Co pasie owce i sobie duma 100
 O różnych ziołach nad brzegiem rzeki:
 Na jakie ludziom zdadzą się leki;
 A on mu wszystko pięknie wyłoży,
 Na wszelkie cuda oczy otworzy.
 Że się do niego będą zbiegali 105
 Ubodzy ludzie choćby z najdalej,
 A on każdemu będzie przykładał,
 A anioł pański mu podpowiadał.“

— „Chwała ci, Boże! A ten gdzie biegnie,
 Którego oko ledwie dostrzeżenie? 110
 O święte panny, jakże mu śpieszno
 Z jasnego nieba na ziemię grzeszną!...“

— „Ten anioł leci do twego brata,
 Co go pognali temu trzy lata,
 I o tej porze po biodra nagi 115

Znosi cierpliwie okrutne plagi ¹⁾.
 Aleby umarł za trzecim razem,
 Gdyby nie pobiegł anioł z rozkazem“.

— — — — —

I święte panny dalej ją wiodą 120
 Pod obie ręce jak pannę młodą:
 A ta już nie wie, jak im dziękować,
 Czyby nóżeczki święte całować,
 Czy koniec długiej liljowej szaty
 Świętej Barbary i Małgorzaty.

A święte mówią: „Jeszcze to nie to,
 Co ujrysz dalej, dobra kobieto;
 Widzisz tę jasną, grającą zorzę,
 Tam ci pokażem skarbnice boże. 125

Idzie i klucznik — prośże klucznika,
 To poprowadzi i poodmyka“. 130
 — „O z miłą chęcią — święty odrzeka:
 Niechże tu siostra chwilkę poczeka“.
 I zaszedł w zorzę jak boże słońce,
 Kiedy na ziemię schodzi świecące.

Ażci po chwili, o łasko boża,
 Pocznie grać cudnie rumiana zorza,
 Ale to taka słodka kapela,
 Jak gdy zdaleka jadą wesela,
 I ledwie słysząc skrzyteczne brzęki, 140
 Jakieści głosy, jakieś piosenki,
 Niby słyszane i niesłyszane,

Coś jakby pszczoły, lecące z miodem,
 Coś jakby strumień, co szemrze spodem,
 Coś jakby wietrzyk, co w krzaki dmucha, 145
 Coś jakby słodkie słówko do ucha,
 Coś jakby dźwięczny z kaplicy dzwonek,
 Kiedy się ledwie rozbrzyzga dzionek ²⁾

I pociemniałe oświeca krzaki,
 Gdzie zmokłe rosą budzą się ptaki. 150
 Szczęśliwa słucha i zadumana
 Pochyla czoło, zgina kolana,
 I jak porzeczna ³⁾, cicha lilija
 Woń niebios wieje Zdrowaś Maryja,

¹⁾ Znęca się nad nim rząd zaborczy za pracę dla Polski. — ²⁾ Kiedy się ledwo rozwidnia (ludowe). — ³⁾ Nad rzeką rosnąca.

Zdrowaś Maryja, Panno Pan z Tobą,

Spojrzy i widzi cuda przed sobą. 155

Na wyrabianej srebrzystej tacy
Leży kłos złoty rolnika pracy;
Jak brylantowa gwiazda niebieska,
Nawróconego grzesznika łezka;
Na boku puklerz jak miesiąc leży,
Który zasłaniał biednych pasterzy,
I dla miłości żywego Boga

Bronił samego wroga od wroga¹⁾;
Dalej jak młyński kamień ze złota
Grosz, który dała biedna sierota; —
A nad tem wszystkim — i któż wypowie,

Co podnaszają dwaj aniołowie:
Jak oni święci stoją schyleni
Nad tą koroną z strasznych promieni,
Przenikających bardziej niż słońce

Najdalsze świata bożego końce,
Tak, że nie można patrzeć się blisko
Na to miłości bożej ognisko,
A gdy się wpatrzysz, to ci się czerni

Korona boża z okrutnych cierni:
A nad nią wyżej, w powietrza fali,
Krzyż pański niosą przeczyści biali,
Krzyż, co ramiony ogarnia wieki,

Taki ogromny — a taki lekki,
Że i najmniejsze dziecko w pokorze
Na swoich barkach unieść go może. 180

Szczęśliwa dusza na krzyż wejrzała,
— „A cóż ja, Panie, dla ciebie dała?..“

A święty klucznik wskazał jej zdala
Maleńkie serce jakby z korala; 185

A z tego serca szły trzy promienie:
Miłość dla ludzi, ciche cierpienie,
I ta, co ziemskie życie ozłaca,
Nieustająca, spokojna praca.

I dalej wiodły ją święte boże, 190
Nad przeźrocyste niebieskie morze,
A nad tem morzem w górze jaśniała
Królowa nieba, ta gwiazda biała.

Więc się do świętej zwróci Barbary:

— „Cóż to za morze bez końca, miary? 195
A jakie czyste, jak się odbija
Na jego wodzie śnieżna lilija
I niebieściuchna przejrzysta szata
I wszystkie gwiazdy królowej świata?“

— „One nie mogą, siostró, być inne, 200
Bo to są sierot łezki niewinne,
A spojrzysz na dno, widzisz z pod spody¹⁾.
Cierpiące wierne całe narody,
A każdy w takiej stoi sukience,
Jak na tem morzu i na Paniencie²⁾. 205
— „Oj, prawda, prawda — toć nasza wioska,
Zlituj się nad nią, o Matko Boska!..“

— „A tam na skale, co się to bieli,
Niby to ludzie, niby anieli?“

— „Cokolwiek widzisz z pod łez krynicy, 210
Wszystko to wierni lub męczennicy“.

I święte panny dalej ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą:
Aż tu wychodzi staruszek z brodą.
Szczęśliwa, widząc, jak z tego kija 215
Lilja bieluchna listki rozwija,
Zaraz poznała i rzeczce k'świętej,
Jak człowiek żywą radością tknięty:
— „A toć to Józef!“ — „A Józef“ — prawi.
— „Niechże mi on też pobłogosławi“. 220

A święty Józef zwraca się zwawo,
I rączkę nad nią wznosi łaskawą.
Za nim szedł Szymon i Jakób młodszy,
I Jan z Chrystusa uczeni najstarszy, 225
Uśmiechający, dziwnie spokojni.
A wszyscy jakby na gody strojni.
Idąc tak razem, na każdym kroku
Witał ich nowy święty w obłoku,
Święty Mateusz i drugich wiele,
Których widziała w wiejskim kościele, 230
Każdy się świeci i każdy rusza,

¹⁾ Zamiast: z pod spodu. — ²⁾ T. j. w sukience barwy morza i barwy szat Najświętszej Panny. Te narody cierpiące a wierne, to Polska.

¹⁾ Wroga zachodniego od wroga wschodniego.

Ze aż patrząca cieszy się dusza
I wciąż radośnie szeptce do siebie:
— „Mój Boże drogi, toć to ja w niebie!”
W świętej gromadce to i iść sporzej, 235
Jedna im droga do Matki bożej,
Gwarząc ze sobą to to, to owo;
Każdego takie serdeczne słowo,
Że się wydaje, że dziecko głuży¹⁾,
Więc się im owa droga nie dłuży. 240

Na ziemi było już po zachodzie,
Bo ryk słyszała bydła przy wodzie
I wiejskich owiec wesole beki,
Które owczarek poił u rzeki,
I śpiew słowika, co w letnie noce 245
Na chwałę bożą wdzięcznie szczebioce,
Ciche westchnienia na progach chatek
I pacierz małych kłęzących dziełek,
Kiedy do rajskiej weszły gospody
Szczęśliwe dusze na wieczne gody. 250

Wszyscy pokornie schylili głowy,
Ujrawszy długi stół cyprysowy,
Na którym była królowa nasza,
Robiona złotą rączką Łukasza;
A na tym stole cudnej roboty 255
Płatkami przykryty stał kielich złoty.

Gdy święci padli na rozmyślanie,
W niebie się wdzięczne rozległo granie.
Długo słuchając słodkiego dźwięku,
Wybrani pańscy na cichym kłęku 260
Ujrzeni światłość, jak przybywała,
Jak wszystko w okół poprzenikała.
A kiedy sami w świetle stopnieli,
Uczuli postać idącą w bieli²⁾,
Która gdy cicho stanęła w progu, 265
Umarli świata powstałi w Bogu.

Teofil Lenartowicz

Jakich świętych ogląda „błogosławiona“? Gdzie widziała przedtem ich postacie? Co robią w niebie święci i aniołowie? Jakie przedmioty zwracają uwagę „błogosławionej“? Co jej przypomina niebieska kapela? Jakie pragnienia żywi „błogosławiona“? Co ją napędza radością i szczęściem? O ile losy narodu polskiego odstawiają się w widzeniach „błogosławio-

1) Głuży, szczebioce (ludowe). — 2) Chrystusa Pana.

nej“? Odnajdź wyrażenia ludowe, wyrazy zdrobniałe. Dlaczego poeta ich użył? Które wiersze powtarzają się w poemacie (dlaczego)? Który z obrazów nieba radbyś namalował? Jakby obraz ten wyglądał?

3. Z OPOWIEŚCI O ZWYRTALE MUZYCE¹⁾

Umarł stary Zwyrtała i dusza jego wybrała się do nieba,
z bausami²⁾ na gębie i ze skrzypcami pod pazuchą.

Patrzy: zamknione.

Myśli se: burzył na dźwiérzak nie bees³⁾, bo śpiom.
Siadł na słupek popód bramą, siedzi, ale mu się ukotwiło⁴⁾
wnet, wyjął skrzypce z pod pazuchy, przycisnął zębami kołki,
brząknął na strunach, wsparł skrzypce pod lewe ramię, pocią-
gnął smyczkiem. Zrazu cichutko, bo się bał obudzić, ale się
zagrał, przycisnął mocniej. A jak sobie przygrał, wspomniął
sobie babę, co ostała na ziemi, a jak sobie babę wspomniął,
zaraz zaśpiewał:

„Kany⁵⁾ się obejżrem, wsęndyl⁶⁾ moja zona...”

Jak zaśpiewał, a głośno, usłyszał z za bramy:

— Któż tam?

— Święty Pieter — pomyślał Zwyrtała, ale odpowiedział

śmiało:

— Jo⁷⁾!

— Jaki „jo“?

— Zwyrtała.

— Czego się drzesz?

— Nie drem sie nijako⁸⁾, jinok⁹⁾ śpiewał.

— Bodaj cie z takim śpiewaniem. A skądżeś ty?

— Z gór.

— Od Nowego Targu?

— Haj¹⁰⁾.

— A z jakiej wsi?

— E, choć wam powiem, to i tak nie beecie¹¹⁾ wiedzieć.

Cy to hań¹²⁾ znocie?

— Ja wszystko znam. Skądżeś?

1) Muzykańcie. — Opowieść ta pisana gwara podhalańską. —

2) Bausy = wąsy, bokobrody (albo i wąsy i bokobrody). — 3) Łomotać we drzwi nie będziesz. — 4) Uprzykrzyło się. — 5) Kędy. — 6) Wszędzie. —

7) Ja. — 8) Bynajmniej. — 9) Jenom. — 10) Tak. — 11) Będzicie. — 12) Tam.

- Z Muru ¹⁾.
 — Jako cię to piszą?
 — Marduła Maciek.
 — A jak cię wołają?
 — Zwyrtała.
 — No siedź tam, nim się zrobi dzień. A nie trza hałasieć.
 — Nie bedem. Miejcie dobrom noc!
 — No, no! A cicho!

Usiedział chwilę cichutko Maciek Zwyrtała, ale ku raniu trochę ziąb brał, choć to było w samo lato; znowu przybąknął na skrzypcach.

A tu jakaś główka jedna, druga, trzecia z nad bramy. Aniołki.

— Isz, isz ²⁾ — powiada jeden — jak to ładnie gra!

Jak to Zwyrtała usłyszał, jak puści po strunach smyk, jak zabrzączy na wszystkich czterech naraz „marsia“ ³⁾:

„Hej Madziar pije, hej Madziar płaci...“

— Ach! Jak ślicznie! Jak pięknie! — zawołały aniołki. — Co to za muzyka taka?

— To ze zbójeckiego ⁴⁾.

— Ach ze zbójeckiego, ach ze zbójeckiego! — zaczęły wołać aniołki i klaskać w rączki. — Ach! Jak to ślicznie!

Wtem klucz zazgrzytał w zamku, brama się otwarła; klucznik niebieski, Święty Piotr, w niej stanął.

— Zwyrtała!

— Haw ⁵⁾!

— Pójdź!...

W mig się rozniosło po niebie, że przyszedł góral, co gra. Dopiero to Święci, Święte, janiółowie Zwyrtała pytać ⁶⁾: Graj, graj! A śpiewać umiesz?

A Zwyrtała nie odpowiedział, tylko zaraz na góralską nutę:

„Kie ⁷⁾ jo se zaśpiwom na pośród polany,
 ieloz by ⁸⁾ zagrały w kościele organy...“

a wszyscy na to: Ach! Jak ślicznie! Ach! Jak pięknie!...

Tak Zwyrtała gra, śpiewa i co się nie robi.

¹⁾ Mur, wioska na Podhalu. — ²⁾ Widzisz, widzisz. — ³⁾ Marsza. — ⁴⁾ Słynny jest na Podhalu taniec „zbójecki“; odpowiada mu właściwa melodia. — ⁵⁾ Tutaj! — ⁶⁾ Prosić. — ⁷⁾ Kiedy. — ⁸⁾ Tyle to, jak gdyby.

Idzie Święty Józef bez niebo, a tu słyszy duszę śpiewającą, jakomsi dziewecką duse ¹⁾:

„Dopiero mi beło dwanaście miesięcy...“

Słucha Święty Józef, jeszcze się nie nasłuchał, a tu z drugiej strony jakasi męska dusza basem:

„Pobij, Boze, pobij tego owcaricka ²⁾...“

Złapał się Święty Józef za głowę! — Je ³⁾ — pada — co to takiego?!

Leci ku Świętemu Piotrowi, a tu, w tem miejscu, gdzie się dusze zbawione anielskich pieśni uczyć mają, nie archanioł Gabrjel pośrodku ze złotą pałeczką i trąbką stoi, tylko Zwyrtała na krześle siedzi i gra, a koło niego dusze męskie, żeńskie i aniołowie już dość zdatnie chórem:

„Podźmy jus do domu — nocka ciemna...“

— Chryste Jezu Panie! — krzyknął Święty Józef — co się to robi?!

Przychodzi w te razy archanioł Gabrjel i powiada, że nie chce nikt w niebie inaczej śpiewać, tylko po góralsku. Nawet święta Cecyljo.

— Zwyrtała ich uczy — powiada — cud ⁴⁾ sie robi. Nowych pieśni się mieli nauczyć, jutro święto Matki Boskiej Zielnej, nie umie nikt nic!

Przyszła noc, słuchają: stąd i stąd idą góralskie nuty, całe niebo jaz gielcy ⁵⁾.

Na rano powiada Święty Pieter do archanioła Gabrjela: Tak nie może być. Nie zawołałby pan tego Zwyrtały?

— A dobrze.

Idzie Zwyrtała, gęśle pod pachą i pokłonił się.

— Zwyrtała! — powiada Święty Piotr. — Nie poszedłbyś ty gdzie indziej?

— Z haw stela ⁶⁾?

— Tak.

— Z nieba?

— Aha!

— Ze ka ⁷⁾?

¹⁾ Jakąś duszę dziewczęcą. — ²⁾ Owczarka. — ³⁾ Je, na oznaczenie niechęci. — ⁴⁾ Nadzwyczajne rzeczy. — ⁵⁾ Aż szumi, huczy. — ⁶⁾ Z haw stela? = stąd? — ⁷⁾ Dokądże?

— Ka¹⁾? — powtórzył Święty Piotr. — To też to... —
I zamyślił się.

— A bez co²⁾ tak? — pyta się Zwyrtała. — Déj³⁾ mie
haw⁴⁾ po śmierci posłali.

— To też to właśnie...

— Nie krodek⁵⁾, nie zbijał, nie bił sie...

— Wiem, wiem!

— No to co?

— Ale wszyscy w niebie po góralsku śpiewają, odkądęś
ty tu!

— E! To to to? — Pomilczał Zwyrtała trochę, skrobnał
się za uchem i mówi: — E, prosem Ig⁶⁾ Miłości, o to niek⁷⁾
Ig głowa nie boli! Idem!

— Dokąd?

— Je skondek prziseł⁸⁾.

— Na ziemię? Ja cię myślałem na jaką gwiazdę dać.

— Nie pytom⁹⁾! Nijakik gwiazdów nie trza sukać! Idem
hań¹⁰⁾, dołu.

— Z nieba?

— E, moi ślicni piękni, jo i tam niebo nojdem! Beem
se hodziół po lasak, po dolinak grający. Beem strzóg¹¹⁾, coby
starodawne nuty nie wymarły. Siednie hłopak¹²⁾ z gęślami przy
owcak — zagrom mu cichučko... Zaśpiéwo dziewce za krowami
w upłazie¹³⁾ — pomogem jój. Pudom starzy gazdowie w las
drzewo ścinać, zabrzęcem im za usami, jako ojcowie grawali.
A nie bedzie nikogo, to bedzie woda po potokak, bedom stawy
zamarznione, ka wiater gwizdo lodami, bedzie bór, mnie sie
hań nie ukotwi... Jo, kiek zél¹⁴⁾, tok nieroz Pana Boga pytał¹⁵⁾,
coby mi po śmierci jino¹⁶⁾ wiecnie w holak¹⁷⁾ ostać podzwoleń.

I pokłonił się pięknie i wyszedł za niebieską bramę na
gościniec ku ziemi. Noc była. Mleczną drogą na dół szedł,
skrzypce pod pachą niesący, a kiedy się już na ślebodzie¹⁸⁾
uczul, krzyknął: hu ha! i z góry w nutę uderzył:

1) Dokąd? — 2) Z jakiego powodu? — 3) Przecież. — 4) Tutaj. —
5) Nie kradłem. — 6) Ich. — 7) Niech. — 8) Skąd przyszedłem. — 9) Nie
chcę. — 10) Tam. — 11) Będę strzegł. — 12) Chłopak. — 13) Upłaz = równina
między skałami. — 14) Kiedym żył. — 15) Tu: prosił. — 16) Jenó. — 17) W ha-
lach. — 18) Swobodzie.

„Góral jo se górol, z popod samyk Tater!
Dyscyk mie odkompał, odkołyśał wiater!
Krzywaniu, Krzywaniu¹⁾, coś ty tak osowiał?
Cy cie śnieg prziprusét, cy cie wietrzyk owiał?“

I szedł dalej Zwyrtała śpiewający drogą mleczną w dół,
aż zeszedł ku szczytom na skalane²⁾ perci³⁾ i wstąpił w głę-
bę Tatr.

Kazimierz Tetmajer (Na Skalnem Podhalu)

Na co w „Błogosławionej“ zwracamy bacniejszą uwagę: na postać ko-
biety oglądającej niebo, czy na obrazy samego nieba? A w opowieści o Zwyr-
tale muzykancie? Czem wytłumaczymy różnicę w przedmiocie naszego zainte-
resowania? Czy niebo w opowieści Tetmajera przypomina wieś (może wieś
góralską)? Jeśli tak, czem? Dlaczego nas to zupełnie nie razi, gdy w opo-
wieści tej święty Józef „łapie się za głowę“, gdy „leci“ ku świętemu Piotrowi?
Dlaczego Zwyrtała nie czuje się nieszczęśliwym, gdy wraca na ziemię? Czy
dopatrzymy się w tej opowieści jakiejś głębszej myśli? Kiedy się uśmiechał,
czytając powyższą opowieść? Czy uśmiechał się także, czytając „Błogosła-
wioną“? Jeśli tak, kiedy? Czy powód uśmiechu był podobny?

4. SEN

Był na czwartym kursie medycyny pewien ubogi stu-
dent. Miał jedną korepetycję za sześć rubli miesięcznie na
Pradze, u maszynisty Kolei Terespolskiej i jedną na Pod-
walu, u sklepikarza, za trzy ruble. Sam zaś mieszkał na
Piwnej, na czwartym piętrze za cztery ruble. Nosił mundur
wybielony na szwach, a przy nim guziki wytarte aż do czer-
wonej miedzi, kieszenie zaś on sam nazywał próżnią Torricel-
li'ego. Nie było w nich nic, tak dalece, że wkońcu zawstydzone
pouciekały z ubrania, a miejsce ich zajęły dziury, aż do środka
ziemi głębokie.

Skutkiem tak szczególnych warunków finansowych ubogi
student miał zakłęśte piersi, mocno zapadły brzuch i głowę
zwieszoną; nie ze smutku bynajmniej, ale z tej racji, że jego
biedna głowa posiadała nierównie więcej nauki, aniżeli można
było udźwignąć na tak bardzo chudej szyi.

Niekiedy sięgał fantazją w przyszłość i myślał:

— Dałbym sto dukatów temu, ktoby mi powiedział: czy
ja skończę medycynę, czy nie?... Bo z tym głupim kaszlem,

1) Krzywań, Krywań, jeden ze szczytów tatrzańskich. — 2) Skalne. —
3) Perć, ścieżka w górach.

z temi gorączkami, z tem pluciem... Zresztą, co mi tam! Nie ja będę winien, jeżeli Europa straci doskonałego lekarza... Jakbym ja pysznie leczył!... Każdemu pacjentowi jedna recepta: mieszkanie suche, codziennie opalane; śniadań i kolacyj można nie jadać, ale obiad bezwarunkowo; odzienie powinno być całe i zastosowane do pory roku. Przytem, co najmniej, trzeba mieć dwie własne koszule.

Pewnego dnia przed świętami Bożego Narodzenia, odebrawszy za lekcję na Pradze pięć rubli, nasz przyjaciel znalazł się w dużym kłopotcie. Chciał gospodarzowi opłacić komorne za lipiec, a tu... masz!... oddał wyjeżdżającemu koledze trzy ruble długu, sklepikarzowi ośmdziesiąt pięć kopiejek za artykuły kuchenne, stróżowi był winien rubla... Skąd tu wziąć na komorne za lipiec?...

Tak był zafrasowany brakiem równowagi w swoim budżecie, że dopiero w południe wrócił na Piwną. Gdy zaś oddał rubla zasług stróżowi i zażądał klucza od mieszkania, stróż odparł, drapiąc się w głowę:

— Bo, proszę pana, tam się już wprowadzili na czwarte piętro...

— Któż?... jakim sposobem? Co to za rozbój? — zawołał student.

— Gospodarz powiedział — mówił stróż — że pan nie płaci pół roku, więc kazał pańskie rzeczy wynieść do mojej izby, a mieszkanie wynajął dekarzowi¹⁾. Bieda tam, panie — dodał: żona, troje dzieci... i już dzisiaj pożyczyci odemnie kartofli i węgla.

Ubogiego medyka głęboko się zamyślił.

— Ha, jeżeli tak — rzekł — to mogę ustąpić. Ale gdyby tu się sprowadził jaki bankier, pokazałbym gospodarzowi, co to znaczy lekceważyć zobowiązania.

Kiwnął głową i wyszedł na ulicę, nie pytając nawet o swoje rzeczy — co było godnym prawdziwego mędrca, który z bogactw doczesnych posiada szczeroczkę do zębów, pół ręcznika i bardzo piękny atlas anatomiczny!

Już nie myślał ani o dekarzu ani o gospodarzu. Zdawało mu się, że ma trochę gorączki, że po całodziennym poście war-

¹⁾ Dekarz — pokrywający dachy:

toby coś przekąsić, chociaż nie czuł głodu. Gorączka, a może i wprawa dużo znaczy w tym wypadku. Więc wstąpił do sklepu, wziął, jako smakosz, dwie suche kiełbaski, a jako człowiek praktyczny — kawał razowego chleba i cały ten sprawunek z wielką dumą kazał sobie zawinąć w gruby papier od cukru.

Otrzymawszy dziesięć groszy reszty, nasz przyjaciel znalazł się już stanowczo na ulicy, gdzie po śniegu, rozpuszczającym się w błocie, jeździły wozy z mięsem albo z pieczywem i sanki, napełnione amatorami poetycznych wzruszeń. Wtem, na rogu chodnika, porwała go za rękę jakaś stara kobieta, ubrana w stos łachmanów i na cały głos poczęła krzyczeć:

— Panie!... panie!... jacy my biedni!...

„Oczywiście poczuła zapach suszonej kiełbasy (te głodomory mają pyszny węch)“ — pomyślał medyk i dał babie ostatnią dziesiątkę.

— Niechaj Bóg da ci szczęście — zawołała staruszka.

„Szczęście“ — myślał, idąc chodnikiem, na którym poręczali się przechodnie. „Co to jest szczęście“?

Przed dwunastu laty, kiedy jechał w lekkim płaszczku na Boże Narodzenie do domu, było mu tak straszliwie zimno, że myślał, iż zamarznie w drodze. Palce i uszy piekły go, nosa nie czuł, nogi miał drewniane, a po całym ciele przebiegały mu dreszcze. Lecz, gdy stanął w domu i dano mu kubek gorącej herbaty z mlekiem, gdy położył się do łóżka i skostniałe nogi zaczęły mu się ogrzewać, poczuł nieznaną dotychczas rozkosz.

Z przyjemnością myślał o tem, jak go paliły uszy, o tem, że dreszcze zostały gdzieś na dworze — i wydał mu się bardzo pociesznym cień głowy ojca z nienaturalnie dużym nosem, który poruszał się na ścianie. A jak wesoło paliła się ta świeca i jak spokojnie zasypiał on sam, ciesząc się, że mróz tak dobrze go wymęczył!

Później w jego życiu było więcej takich mrozów, deszczów, głodów i wszelkiego rodzaju utrapień. I dziwna rzecz: każde cierpienie zostawiało w duszy jego jakby blask, słodycz i ciepło, którego niczem niepodobna było zastąpić.

„Więc to ma być szczęście?... — myślał. — Zabawna historia!...“

W tej chwili spostrzegł, że jest w Saskim ogrodzie, na który zaczął już padać mrok wieczorny. Poza czarnymi gałęzmi drzew i żelaznymi kratami ogrodu widać było tu i ówdzie zapalone w oknach światła.

Po alejach snuło się ledwie kilku przechodniów, biegnących ku bramom, jakby ich goniła noc i zimno. Po śniegu uganiało kilka psów, a jeden, odznaczający się cienkością talji i podwiniętym ogonem, przypatrywał się im zdala, wykonywając takie ruchy, jakby miał zamiar usiąść na tylnych nogach, ażeby rozetrzeć sobie przednie.

Ten widok przypomniał młodemu studentowi, że i on sam zmarł djabelnie. Więc położył swoją paczkę z chlebem i kielbaskami na ławie i zaczął biegać po alei, bić się rękoma o boki i rozgrzewać uszy.

— Trzeba przyznać — myślał, czując błogie skutki tych ćwiczeń — że człowiek jest o wiele doskonalszą istotą od psa, który nie potrafi rozetrzeć sobie uszu.

Wtem pod ławką usłyszał niepokojące kłapanie. Spojrzał... Jego paczka leżała na śniegu potargana, kielbasek już w niej nie było, a nad resztą chleba znęcał się okrutnie ten sam pies, który przed chwilą z taką melancholją patrzył na gonitwę swoich kolegów.

— Bodaj cię!... — wrzasnął ubogi student.

Jednym skokiem znalazł się koło psa i potężnie go kopnął.

Pies zaskowyczał, zatoczył się i pędem uciekł w stronę najbliższej bramy, żałośnie jęcząc:

— Aj — aj!... — aj — aj!... — aj — aj!... aj — aj!...

Teraz dopiero, patrząc na potargany papier i resztkę niedogryzionego chleba, przyjaciel nasz jasno sformułował sobie, że mu jest zimno, że mu się bardzo chce pić, że nie ma dachu nad głową i że, bądź jak bądź, ale student czwartego kursu medycyny nie może znajdować się w tak dwuznacznej pozycji.

— Co ja będę czekał na ulicy, aż mnie przemarzłego wezmą do cyrkułu? — myślał. — Mam przecież bardzo przyzwoite locum nareszcie; któryś z naszych musi być dyżurnym¹⁾

¹⁾ Dyżur oznacza służbę spełnianą obowiązkowo, w dzień lub w nocy, wedle ułożonego porządku. Dyżurnym zowie się ten, który tę służbę pełni.

w klinice u Dzieciątka Jezus, więc pójdę tam i zastąpię go. Wyśpię się zato jak anioł, zjem, wypiję...

W dziesięć minut później już był w klinice. Tutaj istotnie zastał dyżurnego kolegę, któremu oświadczył chęć zastąpienia go na noc przy chorych. Kolega pilnie mu się przypatrzył, zapewnił go, że swoich chorych nie odstąpi za żadne w świecie skarby, ale że jemu da łóżko w osobnym pokoju, który właśnie jest wolny. Kolega był nawet tak uprzejmy, że pomógł mu rozebrać się, kazał przynieść herbaty, położył go, okrył i włożył mu termometr pod pachę.

— No, przecież nie myślisz kolega, że jestem chory? — zapytał, śmiejąc się nasz przyjaciel. — Cała rzecz w tem, że wyrzucił mnie dziś gospodarz i nie mam gdzie spać... Gdyby nie to, ani myślałbym zaglądać do kliniki.

Dyżurny potakiwał gościowi, dodając w duchu, że gdyby nie dziwnie pusty żołądek, lekkie zajęcie płuc, czterdziestostopniowa temperatura i sto dwadzieścia uderzeń pulsu na minutę, to nasz przyjaciel mógłby się uważać za człowieka zupełnie zdrowego.

Tymczasem ubogi medyk czuł się z każdą godziną lepiej. Był zachwycony szpitalnem łóżkiem, co chwila wyzywał kolegę na dysputy filozoficzne o tem, czem właściwie jest szczęście? — a już około dziesiątej wieczorem był tak zdrow, że nie tylko ciągle śmiał się i śpiewał, ale nawet chciał koniecznie wyjść na miasto, gdzie podług jego spostrzeżeń było już słońce i lato. Prawie siłą musieli go zatrzymać w łóżku, dopóki po szamotaniu się nie wpadł w zupełne odrętwienie, w którym nie słyszał głosów i nie widział snujących się ludzi.

* * *

Przed jego oczyma, zamkniętymi dla rzeczy ziemskich, otworzył się inny świat.

Zdawało mu się, że jest na wsi i patrzy na niebo podczas zachodu słońca. Niebo wyglądało jak szmaragdowy ocean pokryty złotymi i srebrzystymi wyspami, które zaludniały postacie ludzkie, zwierzęce i roślinne.

„Oczywiście mam gorączkę — myślał chory — ale co mi szkodzi patrzeć, kiedy to takie zabawne?“

Więc patrzył.

Przedewszystkiem uderzył go wygląd przedmiotów. Liście drzew miały, jak i u nas, kolor zielony, kora brunatny, piasek był żółty, ziemia szara, kwiaty różowe, białe, niebieskie, ale wszystkie te barwy odznaczały się niepojętą delikatnością i blaskiem. Takie barwy można widzieć tylko na obłokach, albo w kropkach rosy. Nadto zaś wydawało się medykowi, że każdy przedmiot nietylko odbija jakieś potężne światło zewnętrzne, lecz nadto prześwieca i zarazem sam świeci niepojętem własnym światłem. Wytwarzała się z tego dziwna gra kolorów, pełnych subtelności i życia.

Dzięki temu oświetleniu, wpatrzywszy się lepiej, można było widzieć pulsujący ruch kamieni, które kurczyły się, rozszerzały, falowały na powierzchni i wewnątrz za każdą zmianą temperatury, ciśnienia powietrza, a nawet za każdym ruchem i odgłosem, jaki rozległ się w ich sąsiedztwie. Można było widzieć niekiedy bystre, niekiedy powolniejsze krążenie soków w roślinach, dyszenie ich liści i wykwatowanie się nowych pączków. Zdawało się też, że przy mocniejszym nateżeniu wzroku można dojrzeć snujące się, jak obłoki, myśli w głowach i zmieniające się uczucia w sercach ludzkich.

Prócz tego każde drgnienie kamieni, szelest liści, powiew wiatru, nawet zmiana człowieczej fizjonomji, ogłaszały się delikatnym szmerem, który środkował między melodią a mową albo coś sam od siebie tłumaczył i opowiadał słuchaczowi, albo z innymi głosami łączył się w jakąś obszerniejszą melodię, czy rozleglejsze opowiadanie. Tym sposobem, nie przekładając sobie, rozmawiały poszczególne kwiatki, cały las, kropla wody i ocean, ziarna piasku i niezmierne łańcuchy gór. Dla zbadania zaś tajemnic natury nie było potrzeba żadnych myślnych sposobów, bo każda rzecz sama odsłaniała i opowiadała swoje tajniki zarówno malowniczym i dźwięcznym, jak prostym i jasnym językiem.

W tym osobliwym kraju wszystko było piękne: mężczyźni, kobiety, rośliny i kamienie; ale najpiękniejsze było to, co ziemskiem życiu nazywa się ubogiem i cierpiącem. Jedwabki, aksamity, perły i złoto wśród ogólnego przepychu wydawały się powszednimi i wyblakłymi; natomiast grube płótno, rmięgi, lipowe łapcie chłopów i łachmany nędzarzy miały sobie coś oryginalnego, co zwracało uwagę. Regularne twarze

i posągowe kształty nuziły jednostajnością; chude zaś, połączone i okryte bliznami ciała budziły interes.

— Szczególna rzecz — myślał student — jak mi to przypomina zdanie: „Błogostawieni maluczcy i ci, którzy cierpią...“ Muszę wyznać, że ci maluczcy wyglądają bardzo malowniczo, a cierpiący mają w sobie coś dramatycznego.

Niedaleko skały z szafirów i topazów, skąd wypływał strumień wody, podobny do tęczy, student zobaczył grupę kobiet. Były tam panie w naszyjnikach z pereł, w bransoletach z diamentów, w koronkach i strusich piórach, z zazdrością i zalem tłoczące się około starej żydówki, która siedziała przy becze śledzi.

Stroje tych dam, na tle łąki ze szmaragdów, upstrzonej rubinami, szafirami, ametystami, wyglądały jak stare ścierki. Tymczasem barchanowa watówka żydówki, skąd tu i ówdzie wylała wata, miała kolor i połysk szlachetnego brązu, ozdobionego klaczkami srebra. I piękne twarze kobiet były jakieś smutne i nawet bezduszne. Zdawało się, że są to trupy, w których ledwie tli się iskierka świadomości, ciągle przygasającej i drżającej o to, że zgaśnie.

Wpatrzywszy się bliżej, student poznał, że damy te nic nigdy nie robiły i niczego przykrego nie doświadczyły w życiu. Ich myśl wciąż przyćmiewała się i groziła zamienieniem się w nicość. Ażeby obumierającą myśl nieco orzeźwić, nieszczęśliwe istoty skupiły się około starej śledziarki, która z litości pozwalała im patrzeć w okienko swego życia i stamtąd czerpać jakby oddech dla wiecznie konających piersi.

Historja śledziarki była bardzo prosta: dawała ona co tydzień, przez trzydzieści lat, po śledziu i po kawałku chleba biednemu człowiekowi, który w piątek zrana przechodził około beczki najwcześniej.

Student spojrział w okienko jej życia i zobaczył jakby aleję ludzi, rozmaitego wieku, siedzących, stojących albo leżących na chodniku, na śniegu, pod parkanem, na schodach, na rusztowaniu mularskim, a każdy jadł śledzia z chlebem i nad każdym było widać obrazy jego życia. Ten chciał się zabić z głodu, lecz obdarowany przez handlarzkę nabralł ochoty do życia. Tamten miał kraść, lecz w porę dany posiłek uratował go od grzechu i więzienia. Inny chciał porzucić drobne dzieci,

inny zabić człowieka dla pieniędzy, lecz każdego zawrócił ze złej drogi mały śledzik i kromka chleba.

Student czuł głód i gniew tych biedaków, a potem radość i budzące się lepsze myśli. Widział ich rodziny uratowane od niedoli, i ludzi, którzy mogli się stać ofiarami ich dzikości. Pomiedzy zaś całą tą gromadą snuł się otyły bankier, który zobaczywszy raz, jak litościwa żydówka obdarowywała biedaka śledziem, zaprowadził bezpłatne obiady dla ubogich i, również jak ona, uratował niejednego od zguby.

Słowem, przez okienko życia starej żydówki widać było ogromny świat ludzi cierpiących, a uradowanych, gniewnych, a uspokojonych, i desperatów, którzy znaleźli nadzieję.

— Tamta baba, której dałem dyskę, istotnie wywróżyła mi szczęście — mówił student. — Z tego, co widzę, zaczynam domyślać się, że największym zaszczytem jest cierpienie, a największem szczęściem dobre czyny. Tym sposobem ja — dodał — mogę pędzić tu bardzo przyjemne życie. Mam mundur dziurawy, żołądek o tyle pusty, że mógłby robić konkurencję okienku śledziarki, i w rezultacie nie zrobiłem nic tak złego, coby mi tu psuło humor...

W tej chwili usłyszał okropny głos, wołający:

— Aj — aj!... aj — aj!... aj — aj!...

Dreszcz go przebiegł i zdawało mu się, że w uszy wbijają mu sztylety. Uczuł ból tak dotkliwy, że wobec niego zbladły wszystkie piękności snu.

Skomlenie oddaliło się i powoli ucichło, a przestraszony student myślał:

— Co u diabła! (jeżeli podobnego wyrazu godzi się używać w podobnym miejscu...) to chyba ten pies, którego kopnąłem w Saskim ogrodzie? Padam do nóg!... Jeżeli mi urządzi drugi podobny koncert, to choć zmykaj!...

— Warto by jednak zobaczyć — mówił po namyśle — jaki jest mój kapitał zasług. Czy podobny do szczęśliwej śledziarki, która przez swoje okno widzi legiony obdarowanych, czyli też do tych pięknych pań, które duszą się tu jak ryby wjęte z wody?

Ledwie to powiedział, spostrzegł, że z jego serca wysnuwają się tysiące promieni, jakby złotych nici, które biegną w stronę ziemi i czepiały się jedne grobu rodziców, inne domu,

gdzie przepędził dzieciństwo, jeszcze inne zahaczały o jego kolegów, o ulubione książki...

Były to wszystko przedmioty i ludzie, których kochał. Dzięki zaś promieniom, czy nitkom, co połączyły go z nimi, jego własne życie w tej chwili spotężniało mu tysiąc razy. Czuł radość jednego z kolegów, który o tej porze dojeżdżał do domu na święta; drugiego, który wybierał się z wizytą; śledził bieg myśli trzeciego, który uczył się do egzaminu. Słodki smutek płynął mu do duszy od drzew, pokrytych śniegiem, i od starego domu, w którym wiatr kłapał spróchniałymi okiennicami.

Ale między tysiącem złotych promieni, co przynosiły mu cudzą radość, albo żal tkliwy, znalazło się kilkanaście nici czarnych, łączących go z nieulubianymi ludźmi i rzeczami. Te zatruwały mu szczęście, bo cieszył się, czy smucił człowiek nieulubiany przez niego, czarna nić zawsze jednakowo targała mu serce jakimś ostrym piekącym bolem.

— Więc naprawdę miłość daje szczęście, a nienawiść cierpienie?... — mówił zadumany, czując, że żadnej z tych złotych ani czarnych nici zerwać niepodobna. — A może ma realną wartość przestroga: „Miłujcie nawet nieprzyjacioły wasze!...“ I byłoby faktem, że przez miłość i nienawiść współżyjemy z bliźnimi, którzy stają się jakby nierozdzielną częścią naszej duszy?...

W tym momencie rozległo się skomlenie psa: „aj—aj!...“ — które tak wstrząsnęło chorym, że otworzył oczy...

* * *

Nie był już w krainie szczęścia, lecz na szpitalnem łóżku. Otaczali go koledzy, na których twarzach spostrzegł niepokój i zdumienie.

— Co mi się tak przypatrujecie? — zapytał.

— To ty mówisz? — zawołał jeden. — No, więc będziesz żył...

— A stałeś już obcasami w grobie — dodał drugi.

— Chyba na tamtym świecie — odparł rekonwalescent, przypominając sobie dziwny sen.

— Aż na tamtym?... Cóż tam słyszeć?... Jakie wiadomości?... — żartowali koledzy.

Ubogi student machnął ręką i pomyślał:

— Żartujcie wy sobie, a ja co wiem, to wiem...

Bolesław Prus

Co widzi na „tamnym świecie“ błogosławiona, co student? Czyje wizje, błogosławionej czy studenta, bardziej odbiegają od tego, co przypomina świat rzeczywisty? Czem głównie różnią się te wizje? Kto i za co w obu utworach doznaje na „tamnym świecie“ nagrody? Czy równie baczna uwagę zwracamy na to, czytając oba utwory? Czy „tamten świat“ w „Śnie“ to niebo? Jaką myśl wyraża nowela Prusa? Czyś nie uśmiechnął się, czytając tę nowelę? Kiedy? Czy z tego samego powodu, dla którego uśmiechałeś się, czytając opowieść o Zwyrtale?

5. WIESŁAW

I.

Z żoną Stanisław wychodzi z komory,
Wnosi do izby dwa pieniądze wory;
Czterysta złotych ułożył na ławie
I tak powiada: „Zgarnij to, Wiesławie!
Jedź do Krakowa, a za te talary 5
Kup mi dwa konie i wybierz do pary;
Syn mój jedyny na wojnie zabity,
Mnie schyla niemoc i wiek nieużyty,
Nie mam z chudobą poufać się komu;
Ty prawą ręką jesteś w moim domu; 10
A skoro pomrę, tyś rodzinny głowa.
Jeśli, daj Boże! córka się uchowa —
Ma lat dwanaście, nie skąpo urody:
Możesz jej czekać, sameś jeszcze młody“...
— „Tak jest! dla ciebie (Bronisława powie) 15
Strzegę tej córki, jakby oka w głowie:
A cóż droższego mieć możesz od matki?
Jedneć to moje przed grobem dostatki“.
Bronika matkę objęła za szyję 20
I wstyd rumiany na jej piersi kryje,
Lecz pusty uśmiech zwraca na Wiesława.
A dalej smutna rzekła Bronisława:
„Miałam ja drugą; litościwy Boże!
Oko się za nią przepłakać nie może.
Zaledwie piąty kwitnął owoc sadu, 25
Gdy mi zniknęła jako cień bez śladu;
Już to dwunastym liściem wiatr pomiata,
Jak myśli matki zatrąwa jej strata.
Gdy wojna polskie dobijała plemię,
W pustkach wsi stały, a odłogiem ziemie; 30

Okolnych lasów i wiosek pożary
Gniewu Bożego zwiastowały kary;
Z wiatrem, co strzechy i konary walił,
Do nas wróg przybył i wioskę zapalił.
Dzień to był sądu. Śród płaczu i gwaru, 35
Wśród ciemnej nocy, wichrów i pożaru
Razem rolnicy ku obronie bieżą,
Razem się wojsko ciśnie za grabieżą:
W tej walce z dymem poszła nasza strzecha.
Wtedy mi córka, jedyna pociecha, 40
Znikła bez śladu. Przez długie ja czasy
Chodziłam za nią na wioski i lasy;
Ale, jak kamień do Wisły rzucony,
Zniknęła wiecznie, głuche każde strony;
Codzień do kłosów przychodzą oracze, 45
A ja dziecięcia nigdy nie zobaczę;
Na świat szeroki próżno rzucać oko.
Świat nie pocieszy, a niebo wysoko!
Niech wola Boska, będzie Boska chwala!
Ciebiem ja za nią, synu, wychowałam, 50
Bo gdzie sierota przyjęta pod strzechę,
Tam z niebem bliższy Bóg zsyła pociechę.
Może też moje utracone dziecię
Podobnie kędyś na szerokim świecie
Litość znalazło; żyje gdzie u matki, 55
Pomiędzy własne policzone dziatki.
W takiej ja myśli po ojców twych stracie
Ciebie małego wychowałam w chacie:
Litość za litość, niebieska opieka
Tajnie nagradza uczynki człowieka, 60
A jeśli ziemia strawiła jej kości,
Swobodna dusza w krainach przyszłości
Igra wesoło przy niebieskiej matce
I łaskę nieba zwabia naszej chatce“.

Tu Bronisława zalała się łzami; 65
Rade łzy płyną za matki myślami.
Płakała zaraz i córka przy boku;
Lecz łzy, męskiemu nieprzystojne oku
Kryjąc Stanisław, karcie smutek żony:
„Jaki los w niebie komu naznaczony, 70
Próżno się troskać; Bóg, siedząc wysoko,
Nad całym światem opatrne ma oko.
Wszakże on ojcem na wieki i wszędzie,
Co pod nim było, pod nim jest i będzie;
Lepsze nad smutek ufanie pobożne. 75
Idź! Wiesławowi przygotuj nadrożne.

Ty wyjdź o świecie, a chroń się przygody,
Bo zawsze wiele ufa sobie młody;
Przynies twęj przyszłej podarunek z drogi!“

Wiesław obojgu kornie ścisnął nogi 80
I wyszedł z chaty, przenikniony cały,
Że takich ojców niebiosu mu dały.

II.

Już wonny wieczór uśmiechał się ziemi,
Gdy wracał Wiesław z końmi kupionemi.
Z przydrożnej wioski rozlega się granie,
Słychać wesołe płąsy i śpiewanie.
Parskając, konie biegną po gościńcu, 5
Widać dziewoje przy rucianym wieńcu,
Biją druźbowie w podkówki ze stali;
A gdy wędrowca mile powitali.

Tak rzekł starosta, zarządca wesela:
„Dobrze to w każdym zyskać przyjaciela! 10
Witajcież do nas, wy z proszowskiej¹⁾ ziemi!
Nie chcecie gardzić dary ubogiem,
Pożyjcie z nami, czem tu gospodarzy
Wdzięczna prac rola i dobry Bóg darzy. 15
Napatrzycie się krakowskim dziewczynom,
Wymyślnym tańcom i precudnym strojom,
Wreszcie i w tany sunąć nie zaszkodzi,
Bo, choć strudzeni, widzę, żeście młodzi“.

Na to Halina przystępuje młoda, 20
W całym weselu najpierwsza uroda;
Wstydz się, wstydz, jednak przy nim staje,
Ciastko z koszyka i owoc podaje:

„Obcy wędrowcze! jużci przyjąć trzeba 25
Naszych owoców i naszego chleba“!
A przytem uśmiech jakowyś uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy
I zwrócił tyle, że odtąd jedynie
Okiem i dusza został przy Halinie.

Wchodzi do izby na wesołe tany, 30
Z kubkiem od druźbów Wiesław powitany;
Potem starosta, zarządca wesela
W te słowa druźbom porady udziela:

„Juźci pierwszeństwo zostawcie obcemu. 35
Niech idzie w tany, niech też po swojemu
Skrzypkom zanuci, dziewczoję wybierze:
Bo z obcyem trzeba uczciwie i szczerze“.

I wybrał druchnę, której wdzięk uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy.
Na przód wychodzi, przed muzyką staje, 40
Halina w płasach rękę mu podaje;
Za nim się wkoło młodzieńcy zebrali.
Nucą i biją w podkówki ze stali.
Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
Zagasił wszystkich poważną postawą;
W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie, 45
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie.
Halina płąsa z miną uroczyście.
Oburącz szatę ująwszy kwiecistą;
On tupnął, głowę nachylił ku ziemi
I zaczął nucić słowy takowemi: 50

„Niechże ja lepiej nie żyję, Patrzajże mi prosto w oczy,
Dziewczę! skarby moje! Bo widzi Bóg w niebie,
Jeśli kiedy oczka czyje Że mi ledwo nie wyskoczy
Milsze mi nad twoje. Serduszko do ciebie!“

Bierze Halinę i tak wokoło, 60
Przodkując druźbom, tańczy wesoło;
A gdy ku skrzypkom znowu powróci,
Staje i w płasach tak dalej nuci:

„Czemuż ja w proszowskiej ziemi Krew, nie woda, ludźmi włada,
Małe zazał dziecię, Bo któż sercem rządzi?
Byłbym między krakowskimi Człowiek, pragnie i układa,
Najszczęśliwszy w świecie. A wszystko Bóg sądzi.“ 70

Halina w płasach przed nim ucieka,
On, w ręce pleszcząc, goni zdaleka;
A gdy dogoni, z ujętą wróci,
Staje i w płasach tak dalej nuci:

„Nie uciekaj, ptaszku luby, Krąży słowik w szumnym lesie,
Moje sto tysięcy! Gałazek się czepia, 80
Dogonię ja mojej zguby Aż dognany piórka niesie,
I nie puszczę więcej. Gniazdeczko ulepiea“.

Sam teraz w płasach przed druchną stroni, 85
A ona za nim poskocznie goni;
I dogoniony, gdy znowu wróci,
Staje i w płasach tak przed nią nuci:

„Gospodarzu, nie dasz wiary, Grajcie skrzypki! bo się smucę
Jak konie optacę; W opiakanym stanie,
Wydałem ja twe talary, Z konikami ja powrócę,
Moje serce stracę. Serce się zostanie“.

¹⁾ Proszowice, wieś w ziemi krakowskiej.

Dłoń mu podała, a on wokoło
Przodkując družbom, tańczy wesolo.
A gdy do nowej piosenki stanie,
Skrzypek drzemiący zakończył granie. 95

Na to Halina, zapłoniona cała,
Między teścine za stół uciekała; 100
Wiesław staroście i matkom się kłania;
Słysząc wokoło pokątne szemrania.
Długo się Wiesław gościnnie weselił,
Już się też dzionek nad górami bielił;
Pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie, 105
Wciąż mając w uszach i śpiewy i granie,
W sercu niepokój, a myśli jedynie
Krążą niewolne przy pięknej Halinie.

III.

Pośpieszał Wiesław i lasem i polem,
Ale się ostać nie może przed bolem;
Bo gdy chęć jedna raz serce osiedzie,
Daremny namysł i rozsądek będzie: 5
Przeło, co myślał, co czynić przystało,
Stanowi wyznać otwarcie i śmiało.

Oczekiwany wjechał do podwórka:
Wybiegł Stanisław i matka i córka.
Głaszczą koniki i wiążą u płotu, 10
Cieszą się wszyscy z prędkiego powrotu,
Z taniości kupna i z koników radzi;
Sam je Stanisław do stajni prowadzi,
Rychłą wieczerzę rozkazuje matce.
Skoro milczący Wiesław usiadł w chatce,
Matka go z córką o zdrowie pytały; 15
Milcząc, Bronice dał gościniec mały.

Przybył też razem i sąsiad ciekawy,
Dobry do rady, dobry do zabawy:
Jan, co za stołem nie jednym już siadał,
Jak mądrze myślał, tak i prawdę gadał. 20
Ale się wszystkim dziwno wydawało,
Że Wiesław smutny i mówi tak mało.
Wszedł i gospodarz, do stołu zasiedli;
Skromną wieczerzę przy rozmowach jedli;
Matka zaś oka nie spuści z Wiesława, 25
Dziwną w nim jakąś odmianę poznawa.

„Powiedz nam, mówi, co tobie się stało?
Że smutny siedzisz i mówisz tak mało?

Milczący zawsze sam sobie zaszkodzi;
Nigdy młodemu skrytość się nie godzi“. 30

On spuścił oczy, wstydem się zapłonił,
Stanisławowi do nóg się uklonił
I zaczął mówić słowy takowemi:

„Prawda, że szczerze trzeba ze starszemi;
Oni porywczej młodości wybaczą 35
I mądrą radę zawsze podać raczą.

Czemużem w domu nie został na wieki,
Wdzięczem łask tyłu i waszej opieki!

Przy waszym pługu chodziłbym spokojny,
Anibym zaznał trudnej z sercem wojny; 40

Lecz darmo człowiek sam o sobie radzi!
Inaczej myśli Bóg o swej czeladzi.

Prędki, bez wieści spada wyrok Boski.
Na mojej drodze, pośród jednej wioski 45
Poznałem druchnę, której wdzięk uroczy

Zabrał mi serce i zniewolił oczy
I tyle sprawił, że odtąd jedynie

Sercem i duszą jestem przy Halinie.
Ojcowie moi już królują w niebie;

Wyście sierotę przyjęli do siebie, 50
Nie żałowali ni troski ni chleba,
Uczyli pracy i bojaźni nieba;

Dziś jedynaczkę córkę w swojej chacie
Dla mnie w zameście i z wianem chowacie. 55

Jeszcze, mówicie, byłem dzieckiem małym,
Gdy ją w tych kątach sobie kołysałem;

Ni mię niewdzięczność ani harda dusza
Odkryć przed wami tę boleść przymusza,

Ani mi rada niedościgła w niebie
Was każe smucić, a zawstydzić siebie. 60

Puśćcież mię, puśćcie z rękoma gołemi.
Pracować będę pomiędzy obcemi:

Bo bez Haliny nic już nie zarobię.
Niezdatny ludziom i niemiły sobie, 65

Prędkobym znalazł koniec życiu memu:
Pobłogosławić chciejcież ubogiemu;

Bo ten przed nędzą nigdzie się nie schroni,
Kogo przekleństwo dobroczyńców goni.

Sprawcie! Bóg za to niech będzie nad wami“!
Tu Bronisława zalała się łzami; 70

Bronika patrzy dużemi oczyma,
Ciekawość tylko na jej ustach trzyma

Uśmiech pustoty; ale gdy ujrzała,
Że tu i Wiesław i matka płakała,

Wnet Bronisławę objęła za szyję
I lzy niewinne na jej tonie kryje. 75
Stanisław, milcząc, podparł siwą głowę
I po ojcowsku rzekł słowa takowe:
„Kiedy twój ojciec żegnał ziemskie życie,
Ciebie mi oddał, jak za moje dziecię; 80
Tak cię też kocham; i widzi Bóg w niebie,
Ze nic miłszego nie miałem nad ciebie;
A ty, niepomny, że mnie starość gniecie,
Chcesz na przygody puszczać się po świecie?
Chcesz mię opuścić za to, żem cię chował,
Żem tobie córkę i dom mój hodował? 85
Nieszczęście wniesiesz do każdego domu,
Gdy mnie zostawisz śród żalu i sromu;
Młody, niebaczną wzięłeś przed się drogę:
Ja cię pożegnać, ja puścić nie mogę“.
Tu żona, płacząc, wyszła na próg chatki,
Bo czuła razem srom i miłość matki;
Za nią Bronika z trwogą i łzą w oku.
Wiesław, twarz kryjąc, stał kornie na boku. 90
Jan z Stanisławem sam milczący siedział;
Gdy się namyślił, tak mądrze powiedział:
„Stary młodemu wyrozumieć nie chce,
Młodego nowość i swoboda łechce;
Zwiąż go miłością i osyp go zbiorem,
On dalej patrzy, bo mu świat otworem; 95
Nieszczęściem jemu najmiłsza niewola.
Tak i na wiosnę ptak okrąża pola;
Płochy i dumny, ufny w siłę młodą,
Rzeki i skały przebywa z swobodą,
Aż miłym głosem zwabiony, zostaje —
I odtąd jedne zamieszkuje gaje, 100
Gdzie swoje szczęście i pokój znachodzi.
Te prawa mają, tę naturę młodzi;
Za nic już wszystko, gdy na całe życie
Wolną mu teraz drogę zagrodzicie. 110
Nie w nim też może dla Broniki szczęście:
Z woli ma płynąć niewolne zamęście.
Jako kwiat córka obcej ręki czeka,
I traf młodzieńca przyniesie zdaleka;
Dlatego dajcie wolność Wiesławowi: 115
O swoim szczęściu sam niechaj stanowi“.
Na to Stanisław: „Mądrze wy mówicie,
Ale nie znacie, co to stracić dziecię.
Dlaczego ojciec w troskach życie trawi,
Czem się lat wiele utroska, ubawi, 120

Z czem żyć nawyknie i pracować w domu,
To weźmie przybysz, nieznamy nikomu;
Weźmie dobytek, krwawo dochowany,
Gołe i głuche zostawi im ściany, 125
Gdzie zapomniani samotne lzy sączą,
Gdy córkę z obcym obowiązki łączą.
Przeto, już dawne były myśli moje,
Bym ich przy sobie połączył oboje,
Ażeby matka kiedyś po mej stracie
Teściowej w obcej nie służyła chacie. 130
Lecz myśli niczem, gdy Bóg nie dozwoli!
Przeto, Wiesławie, oddaję twej woli:
Uprośże Jana, wezwij jego rady,
Może sam z tobą uda się na zwiady,
Może się wszystko inaczej wyświeci; 135
Co z wiatrem przyszło, to z wiatrem przeleci.
Lecz, jeśli przyszła serce tobie święci,
Jeśli rodziny poznasz dobre chęci,
Uproś sąsiada, niechaj zaczniesz swaty:
Jak syn synową przywieź mi do chaty“.
140

IV.

Idzie Jan z tęsknym Wiesławem na zwiady.
Wiesław daleko przed nim znaczy ślady,
Bo go i miłość i młodzieńcza siła
Przez góry, doły prędzej prowadziła. 5
A gdy przybyli, gdzie mieszkała córka,
Taką pieśń nuca za płótem podwórka:

„Kwiatami grzęda osnuta, Kwitnie rozmaryn i ruta; Na okienku wianek leży: Jest tu córka dla młodzieży.	Zielona ruto na grzędzie, Nikt cię polewać nie będzie. Schłodna chata, choć uboga, Za rządnością pomoc Boga. Skrzeczy sroka na jaworze, Panna stroi się w komorze.
Przyjdzie młodzian z obcej błoni, Ojcu, matce się pokłoni; Zerwie panna swoje kwiaty, Do teściowej pójdzie chaty.	Otwierajcież! przyszli goście, I zyczliwie w dom zaproście; Chociaż obcym, bądźcie radzi! Dobra nas tu chęć prowadzi“.

Wyrzała oknem od kądzieli matka.
Skrzypta zaporą, otworzyła się chatka,
Wszedł Jan sędziwy, Wiesław okazały,
Głową wyniosłą dosięgnął powały. 30
Jadwiga rzekła: „Witajcie nam, goście,

Siądźcie i z Bogiem dobrą wieść przynosćcie!
 Z komory wyszła Halina z rumieńcem,
 Skłoniła głowę przed znanym młodzieńcem,
 A Jan powiedział: „Oj widzę, że godne 35
 I starca drogie lica tak urodne“.
 Kiedy Halina słyszy taką mowę,
 Rumianych wdzięków przybyło połowę;
 Koszyk podróżny zdejmuję z młodziana,
 Bierzę i laskę sędziwego Jana; 40
 Wnet czystą ławkę do stołu przynosi,
 A matka gości do spoczynku prosi;
 Mówi do ucha wstydlivej Halinie:
 „Niech się roznieci ogień na kominie,
 Niech będzie rychło wieczerza gotowa“ 45

Jan, gdy odpoczął, w te przemówił słowa:
 „Niech gospodyni przez to nie obrażę,
 Czyniąc, co dawny obyczaj nam każe;
 Ojców zwyczaję toć krewieństwo nasze.
 Przeto, Wiesławie, daj z koszyka flaszę, 50
 A gospodyni kubka nam udzieli,
 Miernie użyty trunek rozweseli,
 Śmielszemi czyni ukrywane chęci
 I tajność serca przed oczy wyświęci!
 Bo jak oblicze oglądamy w zdroju, 55
 Tak dusza wiernie wyda się w napoju.
 Pszczółki na ziemi pierwsze gospodynie,
 One po całej opatrznej krainie
 Zbiorów szukały; ochronne przy zgodzie,
 Wzbudziły przemysł i w ludzkim narodzie; 60
 A jak na wiosnę gospodarna pszczoła,
 Gdy się sad bieli i wonieją zioła,
 Niesie w ul siostrze uzbierane miody:
 Tak niesie młodzian z rodzinnej zagrody
 Kubek słodczy przy życzliwej chęci 65
 Tej, której serce niewolne poświęci.
 Bo równa pszczole jest miłość wieśniacza:
 Słodczy i zgodę i pracę oznacza“.

Podala matka kubek na te słowa:
 Poszła do serca wszystkim Jana mowa. 70
 Bóg go też wielkim rozumem obdarzył;
 Już on niejedno krewieństwo skojarzył.
 Starostą bywał na każdym weselu
 I chrestnym ojcem zwą go w domach wielu:
 Przeto, gdziekolwiek przyjdzie w odwiedziny,
 Jest jakby w domu u swojej rodziny. 75

W podany kubek nalał Wiesław miodu:
 „Przyjmij tę kroplę z obcego ogrodu,
 Piękna Halino! jak tobie słodczy
 Na całe życie serce moje życzy“ 80
 Na to Halina pytającym okiem
 Patrzy na matkę; odwrócona bokiem.
 Białe odzienie zarzuca na głowę;
 Tak zastoniona wypełnia połowę,
 Połowę Wiesław wypełnił aż do dna; 85
 A jako zorza za gajem pogodna,
 Kryjąc się, błyszczy rumieńcem Halina.
 Jan dziewczęby w te słowa zaczyna:
 „Kiedy tak córka chęć życzliwą dzieli,
 Już do was, matko, mówić mię ośmieli. 90
 Gdzie młodzież idzie za serdeczną władzą,
 Niech ją z namysłem starsi doprowadzą.
 Młodość nie widzi, przyszłości nie bada;
 Jako w kochaniu ufność w losie składa:
 A to odmiennie, nieprzyjazne rzeczy. 95
 Szczęście więc starsi muszą mieć na pieczy,
 Wszystko przewidzieć, w szczerości pogadać,
 A zresztą ufność na Boga zakładać.
 Pocziwych ojców widzicie tu syna.
 Chociaż pod ziemią śpi jego rodzina, 100
 Ma przecież ojców, co litością zdjęci,
 Mając kumostwa powinność w pamięci,
 Nie żalowali dla sieroty chleba,
 Uczyli pracy i bojaźni nieba!
 Sprawili się godnie, że go synem zowią 105
 I część chudoby dla niego stanowią.
 Nie jesteście u nich gospodarstwo liche,
 Praca sierpowa nie idzie pod wicheł!¹⁾
 Co tydzień wniesie, nie straci niedziela:
 Bóg też rządności pomocy udziela, 110
 Czystą pszenicę niesie czarna rola,
 Wełniste owce zabelają pola,
 W schludnych stajenkach bydełko się chowa,
 A cztery konie jeżdżą do Krakowa.
 Z ich to poręki ja do was przychodzę. 115
 Poznał się Wiesław z Haliną na drodze,
 Jak pewnie wiecie, i ojcom wyjawił,
 Że swoje serce w jej sercu zostawił.
 Na to Stanisław rzekł mu słowem takim:

¹⁾ Wicha, wiecha, pęk sośniny, zawieszany nad wejściem do karczmy;
 pod wiecheł = do karczmy.

„Jesteś mi prawda w domu jedynakiem; 120
 Lecz jeśli miła serce tobie święci,
 Jeśli rodziny poznasz dobre chęci:
 Uprośże Jana, niechaj zacznie swaty,
 Jak syn synowę przywieź mi do chaty“.
 Te słowa, matko, wiernie wam odnoszę 125
 I w imię ojców o córkę was proszę.
 Niechaj Bóg dobre rodziny jednoczy.
 Nie chcę młodego wychwalać wam w oczy;
 Często pochwała, choć i słuszna, szkodzi; 130
 Bo lepiej, kiedy nie znają się młodzi.
 Zawsze już się u celu być mienia;
 Raz pochwaleni, przestrogi nie cenią.
 Choć pracowity, choć posłuszny w domu,
 Bywał i Wiesław szpakiem pokryjomu: 135
 Zajechać drogę choćby wojewodzie,
 Rej nad muzyką prowadzić w gospodzie —
 Z karczmy rozpędzać cesarskie wojaki,
 Wyśmiać wędrownym góralom chodaki,
 Toć były dotąd jego obyczaje.
 Młodemu wszystko zarówno się zdaje, 140
 Bo jak na wiosnę pędzi potok w biegu,
 Pieni się, szumi i wylewa z brzegu,
 Aż dalej cicho płynie w swem korycie:
 Tak młodzian, siłą udarzon obficie,
 Musi wyszumieć, aż w troskach stateczny, 145
 Jak jabłoń czasem traci kwiat zbyteczny.
 Zawsze też dobra i stateczna żona
 Reszty wychowu w młodzieńcu dokona;
 Nauczy myśleć, jak dobytek zbierać,
 Jak się na przyszłość niepewną ozierać. 150
 To wam powiadam o naszym Wiesławie,
 Bom mu był świadkiem od dzieciństwa prawie“.
 Bacznie Halina, stojąca na boku,
 Śledziła prawdy w Wiesławowem oku.
 Jan, mówiąc prawdę, wiedział, że nie ranił: 155
 Dziewczęta lubią błędy, które ganił.
 Ale iza błysła w źrenicy młodziana,
 Potem się nisko skłonił do nóg Jana,
 Skłonił się matce, milcząc, pełen sromu:
 I było długie pomilczenie w domu. 160
 Wtenczas Halinie także łyzy wytrysły.
 Jako na wiosnę nad brzegami Wisły,
 Gdy wonny deszczyk obłoki wyleją,
 Kwiaty zroszone błyszczą się nadzieją,
 A razem słońce za górami świeci: 165

Tak, gdy z otuchą łąkę zroniły dzieci,
 Jan z matką na nie poglądali z boku;
 Miła pogoda jaśniała im w oku.

Rzewniło matkę to dziewicy szczęście;
 Lecz nie Halinie bogate zameście; 170
 Która, sierota bez ojca, bez matki,
 Nie miała wiana, ni rodzinnej chatki.
 W szczerości zatem, jak każde sumienie,
 Takie Janowi czyni oświadczenie:

„Jest Bóg widzący na niebieskim dworze! 175

Doświadcza ludzi w szczęściu i pokorze;
 Czy kogo zniży czy w górze osadzi,
 Patrzy, jak wszędzie człowiek sobie radzi.

Halina moja, co w ubogim bycie 180

Przepracowała dotąd ze mną życie,
 Nie wierzy słońcu, które niespodzianie
 Przed nasze teraz zabłysło mieszkanie;
 Na stan jej niski wysoka jagoda;
 Nie dla niej kmiecia ręka i zagroda,

Bo nie ma ojców ani przyjacieli, 185

Coby o wianie dla niej pomyśleli.

Przeto, młodzieńcze, niech cię Bóg poświęci
 Za dobre serce i życzliwe chęci.

Teraz słuchajcie o losie Haliny 190

I to do waszej odnieście rodziny:

Gdy się los zawziął na Polską koronę,

Szedł i mąż z kosą na wspólną obronę;

I już nie wrócił. Obcy bez litości

Grabili dwory, zapalali włości. 195

Doznał, co trwoga, kto pomni te czasy;

Starcy i matki pokryli się w lasy,

Ale i w lesie zajęły się sosny.

Byłci to widok straszny i żaloszny,

Gdy ta ostatnia gorzała ochrona;

Na milę wielka rozciągała się łona. 200

Dzieci i matki błędziły tłumami.

Przy drodze na to patrzyłam ze łzami,

A że mi dziecię zastąpiło drogę,

Do serca, płacząc, utulam, jak mogę,

Pytam o imię, rodzinę, mieszkanie: 205

Ale daremna prośba i pytanie.

Dziecię zaledwie znało swoje imię.

Mówiło tylko, że w okropnym dymie

Nieznani ludzie wiedli je do lasu —

Więcej nic nie wiem. Aż do tego czasu 210

Ja, matka niegdyś pamiętna na Boga,

Wzięłam sierotę, choć sama uboga;
 Użyłam trosków, lecz była ich godna.
 Wyrosła zdrowa, pracowna, urodna.
 Obiedwie teraz pracujem na siebie, 215
 W jednych żyjemy troskach i potrzebie;
 Bez skiby ziemi, jałówka, dwie krówek,
 Kilka owieczek — cały nasz dochówek.
 Brzmią tu wesela na każde zapusty,
 Lecz to nie dla niej; nie dla niej odpusty, 220
 Na których pannom kupują pierścienie;
 Tam, gdzie stodoły i bogate mienie,
 Tam zalotnicy. Nie zwabi młodziana
 Przybysza córka bez ojców i wiana;
 Jak była dotąd niebieska opieka, 225
 Tak przeznaczenia u Boga niech czeka;
 Ufam, że póki niemoc mię nie strawi,
 Już mnie Halina samej nie zostawi.“
 Na to Halinie łza z oczu wytryska,
 Klęka przed matką i kolana ściska: 230
 „O moja matko! tyś jest moje wiano!
 Choćby mi góry ze złota dawano,
 Choćbym mieszkała w malowanym dworze,
 Jedwabne szaty chowała w komorze:
 Tobym bez ciebie przepłakała życie“.
 235
 Tak się ścisnęły, lejąc łzy obficie,
 A Jan milczący bacznie radość chowa,
 Wykraść się chciały niecierpliwie słowa,
 Bo dusza pełną była ważnych myśli;
 Na twarzy tylko wesele się kryśli. 240
 Chciał mówić Wiesław, ale go Jan bacznie
 Ostrzegł pocichu i tak mówić zaczął:
 Ważne mi, ważne zwiastują się rzeczy!
 Jest Bóg, co ludzkie sprawy ma na pieczy;
 Chwała mu wieczna! — Miła gospodyni 245
 Niechaj z ufnością, co powiem, uczyni:
 Bo z serca idzie szczerą moją radą:
 Uproście konie z wozem u sąsiada,
 A tę życzliwość hojnie mu wróćmy.
 Bo wszyscy w drogę wybrać się musimy, 250
 Szczęścia wspólnego wybiła godzina:
 Pozna Halinę Wiesława rodzina“.

V.

Wartko wóz toczą parskające konie,
 Mijają mostki i wzgórki i błonie.
 Cała rodzina siedzi zadumana;

Wesołość tylko nie opuszcza Jana,
 Bo radość w sercu utajoną żywi, 5
 Że dwie rodziny wrychle uszczęśliwi.
 Przydrożne lipy długie ścielą cienie,
 Gore nad lasem niebieskie sklepienie,
 I rzeźwą wonią tchnie wieczór pogodny.
 Jest blisko drogi gościniec wygodny; 10
 Tam każą stanąć, bo choć wioska bliska,
 Jednak ją dzielą zarosłe stawiska.
 Przeto nim w okół jadący okrąży,
 Pieszy ścieżkami trzykroć pierwszej zdąży.
 Idą więc wszyscy ścieżkami wesoło, 15
 A wóz pył wznosi, okrążając koło.
 Dziwnie Haliny twarz się uwesela,
 Swawolna, więcej mówić się ośmiela.
 Przebyli kładki i zaczepne krzewy;
 Z błoni pastusze ozwały się śpiewy, 20
 Które jej bardzo do serca trafiły;
 Tak na weselu nucił Wiesław miły.
 A Jan uważnie pogląda jej w lica,
 Czy jej nie będzie znaną okolica.
 Wtem uroczyście od kościelnej wieży 25
 Dzwon na modlitwę głos po rosie szerzy;
 Pobożnie wszyscy padli na kolana,
 A twarz Haliny, od zorzy obłana,
 Podobną była do twarzy anioła.
 Ale tęsknocie wytrzymać nie zdoła: 30
 Do dziwnych marzeń głos dzwonka ją skłonił
 I niezważaną łzę z oka jej zronił.
 A idąc dalej, na wzgórkach stanęli;
 Już tylko wioskę jedno błonie dzieli,
 Z którego krzycząc swawolne pachołki 35
 Spędzają na most i krówki i wółki.
 Skrzypią z ról czarnych wracające pługi,
 A cała wioska, jako ogród długi,
 W kwitnących sadach niskie strzechy kryje,
 Z których dym kręty ku niebu się wije. 40
 A stary kościół z blaszanymi szczyty
 Ponad wsią błyszczący, lipami zakryty.
 Wieża, z której dzwon o milę donosi,
 Już pogrzeb piątym pokoleniom głosi.
 Gdy tak na wszystkie poglądają strony, 45
 Jan się zapytał, na łaskę schylony:
 „Jak ci się zdaje to nasze siedlisko?
 Chata Wiesława już tu bardzo blisko“.
 Ale Halina w jedną patrzy stronę;

Bijące łono, usta otworzone
 Poznać dawały wielkie zadumienie;
 Błogie się w serce cisnęło wspomnienie.
 Nie mogła mówić, bo w takowym stanie
 Każdy jej oddech zajmowało łkanie.
 Dalej przy miedzy, naprzeciwko chaty,
 Stoi krzyż Pański, pochylony łaty;
 Wokoło wierzby i zielona trawka:
 Tam wiejskich dzieci niedzielna zabawka.
 Tu już Halina pada na kolana,
 W dłonie uderza i mówi do Jana:
 „Mocny mój Boże! toć moja rodzina!
 Gdzie moja matka? gdzie moja jedyna?
 Jeśli już w grobie, na grób jej pójść muszę;
 Tu utęsknioną niech wyzionę duszę.
 Tu się bawiłam, tu zbierałam kwiatki,
 Ale nie widzę rodzicielskiej chatki:
 Bo tu inaczej wszystko dawniej stało;
 Nie tak, jak mi się w pamięci zjawiało“.
 Tu Jan o ziemię kij i czapkę rzucił,
 Klęknął i pod krzyż łzawe oko zwrócił,
 „Tu naprzód, rzecze, na kolana padaj,
 Tu już nie pytaj, ale dzięki składaj!
 Widzisz tę ziemię, jak jest wydeptana?
 Twoja to matka, matka żalowana,
 W modłach za tobą tak ją wyklęczała;
 Bóg nas doświadcza, Bogu zawsze chwala!
 Bóg litościwy i ciebie ratował
 I ojców twoich przy zdrowiu zachował;
 Wzmogli się znowu po niszczącym boju,
 Z sierotą dzieląc owoce pokoju;
 Chatkę i córkę stracili w potrzebie,
 Dziś w nowej chacie uściskają ciebie“.
 Klękła Halina, Wiesław za Haliną,
 A zamiast modłów łzy z oczu im płyną,
 Łzy, które czystsze od rosy widzieli,
 Które jak perły liczyli anieli.
 A kiedy wstała, już uczuć nie kryje,
 Ścisła Wiesława i Jana za szyję.
 Śpieszą w podwórko, lecz ojców nie było.
 Patrzy Halina, co się odmieniło.
 Tak spodziewanych od pola czekali,
 Aby Halinie wypoczynek dali.
 Już też Stanisław od łąk wraca z kosą,
 Idzie i żona, konicz krówkom niosą;
 Naprzód z bławatem szła Bronika mała,

50
 55
 60
 65
 70
 75
 80
 85
 90
 95

Gości w podwórku ojców wskazywała.
 Chciał Jan, by Wiesław naprzeciw pośpieszył,
 Ażeby matkę szczęśliwą ucieszył
 Jak się witała rodzina złączona,
 Jedno drugiemu oddając do łona;
 Jakie pytania, dzięki, odpowiedzi,
 Jako się zbiegli ciekawi sąsiedzi;
 Jako Bronika starszą siostrę ścisła,
 Nie znając straty, a czując, co zyska;
 Tego wam, moi mili towarzysze,
 Jakobym pragnął, nigdy nie opiszę!

Kazimierz Brodziński

Co w ciągu czytania „Wiesława“ budzi szczególnie naszą ciekawość? O jakich wypadkach dziejowych słyszymy w poemacie? Z czyich ust? Czy wypadki te są współczesne akcji utworu? Którą z osób nazwalibyśmy bohaterem poematu? (dlaczego?). Opowiedz losy Wiesława. Jakimi cnotami odznaczają się wieśniacy w „Wiesławie“? Czy spotykamy się u nich z jakimi rysami ujemnymi? Jakie obyczaje ludowe poznajemy z poematu? Jakie obrazy przyrody potrafisz wskazać? Zastanów się, czy nastrój tych obrazów zgodny jest z tem, co się w poemacie dzieje. Zbierz porównania i powiedz, co i z czem porównywa poeta. — Czy zaliczysz Wiesława do poezji epicznej czy lirycznej?

6. W KOPALNI WĘGLA

Inżynier Korzecki z doktorem Judymem, ubrani w grube buty, skórzane kaftany, zapięte na sprzązki, trzymając w ręku mosiężne lampy, w których płonie knot umoczonej w oleju, stanęli w szali.

W pierwszej sekundzie, kiedy jej deski, stojące narówni z podłogą, drgnęły, Judym doświadczył takiego wrażenia, jakby mu kto ścisnął gardło. Wkrótce przyszło otrzeźwienie, szum w uszach i lekka bojaźń w sercu. Czarne belki cembrowiny migwały się w oku, niby szeregi jakichś schodów nieskończonych. Gdy szala stanęła, wyszli na korytarz suchy i oświetlony lampkami elektrycznymi. Uwijało się tam mnóstwo ludzi, przechodziły i odchodziły szeregi wozów, ciągnionych przez wyuczone konie. Z tych pierwszych widnych galerij dostali się przez kręte szlaki do maszyn, pompujących wodę. W ich okolicy skończyło się światło. Jedyne jego źródłem stały się odtąd kaganki, niesione w ręku. Miejsce było gładkie. Spód korytarza zajmowały szyny. Po nich wędrowały ciągle szeregi wózków z „urobkiem“, ciągnięte przez konie.

Drzwi, niewidoczne w ciemności, ustawione tu i ówdzie dla skierowania powietrza do tych chodników, gdzie się „nie świeci“, otwierały tajemnicze ręce ludzi zgrzybiałych, którzy na miejscu odźwiernych dokonywają żywota. Inżynier, mijając takie drzwi, rzucił wyraz:

— Szczęść Boże!

— Szczęść Boże! — odpowiada ciemność.

Było w tym dźwięku coś ściskającego serce. Przywierał do mózgu obraz figur tych starców, ledwie dających się z mroku wyróżnić, tych czarnych brył, które za życia mieszkają w grobie, śnią w nim przez resztę dni swoich, jak pająki, czekając cierpliwie na chwilę, kiedy już na zawsze wstąpią do ziemi. W starczem drzemaniu widzą pewnie ciepłe słońce wiosenne i jasne łąki, kwiatami zasiane...

Korytarze mało różniły się między sobą. Jedne z nich były wykute tylko w węglu, inne posiadały wręby ze ścianami z cegły, wmurowanemi dla zatamowania ognia i mokrego, a sypkiego piasku, który zowią kurzawką. Zwyczajny chodnik o stropie półokrągłym zamieniał się stopniowo na korytarz ze stemplami, na których leżały kapy¹⁾, podtrzymujące rodzaj sufitu, czyli okorki. Te korytarze doprowadziły do brzegu pochylni, idącej w kierunku upadu warstw węgla. Z boku czarnej czeluści sunęła się w dół drewniana rynna, po której spychano drzewo. Obok szła stalowa czy żelazna lina, wciągająca wózki.

Ciemność, ciemność gęsta od kwaśnego czadu, rozświecał tylko czasem daleki ogień niewidzialnej postaci. W pewnych miejscach były tam schody, a właściwie szczeble do tarcic przybite; gdzieindziej szło się po oślizgłej desce. Na dnie kopalni, w głębokości dwustu kilkudziesięciu metrów pod ziemią, zimny i wilgotny przeciąg włókł się korytarzami. Była ich tam sieć cała, w której przechodzień doświadczał bolesnego niepokoju, jaki wstrząsać musi rybą, gdy się spotyka z gęstemi okami matni. Szli w jakimś kierunku, który wydawał się stroną prawą, do lochu, dźwigającego się w górę pochyło a stromo i tworzącego ślepą sztolnię²⁾. Wkrótce musieli się schylić w pa-

¹⁾ Kapa, sklepienie nad słupem, zrobione z desek z korą. — ²⁾ Sztolnia, chodnik podziemny w kopalni.

łąk, gdyż piętro było tak niskie, że pod niem ledwo mógł się przesunąć wózek z „urobkiem“. Gdzieś daleko, jakby u szczytu tej góry, widać było chodzące z miejsca na miejsce bladeżółte światełka. W zakłęstej komorze, która się nagle znalazła, słychać było pracę kilku ludzi.

— Szczęść Boże! — rzekł Korzecki.

Odpowiedziano chórem przyjaznemi głosami.

Górnicy w czarnych „kapach“¹⁾ i w „berglederach“²⁾ nabijali prochem, grubym, jak ziarnka kukurydzy, długie tuleje³⁾ papierowe. Otwory w miejscach właściwych już były wyświdrowane długimi „laskami“ ze stali, o zakończeniach podobnych do grotów piki. Gdy ładunek został nabity, lont weń włożony i przystemplowany z wierzchu szczelnie gruzem za pomocą stempora, jak nabój w lufie — jeden z pracowników zapalił dwa żygadła, drugi — dwa, trzeci — dwa. W mroku gęstym od pyłu i dymu ukazały się jakoby niebieskawe strugi cieczy, sączącej się od góry. Płomyczki doszły do muru — i znikły.

Wówczas drabiny szybko odstawiono i wszyscy z pośpiechem wyszli do sąsiedniego chodnika. Tam czekali z dziesięć sekund, nim się odezwał pierwszy wybuch. Prąd powietrza runął w sąsiednie galerje i komory, dźwigając na sobie ostry zapach prochu. Bryły węgla, huczając, waliły się za przyległym filarem, a na wszystkie strony w ścianach coś sypało się z prędkim trzaskiem i szelestem, na podobieństwo stada szczurów, biegających za makatami. Potem nastąpił drugi wybuch, za nim trzeci i czwarty. Dym wypełnił galerje i ciągnął leniwie do przejść, w których się „świeci“. W dali słychać było huk ładunków dynamitowych i czuć słodkawy ich zapach.

W pewnym miejscu Korzecki przywołał kogoś po imieniu i zostawił go z Judymem, a sam odszedł. Musiał obejrzeć robotę w innej całkiem stronie. Doktor został w ciemności z widmem, trzymającym swą lampę. W sąsiedztwie tego miejsca kilkunastu ludzi zajętych było podstemplowywaniem „pigtra“. Chwilę obydwaj z górnikiem stali, nic nie mówiąc do siebie. Wreszcie Judym podniósł lampę do góry i zobaczył szerniałą twarz starego człowieka.

¹⁾ Kapa, tu: okrycie na głowę. — ²⁾ Kaftany skórzane. — ³⁾ Trąbki.

— Co robią tutaj, ojczy? — zapytał.

— A caliznę¹⁾ wyrabiamy między chodnikami.

— Caliznę?

— Juści. Filar wybieramy. Bierzemy jedno „pojęcie“²⁾ za drugim na długość i na szerokość, podpieramy strop słupem — i dalej. Po boku stawia się „organy“... Proszę łaski... pan może nieznamy z kopalnią?

— A nie. Pierwszy raz widzę. Cóż to za organy?

— To zaś są kłody na sztorc stawiane, żeby służyły tak jakby na ściankę. Z przodu też, od chodnika przy kończeniu „streki“, drugą taką ścianę się buduje, a zostawia się zaś miejsce próżne, niby tak jakby drzwi. A wyrobi się całą „strekę“ i z okrucich się ją wyczyści, to się dopiero te słupy zaczyna wyjmować, a inne się tnie toporem. Gdy pracowity górnik usłyszy w cichości największej pierwszy aby mały trzask piętka, wtedy kilof do garści i umykaj z pojęcia! Ziemia się urwie w tem miejscu i rumowiem całe to zawali. Na wierzchu, na górze, zawalisko w dół wciągnie tak jakby lej...

Znienacka wynurzył się z mroku Korzecki.

Poszli długim chodnikiem. Zbliża i zdala szły szeregi wózków, ciągnionych przez konie. Każdy z tych pracowników włókł tak za sobą całymi latami przekłete wozy. Gdy mijali postępującego w ciemności, odwracał na bok głowę i oczy, które już razi żółty blask światła.

Przyszli wreszcie do szybu, który ich z dna kopalni miał podrzucić na sto metrów wyżej. Woda lała się tam strugami, kapłała w szalę, ciekła po drzewie cembrowiny. Stanęli w mokrej windzie, wśród ludzi wrzeszczących, przemokłych, ze zmiętwionymi twarzami i w ciągu jednej chwili wyniesieni zostali na powierzchnię górną. Szli stamtąd ciemnym i nieskończone długim korytarzem. Było w nim zimno i wilgotno. Strop walił się tu i ówdzie, wyginał kapy i miażdżył okładziny. Śmiertelnej czerniawy nie rozświetlały nawet ogniki górnicze. Czasami tylko słyszeć się dawał odległy turkot i krzyk wozaka. I znowu z mroku wynurzał się koń-górnik, odwracał swe smutne, stęsknione, beznadziejne oczy, jakby mu był wstrętny widok człowieka, i ginął w wiecznym grobie.

¹⁾ Calizna, część pokładu przeznaczona do wybrania. — ²⁾ Pojęcie, część calizny przeznaczona do wybrania za jednym razem.

W pewnej chwili Judym usłyszał przed sobą w ciemnościach rozmowę, a raczej monolog. Ktoś mówił dobitnym głosem:

— Fuks, mówię, nie zwalone!

Chwilę trwało milczenie i znowu odzywał się ten sam głos z podwójną natarczywością:

— Nie zwalone, Fuks! Kiej nie zwalone, to nie zwalone...

Korzecki pociągnął Judyma do ściany i szeptem objaśniał, co to znaczy:

— Czasami koła jednego z wózków, zaczepionych między sobą, z szyn wyskoczą. Wówczas koń, imieniem Fuks, staje, gdyż niema siły uciągnąć, a zresztą i następne wózki zaraz się wykoleją. Poganiacz musi nadnieść i wstawić wózek w szyny. Gdy to uczyni, woła na konia, że już tę robotę wykonał. Ale nieraz przyczepi mu o jeden wózek za wiele i wówczas koń również staje, sądząc, że to skutek wykolejenia. Poganiacz zapewnia go krzykiem, że „nie zwalone“, ale koń pociągnawszy zlekka, nie rusza się z miejsca, gdyż czuje ciężar większy, niż należy. Wówczas furman musi go przekonać: idzie wzdłuż wózków aż na sam ich koniec i stamtąd dopiero jeszcze raz uroczyście krzyczy swoje: Fuks, nie zwalone! Natenczas biedny koń godzi się z myślą, że go wyzyskują, zbiera siły i wlece dalej w ciemności swą dolę.

— Ależ to powinno być zabronione — zawołał Judym.

— Zabraniam — odrzekł Korzecki.

Stefan Żeromski (Ludzie bezdomni)

7. MATKA I SYN

Ile razy spojrzęła w okno swej izdebki, tyle razy widzieć mogła, jak z ogromnego komina fabryki walił sinym słupem dym. Nieraz nawet umyślnie odrywała od roboty stare swoje oczy, aby rzucić na niego choć jedno spojrzenie. W spojrzeniu tem była dziwna błogość i jakby pieszczota. Ludzie szli i przechodzili, śpiesząc w różne strony, rzadko który spojrzał w górę w kierunku komina, jeszcze rzadszy zauważył siną smugę dymu. Ale dla niej dym ten miał szczególne znaczenie, mówił do niej, rozumiała go, był w jej oczach niemal żywą istotą.

Kiedy o wczesnym blasku na opalowym tle nieba, mieniącym się barwami jutrzni, dym rozkłębiał się nad kominem w krągłych, czarnych runach, roznosząc ostrą, gryzącą woń sadzy, wiedziała ona, że tam jej Marcyś w kotłowni przy palenisku stoi, ognie zaniega, miarkuje, rozkłada, wysoki, smukły, gibki, w granatowej płóciennej bluzie, spiętej skórzanym pasem, w lekkiej furażerke¹⁾ na jasnych włosach, z szeroko odwiniętym u szyi kołnierzem.

— Oho! — szeptała wtedy, uśmiechając się — Marcyś „fasuje“...

Istotnie „fasował“. Z gorliwością nowicjusza sypał na palenisko węgiel, kosz za koszem, za siebie i za palacza pracując, dumny ze swojej świeżej godności kotłowego. A razem z tym wielkim, jasnym płomieniem wybuchały mu w duszy nieśni, którymi się kotłownia rozlegała od świtu do nocy.

Wkrótce jednak czarne kłębiska dymu bieląły, rzadły, stawały się lżejsze, aż wskrósł pogodnych błękitów wybiły w górę lekkim, równym słupem.

Ten widok wlewał w serce wdowy radość i pogodę.

— Wszystko dobrze... — szeptała — wszystko dobrze. Bogu najwyższemu dzięki!

I krzątała się po ubogiej izdebce, zaścielając łóżko swoje i synowski tapczan, zamiatając śmieci starą brzozową miotłą i rozpalając na kominku drewna do południowego posiłku.

Wtedy to wprost wielkiego fabrycznego komina z wspaiałą kitą dymu wznosiło się w błękity cienie, sinawe pasemko z ponad dachu facjatki²⁾, gdzie mieszkała wdowa; pasemko tak wątte i nikłe, jak tchnienie starych piersi, co je wydobyły z ogniska.

Ale młody kotłowy zawsze to pasemko dostrzegał. A nie tylko je dostrzegał, ale się do niego uśmiechał. Wiedział on dobrze, że tam u komina stara jego matka w bieluchnym czepcu na głowie, w tołubku, przepasanym różowym fartuchem, drobna, zawiędła, zgarbiona szykuje dla niego jakiś barszcz wysmienity lub wyborny krupnik. Zdawało mu się nawet czasem, że wyraźnie czuje smakowitą woń tych specjałów.

¹⁾ Furażerka, czapka obozowa, strój żołnierzy wysyłanych celem zaopatrzenia obozu w paszę. — ²⁾ Facjatka, wystająca izdebka na poddaszu.

Z podwójnym tedy zapalem dorzucał na palenisko świeżą szufłę węgla i, podczas kiedy palacz po głowie się drapał, on stojąc jedną nogą na podmurowaniu, zwinny i giętki, za dwóch nastarczał w robocie.

I tak naprzeciw sobie szły w niebo te dwa oddechy: fabryki i facjatki, niknąc w przejrzystych lazurach, może łącząc się w nich nawet.

Ku południowi dym fabryczny rzedniał nieco; olbrzymie płuca machin zwalniały swą pracę, wypuszczone pary przesywały raz i drugi powietrze ostrym, przykrym świstem, a chłopak jak uragan do izdebki wpadał.

— Mamo jeść! — wołał już od proggu, a cisnąwszy furażerkę na stół, biegł do klatki z kosem, wiszącej w okienku. Kos, jak tylko chłopaka obaczył, wydawał gwizd przeciągły, do fabrycznej świstawki podobny, a potem zaczynał swoje zwykłe kuranty, których go wyuczył Marcyś. Chłopak stawał przed klatką, kładł ręce w kieszenie i gwizdał także. Aż się ściany trzęsły od gwizdania tego.

A matka rozpościerała tymczasem na stole piękną żółtą serwetę, w niebieskie jelenie wyrabianą i stawiała głęboką fajansową wazkę krupniku, barszczu z rurą, albo grochówki z wędzonką, albo też zacierę, jak tam wypadło. Obok wazki występował na stół chleb w dużym bochnie, główna tego posiłku podstawa.

Znikał on też prawie w połowie, ledwo się chłopak przysunął do niego. Kawał za kawałem krajał, w miseczce z solą maczał, a precz dogadywał:

— Dobry chleb, mamo!

— Dobry, synku — odpowiadała za każdym razem wdowa. — Jedz z Bogiem, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi i Matce jego Przenajświętszej...

Chłopak nie dawał się prosić, a razem z chlebem znikala i zawartość misy.

— Dobry barszcz, mamo — mówił wtedy.

Matka już od kilku chwil jadła coraz wolniej. Mieszała łyżką w talerzu, dmuchała w niego. Ale barszczu nie ubywało jakoś. Kiedy więc chłopak wymiół, co miał przed sobą, i wąsiki runiejące wierzchem ręki otarł, pytała skwapliwie:

— A możebyś, synku, jeszcze... Mnie dziś coś niebardzo jakoś...

Chciała mu dać poznać, że jej nie smakuje, ale bała się wyraźnym kłamstwem Boga obrazić, bo barszcz był doskonały.

— A no — mówił chłopak — kiedy mama nie je...

Podstawiała mu z pośpiechem swój talerz, mówiąc:

— Jedz dziecko, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi...

Chłopak tedy znów zabierał się do łyżki po swojemu.

— Co mama chce od tego barszczu? — pytał. — To królewski barszcz!

— Byłby on, byłby, synku — odpowiadała, mrugając oczami — tylko, że mi do niego bobkowego liścia przybrakło...

Zdarzało się, że nie dojadał.

Zlewała tedy resztę w glinianą ryneczkę i stawiała w kominku, tak, by syn nie spostrzegł tego.

Tę resztę uważała już za wyłączną swoją własność i, kiedy chłopak wyszedł, posilała się nią, gryząc ostatki chleba.

Wszystko to odbywało się z niezmierną szybkością. Młody kottowy chwilowo zastępowany tylko bywał w południe i śpieszyć musiał. Za ledwie zjadł, żegnał się szerokim znakiem krzyża, całował matkę w zapracowaną, wychudłą rękę, chwycił furazerkę, a gwizdnawszy na pożegnanie kosowi, zbiegał w trzech susach z facjatki na dół. Wdowa stała wtedy w pośrodku izdebki z zebraną ze stołu serwetą w ręku i słuchała grzmiącego tupotu nóg synowskich z trwożnym i błogim zarazem uśmiechem.

— Święty Antoni! — mówiła, kręcąc głową — i z lececiem takim! Nogi jeszcze połamię... schody porozbija...

I stała tak zasluchana, dopóki nie huknęły na dole drzwi od sionki i nie przebrzmiało echo tej szalonej kanonady nóg młodych i silnych. Wtedy dopiero kończyła składać serwetę, zmywała statki, ogarniała ogień popiołem, a siadłszy u okna, latała synowską odzież i bieliznę.

Jeśli to było lato, długo jeszcze, bardzo długo widzieć mogła dym walący z fabrycznego komina. Drugi raz, to się tak zapatrzyła w niego, że i robota wypadła jej z ręki.

Dziwne bo przybierał i kształty i barwy.

To jak żelazna gadzina wywijał się sam z własnych przegubów coraz dalej, coraz wyżej; to jak lekuchna zasłona w po-

wietru wisiał, siejąc przez siebie obłoczki różane; to jak z kazielnicy prosto w górę szedł, wełniąc się miękko po skrajach; to jak olbrzymi pióropusz pod słońce złotem się palił, z komina, jak z hełmu, za wiatrem wiejąc; to się w jakiejś postaci cudne wydłużał, w jakiejś mary nieziemskie, w jakiejś widzenia...

Czasem go wiatr wydymał, jak żagle wielkiego statku; czasem rozrywał niby kłęby pakuł, czasem pędził jak tuman czarniawy. A zadździło się na świecie, to chmurą ciężką nad kominem stał i płatami po dachach się wieszał i tłukł nad ziemią, nie wiedząc, kędy się dzać.

Gdy przyszła zima, zapalała wdowa lampkę u komina i robiła przy niej grube na sprzedaż pończochy.

Ale choć od okienka wiało srodze i szron aż do izby zalatywał przez spróchniałe ramy, podchodziła do niego coraz, żeby na fabrykę spojrzeć.

Gorzała ona wprost facjatki długim szeregiem oświetlonych migotliwie okien, huczała wewnętrzną pracą płuc swoich olbrzymich, szczękała żelastwem, dźwięczała biciem młotów, zgrzytała zębami pił, syczała żądlami topionych metalów. Dym, który teraz na tle głębokiego granatu niebios walił z jej komina, płomienny był, ogniami ziejący, snopy iskier ciskał, jak race.

Szerokie łuny od niego wskrósł nieba szły i heł, precz odbijały wielkie, ciche zorze... Patrzyła na nie wdowa w zadumaniu. Z zadumy jej wyrывało ją gwizdanie kosa, który rozbudzony światłem, bijącym z fabryki w okienko, zaczynał wycinać swoje kuranty. W izdebce robiło się weselej, ogień trzeszczał na kominku, a kos darł się aż do ogłuszenia. A kiedy na niebie księżyc w pełni stanął, całe ono widzenie ogniste topniało w blaskach miesięcznych.

Późnym wieczorem dopiero wracał syn i od progu już znowu wołał: — Mamo jeść!...

A zarazem z tą młodą, silną postacią wstępowało w progę izdebki wesele, śmiech i swoboda. Z mniejszym już teraz pośpiechem posilał się chłopak, opowiadał przez chwilkę to i owo rozpytującej się go o ubiegły dzionek matce, poczem zaczynał szeroko ziewać, przeciągać się, kos nawet nie bawił go już w tej chwili.

— Idź spać, synku, idź spać! — mówiła matka, głaszcząc go po głowie. — A to jutro dodnia ci znów trzeba...

— Pójdę, mamó... — odpowiadał sennym głosem — zmor-
dowałem się tak, że to ha!

— A pacierz, synku, zmów — przypominała jeszcze.

— Zmówię, mamó.

Całował jej rękę, klękał przed swoim tapczanem i schyliw-
szy głowę na złożone dłonie, odmawiał szybko półgłosem
Ojczy nasz i Zdrowaś, tu i ówdzie przerywając modlitwę po-
tężnym ziewnięciem, poczem bił się hałaśliwie w piersi, żegnał
z rozmachem i, zdjawszy pośpiesznie odzież, rzucał się na
twarde posłanie.

Natychmiast też prawie usypiał, a w izdebce słyhać było
dawno jego równy, głęboki oddech, podczas kiedy matka długo
jeszcze szeptała zdrowaśki przed poczerniałem, ze złocistego
tła wychylającym się obliczem Panny Najświętszej. Nareszcie
lampka gasła, kos przestawał się trzepotać po klatce, uciszało
się wszystko...

Marja Konopnicka (Dym)

Co jest powodem tego, że nastrój, jaki w nas budzi Żeromskiego
„W kopalni węgla“ i obrazek Konopnickiej, jest zasadniczo różny?

8. OBIELIŁ NAM...

Obielił nam nasze chaty Nowy dzionek złoty, Widniej, widniej teraz ludziom, Co w niej do roboty.	Do roboty — przede wroty Umieść czysto progi, Wyrwać chwasty, cierań kolczasty, Co nam rani nogi!	20
Do roboty — grodzić płoty, Okopywać rowy, Strzec na siłę, co nam miłe, Na ten roczek nowy!	5 Do roboty — walić w młoty O kowadło życia! W huku, w trzasku, w iskier blasku Krzesać serca bicia!	
Do roboty — lepić ściany, Gdzie się która pada, Boć ta chata stoi lata, Jeszcze od pradziada!	10 Do roboty — trząść wymłoty, Co plewa, co ziarno, Mleć na chleby, z własnej gleby, Mąkę choćby czarną!	25
Do roboty — bić wyloty Na słoneczną stronę, Niech uderzy dzwonek świeży W te ściany omszone!	15 Do roboty — na kłopoty Mieć pociechę w sobie; Zdarzy dola, co jej wola, Ja — com winien — robię!	30

Marja Konopnicka

Do jakich robót zachęca poetka? Czy rodzaj tych robót należy pojmować
dosłownie? Cóż rozumieć przez grodzenie płotów, okopywanie rowów i t. d.,
co przez chatę?

9. GŁUPI FRANEK

Niski brzeg Narwi¹⁾ kipiał ptasią wrzawą.

Chwila była poranna, niebo czyste; młode kwietniowe
słońce jeszcze się nie wzniosło nad ziemię i, zapłomieniwszy
tylko rąbek widnokregu, siało przed sobą tę różaność złota,
którą tak chciwie piją wody i powietrze ciche. Wszystko tu było
jasne, przejrzyste, wskrós światłem nabrane.

W głębi krajobraz ciemniał. Dymity tam, jak kuźnia, opa-
zeliska i mokradła błotne, dyszały tchem ciepłym jeziora...

Z oczeretów²⁾ i sitlisk³⁾ biła roznośna, głuszająca wrzawa
ptasia.

W tej chwili właśnie z jednej z kęp porwało się z prze-
rażliwym wszaskiem stado dzikich kaczek, które tam były nocą
w sitowia zapadły. Stado porwało się, nie odlatywało wszakże,
bijąc nad kępą skrzydłami, jakby na jastrzębia.

Zrazu nic widać nie było. Wkrótce przecież z samego
środku oczeretów wynurzyła się głowa ludzka, spłowiałym,
roztrzęsionym włosom okryta, mało co różniąca się barwą od
pożółkłych zeszlorocznych badyli sitowia⁴⁾.

Głowa ta osadzona była na długiej, niezmiernie chudej
szyi, a oprócz obfitej, głęboko spadającej na czoło konopiastej
grzywy, posiadała dwoje siwych, niezwykle świetlistych głębi
oczu, twarz chudą, śniadawą i szerokie, ciemne wargi, które
dziwaczny, pełen żałości i zakłopotania uśmiech szerszemi
czynił jeszcze.

Dokoła głowy, między pożółkłymi badyłami sitowia, ster-
czały gęsto trzciny o brunatnych palkach, tworząc oryginalne
tło dla tych szeroko otwartych oczu, które miały jakieś błyski
przebiegłości i przekory, a na których dnie leżał stary i nie-
pocieszony smutek. Oczy te w powiekach, uśmiech na ustach,
a głowa między trzcina, tkwiła tak nieruchomie, że kaczki, lot
nagle zniżywszy, biły w nią niemal, nakrywając całą kępę
wrzaskliwą i trzepocącą się chmurą.

Wyżej nad chmurą ową, niby błyskawice, śmigwały w po-
wietrzu śniade brzegówki⁵⁾. I one zlekły się niewiadomo czego.

¹⁾ Narew, dopływ Wisły. — ²⁾ Oczeret, trzcina. — ³⁾ Sitisko, miejsce
porosłe sitami (sit: roślina pospolita na miejscach wilgotnych). — ⁴⁾ Rodzaj
roślin podobnych do situ. — ⁵⁾ Brzegówka, jaskółka, gnieźdząca się na brze-
gach rzek.

Jedna tylko mała pokrzywka¹⁾, bujająca się na okiści rudego szuwaru, świergotała cichutko, kręcąc łebkiem i patrząc to jednym, to drugim oczkiem na niebotyczne i krzykliwe ptastwo. Gdyby ciszej nieco było, możnaby nawet rozumieć, co ten świergot znaczył.

...Czego się bać? Czego się bać? — zdawała się mówić ptaszyna.

...To jest głowa głupiego Franka... Tak, to jest głowa głupiego Franka... Nic więcej... Czego się bać? Czego się bać?

Nagle urwała pokrzywka swój świergot przeraźliwym piskiem i jak kłębek spadła na dno oczeretu. Drobne jej oczko dojrzało wysoko w powietrzu wzbitego jastrzębia, który, wisząc nieruchomo na rozciągniętych łotach, upatrywał sobie porannej pastwy.

Gdyby nie to, świergotliwa ptaszyna byłaby może opowiedziała całutką historję o tym głupim Franku. Byłaby powiedziała, jak to on nad rzeką wyrósł, niby ten szuwar, albo ta trzcina brzeźna; jak, ledwo z chłopięcia wyrósłszy, zaraz „głupim“ był i tak się już został; do roboty nigdy dobrego rozumu nie miał; jak z rzeki i z podrywki²⁾ latem żył, zimą z miłosierdzia ludzkiego.

Ona i to powiedziałaaby może, jak bardzo ten nędzarz miłuje tę rzekę, tę ziemię i to słońce. Jak w słońce albo w wodę całemi godzinami patrzy, sam do siebie gadając i tży prosząc z oczu, jak potem nagle na ziemię się rzuca i tak się do niej tuli, właśnie jak owo dziecko do matczynej piersi. Ot, zwyczajnie, taki głupi, głupi Franek...

Tymczasem w wodzie i w powietrzu bywało coraz więcej blasków. Migotało to, drżało, mieniło się, jakby rozsnutą w tyśiące tęcz drobnych brylantową przędzą.

Buchnęło wreszcie słońce wielkiem płomieniskiem i rzuciło w rzekę snop ognia, z którego porywając miljardy iskier, zaczęły biec fale szafirem i złotem.

Brzeg rzeki ucichł nagle, jakby rażony oslepiającem uderzeniem światła; tylko usta sterczącej w oczeretach głowy zaśmiały się cicho, radośnie, a głowa, zakotławszy się na obie strony w jakimś niezmiernym i zawsze świeżym podziwiewie,

¹⁾ Gatunek pliszki. — ²⁾ Mała sieć na długim kiju, do podrywania w górę.

zniknęła nagle z pośród mieniących się, nawskrós srebrem zroszonych kiści mietlic i trzciny, której brunatne pałki zapłomieniły się rudo-czerwonawem złotem.

W chwilę później wypełznął głupi Franek z sitliska, otrząsnął się, wyprostował i, wzięwszy na ramię podrywkę na długiej żerdzi, sporym krokiem wzdłuż rzeki się puścił.

Był to chłop chuderlawy i nędznie odziany. Szmata starego spencera na grzbiecie niewielce go grzać musiał, bo twarz miał posiniąta i usta mu drżały. Zgrzebna koszula i takież hajdawery, ściągnięte rzemieniem, z wytartą kalitką¹⁾ w pasie, a u kostek sznurkiem związane postowały z wierzbowego łyka, parciana torba przez plecy, oto i cała chudoba. Głowę miał odkrytą.

Jak dawno już żył, nie wiedzieć, sam sobie lat wyrachować nie umiał. Ale kto pamięcią sięgnął choćby jak daleko, tyle tylko z onej ciemnej studni dobyć umiał, że za jego młodych lat też „głupi Franek“ po świecie chodził. Może ten, może inny, na to przysiąc nie przysięgał żaden, ale był.

Lubili Franka ludzie, choć nieraz i mrukliwy był i do żartów nieskory; ale jak na niego przypadło, to prawił, jakby z kart czytał. Na ludzi wtedy nie patrzył, jakoby ich przy nim nie było, ognie mu w twarzy latały, jak te grające o zachodzie zorze, a oczy pilnie na powietrzu kędyś trzymał, jakoby tam oglądał to wszystko, co prawił; tylko mu te rzęsy i powieki drżały.

Wiosną i latem mało go kto na wsi spotkać mógł. Jak tylko pociągnął od rzeki wiatr ciepły, zaraz się zbierał, torbę przez plecy zawieszał, podrywkę na ramię brał i mówił, że „do matki“ idzie. „Od matki“ wracał już po dobrym szronie. Chudy był wtedy, zmizerowany, wiatrem i słońcem spalony, kości przez skórę bodły. Mówią mu ludzie:

— Nie tego cię matka wyprawiła w świat..

Na to on:

— Sama w biedzie. Sama w uciążeniu i pracy. *Tera* tyle rybek pożywić; *tera* tyle tratwy nieść... *tera* tyli ziemi szmata obejść... Oj, nie *letki* jej żywot, nie *letki!* A jeszcze i na oną siną świtkę zarobić także musi, strugi modre po nici zbierając, a na srebrnem wrzecionie przędząc...

¹⁾ Mieszek rzemienny na pasie.

— Oj, głupi, głupi Franek! — mówiły baby.

A on im:

— Oj głupie wy, baby, nie ja, kiej nie wiecie, że każda rzecz na świecie służbę ma...

— Oo!... — obruszyła się któraś. — Dzieciakowi ta gadać, żeby rzeka przęda!...

Na to Franek wpadł w złość.

— Żebym tak dobrego skonania nie miał, jeśli tżę! Cóżem to, ślepy, czy co? Nie widziałem to mało sto razy, albo więcej, jak na srebrnym wrzecionie modre nici przędzie? „Głupi Franek“. Widzita, jakie mądre! Mądrymi się powiadają, a nie wiedzą, co każda rzeka wrzeciono srebrne ma i przędzie tak, że się ino w słonku albo i po miesiącu migoce... A coby się migotało we wodzie, jak nie wrzeciono srebrne?

Baby się śmiały.

— Juści prawda.

— Albo i prawda!

— Niech go, jak ci to zmyślnie przepowiedział.

Rozchodziły się, śmiejąc. Ale w myśli zostawał im obraz tej cichej, niestrudzonej prządki, która strugi sine na przęślięc wije i przędzie nici modre, przędzie w dzień i w nocy, ino jej się wrzeciono jasnym srebrem miga.

Inszym znów czasem zapadał w bory, jak jaźwiec ¹⁾, brodząc tam po nich aż do twardej grudy.

Wiosną znów, kiedy po szerokich, pogodnych zachodach słońca zapachniała w powietrzu świeżo pługiem poruszona ziemia, kiedy niebo, w zorzach stojące, pełne było skowronków, a odwalone krojem skiby pogarbiły pola, kiedy od wygona do wygona rozlegało się wołanie oraczy, a ciężkie jarzma wołów skrzypieć zaczęły po koleśnych ²⁾ drogach, Franek rady sobie dać nie mógł, tylko się ku wsiom puszczał — za tym zapachem wilgotnej, świeżo ruszonej ziemi.

Napierał się nieraz chłopom do pługa, żeby mu dali choć z pół dnia orać, choć z jedną skibę odwalić. Ale nie chcieli. „Głupi“ się tego nie powinien tknąć, co na wzrost idzie. Ani się jemu orać ani siać nie godzi. Baba tylko czasem która pozwoliła mu w ogrodzie motyką podziobać, to jej tak dziękował,

¹⁾ Borsuk. — ²⁾ Przeznaczonych dla wozów.

że jej kolana obejmował, jakby mu kto miskę z najlepszym jadłem wystawił. Tak mu się do ziemi cniło, takie w niej kochanie miał...

Nie ma sobie Franek za krzywdę żadnego przezwiska. Przywykł. Nie psuje mu to serca do ludzi, że tak albo tak na niego kto zawoła. Idzie między nich oto i teraz z wesołem okiem, z tęsknotą jakąś, z przyjacielstwem w duszy. Owszem śpieszy się tak, jakby go tam rodzeni jego czekali, jakby mu się bracia ucieszyć mieli. Śpieszy się tak, jakby im sam co najkosztowniejsze dary przynosił i skarby jakie wielkie.

Naraz spochmurniał. Z pośród lekkich, wieszających się brzegiem rzeki oparów zaczęły się wysuwać obielane, długim sznurem wyciągnięte domki, których niezwykła schludność, jakoteż i sposób budowania, wskazywały kolonję.

Istotnie, były to na wschód od Wizny leżące Olendry-Gaje, tak samo się przeciwiające swoją nazwą położonym po drugiej stronie Narwi Gajom-Lachom, jak się przeciwiały plemieniem i obyczajem mieszkańców.

Franek nienawidził kolonji. Skręcił tedy w bok nagle i tarniakiem się puścił, żeby drogą nie iść. Nie była to przeprawa dogodna. Pokaleczył nogi, poszarpał koszulę, podrapał twarz i ręce, a niejedna przygarść jego lnianych włosów została na gęstych głogach i targańcach. Ale „głupi“ ani dbał o to, wielkimi krokami prąc się naprzód, póki osady budowanej długim sznurem nie wyminął i nie zostawił jej daleko za sobą.

Teraz dopiero pełną pierśią tchnął, pojaśniał na twarzy i wesołem spojrzeniem po świecie powiódł; zaraz też ku rzece skręciwszy, w miałki bród jej wstąpił i nogi obmył.

Zaledwie minął bagnistą łąkę, w którą tu Narew głęboko się wrzyna, a która u ludu nazwę Osniołki nosi, kiedy spostrzegł kościstą białą szkapę Hamera, jak zdążyła ku Olendrom, ciągnąc wózek drożny, domowizny wszelkiej pełny, obok którego sam stary Hamer, w sukiennej czapce z podwiązanemi u uszu klapami, szedł i fajkę palił. Aż zamdlilo Franka na takie spotkanie. Chciał w bok, kiedy zobaczył na wozie wielką malowaną skrzynię, którą u gospodarza Łuki w Zagajnem nie raz, nie dwa widział, na skrzyni kociotek żelazny, co go też

z tej tam chałupy znał, bo go sam do kowala nosił, dalej lnu siwego płachtę, wreszcie okrutną kłodę¹⁾ kapusty, a za nią, z nogami spletanymi powrózkiem, kilkutygodniowe ciele.

„Głupi“ stanął, wytrzeszczył oczy i ostupiał. Nie pytał, nie rozumował, tylko uczył koło serca jakąś cikliwość. Po dobytku owym, na wozie zebrany, pałającym wzrokiem wodził, szepcząc cicho:

— Patrzajta, co ten dobra ludziom odjął i ku sobie ciągnie...

I z najwyższem przerażeniem w ostupiałych oczach nędzną głową trząsał, jakoby na widok spustoszenia od pożaru albo powodzi. Dopiero kiedy ciele z łbem zwieszonym na wozie leżące, raz i drugi przeciągle beknęło, odpadł od Franka strach, a ogarnęła go taka żalność, taki ogień go przeniknął, że porwawszy się z onego ostupienia, ku Zagajnemu biegł, jakby tam ratować miał chudobę własną, własną chałkę, własne dobro swoje.

Płakiem prawie przeleciawszy spory kawał drogi, do wsi wpadł prosto przed chałkę Łuki, która z kraju stała. Rojno tu było, jakby na jarmarku; Gasio, niewielki, żółty pokurcz, z ostrym jak u lisa pyskiem i śpiczastymi uszami, nie wiedział, na kogo wpierw czekać.

Czy na rudego Gotlibowego parobka z Olendrów, który przy pomocy dwóch jeszcze, równie jak on sam rudych wyrostków, nawznak na ręczny wózek przewracał czerwoną oszkloną szafę Łuczyny; czy na dziewczkę, pomagającą gospodyni łąpać kokosze; czy na targującego je Fryca, zięcia Hamera; czy na kręcące się pod nogami dzieci, czy wreszcie na psy cudze, które się tu z Olendrów zbiegły.

Ale głupi Franek tego wszystkiego nie widział nawet. On szukał Łuki, gospodarza. Zobaczył go. Stał w pośrodku podwórka, w czapie na bakier, w rozpiętej kamizeli. Był to chłop lat czterdziestu może, czarniawy, silnej budowy; trzymał za rogi byśka, który się wydzierał, i, schyliwszy między racice łeb twardy, szeroki, porykiwał groźnie. Przed Łuką stał z rękami w kieszeniach od rajtuzów najbogatszy z kolonistów, Gotlib, trzęsąc grubym karkiem i błyskając pod słońce tomba-

¹⁾ Kłoda tu: duża beczka.

kową dewizką i malowaną fajką, która mu się kotysała na opasłym brzuchu.

Dobijali targu, kiedy nagle wpadł między nich Franek, za Frankiem dzieci, a za dziećmi Gasio.

Dzieci dawno już nie widziały „głupiego“.

— Głupi! głupi! Widzita głupiego! — wrzeszczały piskliwym głosem, któremu odpowiadało jasne, wesole szczekanie pokurcza.

Ale Franek nie słyszał go nawet. Przyskoczył, chłopca za rękaw szarpnął i zduszonym ze zmęczenia głosem zakrzyknął:

— Gospodarzu!... gospodarzu!... Łuko! Łukaszu!... A to wam złodziej skrzynię porwał i ciele... i kapustę z kłodą...

Mowa mu się rwała, powietrze ustami chwycił.

— Głupi! Głupi! Widzita głupiego! — wrzeszczały dzieci z rosnącą uciechą.

Gotlib namarszczył się i cofnął krokiem. Stali niemal tuż przy studni, a głupiemu niewiadomo co do łba strzelić może.

— Idź głupi! — odburknął się chłop i odmachnął się gniewnie.

Ale Franek nie ustąpił z miejsca, tylko ścisnął kułak, w pierś zakłęsał się grzmotną i wielkim głosem zaklął:

— Porwał gospodarzu!... Porwał!... Żeby tak szczęśliwego skonania doczekał.

Gotlib odwrócił głowę, splunął i znów się o krok cofnął. Na chłopca uderzyły ognie.

— Co miał porywać, zatracona duszo, co?... Sam przedałem.

Frankowi ręka opadła. Patrzył na chłopca obłądnie, tępo, pomiarkować się zgoła nie mogąc. Z ustami otwartymi i wyciągniętą szyją stał przez chwilę niemo, aż zaczął głosem ochryplym, zmienionym:

— Wy, gospodarzu?... Wy jemu przedali?... Wy sami przedali?...

Następował na chłopca, targając go za rękaw coraz gwałtowniej.

— Umykaj, pókim dobry! — huknął Łuka.

— Co to z głupim gadać! — roześmiała się któraś baba. Insze za nią. Każda się teraz wobec obcego mądrą i polityczną okazać chciała.

W tej chwili wszakże, w narzuconym na ramiona kożuchu i z biczyskiem w ręku, przystąpił Filip Bodniak, szwagier Łuki, który gruntu nie miał, furmanił tylko. Jako że sam gospodarzem na własnym szmacie ziemi nie siedział, do szwagra przykrość jakąś w sercu czuł i rad go poszczypywał słowem, bo zazdrosnych oczu był na cudze dobro. Ten tedy, stanąwszy przed Frankiem, ręce w biodra wparł i rzekł:

— A i nie wiesz to, głupi, co teraz chłopci, niby gospodarze, ze wszystkiego się wyprzedają, z domowizny i też ze ziemi...

Franek słuchał jakby ogłuszony.

— Ze ziemi... — powtórzył jak echo.

— Ze ziemi i z gruntu het precz — ciągnął Bodniak — a idą za morze...

— Za morze... — powtórzył Franek.

— To ci tera het precz licytacja... — mówił Bodniak — targowica... nie przymierzając, jak w kramie.

Podniósł rękę i wodził nią w powietrzu, ukazując palcem zebranych w podwórku. Mętne, tępe oczy Franka poszły za tym palcem. Teraz dopiero zobaczył rudego Gotlibowego parobka, szafę na wózku i Fryca z kokoszką w ręku i baby i obce psy kudłate i byśka i grubego Gotliba — wszystko. Patrzył, patrzył, nagle ręce opuścił i głowę na pierś skłonił. Gęstwina lnianych, zwichrzonych włosów spadła mu na oczy. Dzieci na nowo wybuchnęły wrzaskiem.

— Głupi Franek! Głupi Franek! Widzita głupiego Franka!

Jemu się usta zaczęły trząść, kolana zadygotały pod nim, obszarpana koszula podnosiła się coraz szybciej na wysoko bijącej piersi.

Nagle zaszlochał głośno i błagalnie do Łuki się ozwał:

— Nie sprzedajta, gospodarzu, pola!... Dla Boga nie przedajta!... Dla Boga rety, Maryjo!...

Zaniósł się wielkim płaczem i chwycił połę siermięgi gospodarza.

Chłop trząsł sobą, chcąc się uwolnić od niego, i klął siarczyście.

— Ustąp!... Ażeby cię...

Zerwał się Franek i do Łuczyny podbiegł. Głębokie łkanie wstrząsnęło jego nędzną piersią.

— Gospodyni! — wołał przerywanym głosem. — Gospodyni!... Nie sprzedawajta chałupy! Dla Boga, rety! nie sprzedawajta chałupy!...

— Docna ogłupiało chłopisko! — szeptały między sobą baby.

— A odczepże się, odmieńcze! — krzyknęła kobieta. — Owarjował, czy co! Adyć go weźta!

Ale nie trzeba go było brać. Sam porwał się i, wyciągnąwszy przed siebie trzęsące się, łachmanami rękawów ledwo że okryte ręce, ryknął wielkim głosem:

— Rety!... Maryjo!... Rety!... Ludzie!... Gospodarze!... Nie sprzedawajta się!... Dla Boga ludzie!... Nie sprzedawajta!...

Uderzył w dłonie i złożonemi rękoma trząsł przed głupią swoją głową, a po śniadej twarzy leciały mu łzy ciężkie, jasne, gorące.

— Głupiec! — powtórzył Gotlib; poczem ziewnął, splunął, sukienną czapkę na głowie poprawił i do odwrotu się zbierał.

Tknęło to Łukę, który targu o byśka dobić chciał; z całą tedy pasją zwrócił się do Franka:

— Ustąpisz mi ty na bok, zła duszo, czy nie ustąpisz? Chłopaki! Ruszta się ino!...

Ale chłopaki bawiły się zbyt dobrze całą tą „komedią“, żeby się ruszyć miały. Trącił jeden drugiego łokciem, spojrzeli po sobie i stali.

Łuka się za Gotlibem puścił.

— Dalej, sąsiedzie! Półzłotka przyczyńcie, i będzie zgoda z nami. U mnie tak. Dzień płaci... dzień traci. Dalej, panie Gotlib!... Zgoda. Co ta będziemy na głupiego patrzeć. Róbma zgodę... Dalej go!...

Ale jeżeli kiedy, to właśnie teraz warto było na głupiego patrzeć. Jako ta rola nagle z wiosennego deszczu schnie, kiedy na nią słońce zwysoka uderzy, tak on po tych łzach bujnych odmienił się w twarzy, tak na niego uderzyła nagła wesołość. Jakoby nie ten, tak się przeinaczył, oczy kułakiem wytarł, a chwyciwszy chłopakowi, co tam podle stał, czapczątko z czu-pryny, sam je sobie na głowę nasadził, w biodra się rękami podparł i krzyknął wesoło:

— Hej ha! Kiej sprzedawać, to sprzedawać! A duchem!... Nic się nie frasujta, gospodarzu! głupi wam pomoże! Nim słonko zajdzie, popprzedamy het precz wszyściutko doczysta!

Szeroki wybuch śmiechu przyjął tę przemowę głupiego. Łuka poczerwieniał i tylną gniewnie oczyma; ale kiedy spojrział na owo uciészne widowisko, jakie Franek z siebie uczynił, nie mógł wytrzymać i roześmiał się głośno. Głupi tymczasem przed chatupę skoczył. Stały tam i leżały rozmaite sprzęty, jedne na drugich w kupie, jak na targowicy.

Franek schylił się, podniósł z ziemi stary lemiesz, a błyskając nim pod słońce, mówił:

— Patrzajta ino, jaki godny lemiesz! Oj nie mało on ziemi skroił... niemało skib odwalił... niemało chleba zdobył, ale nam tera nic po nim, bo het precz grunt i gospodarę przedajem i ani my, ani dzieci po nas, ziemi tej, tego pola orać już nie będziem! Kupujta lemiesz!... Patrzta, jaki godny!

Śmiech buchnął na nowo w podwórku. Bodniak aż się za boki trzymał, aż mu oczy zachodziły łzami.

Głupi tymczasem chwycił płachtę lnianą, a trząsając nią wołał:

— Hej! Płachtę sprzedaję!... Patrzajta, co za płachta je!... Caluška, bieluška... Oj niemało z niej ziarna w tę świętą ziemię poszło i niemało dobra z ziarna tego wyrosło... Dalej, kupujta, płachtę siewną, w kruchcie, w dzień Najświętszej Pannienki Siewnej poświęcaną.

I teraz śmiech buchnął, ale cichszy jakiś: Łuczyna westchnęła nawet i pogładziła głowę najmłodszego swego, który się jej fartucha trzymał, szeroko na Franka wytrzeszczywszy oczy.

— Gospodyni! — zawołał nagle Franek.

— A gdzie pręślica? Przedaliście len, sprzedajta i pręślicę. Już wy na niej kądzieli *przdać* nie będziecie... Nie będziecie płótna tkać ani go na tej rosie porannej bielić... Co wam po tem? Dalej gospodyni! Dalej... Dawajta pręślicę... Niech kupują.

W małym podwórku Łuki robiło się coraz dziwniej jakoś, coraz uroczyściej. Chłopaki wspinały się jedne przez drugie, żeby na „głupiego“ patrzeć, oczy starych przygasiła zaduma, czy troska. Nagle zerwał się głos przejmujący, dziecięcy:

— Bocian! Bocian! O... bocian!...

Kilka głów podniosło się za tym dziecięcym głosem.

Istotnie, nad kalenicą¹⁾ Łukowej stodółki wzbijał się lotem szerokim pierwszy tej wiosny bocian.

— Bocian!... Bocięk! — zaczęły wołać na różne głosy chłopaki, podrzucając czapki i klaszcząc w ręce.

Bocian, jakby na odpowiedź powitaniu temu, zaklekał wesolo, roznośnie, coraz węższe nad gniazdem zataczając koła.

— Siądzie...

— Nie siądzie...

— Siądzie... — odezwały się dziecięce głosy. Nawet uwaga bab i chłopów oderwała się na chwilę od „głupiego“. Ale Franek, zadarłszy na porówni z innymi głowę, kiwał się szyderczo, wzgardliwie.

— Oj głupi, głupi. Oj głupi ty ptaku! — rzekł wreszcie. — A i dlaczegóż tu leciał *bez* morze, *bez* wielkie, na gniazdach noclegujący, na zorzach się budzący...? Do gniazdaś ty leciał, do miłego gniazda, do onego domu swego? gdzieś bocianięta swe hodował i słońcu się radował i ludzi cieszył i odpocznienie swoje miał? Oj przylecisz ty tu jeszcze, ale już gniazda twego nie będzie, jak tu i nas i gniazd naszych nie będzie... a ty głupi precz... za morze... za morze...

Podniósł głos, oczy chłopów znów się na niego zwróciły.

— Panie Gotlib — zawołał — bliżej tu sam, bliżej... Jeszcze się tu niejedno do przedania najdzie, ino pieniądze liczcie... Widzita ten krzyż nade drogą? Widzita het one górki, one mogiłki nasze? Dalej! Wszyściutko sprzedajem. Kupujta... ten krzyż przy drodze, te mogiłki.

Cisnął czapkę, spuścił głowę i zamilkł.

A potem, nad oną kupą domowizny przed chatą klękawszy, ręce przy ustach złożył i mówił mocnym głosem:

— Święty Boże! Święty mocny! Święty a nieśmiertelny! zmiłuj się nad nami!

Zaszemrały za nim głosy jako wiatr wiosenny. Chłopi głowy odkryli, baby poklekały, a Franek mówił dalej:

...Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie

...Od nagłej a niespodziewanej śmierci, zachowaj nas, Panie!

...O spokój gniazdom naszym, prosimy Cię Panie!

¹⁾ Szczyt dachu.

...Od morskiej i wszelakiej nawałnicy, zachowaj nas Panie!

A jako zawsze głupi był, tak i tę modlitwę teraz na swój sposób zmyliwszy, wstał, świetliste oczy na powietrze podniósł i, między ludźmi przeszedłszy, ku rzece się puścił...

Marja Konopnicka

Kto był głupi, Franek, czy któreś inne z osób w tej noweli występujących? W czym objawiała się mądrość Franka? Kiedy i czym wzrusza on czytelnika? Czy niema podobieństwa między tem, jak Franek patrzy na naturę, a jak ją przedstawia poetka? Które wyrażenia i zwroty w obrazach przyrody tu nakreślonych szczególnie ci się podobały? — Wskaż zmiany w usposobieniu Łuki i zebranych pod jego chatą. Co je kolejno powoduje?

10. POZNAŃSKIE

Poznańskie stanowi część Wielkopolski. Wielkopolską nazywano czasami cały były zabór pruski, wraz z Kaliskiem i Kujawami, częściej jednak nazwa ta oznaczała tylko dawne województwa poznańskie, gnieźnieńskie i kaliskie. Później Wielkiem Księstwem Poznańskim lub prościej Księstwem mianowano regencje pruskie: poznańską i bydgoską.

Okolice około Kruszwicy i Gniezna poczytywać można za gniazdo, za kolebkę naszą; tam się snują najdawniejsze nasze podania historyczne i tam był niewątpliwie najpierwszy zawiązek państwa polskiego. Najdawniejsze też biskupstwo polskie założono w Poznaniu (968), a później arcybiskupstwo w Gnieźnie (1000).

Od początku dziejów naszych Niemcy parli ku wschodowi, wciskając się bądź przemocą, jak krzyżacy, bądź osiadając po miastach jako kupcy i rzemieślnicy.

Jeżeli zakreślimy na mapie linię, biegnącą od miasta Wschowy do miasta Międzychodu, a stamtąd do Torunia, to na wschód od niej mieć będziemy powiaty, w których żywił polski dziś stanowczo przeważa. W b. regencji poznańskiej, tylko w powiatach międzychodzkiem, międzyrzeckim, babimojskim i wschowskim Niemcy są w większości; w innych stanowią mniejszość osiadłą głównie po miastach i miasteczkach; w Poznaniu w ostatnich latach ustąpili liczebnie Polakom. W byłej zaś regencji bydgoskiej Polacy mają większość w powiatach inowrocławskim, strzelińskim, mogilnickim, gnieźnieńskim,

wągrowieckim, znińskim i szubińskim; w innych są w znacznej mniejszości, a w Bydgoszczy i w powiecie bydgoskim stanowili w dobie zaborów część trzecią.

Chociaż ziemia w Poznańskim z natury urodzajna nie jest, długa i wytrwała praca mieszkańców polskich doprowadziła gospodarstwo do niepospolitej doskonałości, tak, że wraz ze Śląskiem dzielnica ta należy do przodujących w dobrobycie. Oświata wysoko tu stoi, a uświadomienie narodowe wśród ludu wiejskiego największe jest ze wszystkich dzielnic polskich; zdarza się nawet, że osadnicy niemieccy polszczą się wśród ludności rdzennej: tak np. zatracili swą narodowość sprowadzeni niegdyś z okolic Bambergu i Durlachu koloniści, których potomków zwą dziś Bambrami i Durlakami. Siedzą oni pod Poznaniem we wsiach: Winiary, Wilda, Dębica, Rataje, Zegrze i Górczyna.

Przechowała się też w Poznańskim dotychczas nazwa Olędrów na dawne osady holenderskie i niemieckie, dzisiaj przeważnie już polskie; „olędrzami“ zaś nazywają tam lepsze dworskie obory, urządzone i prowadzone niegdyś przez Holendrów.

Niektóre okolice Poznańskiego mieszkańcy wyróżniają oddzielnymi nazwami: i tak Krajną nazywają północną część powiatów bydgoskiego, wyżyskiego i chodzickiego, a także w Prusach Królewskich polską część powiatu złotowskiego. Pałukami znów mianują powiat wągrowiecki, zachodnią część szubińskiego i wschodnią chodzieskiego. Porzeczanami nazywają mieszkańców lewego nadbrzeża Warty, poczynając od ujścia Proсны. Okolica od Gopła ku Wiśle i Noteci nazywa się Kujawami Pruskimi, dla różnicy od Kujaw Polskich, leżących w obrębie b. Królestwa (powiaty nieszawski i włocławski). Kujawy Pruskie obejmują powiaty inowrocławski, strzeliński i południową część bydgoskiego. W powiecie krobkim przy granicy Śląska nad rzeką Orłą mieszkającą ludność (w parafjach golejowskiej i pakostawskiej) sąsiedzi nazywają Chazakami albo Leśniakami. Około Czarnkowa Chóziakami nazywają zamężni gospodarze ubogich komorników i budników; wyraz ten brzmi też Koziak, Koziec, a ponieważ w b. Królestwie znani są także Koziary i Koźlacze, wnosić więc można, że przezwisko

to pogardliwie jest nadawane przez bogatszych uboższym, których cały dobytek stanowią kozy.

Spotykają się też i żartobliwe przezwiska, jak w każdej prowincji: mieszkańca powiatu babimojskiego we Wrzesińskim nazywają Łopatą, ponieważ nosi zieloną sukmanę z polami w kształcie łopat; Taśtakami nazywają sąsiedzi wieśniaków z nad Warty, siedzących od granicy Królestwa ku Nowemu Miastu, a to z powodu, że powożąc, wołają na konia „taśta“.

Na tak wielkiej przestrzeni, jak Poznańskie, mowa rozmaite przybiera odcienie; wspólną jednak jej cechą jest niemazurzenie i odróżnianie samogłosek pochyłonych (á, ó, é) od niepochyłonych (a, o, e). Mazurzenie słychać tylko w graniczących z Królestwem powiatach odolanowskim i ostrzeszowskim, oraz nad Wieleniem, we wsiach przeniesionych niegdyś z Mazowsza.

Pomijając drobniejsze odcienie w wymawianiu, w Poznańskim wyróżnić należy dwa obszary językowe, zachodni i wschodni; zachodni złożony z powiatów, gdzie Polacy są dziś w mniejszości, uległ wpływowi dolnoniemczyzny w wymawianiu samogłosek, słychać więc tam niemieckie ä, ö, ü, zamiast a, o, u, y (co dostrzega się wszędzie, gdzie niemczyzna przeważyła, jak np. na zachodzie Prus Królewskich i na Kaszubach), a w brzmieniu spółgłosek czuć pewne wahania się w głośności i cichości, zgoła obce czystej polszczyźnie.

Zabudowania wiejskie w Poznańskim oddawna już wyglądają wcale po miejsku; chat drewnianych już mało; spotykają się w najbiedniejszych okolicach; najczęściej domy są nawpół murowane albo murowane z cegły. Nawpół murowane, czyli — jak mówią w Poznańskim — stawiane w lepiankę albo w regłówkę, są z t. zw. muru pruskiego, t. j. mające zrąb drewniany, wypełniony albo gliną albo ceglami. Dom nosi na sobie cechy najczęstszego typu polskiego: ma sięń pośrodku, a na prawo i na lewo od niej po jednej lub po dwie izby.

Ubiory w Poznańskim są dość rozmaite; u mężczyzn starszych i we wsiach, bardziej od miast większych oddalonych, spotyka się jeszcze strój narodowy, polski, u młodszego pokolenia i po miastach przeważa strój miejski. Strój polski, jak-

kolwiek bardzo rozmaity, ma za podstawę u mężczyzn: 1) żupan, zwany brzuszlakiem, 2) kontusz, czy raczej sukmanę, zwaną kamizolą i inaczej, jedno i drugie o kołnierzu stojącym, przeważnie granatowe, z naszyciami w różnych barwach, 3) spodnie bufiaste do butów, 4) buty wysokie, najczęściej o cholewach wykładanych, 5) czapkę z siwego baranka o wstążkach kolorowych, a na lato kapelusz niski o dość wąskich polach. Zasadnicze te części ulegają w różnych okolicach przeróżnym odmianom i łączą się rozmaicie. U kobiet przeważnie spotyka się sznurówkę kolorową, na niej kabacik fałdowany, najczęściej granatowy; na głowie czepiec, zwany kapką lub czapką; spodnice zwane szortami, wkładają się czasem po pięć i więcej jedna na drugą; na nogach trzewiki, a czasem drewniaki; po wierzchu okrywają się dużymi chustami pstremi, zwanymi pstruchą. — W okolicach mniej urodzajnych, jak np. w puszczy Tucholskiej, Borowiak nosi sukmanę warpową (kuźelną)¹⁾ z samodziału; ale zato Kujawiak, siejący pszenicę na czarnoziemiu, stroi się bogato, a Krajniak, siedzący na kilku włókach niezłej ziemi, z miny i z czupryny chce panom być podobnym.

Pod względem podań, wierzeń, pieśni i przysłówi Poznańskie nie ustępuje innym dzielnicom Polski. Przytaczamy tu niektóre czysto miejscowe pojęcia i nazwy. Czarne obłoki nazywają tu planetnikami, a białe planetnicami. Powiadają, że ziemia na początku była wielką bielawą (bagnem); mieszkali na niej wielkoludy (olbrzymi). Po świecie chodzi Śmierć w postaci niewiasty; jest ona córką złego powietrza. Małopolskie boginki zwą się w Poznańskim bogunkami. Opowiadają tu o krasnoludkach czyli krasnalkach, maleńkich istotach, podobnych do ludzi, mieszkających w norach. Duch domowy, Latawiec, Chowaniec występuje w Poznańskim pod nazwą Skrzata, znoszącego ludziom bogactwa i skarby. Jędza znana jest tu pod nazwą Jędzyny albo Jędzony; męską postacią, odpowiadającą Jędzy, jest tu Wit. Znane są też Wilkołaki, Południce, Upiory, Zmory, Mamony; krążą baśnie o skarbach płonących, ogniskach, istotach zaklętych, o zwierzętach i roślinach cudownych, o czarownicach, które tu zwą nawiedzonemi, mądremi i ciotami; tym odpowiada w rodzaju męskim czarownik, zwany

¹⁾ Lnianą.

Ciót albo Pociót. Zabobony lekarskie podobne są do wierzeń tego rodzaju innych okolic kraju naszego.

Poznańskie było w całym zaborze pruskim prowincją najwyższą pod względem narodowościowym uświadomioną i, chociaż granica jego znacznie się ku wschodowi usunęła, ustępując przemocy sąsiada, to dzisiaj już nie podda się dalszemu parciu.

Jan Karłowicz (Lud)

Podziel ten ustęp na części według treści.

11. Z „PIEŚNI O ZIEMI NASZEJ“

A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych Górali i Litwinów,
I Żmudź świętą¹⁾ i Rusinów?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju²⁾?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Twe kurhany³⁾ i mogiły?
I twe dzieje, co się śmiły?

A czy wiesz ty, co w nich leży?
O, nie zawsze, o, nie wszędzie,
Młody orle, tak ci będzie,
Jako dzisiaj przy macierzy!

Trzeba będzie ważyć, służyć,
Milczeć, cierpieć i wojować!
I niejedno miłe zburzyć,
A inaczej odbudować....

Kto tam zgadnie, gdzie osiedzisz,
Jaką wodą w świat popłyniesz,
W której stronie walczyć będziesz
I od czyjej broni zginiesz?

Wyleć ptakiem z tego gniazda,
Miłać będzie taka jazda:

¹⁾ W znaczeniu: pobożną. — ²⁾ Dunaj jest tu imieniem pospolitem, oznacza wogóle rzekę większą. — ³⁾ Mogiły stepowe.

Spojrzyć z góry na twe ziemie
I rodzime twoje plemię...

Tam na północ! hen daleko!
Szumią puszcze ponad rzeką, 30
Tam świat inny, lud odmienny,

Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszysty i piaszczysty.
Puszcze czarne, zboża marne, 35
Nieba bledsze, trawy rzadsze,

Rojsty¹⁾ grząskie, groble wąskie,
Ryby, grzyby i wędliny;
Lwy dorodne, huk zwierzyny
I kęs chleba w czoła pocie. — 40

A na pański stół łakocie:
Lipce²⁾ stare, łosie chrapy
I niedźwiedzie łapy.

Puszcz i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Giedymina!

Ćmią się puszcze, mgła się zbiera, 45
Po pasiekach³⁾ kraj przeziera.

Wół za rogi orze zgliszcze,
W ostrym żwirze socha świszczce,
A za drogą gdzieś w postronnie
Ciągną wózki jednokonne, 50

Koń obłączny⁴⁾ w wózkach małych,
Lud w chodakach z łyka szytych,
W chatach dymem ogorzałych,
Dranicami⁵⁾ płasko krytych.

Gdy na lud ten człek spojiera, 55
To aż serce żal opłynie,
I zapytać chęć go zbiera:
Co ci to, Litwinie?

Ale Litwin nie wygada!
Bo w tej duszy hart nielada! 60
Lud to cichy, rzewny, skryty,
Jak to mówią: kuty, bity.

Kiedy szczery, jak wosk topnie;
Ale gdy go kto zahaczy,
To i w grobie nie przebaczy 65
I na końcu swego dopnie!

¹⁾ Błota dymiące się, mchem porośnięte. — ²⁾ Miody lipowe. — ³⁾ Tu: miejsce, na którym las wyrąbano. — ⁴⁾ Zaprzężony do wozu w dwa dyszle z kabłąkiem nad chomątem. — ⁵⁾ Dranica, deska darta, lupana (nie rznęta).

Nucąc pieśnię o Birucie¹⁾,
 O Perkunie i Kiejstucie,
 Przy łuczywie u komina
 Przędzie miękki len drużyna; 70
 A w pobliżu działwy zdrowej
 Toczy kołem wąż domowy.
 Krosna stoją w małym oknie,
 I czółenko pływa w włóknie;
 Pieśni płyną, jak uroda, 75
 A wiek schodzi, niby woda...

Niby w ciężkiem zadumaniu
 O przeszłości, czy kochaniu,
 Stoją niemo czarne puszcze;
 I rozlały się jeziora... 80
 A po toniach ryba pluszcze,
 A na niebie stoi gora²⁾.
 Puszcze płoną gdzieś zdaleka,
 I w zaścianku pies gdzieś szczeka;
 A za głosem z tokowiska 85
 Czesze³⁾ gęstwianę lesnik śmiały
 Przez jelniki⁴⁾ i zawały
 Do rodziny i ogniska.

Stanął, — słucha, — tam dzik ryje,
 Uroczyskiem⁵⁾ łos pomyka, 90
 Padło⁶⁾ wietrząc, wilk gdzieś wyje,
 A puszciami żubr poryka...

Da!⁷⁾ niech ryje, niechaj wyje,
 Niech pomyka, niech poryka!
 Na strzał padnie mi przed psami, 95
 Com dziś jeszcze nie zastrzelił,
 Byle tylko się barciami⁸⁾
 Niedźwiedz ze mną nie podzielił.

Jak lud żyje po bożemu,
 Tak i szlachta z sobą wzajem 100
 Dawnym żyje obyczajem
 Na zaściankach po staremu;

— — — — —
 Jak za morzem Litwa spławna
 Z puszczyk odwiecznych w świecie sławna.

¹⁾ Biruta, żona Kiejstuta, matka Witolda. — ²⁾ Gora, pożar. — ³⁾ Idzie
 różnym krokiem. — ⁴⁾ Jelniki to samo co jedniki (od jedlina=jodlina). —
⁵⁾ Część lasu niedostępna i tajemnicza. — ⁶⁾ Padlinę. — ⁷⁾ Da! = ależ! —
⁸⁾ Siedlisko pszczoł w drzewie.

Tak o miedzę ziemia chlebna 105
 Głodnym ludom jest potrzebna.
 Żmudź to święta! ziemia Boża!
 Napół leśne jej obszary,
 A napół strojne w zboża;
 Wolny oddech ma do morza, 110
 I wszystkiego ma do pary.
 Bo lud wierny w ziemi żyznej,
 I nieskąpo tej ojczyzny¹⁾!

Od tych prądów świętej rzeki
 Aż po morza brzeg daleki 115
 I Łotyszów płone ziemie
 Siadło twarde żmudzkie plemię.
 Tam nie błyszczą pyszne gmachy,
 Ale zato duże chaty,

I wysokie, dobre dachy,
 Lud dorodny i bogaty. 120

Ponad drogą krzyżów pełno
 I kapliczek tuż przy domu:
 Lud odziany szarą wełną,
 Pełen serca, pełen sromu 125
 I zażywny i niemarny,

Pracowity, gospodarny,
 I poważny i nabożny;
 Jednej krwi z tym swoim panem,
 Jednej wiary z tym kapłanem. 130

Pan nie bywa tam wielmożny,
 Nie rozrzutny, ani butny;
 A ksiądz biskup Boga sławi,
 Do dobrego wieździe ludzi
 I jak ojciec błogosławi 135
 Na odpuście Świętej Żmudzi!

Lud tam żyje po zakonie²⁾,
 A więc zda się zimny zrazu;
 Lecz gdy serce zawre w łonie,
 Nie usłyszysz z ust wyrazu; 140
 Lecz iza tryśnie nawpół rzewna,
 Nawpół krwawa, nawpół gniewna,

Piersi jękną z tajnej głębi,
 Zamiar padnie, niby w studnię,
 Lecz czas krwi tej nie wyziębni,
 Dusza jego nie wychłodnie, 145
 I wypłynie na jaw w czynie!

¹⁾ Ojczyzny, w znaczeniu ojcowizny. — ²⁾ Zakon, po rosyjsku: prawo.

A gdy Żmudź ci przyjdzie rzucić,
 Nazad Litwą znowu wrócić,
 To przed pińską opatrz drogą 150
 Wóz twój dobrze w potrzeb wszelką;
 Bo w pustynię wjedziesz wielką,
 W ziemię dżdżystą i ubogą.
 Droga pójdzie ci przez błota,
 Po nich długi pomost spłynie, 155
 W oczeretach oko zginie.
 A kraj nudny — niby ślota!

Ani ruchu, ani ducha,
 Woda stoi, wiatr nie wieje,
 Lud po puszczech mało sieje, 160
 Jedno lasem się zabawia:
 Dziegieć pali, drzewo spławia,
 Drze dranice, gnie obody¹⁾
 I nałożon jest do wody,
 Jak tych bobrów leśne plemię, 165
 Co z nim naspót trzyma ziemię.

Mnóstwo jezior, rzek niemało
 Po kotlinach się rozlało;
 Miasto trawy — rokiciny,
 Miasto bydła — huk zwierzyny. 170

Lud też strzelcem, póki lody;
 Lecz gdy z wiosną ruszą wody,
 A po puszczech zbiorą kały²⁾:
 To pod wodą jest kraj cały,
 A bezpieczon lud na łodzi 175
 Pływa wszystek wśród powodzi.

Gdy wyniesiesz z pińskiej drogi
 Z ludźmi twymi całe zioobra,
 A z furmanką całe nogi,
 Podróż była bardzo dobra! 180
 Lecz pamiętaj gałąź-choją³⁾
 Poza bryką zatknąć swoją.
 Gdy się będziesz na Ruś wdzierać,
 Pamiętaj się nie obzierać,
 By ci czego bies nie wlepił 185
 I za bryką nie uczepił!

 Kędy wóz twój bracie, wbiegnie
 Na szerokie, czarne drogi,

1) Obręcze z drzewa. — 2) Kały, kałuże, błota. — 3) Gałąź-choja = gałąź choinowa.

Tam przed tobą Wołyń legnie,
 I zapomnisz kraj ubogi. 190

W lewo spłyną czarne role,
 Ukrainy bujne leże;
 Nawprost, aż po Dniestr, Podole,
 A wzdłuż Dniestru Pobereże¹⁾,
 Tam już dostać wody zdrowej, 195
 Tam krynice i dąbrowy,
 I brzozowe, czyste gaje,
 A pług czarną ziemię kraje.

Zwolna wznoszą się kopanie²⁾,
 Rzeki śmielsze nurty wiodą, 200
 I tam, kędy łan nastanie,
 Ciągną stawy się za wodą.
 Czajki wrzeszczą nad błotami,
 Bocian stoi nad żabieńcem³⁾,
 A rybitwy krążą wieńcem 205
 Ponad groblą i wodami...

Jeśliś, bracie, jest myśliwy,
 Na wołyńskie zajedź stawy,
 Boś nie słyszał takiej wrzawy
 Dzikich ptaków, jakoś żywy. 210

Podsuniń czótnem pod szuwary,
 Bo pocieszne ptasze rady:
 Tam to sejmy, tam to gwary,
 I zaloty i biesiady! 215
 Słyszac krzyki i gwar dziki,
 Patrząc na te ptasze zwady,
 Tak się dziwnie w myśli plecie,
 Tak się tonie w ptaszej wrzawie,
 Iż przepomni człek o świecie... 220
 Wstyd to mówić, lecz żal prawie,
 Że człek ptakiem sam nie żyje,
 Takie szczęsne te bestyje!

Pełny oddech ma tam życie,
 I wszystkiego w bród obficie:
 Ryb i zboża i świniny, 225
 Bydła, koni i zwierzyny,
 I konopi, pszczoł i miodu,
 I niemało też narodu!

1) Pobereże, Pobrzeże, pas ziemi nad Dniestrem aż ku Tatarszczyźnie.—
 2) Kopań, szczyt, wierzchołek. — 3) Żabieniec, staw z żabami.

Smutne dumy lud tam śpiewa
 I wśród wioski niegrodzonej 230
 W wiecznej żyje on tęsknicy...
 Ruskie kawki i gawrony
 Gwarzą tłumnie na dzwonicy;
 Przy niej stoi dąb odwieczny,
 Jak wśród ludu książę bezpieczny. 235
 Cerkiew z trzema kopułami,
 W niej odprawa — a pokłony,
 Przed carskimi stojąc drzwiami,
 Bije lud na twardo chrzczony.
 Na nim kozuch lśni barani, 240
 Albo świta w domu bita,
 Rzemień suty i but kuty,
 A bekiesza¹⁾ z sukna na niej,
 A na dziewce wieniec z ruty.
 I naówczas wzdłuż krainy 245
 Drzemią łęgi²⁾ i caryny³⁾...
 Lecz w dzień budny⁴⁾ w polu głośno,
 I hukanie grzmi donośnie,
 A gdy cichnie nad wieczorem,
 Ścielą mgły się ponad borem, 250
 Z pasowiska wraca stado,
 Żóraw skrzypi u krynicy,
 A koniuchy na noc jadą;
 A ostatni blask wieczoru
 Złoci białe szczyty dworu, 255
 I potrójny krzyż cerkwicy.

Gdy wołyńskie lany rzucisz
 I na wschód twe konie zwrócisz,
 Bez oporu oko zginie
 W pogranicznej Ukrainie. 260
 Tam to konie, tam to charty,
 Step rozległy, świat otwarty!
 Wóz twój wbiegnie na rozdroża,
 Wiatr zaleci cię od morza,
 I krew raźniej ruszy w żyłach 265
 I koń czujniej strzygnie uchem;
 Drogę swoją po mogiłach
 Liczyć będziesz stepem głuchym.

¹⁾ Bekiesza albo bekiesza (z węgiersk. *bekes*), futro długie kroju węgierskiego. — ²⁾ Zarośla na mokrych łąkach. — ³⁾ Pola urodzajne (z rumuńskiego). — ⁴⁾ Powszedni.

po ładzi

Tam świat bystry, trzeźwy, czujny,
 Jak na czatach błysk oszczepu — 270
 Jak młodości umysł bujny,
 Tak szeroki oddech stepu.
 W jarach kraj ku rzekom spada,
 Ziemia głuchym jękiem gada,
 Dumka mówi o przeszłości,
 A wiatr bieli stare kości... 275
 Hej, ku morzu, ku Czarnemu,
 Ku limanu¹⁾ szerokiemu
 Na południe Dniepr tam płynie!
 A cześć Ławrze!²⁾ Sława Bogu!
 Hulaj, koniu, po rozłogu, 280
 Nam żyć tylko w Ukrainie!
 Szumi woda porohami,
 Od porohów sokół leci,
 Wicher wyje mogiłami, 285
 Wilk oczyma nocą świeci,
 Burzanami koza dzika,
 Oczereciem lis pomyka.
 Pędzi tabun, gdy wilk wpadnie,
 We mgłach dyszą ciche jary, 290
 I mkną mary przez czahary³⁾,
 I krynica bije na dnie...
 A tu czesze stepem, borem,
 Z listem kozak, gdzie pan każe;
 I czumackie⁴⁾ ciągną maże⁵⁾ 295
 Od limanów w świat taborem;
 Po rozdrożach czort je wodzi
 I tumany nocne płodzi...

Jasne słońce nad Podolem!
 Po parowach kraj się zboczył;
 Wielkim łukiem, czy półkołem 300
 Dniestr ku morzu się zatoczył...
 Jarem, jarem za towarem,
 Oblógami⁶⁾ za wołami,

¹⁾ Liman, jezioro nadmorskie lub zatoka oddzielona od morza wąskim pasem łądu. — ²⁾ Ławra, słynny klasztor w Kijowie. — ³⁾ Czahar, zarośla złożone z rozmaitych drzew, łąki pokryte takimi zaroślami (z tureckiego). — ⁴⁾ Czumak, chłop ukraiński trudniący się przewożeniem ciężarów na mażach. — ⁵⁾ Maże, wozy lubiane (z twardej kory drzewnej) używane na Ukrainie, zaprzężone w woły. — ⁶⁾ Oblóg, miejsce obłożone, otoczone czemś, wzgórzami, drzewami.

Manowcami za owcami, 305
 Pobereżem na Podole,
 A w Podolu jak w stodole!

Jak zaległy ziemie Boże,
 Przebież kraje, przerzuć role, 310
 Zjedź świat cały, przepłyni morze,
 Niema kraju nad Podole!
 Jak zasięgnie tylko oko,
 I daleko i szeroko,
 Świat kłosami tylko płynie,
 I w obszarach oko ginie... 315
 Tu kraj cały jednym łanem
 I nadany ¹⁾ wszelkim płodem:
 Płynie mlekiem, płynie miodem —
 A lud cały wielkim panem!

Ziemie czarne, niepochybne, 320
 Pasze żyzne, wody rybne,
 Mało wprawdzie trochę lasa,
 Ale zato chleb do pasa!
 Z rolą człek się tam nie kłopi ²⁾,
 Słomę pali, nawóz topi, 325
 I co zmoże, w skład wyorze ³⁾,
 A jak umie, Boga chwali!

— — — — —

Cicho — jednak niby ludno:
 Wszędy zboża, wszędy krzyże,
 Konik polny piosnkę strzyże, 330
 O mogiłę też nietrudno.

Kłosa płyną w lekkiej fali,
 A gdzieś widne w sonej dali
 Brzozy smutne i powiewne,
 I dąbrowy staro-drzewne. 335

A i ludu wdzięczne lica,
 Boć to czysto, biało odzian,
 Jak dąb młody, rześki młodzian,
 A dziewczeczka jak pszenica!

W chacie też to człeka radzi 340
 Bogiem, chlebem witać w progu;
 I Bóg gościa spać prowadzi,
 I na drogę zleca Bogu.

— — — — —

¹⁾ Uposażony. — ²⁾ Nie kłopoce. — ³⁾ W skład wyorać = wyorać bez orania głębokiego.

A od ruskich rzek wybrzeży
 Aż po Tatrów pierś jałową, 345
 Po dziedzinę Krakusową,
 Tam po Odrę, po Żuławy,
 Stara ziemia Piasta leży —
 I lud gnieździ starej sławy,
 A w pośrodku Wisła bieży! 350

Na południu w jasne chmury
 Wystrzeliły sine góry!
 Za górami, za lasami
 Poszedł Beskid granicami!
 Wziął się, kędy Wisły źródła, 355
 A zaginął w Czarnym Lesie,
 Kędy zwierz się w gawrach ¹⁾ kudła,
 A ku równiom Świeca ²⁾ rwie się.
 Tam to szumią górskie wody,
 Wierzchem ścią się jaworzyny ³⁾, 360
 I woń ronią połoniny
 I jelenie więją chłody!
 A Beskidem płyną chmury
 W czarne lasy, w sine góry...

Z Bogiem ludu, z Bogiem, w Bogu 365
 Od tych źródeł do Rozrogu ⁴⁾!
 Boć ci dobrze w twoich górach
 Na tym owsie i żętycy!
 Orły twoje współdziedzicy,
 I swobodny ów świat w chmurach. 370

Jak potopu świata fale,
 Zamrożone w swoim biegu,
 Stoją nagie Tatry w śniegu,
 By graniczny słup, zuchwale. 375
 Biodra Tatrów las osłania,
 Ponad niemi stoi chmura,
 A po halach wiatr przegania
 Uronione orle pióra.
 Świat to chłodny — a Łomnica 380
 Świeci polskiej ziemi dodnia:
 Nad Tatrami, jak pochodnia,
 A na pełni, jak gromnica...

¹⁾ Gawra, legowisko niedźwiedzia. — ²⁾ Dopływ Dniestru. — ³⁾ Lasy jaworowe. — ⁴⁾ Rozróg, szczyty górskie graniczne między Polską, Rumunją a ziemią siedmiogrodzką.

- Każda skała z tobą gada,
Wiatr, co w równiach ledwo wieje,
Z nóg tam garnie — deszcz, co pada, 385
To już w turniach śniegiem sieje.
A powyżej, wyżej jeszcze,
Pływa sobie orle wieszczce.
Gdy wyleci i zawiśnie
Na błękitcie bez obtoku, 390
Widne stamtąd jego oku
Okolicznych wieżyc dachy,
Polskie puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gmachy
I węgierskich gór winnice... 395
- Czeladź¹⁾ górską też niepodła:
Lud wysmukły, niby jodła,
Niby górski potok szybki,
Jak ptak — lekki, jak pręt — gibki,
Wiecznie niby młody młodzian! 400
Strój ma krótko ukasany,
Topór jasno nabijany
I sam wszystek wełną odzian.
- Czysty, ludzki, szczeromowny,
Strojny, dbały i budowny, 405
Zna się dobrze i na ziołach,
I na gwiazdach, na pogodzie,
Śmiały w skałach i na wodzie.
A radniejszy, niż lud w dołach.
- Ziemia jego mało rodzi, 410
Więc też luźno człek nie chodzi;
Gdy opędzi zimę snopkiem,
Idzie w równie za zarobkiem.
Do topora lud to sprawny,
A do kosy jaki sławny! 415
Jaki wesół i ochoczy,
Gdy na kośbę w równię rusza!
Jak przyśpiewa i wyskoczy,
Jaka to tam w tańcu dusza!
- Na świętego, na Wojciecha, 420
U nas w polu już pociecha,
Ale w górach ledwo taje,
I zaledwo jar²⁾ nastaje,

¹⁾ Tu w znaczeniu: ludność. — ²⁾ Jar, jarz, wiosna.

- A na Świątki, na Zielone,
Szumią majem świeże lasy, 425
Owce w góry wypędzone,
W halach schodzą się juhasy:
Stary baca rej im wodzi,
Pies liptowski strzeże owiec,
A przez lato juhasz zbrodzi 430
Każdy potok i manowiec.
- W góry! w góry, miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię.
Na szafase do pasterzy,
Gdzie ze źródła woda bieży, 435
Gdzie się serce sercem mierzy
I w swobodę człowiek wierzy.
Tutaj silniej świat oddycha,
Tu się szczerzej człek uśmiecha,
Gdy się wiosną śmieją góry. 440
- O! te skarby, te obrazy
I natury i swobody
Chwytaj, pókiś jeszcze młody,
Póki w sercu jeszcze rano! 445
Bo nie wrócą ci dwa razy,
A schwycone pozostaną...
Nie wrywaj się z gościny,
Gdy cię losy tam zawiodą,
A zpowrotem puść się wodą, 450
Na Dunajcu przez Pieniny,
W równie, w równie, gdzie ci tworzyć,
Gdzie ci działać bez wahania,
I w potrzebie żywość złożyć
W dobrej sprawie, z przekonania!
- Bo od gór tych aż po morza 455
Legła ziemia, sławna z zboża,
Z wiary, z męstwa, z gościnności,
I z nieładu i z wolności!
Wielka krzywda i cierpieniem!
Święta krwi tej poświęceniem! 460
Bóg, choć dojmie, błogostawi,
I dał szczodłą ręką z nieba
Narodowi, co mu trzeba,
Jako ojciec Staszic¹⁾ prawi:

¹⁾ Ks. Stanisław Staszic (1755—1826), znakomity pisarz polityczny.

„Dał mu chleba i stal twardą,
Złota, srebra jedno w miarę!“
Serce czułe, duszę hardą,
Miękką wolę, silną wiarę,
Kraj otwarty, miłość kraju,
Złych sąsiadów, ramię silne,
Mądrość złożył w obyczaju,
I dał czucie nieomyłne!

Dwór pod lipą stoi biały,
Pod piastowym dębem chata,
Nad nią bocian gniazdo splata,
A w niej żyje lud zuchwały.
Po nim gęsta bywa blizna,
Bo po ojcu broń puścizna:
Kord we dworze wisi stary,
W chacie stoi kosa stara,
A lud jednej krwi i wiary,
A krew polska i ta wiara!
Po kościołach chwała Boska,
Na odpusty naród płynie —
I cudowna Częstochowska
Jak szeroka Polska słyńie!
Rej na godach družba wiedzie,
A z weselem kulig jedzie!
Tam to druchny śpiew miluchny,
I gospodarz gościom rady,
Tam to tany a biesiady!

Póki zgodnie, póty godnie,
To i miło i swobodnie!
Lecz gdy obcy w bójkę wda się,
Gdzie rzepolą rażno grajki,
Nie policzy kótek w pasie,
Gdy go wezmą na kitajki!¹⁾
Tam nie żarty, bójka sroga!
Pod razami trzeszczą kości,
A kosterę wiedzie droga
Suchym lasem do wieczności.

Bo to lud, co krew ma w żyłach,
A krew pono nie jest lodem!
Lud to z Pana Boga rodem,
To też czuje się na siłach.

¹⁾ Wyrazu tego użył pierwszy Pol; z treści wynika, że kitajki oznaczają tyle co kije.

Więc do czego się sposobi,
To nie idzie mu już żmudnie,
I co robi, to już robi
Z całej duszy, nieobłudnie!

Gdy pracuje — to już szczerze,
Kiedy sądzi — to z powagą,
Gdy się modli — w dobrej wierze,
A gdy mówi — to rzecz nagą!
Kiedy kocha — to serdecznie!
Lecz niebardzo tam bezpiecznie,
Gdzie na wroga godzi składnie:
Bo się bije rad gromadnie —
I co pocznie za gromadą
I za wspólną ludzką radą,
To też idzie mu i składnie.

Częste, gęste piaski, laski,
Lecz głód rzadki, Bogu dzięki!
Gdy się naród rzuci rojem,
I dołoży silnej ręki,
To niedarmo się i znoim:
Gumna, stogi się potroją,
I jest dosyć w potrzeb swoją,
I świat karmim chlebem swoim.
Głośno słyńą te pszenice
I za morzem ziemie maskie!¹⁾
Sandomierskie i kujawskie!
I proszowskie okolice!

Choć im jedna świeci zorza,
Jednak różne znajdziesz kraje;
Lecz po dworach aż po morza
Wszędzie jedne obyczaje:
W stajni konik domorośły,
W domu ściana modrzewiowa,
Umysł hojny i wyniosły,
A cnota domowa!

Przy dziedzińcu dom chędogi,
Półtoraczne²⁾ ławy w ganku,
Sień obszerna, a przy wianku
Wiszą strzelby, smycze, rogi,
Kordy, rzędy, drożne³⁾ burki

¹⁾ Maskie, mastkie, tłuste, urodzajne. — ²⁾ Półtora razy większe niż zazwyczaj. — ³⁾ Podróżne.

I wyprawne pękiem skórki.
 Drwi naościę — a w pokoju
 Stół dębowy, woskowany,
 Pod nim niedźwiedź rozestany,
 Dżban cynowy do napoju,
 I na ścianach antenaty,
 I na półkach srebrne blaty.

550

Wielkie domy zagranicą,
 A w nich ciasno, choć nieludno.
 U nas mury się nie świecą,
 A o kącik nie tak trudno.
 Ledwo człekby czasem wierzył:
 Dom niewielki — wtem gość wchodzi,
 Ot i domek się rozszerzył,
 I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
 Przybył drugi i dziesiąty,
 I nieciasno jest nikomu:
 Wyprzątnięto wszystkie kąty,
 Coraz szerzej w małym domu.
 Zda się, że pan domu sobie
 Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
 A on tylko w domu tobie
 Drzwi i serce swe otworzył.
 I ta strzecha, choć uboga,
 Chociaż niska, przecież bliska
 Dla obcego i dla swego,
 I od Boga aż do wroga
 Jest tu miejsce dla każdego.

555

560

565

570

Wyleć, wyleć, orle młody!
 Ponad ziemię, ponad grody
 Z myślą, pieśnią wyleć spotem!
 Potocz młodą duszę kołem!
 Wyleć śmiało i wysoko,
 I odetchnij w świat szeroko!
 Oblec ziemię skrzydłem gońca,
 Opatrz wszystko okiem słońca!
 Bo tych twoich borów szumy,
 I tych łanów złote kłosa,
 I tych ludów śpiewne dumy,
 I wód fale i niebiosy,
 Grają jedną pieśnią zgodną,
 Jak Bóg wielką i swobodną,
 Pieśnią, której nic nie stłumi!
 Temu tylko zrozumiałą,

575

580

585

Kto zrosł z ziemią duszą całą,
 Kto za kraj ten zginąć umie.

590

O z tym ludem, ojców Boże!
 Nim w spoczynku głowę złożę,
 Dozwól jeszcze siać i zbierać!
 Lub, gdy nie dasz przy nim pożyć,
 Dozwól przy nim choć umierać —
 I strudzone kości złożyć!

595

Wincenty Pol

Jakie krainy, wchodzące ongiś w skład Rzeczypospolitej polskiej, odtworzył Pol w swym poemacie? Czy wszystkie? Które pominął? Spróbuj określić na podstawie poematu, czem się różni wygląd ziem opisanych przez Pola i czem się różni między sobą lud zamieszkujący te ziemie? Ziemią i ludem zajmuje się także Karłowicz w ustępie p. t. „Poznańskie“. Na czem polega zasadnicza różnica w sposobie przedstawienia ziemi i ludu tu i tam, czy tylko na tem, że Karłowicz pisze mową niewiązaną a Pol wiazaną? Które obrazy w „Pieśni o ziemi naszej“ mają wartość uczuciową (dzięki czemu)? Kiedy autor przemawia wprost od siebie, nie tając się z uczuciami? Czem jest w stosunku do całego poematu pierwsza jego część? Co w tej pierwszej części wytwarza nastrój pełen powagi? Która część poematu odpowiada treścią i nastrójem części pierwszej?

12. JAN MATEJKO

W Krakowie się urodził w r. 1838, tu spędził całe życie i tu umarł w r. 1893. Wyjeżdżał tylko kilka razy i to na krótko, zamłodu do Wiednia i Monachjum na studia, w dojrzałym wieku do Paryża, do Włoch, do Konstantynopola. Przelotne te pobyty zagranicą nie zaznaczyły się widocznymi śladami w jego twórczości. Wszelki kierunek, wszelki szablon jest mu wstrętny — on w sobie czuje siłę, by własną wytworzyć metodę i własne zakreślić sobie drogi. On ma własne pojęcia i ideały, którym wierny pozostanie od dzieciństwa aż do śmierci. Stosunkowo najwięcej jeszcze wpływu wywarła nań szkoła sztuk pięknych krakowska, a w niej wybitna postać ówczesnego kierownika Łuszczkiewicza, który, sam rozmiłowany w przeszłości Polski i specjalny badacz zabytków sztuki w Polsce, skierował młodego a niezwykle się zapowiadającego ucznia ku tym samym ideałom. Odtąd marzeniem Matejki stało się tworzenie obrazów historycznych z dziejów naszych. Studjom w tym kierunku poświęcił życie całe, lecz kształcił się poważnie sam, wiedziony wrodzoną genialnością.

Jan Matejko, wybitny malarz i rzeźbiarz

Matejko był jednym z najbieglejszych i najbardziej wykształconych naszych historyków i archeologów. Ale nie poprzestał na szukaniu w historii tematów do obrazów, na szukaniu w archeologii motywów malowniczej dekoracji. Sztuka była mu tylko środkiem do spełnienia wielkiego postannictwa narodowego, do którego się czuł powołany. Umysł refleksyjny, niezmiernie głęboko pojmujący życie i świat, wierzył całą gorącością duszy swej ognistej, że Bóg Polsce wyznaczył wielką misję dziejową wśród ludów słowiańskich. Misji tej naród nie pojął należycie, nieraz się jej sprzeniewierzał, wkońcu całkiem o niej zapomniał. Stąd źródło jego klęsk i ostatecznego nieszczęścia. Zrozumienie jej tylko może stać się zadatkiem odrodzenia. Misją ją: prowadzenie słowiańszczyzny do cywilizacji i Boga. Punktami jej wytycznymi: chrzest narodu, unja z Rusią i Litwą, walka z wrogami chrześcijaństwa i katolicyzmu, panowanie Batorego i dążenie do berła nad słowiańszczyzną; momentami ciemnymi: niesnaski i objawy prywaty w XVII wieku, wreszcie ostateczne zwycięstwo egoizmu i demoralizacja w czasach rozbiorowych. Momentami jasnymi w epoce schyłkowej: triumfy Sobieskiego, konstytucja 3-go maja 1791 r., powstanie Kościuszki. W dobrej i złej doli głęboka wiara Matejki widzi zawsze rękę Bożą, prowadzącą naród, widzi Opatrzność, posyłającą mu od czasu do czasu bohaterów, mężów stanu, kaznodziejów, wielkich, świętych, naprowadzających go na drogę właściwą, karcących za zбочenia. Tak pojmując zadanie sztuki, stał się wielki artysta dla swego narodu podobnym niejako do proroków Starego testamentu, co Żydom wskazywali drogi Boże.

Działalność Matejki zesła się z działalnością ówczesnych historyków, Kalinki i Szujskiego, którzy postanowili szukać prawdy w dziejach, odkryć rany i błędy: „niechaj boli jak chce“, bo jedynie w poznaniu prawdy widzieli zbawienie i ratunek. Podobnie i on nie szczędził naszej miłości własnej, a postacią jego ulubioną, powtarzającą się w jego obrazach i noszącą często rysy samego malarza, jest Stańczyk, historyczny trefniś królewski, mówiący prawdę wszystkim, samemu nawet monarsze, a w chwilach radości i triumfu smutnie dumający po kątach nad zaślepieniem społeczeństwa, dążącego do niechybnej zguby.

Nie o samo smaganie błędów chodziło jednak Matejce. Drugim jego celem było wystawianie świętych chwil przeszłości ojczyzny dla podniesienia ducha narodu, dla przypomnienia światu, czem niegdyś byliśmy, i jakie są nasze dziejowe zasługi. Te różnorodne cele udało mu się w znacznej mierze osiągnąć, a nadto obudzić we własnym narodzie niebываły interes dla sztuki, uszlachetnić smak ogółu, wywołać ruch olbrzymi na polu malarstwa polskiego i zachęcić do działania całe zastępy artystów. Do tego przyczyniła się, dzięki jego wielkiemu osobistemu znaczeniu, uzyskana w r. 1873 reorganizacja krakowskiej szkoły sztuk pięknych i zamianowanie Matejki jej dyrektorem.

Pozostając na tem stanowisku przez lat 20, kładł nawiększy nacisk na kurs kompozycyjny i na malarstwo historyczne. Nie zdołał wprawdzie utworzyć własnej szkoły, wywarł jednak wpływ potężny na swoją epokę i na młodsze pokolenie przez posiew wysokich ideałów, którym pozostał wierny do grobowej deski. Hasłem jego było: nie sztuka dla sztuki, nie dla zabawki, choćby najszlachetniejszej, ale sztuka dla najwyższych celów narodu i ludzkości. W jego przekonaniu talent artystyczny był tym talentem z przypowieści ewangelicznej, z którego kiedyś przyjdzie zdać rachunek przed Bogiem, więc go należy tylko na dobre i na wzniosłe cele używać.

Była to wogóle osobistość pod każdym względem wyższa, umysł ogarniający szerokie widnokreśli, inteligencja potężna o wykształceniu niezwykle i wszechstronnem, serce bardzo gorące, charakter wyjątkowej czystości i wielkoduszności. Wysooko wewnątrz wyrobiony, był pokorny wobec Boga, lecz niezmiernie gwałtowność jego uczuć wybuchała niekiedy ogniem egzaltacji, niekiedy płomieniem oburzenia wobec małości ludzkiej. Był w nim wielki artysta razem i wielki obywatel. Każda ważniejsza sprawa zapalała go i pobudzała do działania. Zwykle odludek i zamknięty w sobie, chętnie należał do wszelkiej akcji publicznej szerszego pokroju i przemożnym wpływem swojej indywidualności nadawał jej ton i kierunek. Wyrobił też sobie zupełnie wyjątkowe w społeczeństwie stanowisko — a powaga jego odbijała się silnem echem i poza granicami kraju.

Niepodobna nietylko szczegółowo omawiać, ale nawet wyliczyć dzieł, które Matejko utworzył w ciągu swojego stosunkowo krótkiego, bo zaledwie pięćdziesięcioletniego żywota. Samych obrazów olejnych, własną ręką wykonanych, zostawił 240, a między nimi kilkadziesiąt płócien wielkich, kilkanaście olbrzymich, mierzących 30 i 40 m kwadratowych. Oprócz tego pozostała po nim niezliczona moc rysunków i akwarel. Była to pracowitość benedyktyńska, połączona z twórczością tytaniczną. Całymi miesiącami zamykał się, całymi latami unikał towarzystwa ludzkiego i malował od wczesnego rana do nocy. Wieczorami, nawet w kółku rodzinnym, rozmawiając z dziećmi, trzymał ołówek w ręku i rysował. Rysunki jego do pism ilustrowanych, do albumów i wydawnictw książkowych (portrety królów polskich i znakomitych mężów), szkice do całych cyklów obrazów niewykonanych lub wykonanych przez uczniów, jak np. „Dzieje cywilizacji“ w auli politechniki lwowskiej, ikonostas cerkwi unickiej w Krakowie — idą w setki, nie licząc setek, jeśli nie tysiący, studjów z natury, z przedmiotów muzealnych, zabytków sztuki, przemysłu artystycznego, pieczęci, kostjumów, pomników, widoków miast, wnętrz domów i Bóg wie jakich najróżnorodniejszych przedmiotów.

Umysł ten wielki obejmował wszystkie objawy życia ludzkiego i świata zewnętrznego. Rysownik pierwszorzędnny i razem kolorysta znakomity, kształty i barwy umiał chwycić jak mały kto i oddawać w swoich obrazach z świetnością niezrównaną. Prawda i plastyczność jego strojów, klejnotów, sprzętów i przyborów — tego wszystkiego, co nazywamy akcesorjami — wymusza podziw. Ale nie jest to naśladownictwo niewolnicze, fotograficzne, niejako ślepe; Matejko we wszystko, co tworzy, umie wlać życie, tchnienie swego potężnego ducha. Największym zaś mistrzem jest w odtwarzaniu postaci ludzkich. Jego ludzie nie są lalkami martwymi i nieruchomymi, ani aktorami udającymi uczucia: oni żyją, oddani z całym temperamentem, z uczuciami i namiętnościami swymi. Sceny figuralne zamieniają się w dramaty, przejmujące widza, jak rzeczywistość sama. Dramatycznymi stają się pod pędzlem jego nawet portrety, w których strona duchowa każe zapominać o stronie technicznej, pełnej prawdy i blasku. Patrząc na postaci jego obrazów, po-

znajemy nietylko ich powierzchowność, odtworzoną z wiernością drobiazgową i zdumiewającą wypukłością, ale przede wszystkim dusze ludzkie, ich temperament, uczucia, myśli i charaktery. W tem leży główna część zajęcia, jakie budzą zarówno w artystach, jak w szerokich warstwach publiczności.

Pierwszy wielki obraz historyczny „Piotr Skarga przepowiadający upadek Polski w kazaniu sejmowym za Zygmunta III“ ukazał się w r. 1864. Matejko postawił się nim od razu na czele malarzy polskich, a w pierwszym rzędzie współczesnych malarzy europejskich. Wrażenie było ogromne. Całe społeczeństwo nasze odczuło radośnie, że ma wśród siebie artystę genialnego. Odtąd miał zapewnione powodzenie. Nastąpił szereg arcydzieł, które wyływały z pod jego pędzla siłą wulkaniczną i porywały zarówno znawców, jak szerokie tłumy: „Rejtan“, „Unja“, „Batory“, „Grunwald“, „Hołd pruski“, „Sobieski“, „Dziewica Orleańska“, „Kościuszko pod Racławicami“ pojawiały się w tak krótkich odstępach czasu, że pojąć nie można, jak na ich wykonanie starczyły siły jednego wątłego i słabowitego człowieka. Ale w tym samym dwudziestocztyletnim okresie czasu wychodziły z jego skromnej i cichej pracowni całe masy innych mniejszych, lecz niemniej cennych kompozycji, jak: „Dzwon“, „Iwan Groźny“, „Bitwa pod Warną“, „Kopernik“, „Złota Brama“, „Ślub Kazimierza Jagiellończyka“, „Konstytucja 3-go maja“, „Śluby Jana Kazimierza“ i inne. To są tylko główne obrazy historyczne. Obok nich artysta malował kilkanaście obrazów treści religijnej, alegorycznej, lub z historii kościoła zaczerpniętej, a równocześnie co rok wykonywał po kilka portretów, nieraz wielkich rozmiarów.

W obrazach religijnych, zwłaszcza w „Królowej Korony Polskiej“ i „Zmartwychwstaniu“, podobnie jak w całym szeregu kompozycji historycznych, w których cudowne wkraczanie świętych, Kościół i jego przedstawiciele ważną odgrywają rolę, objawiła się silna, gorąca, pewnym mistycyzmem owiana pobożność Matejki, jego cześć dla Matki Bożej, dla wzniosłych postaci świętych pańskich, którzy społeczeństwo słowem i przykładem ku Bogu prowadzili. Ale cała pełnia miłości synowskiej dla Bogarodzicy, cała gwałtowna gorącość uczuć jego dla tej, która pośredniczy między Bogiem a ludźmi, która jest matką

ludzi, a którą naród nasz nazywa Królową Korony Polskiej, objawiła się we wspaniałej dekoracji wnętrza presbiterjum kościoła marjackiego w Krakowie. Polichromja ta z temi zastępami aniołów niosących na wstęgach inwokacje litanji, z całą swoją bogatą symboliką i tą nieopisaną krasą kolorystyczną, będąc jedynem w swoim rodzaju dziełem sztuki, jest zarazem najrzowniejszym poematem, uroczystym hymnem, wznoszącym się z ziemi polskiej, jak dym kadzideł ofiarnych, ku niebu.

Matejko jest słońcem, które oświeciło sztukę polską w drugiej połowie XIX wieku, rzucając w czasie najcięższego naszego politycznego pogromu dokoła imienia polskiego szerokie kręgi blasku.

Według *Stanisława Tomkowicza* (Malarstwo w Polsce)

Streść zwięźle, o czym mówi autor w każdym ustępie. Dlaczego autor nazywa Matejkę osobistością pod każdym względem wyższą? Wyszukaj zdania, których treść w pierwszej chwili wydała ci się trudną do zrozumienia. Staraj się wyrazić myśli autora, zawartą w tych zdaniach, w sposób taki, by rozumiał je uczeń klasy niższej.

13. WYPRAWY KOZACKIE

Kozactwo na południowych kresach Polski, podobnie jak i nad Donem, było pośredniem następstwem ciągłego pogotowia zbrojnego, w jakim się te okolice musiały znajdować do końca XV w., t. j. od czasu, kiedy Tatarzy krymscy, przeszedłszy pod władzę cesarzy tureckich, zaczęli nieustannie najazdami trapić sąsiednie kraje. W ukradkowym, drapieżnym sposobie wojowania Kozacy wiele przejęli od swoich naturalnych wrogów, ale pod względem waleczności prześcignęli ostatnich, bo podczas gdy Tatarzy byli tylko lekką kawalerją, niezdolną do stawiania oporu nietylko liczebnie równym, ale nawet słabszym nieraz siłom nieprzyjaciela, Kozacy, jakkolwiek także jako jazda nie słynęli z waleczności, umieli zato jako piechota walczyć do upadłego za okopem lub taborem z wozów, albo własnymi środkami stworzyć sobie flotę i na niej cudów waleczności dokazywać. Niż Dnieprowy o rozległych przestrzeniach wodnych, o wielkich wyspach porośniętych lasem i sitowiem, o licznych i groźnych kataraktach, zabezpieczających go od wtargnięcia obcej floty, o mnóstwie niedostępnych kryjówek i przesmyków, był nietylko wybornem schronieniem,

legowiskiem dla wojennej drużyny kozackiej, która od niego otrzymała nazwę Niżowców albo Zaporozców, ale zarazem szkołą morską dla nich i dostarczał materiału do szczególnego rodzaju floty, jaką posiadali.

Były to lekkie, ale obszerne łodzie, mogące pomieścić od 50 do 70 ludzi. W podstawie tego statku była łódka wydrążona z wierzbowego lub lipowego drzewa, długa na stóp przeszło 40, wierzchnia zaś część statku do tej łódki przytwierdzona, a rozszerzająca się i wydłużająca w miarę wysokości, zbudowana była z desek, mocno spojonych i oblanych smołą i wokoło jakby wieńcem otoczona grubym spletem trzciny, które broniły statku od zatonięcia, kiedy się zbyt wiele wody w nim nabrało. Wysokość tych łodzi sięgała od 10—12 stóp, długość ich dochodziła stóp 60. Z powodu tak wielkiej długości powoli się obracały, ażeby więc temu zaradzić, Kozacy dawali im po dwa stery po obu końcach statku. Z każdej strony łodzi pracowało od 10 do 15 wiosł, a wtedy łódź łatwo doścignąć mogła turecką galere. Mieli też Kozacy maszty i żagle, ale ostatnie, dość liche, używane były tylko podczas pogody.

Takie to łodzie budowali Kozacy na Dnieprze, nieco niżej ujścia Czertomelika, w miejscu, gdzie Dniepr, rozdrabiając się na mnóstwo kanałów, oblewał niezliczoną ilość wysep, porośniętych trzcina, i tworzył istny labirynt. Drzewa dostarczały lasy, pokrywające wówczas w wielu miejscach prawy brzeg Dniepru, w okolicach porohów, albo też nadsamarskie bory, których szczątki znaczne do dziś jeszcze pozostały. Gdy gotowała się wyprawa morska, tam się udawali mołojcy, mając w gronie swoim wielu wprawnych rzemieślników, i zabierali się do roboty. Dzielili się na oddziały, zwykle po 60, i każdy taki oddział w przeciągu 2—3 tygodni wygotowywał statek, o jakim wyżej była mowa. Tym sposobem, gdy chodziło o jakąś większą wyprawę, i gdy większą liczbę ochotników ściągali, mogli w kilkunastu dniach stworzyć flotylę o osmdziesięciu, a nawet stu łodziach.

Zwykle przedsiębrali te wyprawy po św. Janie, kiedy morze Czarne najspokojniejsze, ale zdarzało się nieraz, że i w innej porze, mianowicie na wiosnę, puszczali się na morze. Cieśle i robotnicy przeobrażali się w korsarzy, uzbrajali

się w szable i strzelby, brali po jednej koszuli na zmianę, po sześć funtów prochu na człowieka, ołowiu poddostatkim, mieli też czasem po kilka falkonetów, to jest małych działek na łodzi; zapas sucharów spoczywał w długiej beczułce na dnie. Tak się w tajemnicy wśród labiryntu trzciniowego przygotowywawszy na wyprawę, puszczali się gromadnie w dół Dniepru. Łodzie, wystające ledwie na 2 i pół stopy nad wodę, sunęły cicho po rozległym obszarze Dniepru, jedna przy drugiej tak, że się brzegami ocierały o siebie! Na statku, gdzie płynął dowódca wyprawy, powiewała flaga. Był to zwykle trzeci statek z przodu.

Tureckie galery nie śmiały w górę Dniepru zapuszczać się dalej, jak na 3 lub 4 mile od ujścia, bo dalej zaczynał się już ów labirynt, który sprzyjał zasadzkom Kozaków. Żeby więc nie dać wypłynąć flocie kozackiej na pełne morze, czatowały pod warownym Oczakowem u ujścia Dniepru. Dlatego flota kozacka, dopłynawszy do miejsca, gdzie się zaczynało dla niej niebezpieczeństwo, zatrzymywała się i czekała ciemnych nocy przed nowiem. Wtedy dopiero usiłowała przekraść się niespostrzeżenie pod Oczakowem, a choć jej się to rzadko udawało, przecież trudno ją było w nocy zgonić, gdy nie wiedziano, dokąd zamyśla uderzyć. Wydarwszy się z szyi Dnieprowej, szybowała lotem ptaka, tak, że w 36 do 40 godzin przypadała już do brzegów Natolji. Celem tych wypraw były bogatsze miasta czarnomorskie, które, zagnęta zaskoczona, stawały się zwykle łatwym łupem rozbójniczej drużyny. Udawało się też nieraz upolować na pełnym morzu galerę turecką. Ujrząwszy ją w dzień na widnokręgu, przyczajano się, składając maszty, i silnie wiosłowano, starając się pod wieczór takie zająć względem niej położenie, aby zachodzące słońce mieć za sobą. Około północy pełnym lotem puszczano się ku galerze, otaczano ją wieńcem i, zanim mogła strasznym dla łodzi kozackich grzmiotem dział opędzić się od napastników, już ci wdrapywali się na statek, który, niebawem ograbiony z tego, co się dawało przechować w łodziach, często zalewanych wodą, szedł wraz z ludźmi na dno morza. Jeżeli flotylla kozacka była niezwykle liczna, a cisza morska, wstrzymująca ruch galer sprzyjała jej obrotom, ośmielała się ona rzucać na kilka, kilkanaście i więcej okrętów tureckich. Historyk turecki Naima, opisując jedną

z takich bitew morskich, powiada, iż zuchwalszego narodu od Kozaków, mniej dbającego o życie, mniej czującego wstrętu do śmierci, na ziemi znaleźć niepodobna i że podług świadectwa osób znających się na rzeczy „hałastra ta zręcznością i odwagą w podobnych na wodzie bitwach straszniejszą jest, niż inny jakikolwiek naród“. Ale zwycięstwa takie na morzu drogo opłacać musieli Kozacy, skoro galery mogły przywitać ich ogniem z dział. Beauplan utrzymuje, że nie więcej jak jedna trzecia lub co najwyżej połowa mogła się po takim spotkaniu cieszyć zdobytym łupem.

Najtrudniejszą rzeczą był powrót na Sicz, bo pod Oczakowem czatowała zwykle na powracających flota turecka, a pod wodę trudniej było przemykać się, niż z wodą. Dlatego obiecano sobie często inne drogi do powrotu. Mianowicie zatrzymywano się o 3—4 mile na zachód od Oczakowa, gdzie był płytki liman¹⁾ morski, wysiadano na brzeg i brzegiem ciągnięto te łodzie w górę, a potem przeciągano je powyżej Oczakowa do Dniepru. Prócz tej drogi z powrotem była inna jeszcze bezpieczniejsza, ale znacznie dłuższa, mianowicie przez morze Azowskie, potem rzeką Miušem w górę, z rzeki Mius łądem na przestrzeni mili do Taczawody, która ich sprowadzała przez Samarę do Dniepru, powyżej porohów. Tą drogą rzadko powracano, ale czasami tędy puszczano się na morze, gdy drużyna była nieliczna, a spodziewała się spotkać wiele galer tureckich pod Oczakowem. Kiedy wreszcie udało się powracającym Kozakom ujść czatujących galer lub zwycięsko się z nimi rozprawić, wieźli łupy swoje w postaci broni różnego kalibru, realów²⁾ hiszpańskich, cekinów³⁾ arabskich, drogich kobierców, złotogłowiu, materyj jedwabnych i innych wyrobów wschodnich — wieźli do swego labiryntu, gdzie budowano łodzie, i tam je ukrywali, skąd miejsce to nosiło nazwę „skarbnicy wojskowej“.

Wyprawy te przy końcu XVI wieku przybrały groźne rozmiary. W roku 1589 spalili i splądrowali Kozacy kilka miast tureckich na północnym brzegu morza Czarnego, co tak oburzyło sułtana Amurata III, że natychmiast wypowiedział wojnę Polsce, i ledwie pośrednictwu posła angielskiego i solennym

¹⁾ Liman, szerokie ujście rzeki, tworzące rodzaj zatoki morskiej z licznymi wyspami. — ²⁾ Moneta srebrna. — ³⁾ Moneta złota.

zapewnieniom Polaków, iż te napady się nie powtórzą, udało się tę wojnę zażegnać. Z pamiętników Eryka Lassoty, cesarskiego posła do Siczy, wiemy, że w r. 1593 przedsiębrali w znacznej liczbie morską wyprawę do Białogrodu, a w rok potem hetman ich Bohdan Mikoszyński wyruszył z 1300 Kozakami na 50 czajkach pod Oczaków, aby wzbronić chanowi krymskiemu, dążącemu do Węgier, przeprawy przez Dniepr, co mu się zresztą nie udało. W roku 1606, korzystając z zawichrzeń w Rzeczypospolitej, najechali Kozacy Warnę i dzie sięć galer naładowanych towarem zabrali, w r. 1613 dwa razy puszczali się na morze Czarne, a celem tych wypraw były miasta krymskie, z których kilka „zwojowali“.

Następny rok 1614 stanowi ważną erę w dziejach morskich wypraw kozackich. Dotychczas trzymali się oni północnych brzegów morza Czarnego i tylko te brzegi nawiedzali; w tym roku, zachęceni przez zbiegłych z Anatolji jeńców, przedsięwzięli na lekkich czajkach zuchwale wyprawę przez środek morza Czarnego na brzegi azjatyckie. Pierwsza wyprawa na wiosnę nie udała się, burza rozpedziła ich łodzie, nie mała potopiła, a niektórych przez morze na brzeg wyrzuczonych Turcy pobili i pojмали. Ale zato druga, w sierpniu tego roku przedsięwzięta, okryła się nadzwyczajnem, jakkolwiek nietrwale, powodzeniem. Przepłynawszy wpoprzek morze Czarne, zjawili się Kozacy niespodzianie pod murami Synopy. To miasto bogate i ludne nie pamiętało obcego wroga pod swemi murami od czasu, jak się władza otomańska nad niem rozciągała, nic więc dziwnego, że stało się łatwym łupem dla zuchwałej drużyny kozackiej. Kozacy, w liczbie około 2000, z łatwością opanowali zamek, wycięli załogę, zrabowali i spustoszyli domy rodzin mużulmańskich, spalili miasto, i nim się okoliczni mieszkańcy zebrali dla odparcia nieznanym napaśników, puścili się na morze, uwożąc zebrane skarby i niewolnika. Straty, wyrządzone wówczas przez nich w Synopie, szacowano na 40 milionów. Ibrahim pasza, dowodzący flotyllą turecką na morzu Czarnem, dowiedziawszy się przypadkiem o tym napadzie, postanowił zejść drogę wracającym Kozakom i wpłynął z flotą na Dniepr, ale Kozacy, uwiadomieni o tem, wylądowali na brzegu morskim i na podłożonych wałkach zaczęli przeciągać łodzie swoje na Dniepr powyżej stanowiska

Ibrahima. Atoli w tej przeprawie napadnięci zostali przez Tatarów i po zaciętej utarczce musieli opuścić łupy i jeńce, a Ibrahim pasza ze swej strony pomknął się ku miejscu, kędy się Kozacy na Dniepr spuszczać mieli i tam ich jeszcze gromił.

Wieść o spaleniu i złupieniu Synopy przerażenie wywołała w Konstantynopolu. Cesarz Achmet I tak był rozjątrzony zuchwalstwem Kozaków, że wezyra grzmotnął buławą i przysięgał na duszę, iż zemści się za to na Rzeczypospolitej. Beglerbej¹⁾ rumelski szedł już z wojskiem ku granicom Polski, strach był wielki na Ukrainie, gotowano się śpiesznie do obrony. Ale z jednej strony wieść o tej gotowości, z drugiej wisząca wojna z Persją, powstrzymała narazie zemstę Turków.

Józef Tretiak (Wojna chocimska)

14. CZAJKI

(Śpiew Zaporozców)

Ura-ho! ура-хо, ура!	Pięknyż bo wieziem podarek
Limany! nasze Limany!	Dla braci naszej na Niżu:
W ognjach goreją kurhany	Działa błyszczące ze spiżu,
I Czertomelik ²⁾ i Dura! ³⁾	Krocie złocistych janczarek!
Okrzyk, bracia, a wesoło,	Zbroje, szable i kindzały ⁴⁾
Aż rozgłośnie naokoło	Będą ludzki wzrok olśniały,
Od Chortycy do Tawani ⁴⁾	Promieniące od kamieni;
Zagrzmia progi i ostrowy: ⁵⁾	A gdy błysną w dzień godowy,
Niech nam żyje, niech hetmani	Hukniem razem w sto kurzeni: ⁷⁾
Konaszewicz, nasz Koszowy!	Niech nam żyje nasz Koszowy!

Toż się to z chmury na wody	Poślę na ładan ⁸⁾ i świece
Pełnia odbija miesiąca?	Do świętej Ławry pieczarskiej
Nie! To Synopa płynąca,	Łupy ziemicy agarskiej, ⁹⁾
Natolskie dymią to grody!	Złote z meczetów księżyce.
Przy wojennej tej pochodni,	Niech poległej braci w boju
Kiedy lekko wiatr zachodni	Pieśń wiecznego brzmi pokoju!
Pędzi z dymem i popiołem	A wśród wypraw naszej młodzi
Czajki nasze w kraj niżowy,	W łasce Boga żyw i zdrowy
Bracia! rażny okrzyk społem:	Niech w najdłuższy czas przewodzi
Niech nam żyje nasz Koszowy!	Konaszewicz, nasz Koszowy!

1) Beglerbej, namiestnik albo rządcą prowincji tureckiej. — 2) Rzeczka na Ukrainie, wpływająca do Dniepru. Nad nią siedziba Siczy Kozaków zaporozkich — 3) Rzeczka, dopływ Dniepru. — 4) Wyspa na Dnieprze. — 5) Ostrów. kępa na rzece lub stawie, drzewami i krzewami porośla. 6) Kindzał, długi sztylet u Turków. — 7) Kurzeń, kureń obozowisko Kozaków. — 8) Kadzido arabskie. — 9) Agarowie, szczerp arabski, także wogóle Turcy.

Pod ostrowami na przodzie
Widzicie czajkę hetmana?
Jak chorągwiami owiana
Lekko się ślizga po wodzie!
Toż od naszych dum ucieka:
Że samotny, że zdaleka
Wódz, nasz ojciec, szuka ciszy —
Bracia! rażno okrzyk nowy,
Aż nogajska dzicz usłyszysz:
Niech nam żyje nasz Koszowy!

Lecz hetman w myślach jak niemy,
I wciąż na niebie żrenica
I wciąż na sercu prawica;
Nie wie, skąd — dokąd płyniemy,
Jakiś zamach knowa w głowie..
Noweż boje nam zapowie?
— Ura, bracia! Niechaj skinie,
Wnet ochoczo w taniec nowy
Z czajek na koń — i w pustynie —
Śród okrzyków: Żyj Koszowy!

Ura-ho! Ojczyźnie hetmanie!
Oto na Siczy drużyna
Z podarkiem chleba i wina
Szerzy okólne wołanie!
I my okrzyk, a radośny!
Aż jak gromu huk rozgłośny
Od Chortycy do Tawani
Wstrząsacie progi i ostrowy:
Niech nam żyje, niech hetmani
Konaszewicz, nasz Koszowy!

Bohdan Zaleski

Jak sądzisz, jaki cel przyświecał prof. Tretiakowi, gdy pisał o wyprawach kozackich? Czy taki sam cel miał Zaleski, pisząc „Czajki”? Czy wiemy jakie uczucia budzą w autorze „Wypraw kozackich” czyny Kozaków? A czy uczucia Zaleskiego poznajemy? — Wyszukaj w „Czajkach” pytania, wykrzykniki, przenośnie. Czy znajdziesz je także w „Wyprawach kozackich”?

15. W NIEWOLI TATARSKIEJ

Aga Sukyman, który mnie omdlałego na polu bitwy znalazł i pojmał, z początku przystojnie się ze mną obchodził. Czynił to dlatego, iż zbroję piękną i szablę sadzoną na mnie wzięwszy, za znacznego w narodzie naszym mnie poczytał i okupu wielkiego się spodziewał. Ja zaś bacząc, że szlachcicowi nawet i w niewoli i przed nieprzyjacielem zmyślać nie przystoi, wręczem mu to negocował. Rzekłem więc, że jakkolwiek z przedniego rodu pochodzę, przecie fortuny żadnej nie posiadam i z okupem nikt po mnie jechał nie będzie. Czemu on w chytrości swej nie wierząc, tak do mnie po rusku mówił: „Ej, wy Lachowie! każdego z was się chudopachołkiem powiada i okupu nie zaręcza, by was katować, za co sobie rozkosze wielkie od waszego Boga w niebie obiecujecie”. Owo

więc i do Azji, jako wielu innych mnie nie sprzedał, i prawie wolność mając zupełną, codzień nad brzeg chodziłem. Tam *in rupibus* siadłszy, wpatrywałem się w dalekość morską, jako turkus błękitną i myśłem wodze puszczałem. Często też rzewnie płakał, bom rozumiał dobrze, że doła moja zamknięta już jest i przez nieszczęście przypieczętowana. Ani bowiem o posługach rycerskich dla miłej ojczyzny ani o sławie myśleć nie mogłem. Przeto smutki ogarnęły mi duszę i cierpienie toczyło serce i okrutna tęsknota wychodziła ze mnie ku Rzeczypospolitej i ku wszystkiemu, com w niej utracił. Wolejby był na świat nie przychodził, wolej w bitwie zginął, wolejby mnie Sukyman odrazu na męki wydał, bo przynajmniej palmębym otrzymał i dusznemi oczyma ujrzał to, za czem cielesne tęskniły. W boleści końcam boleści nie widział. Co piątku, który to dzień u Tatarów jest niedzielą, gdy inni jeńcowie wypoczynek od prac i mąk mieli, siadaliśmy przy strumieniu, w płakaniu sobie wzajem pomagając, a często śpiewaliśmy psalm: *Super flumina Babylonis*. Tak nam dzień schodził na rozpamiętywaniu i rozmowach o ojczyźnie, z których duszom pociecha była niemała. Zdarzyło się przytem, iż między jeńcami, którzy w Kizlich jarzmo niewoli dźwigali, sam jeden szlachcicem byłem; przeto rząd nad nimi sprawując, ukrzepiałem ich dusze, aby nie znalazł się taki, któryby odstąpieniem od wiary prawdziwej niedolę swą okupić pragnął.

Jakoż Bóg tego nie dopuścił. Mając też u Tatarów dla spodziewanego okupu powagę, ulgi niejakiem innym jeńcom przynosić usiłowałem. Czasem tedy część strawy swej najgłodniejszym udało mi się oddać, czasem w robocie pomagałem, wody spragnionym przynosiłem, za ujmę sobie tego nie poczytując. Oni też z pokorą całowali moje ręce, chociażem im mówił, że niewolnikiem tylko narówni z nimi jestem i że godzina taka może nadejść, w której mnie w większej jeszcze nędzy i upodleniu, niż sami są teraz, oglądać będą. Czemu nie chcieli dać wiary, mówiąc: „Dlaboga! nie może to być!” Ale ja wiedział, że będzie, gdy Sukymanowi na okup sprzykrzy się czekać daremnie, i gotowałem się na wszystko najgorsze, co ciało spotkać mogło, gdyż dusza, utraciwszy szczęście, była już w męce i boleści.

Jakoż Sukyman jednego dnia przyszedł do mnie i mówi: „Źle czynisz, iż za łaskawość moją niewdzięcznością się wyplacasz, gdyż jako gościa cię traktuję, a ty znać w uporze trwasz; bacz tedy, abym cię pod kolana moje nie zgiął“.

A tu wraz zamysły swe objawił i żądał, bym do Rzpltej o tysiąc czerwonych złotych pisał, za którebym wolność mógł otrzymać. Czego ja uczynić nie mogłem, a to raz, iż tylko trzysta czerwonych złotych miałem, do których niewiele co z prowizji przyrosło; powtóre bałem się, aby J. W. Tworzyjański, u którego moja sumka leżała, *magnanimitate sua* z własnej szkatuły za mnie płacić nie chciał, coby ambicji mojej przeciwnem było.

Sukyman głodem zgiąć mnie postanowił.

Przyszły tedy na mnie czasy wielkich utrapień i przewidywana godzina męki wybiła. Ale, gdym pomyślał o ojcach moich, o sławie i nieskazitelności imienia, które mnie zostawili, moc wielka wstąpiła w serce moje. Jedno więc o tem myślałem, by szlacheckiemu stanowi, którego dignitatem w sobie nosiłem i któren jest Rzeczypospolitej fundamentem, czemkolwiek w niewoli swej hańby nie przynieść. Rzekł mi Sukyman, chcąc, abym się zhańbił: „Z psami wolno ci jadać, i to, co im rzucą, brać możesz“. Nie chcąc, aby się to stało, żywiłem się tylko szarańczą, którą na piaskach morskich znajdowałem. Jeśli jednak szarańczy zabrakło, głód cierpiałem. Czasem mi także niewolnicy figi po tatarskich ogrodach zbierane przynosili, ale, gdym ujrzał, iż chłosty za to otrzymują, kazałem im tego poniechać. Spoglądali na mnie ze łzami, powtarzając: „Panie nasz, na co ci przyszło!“ Niewola też, nietylko moja, ale wszystkich, sroższą się stała, gdyż Tatarowie wielką złością ku nam zapłonęli. Jeden zasię Kozak niebożątko, imieniem Fedko, na pal wbity, na którym drugiego dnia dopiero powtarzając: *Chrystu! Chrystu!* umarł. Nocą, zdjąwszy go z pala, pogrzebliśmy ciało w piaskach morskich, o śmierć równie Boga prosząc, za którą Fedko pewnie w niebie przez Ojca przedwiecznego był nobilitowany i purpurą okryty i do chwały najwyższej wyniesiony.

Rychło i ja już z ziemską powłoką moją rozstać się myślałem, albowiem miesiąc upłynął, jak się szarańczą żywiłem, która coraz rzadszą w piaskach była. Wychudłem i szernia-

łem srodze, i nogi chwiały się już podemną, aż wreszcie, na barłogu podłe zagrody dla wielbłądów siadłszy, ruszać się więcej nie mogłem. To one bestje, serca lepsze od pogan mając, wyciągały do mnie szyje swe zgięte przez płot, i prycając nozdrzami, litowały się nademną. Dla osłabienia wielkiego sypiałem i we dnie, a Bóg w miłosierdziu swem sny mnie o miłej ojczyźnie zsyłał. Podobno czas jakiś byłem bez przytomności, bom świata ziemskiego nie widział, ale potem zdrowie wróciło, gdyż ujrzałem znów kupę barłogu, zagrodzenie dla wielbłądów i głowy onych zwierząt, ku niebu powyginane. Pewnego razu Sukyman, przechodząc koło mnie, rzekł: „poznaj moc sług proroka“, na co odpowiedziałem: „poznaj cierpliwość sługi Chrystusa“.

Tymczasem nadeszło święto: Czaczuk bayron. Tatarowie, gdy noc zapadła, pozapalali lampki weneckie, któremi całe miasto ozdobili; potem łuczywo kaźden w ręku dzierżąc, na drogi wyszli i gromadami chodzili. A było to w pełni samą. Więc oni, ku miesiącowi oczy zwróciwszy, wołali wielkimi głosami do swego Boga i do swego proroka, bo taki u nich obyczaj, by przez całą noc chodzić i modlić się. Jamużny wielkie też tego dnia czynią: więc niewolnicy usiedli także rzędami wedle drogi i co który prosił z żywności albo szat, to i otrzymał. Innym także lata służby zmniejszili, a niejakiego essauę, któren z wody tatarskie dziecko wyciągnął, wolnością obdarowali, bo mało co im się godzi w ten dzień odmawiać. Z tego powodu radość wielka między niewolnikami była, gdyż żaden głodu nie cierpiał, ani plag nie otrzymał, ani śmiercią był karany. Sukyman przechodził koło barłogu, na którym leżałem, a myślał, iż razem z innymi będę zebrał, i byłby mi wonczas nie odmówił. Ale choć zdawna nic już w gębę nie brałem, nie zdało mi się rzeczą godną szlachcica narówni z pospółstwem ręce wyciągać i wołałem głód, co mi szarpał wnętrzności, powietrzem tłumić. Mówił tedy Sukyman do innych: „Zaprawdę, żelazną duszę ma ten nieużyty człowiek, i znać trzeba go prosić, aby nad sobą miał litość, gdyż pychę swą nad wszystko przekłada“. I nie wiedział o tem poganin, że wtedy właśnie dusza moja w prochu i osłabieniu największem kładła się przed Panem, bo męka była prawie ode mnie silniejsza. Ale przez dni następne zesłał Bóg szarańczy obfitość,

a przytem głód mię przyuczył jeść plugastwo morskie, które w kształcie swym szpetne, złe przecie nie jest. Żyłem tedy jako ptak z dnia na dzień, a gdym po brzegu morskim chodził, każda fala przynosiła do nóg moich one ślimaczki marne, tak niemi, jakby orzeszkami grzechocąc.

Noce poczęły być chłodne bardzo. Innym niewolnikom w ałusach¹⁾ chronić się dozwolono, ja zaś na moim barłogu sypiać musiałem, ale litościwe wielbłądy kładły się koło mnie, ciałami swemi i oddychaniem mnie rozgrzewając. Myślałem, że zimy nie przetrzymam, i to była jedna nadzieja moja, bo innej przed sobą nie miałem. Ach! miła matko, miła ojczyzno, jakoże mi za tobą tęskno było!

Nadeszła wiosna i znowu cieplejsze słońce oświeciło nędzę moją. Tak zaś już do niej przywykłem, żem prawie zapomniiał, iż są szczęśliwi ludzie na świecie. Bociany, pliszki, jaskółki i skowronki leciały stadami ku północy, a jam im mówił: „Ptaszyny marne! ach mówcie Rzeczypospolitej i wszelkim stanom, żem jak szlachcic patrjota wytrwał i, choć tak mocno do ziemi przybity, choć tak nogami pogan zdeptany, przed Panem moim tylko płaczę, a dla nieprzyjaciół dumne oblicze chowam i ducha w ucisku nie dałem“. Koniec mej nędzy był jeszcze daleki, ale wiosna owa zmiany i wróżby nowe przyniosła i dziwnych zapowiedzi była pełna.

Na niebie nad Krymem zjawiała się różga gniewu Bożego, kometa, i, sinem okiem mrugając, trzęsła ogonem na zatracenie Krymowi i pogaństwu. Przerażeni Tatarowie z gwarem, brzękaniem i krzykiem po nocach chodząc, chmury strzał zapalonych z łuków ku niebu ciskali, aby zastraszyć onego ptaka złej wróżby. Księża im post ogłosili, czarnoksiężnicy przepowiadali plagi. Strach padł na serca ludzkie i nie był strach daremny; bo wieści doszły, że nad Palus Maeotis wybuchła zaraza. Wyprawy miały iść tej wiosny do Rzeczypospolitej dwoma szlakami — i nie poszły. Ludzie, kupami na ulicy stojąc, rozmawiać głośno nie śmieli, a jedno oczy ku wschodowi zwracali, skąd miał „czarny dziw“, jak go zwali, nadlecieć. Coraz to nowe wieści krążyły między ludem, aż wreszcie gruchnęło po Kizlich, iż mór się już w stolicy chanowej pokazał.

¹⁾ W namiotach.

Sam chan ze stolicy uciekł. Jedni mówili, że się w góry, które są na południu, z żonami swemi schroni, inni, że do Kizlich, gdzie wiatry morskie czyszczą powietrze, przyjedzie.

Przybył tedy chan za poradą wróżbitów do Kizlich, pędząc przed sobą trzody okrutne, aby miał co jeść z dworem swoim. Sukyman ze złością go wielką podejmował, a ludzie na twarz przed nim padali, bo go niewolnicy owi prawie za Boga i powinowatego ciałom niebieskim mają. Ordy niewiele było przy nim, jedno dwór i tysiąc baskaków¹⁾ i nieco hodźów²⁾ i agów³⁾ w żółtych tołubach, bo obawiano się, aby w wielkiem nagromadzeniu ludzi łatwiej nie okazała się zaraza. Wędrowała ona po Krymie, zwykle w tej części, którą Jenikalską zowią. Tam rzuciwszy się na jakowe miejsce, wzięła pogłównę, a inne ulusy⁴⁾ minęła całkiem, gdzie zaś przeszła, tam nawet ptastwo padało. Ale do Kizlich o dwa dni drogi najbliższej przyszła. Dziękował tedy Bogu chan za ocalenie i szczerze wróżbitów obdarzył, a wielu też niewolnikom wolność darował. Ale właśnie, gdy inni frukta łaski jego zbierali, na mnie przyszła ostatnia próba.

Pewnego razu przejeżdżając podle barłogu, na którym leżałem, bardzo blisko przyjechał, a spojrzawszy na mnie, pytał Sukymana, co to był za człowiek tak nędzny. Ten co odrzekł, nie wiem, widziałem jedno, że długo ze sobą rozmawiali, i widać Sukyman na niewdzięczność i załwardziałość moją się skarżył, gdyż wkońcu rzekł głośno: „Spróbuj go, panie!“ Czem zaciekawiony chan sam ku mnie koniem ruszył. Wnet dwa czaukczy⁵⁾ lecieli przed nim krzycząc: „Na twarz, psie niewierny!“ — alem tego nie uczynił, choć mnie długimi trzciniami po głowie bić poczęli. Więc on władca, zbliżywszy się, pytał: „Czemu na twarz przede mną upaść nie chcesz?“ Odpowiedziałem mu: „Panie, jeśli szlachcicowi przed własnym królem tego czynić się nie godzi, jakże chcesz, abym przed obcym i poganinem tak czynił?“ Tu chan, odwróciwszy ode mnie twarz, rzekł: „Roztropnie mówiłeś, Sukymanie“. A potem do mnie: „Gdybym ci wybór dał: albo cześć mi oddać i na

¹⁾ Baskak, urzędnik do poboru danin. — ²⁾ Hodża, nauczyciel, duchowny. — ³⁾ Ağa, tytuł nadawany wyższym dowódcom wojskowym. — ⁴⁾ Ułus, obozowisko tatarskie. — ⁵⁾ Czaukczy, pacholek chana.

twarz upaść przedemną, za co wolnością byłbyś obdarzony, albo śmiercią okrutną umrzeć — cobyś wybrał?“ Na to odrzekłem, że niewolnikowi wybierać nie przystoi; niechże więc uczyni ze mną, co zechce, niech jednak baczy, że każdy najpodlejszego stanu człowiek może śmierć okrutną zadać, ale majestat monarszy, w woli Boga swoje *initium* mając, wtedy Stwórcy najpodobniejszym się staje i najlepiej swą potęgę oznajmia, gdy nie śmierć, ale życie dawa. On, zastanowiwszy się nad moimi słowy, tak potem mówił: „Jeśli niewolnikiem będąc, nie chcesz mi czci oddać ani mię słuchać, tedy przeciw Bogu postępujesz, który niewolnikom postuszeństwo przykazał“. Odrzekłem: „Ciało moje jest tylko w niewoli“. Co słysząc Tatarowie pobledli, ale on był cierpliwy, gdyż niepróżno nazywano go roztropnym. Namysliwszy się tedy, odjechał, ale odjeżdżając powiedział agom i czaukczom swoim: „Gdy w niewolę niewiernych popadniecie, temu człowiekowi bądźcie podobni“. Więc potem miałem spokój przez dwa dni i jeść mi przynosili. Inni zaś przychodzili nawet do mnie mówiąc: „Pan nasz cię nie zapomni; ale gdy do łaski cię wyniesie, nie zapominaj o nas“.

Tak niewolnictwo upodliło serca tych ludzi, że w przewidywaniu zmiany fortuny mojej jeszcze mnie na barłogu leżącego już sobie kaptowali. Ja zaś cieszyłem się w duszy, bom myślał, iż może wolność, a z nią i szczęście moje odzyszczę. Po dwu dniach chan przejeżdżając, znowu ku mnie konia zwrócił: „Rozważyłem — rzecze — słowa, któreś rzekł, w mądrości mojej i na wagach sprawiedliwości je położyłem. Znalazłeś za swoje męstwo łaskę u mnie; mów tedy, czegośbyś pragnął, abym dla cię uczynił?“ — Odpowiedziałem, że we wolnym zrodzonemu stanie wolność najmilszymby mi była fruktem łaski jego. On spytał: „A gdy ci jej odmówię?“ — „Tedy daj śmierć“ — odrzekłem. On znowu się zastanowił, ile że chciał, aby wszyscy podziwiali i sławili mądrość jego, iż nic bez namysłu nie przesięberze. A przez ten czas serce biło we mnie jakoby młotem. Namysliwszy się mówił: „Giau-rze! nie naciągaj łuku zbyt mocno, aby zaś nie pękł i ręki ci nie zranił; przeto ci powiem ostatnie słowo: żółty tołub ci dam, do dworu mego cię wezmę, dostatkami nagrodzę i koniuszym moim uczynię, odmiany wiary nie wymagając, byleś rzekł, iż

z dobrej woli służyć mi będziesz“. Wtedy zadrgało mi serce zrazu radością wielką, ale wnet pomyślałem, że to pokusy są może szatańskie; a potem jeszcze: co rzeknę ojcom moim, gdy mię spytają: „Czem byłeś na świecie?“ Zali rzeknę owym rycerzom w boju poległym: „Koniuszym byłem z dobrej woli tatarskim?“ I okrutny strach mnie zdjął przed tem ojców pytaniem, większy, niżeli przed męką i śmiercią; wyciągnawszy tedy do chana ręce, wołałem: „Panie! woli ty mojej nie żądasz, bo wola z duszy wychodzi, dusza zaś nietylko wiary jest pamiętna, lecz i stanu, w którym na świat przysła, a stan ów od ojców wzięwszy, muszę im go oddać nieskalanym“. — „Niewolniku, złamałeś łuk“ — rzekł chan, i już widziałem, że godzina nadeszła, bo gniew począł występować na jego oblicze; ale się opamiętał i takimi do Sukymana ozwał się słowy: „Mądry Sukymanie! Zaprawdę w łasce za daleko z tym psem zaszedłem, a teraz ci przykazuję, byś go złamał koniecznie; ale, nim życie mu weźmiesz, do tego męką go doprowadź, by nawet u nóg twoich w pokorze się czołgał“.

Wtem odjechał, a mnie zrazu z rozkazu Sukymana kałmukowie porwawszy, przywiązali do pala. Co było ludu i niewolników, wszystko się zbiegło, aby patrzeć, jakie mi męki będą zadawane. Ja zaś duszę ku Bogu ze wszystkich sił wyteżywszy, o to najwięcej go błagałem, by mi sił dodał i upodlić się nie pozwolił, i wraz poczułem, że modlitwa została wysłuchana, bo duch mocny na mnie wionął. I pomyślałem, że przedstawiciel jest tej siły krzyża, bo się nie zgina, że ja tu poseł jest Rzeczypospolitej, na mękę od stanów delegowany, że ja tu żołnierz na ordynansie Chrystusowym *moriturus*, powołany, abym fundamentem życia mego świadczył o duchu, który jako ogień niebieski nie gaśnie. A pomyślawszy tak, choć nędzny, prochem pokryty, głodem wychudły, bezsilny, tak niezmierny w sobie poczułem majestat, jakobym z wyniesienia na świat spoglądał. Kałmukowie zaś mnie siec surowcem poczęli i wkrótce krwią spłynąłem. Pytali mnie tedy: „Padniesz twarzą?“ Odpowiadałem: „Szlachcicem polskim jestem“. Wtedy ci siekli mnie na nowo, inni zaś ogień wolny pod nogami memi zapalili, abym się piekąc prędzej o litość zawołał. Jakoż poczęłem ustępować, ale nie duszą, jeno ciałem, omdlałość wielka rozeszła się po kościach moich i światłość dzienna

bladła w oczach. Dopiero widząc, że już śmierć nadchodzi, resztą sił podniosłem głowę do góry i zawołałem w stronę Rzeczypospolitej: „Widzisz ty mnie i słyszysz?” Aż tu nagle, jakoby przez całe stopy i Perekop, doszedł mnie głos: „Widzę!” — W dalekościach coś się ćmic poczęło, niebo i powietrze zbiegało się do kupy, z czego niewiasta ze słodkim obliczem wy płynęła i stanęła koło mnie. Ogień przestał mnie parzyć, surowiec nie świstał już nade mną i poczułem, że lecę na rękę onej niewiasty niesiony. Ona zaś ku niebu leci, a z nią roje aniołków śpiewających: „Nie w kontuszu, nie przy karabeli, ale w ranach! Rycerzu, rycerzu, w boju mężny, w męce cierpliwy, Chrystusów paladynie¹⁾ cichy, krwawej ziemice synu wierny, witaj w spokoju, witaj w szczęściu — w weselu, w weselu!...” I tak lecieliśmy ku niebiosom, a com tam ujrzał, tego już grzeszne usta moje ziemskim uszom opowiedzieć nie mogą.

* * *

Wóz skrzypiał podemną i wiatr obwiewał mnie świeży a chłodny. Otwieram oczy — Kizlich nie widzę: step jedno, step jak morze. Więc przymknąłem powieki, myśląc, że sen mi jaseczka jakoweś wyprawuje. Spojrzę znowu: widzę przy sobie twarz starą Chimka, marszałka JW. Tworzyjańskiego, któremu, z domu wyjeżdżając, dukatów ważnych trzysta na prowizję oddałem, a za nim luzaków kilku. Ten zaś mówi: „Bogu niech będzie chwała, jużes nam waćpan oprzytomniał”. Pytam: „Gdzie jadę?” — „Do Rzeczypospolitej”. — „Wolny-m jest?” — „Wolny”.

Chimek chana już w Kizlich nie zastał, który, gdy zaraza przeszła, do miasta, zwanego Eupatorja, wyjechał, a Sukyman, za umarłego mnie mając, za trzysta czerwonych złotych, co ze mnie zostało, odprzedał.

Henryk Sienkiewicz

Czy moglibyśmy szlachcica z tej noweli nazwać bohaterem? Jeśli tak, dlaczego? Porównaj szlachcica z tej noweli ze Skrzetuskim i powiedz, w czym obaj są do siebie podobni.

¹⁾ Palladyn, rycerz błędny.

16. W LESIE

<p>Wolno i sennie chodzą Po jasnym tle błękitu Złocisto-białe chmurki Z połyskiem aksamitu.</p> <p>Niekiedy się zasrebrzy Pod słońca blask zukosa Jaskółka śmigła, czarna, Sunąca pod niebiosą.</p>	<p>10</p> <p>5</p> <p>15</p> <p>20</p>	<p>Po łące cichej, jasnej, W srebrne objętej ramy Przez opalowy strumień, Złote się kładą plamy.</p> <p>5 Szmaragdem słońce błyska Na ciemnej drzew zieleni, Lub przez konary rzuca Ognistych pęk promieni.</p> <p>Po niebie i po lesie, Po łąk zielonym łanie, Przejrzyste, zwiewne idzie Błękitne zadumanie.</p>
---	--	--

Kazimierz Tetmajer

Jak chmurki „chodzą” po jasnym tle błękitu? Jaka jest łąka? Jakie barwy spostrzegamy kolejno w tym utworze? Jakie przeważają? Czy celem autora było skreślenie krajobrazu? Czy istotnie zadumanie błędziło po polach? Któż popadł w zadumę? Dzięki czemu? Czy „W lesie” to wiersz epiczny, czy liryczny?

17. PRZETWORZONY

Jędrzej Radek urodził się we wsi Pajęczyn Dolny, w czworakach dworskich, jako syn biednego fornała. Wiek pacholęcy spędzał już to w izbie, gdzie mieścili się familje trzech ratajów, już pod odkrytym niebem i nad wiekuiście odkrytą gnojówką, której toń ciemnofioletowa stała tuż przed drzwiami czworaków. Od wybrzeży gnojówki do podpórek łoża, wkopanych w ziemię, pełzał na czworakach, nosząc w zębach koszulinę, przez wysoki, napół zgniły próg chałupy — następnie zwiedzał samopas nietylko tę skromną przestrzeń, ale znacznie szersze obszary gnojów, błot, kałuż i gnojówek, aż do chwili, kiedy powołany został do pilnowania przedewszystkiem gąsiał, a w następstwie maciory z prosiętami na dworskim okólniku. Nie można powiedzieć, żeby te obowiązki spełniał wzorowo.

Zdarzyło się pewnego razu, że mu karbowy „wytatarował” postronkiem skórę na plecach i w ich sąsiedztwie do tego stopnia, że winowajca z wielką niechęcią siadał na ziemi; kiedy indziej sam dworski lokaj za sekretne wylizywanie rynki kuchennej nadał mu sporo uwłosienia, ze zbytnią, co prawda,

rosnącego bujnością. Te (i wiele innych w tym guście) wskazówki moralnego prowadzenia się byłyby zapewne starczyły mu na długo, aż do następnych, równie kształcących, gdyby nie interwencja Antoniego Paluszkiewicza, zwanego Kawką.

Ten Kawka był nauczycielem dwu młodych paniczów. Niedgdy chodził na uniwersytet. Mieszkanie gubernera znajdowało się w śpiczastej baszcie, nowszemi czasy przystawionej od wiekowego dworu. O każdej dobie dnia i prawie o każdej nocy słycać było stamtąd jednostajne pokaszliwanie, i stąd urosło drugie nazwisko Paluszkiewicza. Dwaj wychowawcy urządzali mu bardzo często pod oknami pewnego rodzaju koncerty. Spędziwszy dzieci folwarczne, kryli je w krzakach i rozkazywali im kaszlać na komendę w sposób odpowiedni, naśladowujący głos gubernera. Kawka nie zwracał na to wszystko najmniejszej uwagi. Kiedy z krzaków dawały się słyszeć zabawne głosy, a zewsząd śmiech mniej lub więcej głośniejszy, jak zwykle wychodził na balkonik z książką w ręku, siadał okrakiem na krześle i ani trochę nie zmieniał sposobu kaszłania. Zczasem, kiedy przechodził wpoprzek dziedzińca, obok czworaków albo ulicą wiejską, z każdego zaułka rozlegał się śmieszny głos któregoś z ukrytych psotników: — Ku — wyk... eee... ku — wyk... eee...

Najwięcej talentu w dręczeniu Paluszkiewicza wykazywał właśnie Jędrak Radek. Przed rozpoczęciem solennego koncertu wydawał zawsze nienaśladowane, znakomite w swoim rodzaju beknięcie, pewien gatunek introdukcji, po której dopiero następowały chóralne wrzaski. Radek wybornie przedrzeźniał „belfera“ nie tylko głosem, ale i ruchami. Ile razy Kawka szedł w stronę plebanji, miał zawsze poza sobą Jędrka, niby cień, który go w mały sposób naśladował. W tym celu pastuszek brał na się długą płachtę, w rękę patyk, na nos zakładał jakiś drucik, zawinięty w kształt binokli, kudłał sobie włosy jeszcze bardziej, garbił się, wlażył w błoto na sposób „profesora“. Doszło do tego, że skoro tylko Kawka ukazywał się na dziedzińcu, pauper wołał go po imieniu i nazwisku, lżył i wydrwiwał.

Przyszła jednak i na niego kreska. Pewnego razu w dzień pochmurny i deszczowy mały Radek siedział u płotu, nakryty workiem od dżdżu i wiatru, gdy wtem ujęły go za kark dwie

ręce i podniosły w górę. Chłopak wydał krzyk przeraźliwy i zaczął szarpać się gwałtownie. Nic jednak nie pomogło. Paluszkiewicz chwycił go wpół, włókł przez cały ogród i zziębnięty, ledwie żywy, wciągnął po schodach do swego mieszkania. Jędrak rozpiekał się we drzwiach nogami, nie mogąc inaczej, walił Kawkę w brzuch głową, szarpał na nim odzienie, ale koniec końców ulec musiał. Wepchnąwszy malca do pokoju, Paluszkiewicz zamknął drzwi na klucz i upadł na łóżko ze zmęczenia.

— Ty mi zerznieś dudy — dobrze... — rzekł mu chłopak zuchwale — ale poczekaj, zapamiętasz se ty! Co masz za rację do mnie — chy?

Kawka wysapał się, uspokoił, zapalił papierosa i jął chodzić po izdebce. Minęło tak kilkanaście minut. Chłopakowi wydało się, że „belfer“ o jego obecności zapomniał — więc rzekł: — No — bić to bić! a nie, to mię, panie, wypuszczaj!

Młody człowiek spojrzął na niego z za swych okularów i mruknął:

— Poczekaj, poczekaj, nic pilnego...

Następnie zaczął przewracać stosy swych książek i papierów. Czynił to bez ładu i porządku, ciskając tomy na prawo i na lewo. Jędrak miał się na baczności i pilnie zważał na każdy ruch pedagoga, przekonany, że ten lada moment wyrwie z dziury jakieś niewidziane i niesłychane narzędzie męki. Wzrok jego spoczywał w przelocie na kłamce, szybach okna i oszklonego wejścia, za którym mieścił się balkonik. Tymczasem Kawka wyciągnął z głębi swych zbiorów duży atlas zoologiczny, pełen kolorowanych figur zwierząt i położył go przed chłopakiem na stole mówiąc:

— Weź i obejrzyj sobie te obrazki.

Jędrak ani myślał patrzeć, gdyż wydawało mu się, że posiadał sekret „belfera“.

— Jabym się — rozumował — zabawiał obrazikami, a on, by mię, para, z tyłu w łeb tak ćwieknął, żebym ani tchnął...

Belfer tymczasem defilował już po izbie, trzymając papierosa w ustach, książkę w ręku i półgłosem mrużąc na pamięć słowa i frazesy angielskie, które mu dnia tego do nauki wypadły.

Znowu minął kwadrans czasu.

— Jak tam prosięta w ziemniaki dworskie wleżą, żeby na mnie zaś nie było, bo ja tu nic nie krzyw! — nagle wrzasnął mały więzień.

— Prosięta... a tak... No to niech będzie na mnie.

— A tak, to tak... — rzekł urwis obojętnie i z rezygnacją począł patrzeć na okno, później na piec, na stół, na książki, na samego belfra, wreszcie na malowane żyrafy i nosorożce. Te ostatnie zaciekały go wkrótce tak bardzo, że patrzył na nie bez ruchu, jak ciele na malowane wrota.

— A i cóż to za koń taki, mój Jezu kochany — myślał, ogarnięty przez wszechmocny podziw. — Chyłośna¹⁾ to szyja u takiego gada...

Rozpalona ciekawość podniecała go do przewrócenia stronicy i objęcia sekretne wejrzeniem tego, co mieszcza karty następujące. Wypatrzył wreszcie chwilę, kiedy Kawka, spacerując, plecami był do niego zwrócony, naślinił mocno palec i odwrócił cicho grubą kartę. Stał na niej duży tygrys z ognistymi ślepiami.

— Chy, to ci kot! — krzyknął chłopak, zapominając o wszystkim.

— To nie kot. Takie zwierzę nazywa się — tygrys — rzekł Paluszkiewicz, nie przerywając swego mamrotania.

Teraz Jędrak, zajęty całkowicie, odkładał kartę za kartą aż do zmroku. Wtedy dopiero Paluszkiewicz wypuścił go z mieszkania, obdarzwszy bardzo smacznym ciastkiem. Prosięta istotnie wlażyły w kartofle. Za powrotem do domu mały badacz fauny obcokrajowej, wskutek nieścislego strzeżenia okazów swojskiej, dostał od matki siarczyście po karku. Ani ta kara ani daleko srozsze, a spadające z ręki ojca, nie wpłynęły jednak na poprawę obyczajów młodzieńca. Zbisił się całkiem. Skoro tylko nadarzyła się chwila, rwał cichaczem do byłego studenta na ciastka i na oglądanie malowideł. To ostatnie rozwinęło się w nim niebawem w nałóg, dający się wyrwać z ciała chyba pospołu z duszą.

Kawka sam nie wiedział, kiedy urwisa nauczył doskonale czytać, tak się to stało prędko. Już w jesieni tegoż roku Jędrak zabazgrywał koślawami figlasami grube kajety, w długie wie-

¹⁾ Nadzwyczajna, niezmierna.

czory zimowe ciągnął już ruskie, a latem następnego roku Paluszkiewicz jął przemyśliwać o umieszczeniu wychowanka w progimnazjum pyrzogłowskim. Kilkuletni pobyt na lekcjach dał mu sposobność, przy prowadzeniu życia mało co wykwinniejszego od wzorów, zostawionych przez mistrza Diogenesa, zgromadzenia kilkuset rubli. Sam zapadał coraz głębiej i coraz szybciej na suchoty. Porzucił tedy „kondycję“, odwiózł ulubieńca do Pyrzogłów, siłą prawie wydarłszy go rodzicom, którzy płakali za tem dzieckiem, jak po zmarłym, oddał do klasy pierwszej, zgóry wypłacił za niego koszt utrzymania na niezbyt drogiej stancji, a sam został w temże miasteczku i żył „z kapitału“. Chłopak najadł się cierpień i wstydu niemało, zanim jako tako przystał do poziomu pyrzogłowskiej kultury. Dzięki korepetyjom opiekuna uczył się wybornie i z pochwałą przeszedł do klasy drugiej.

A opiekun tymczasem niknął w oczach. W maleńkiej izdebce, której okno wychodziło na cuchnące żydowskie podwórze, defilował z kąta w kąt, ucząc się ciągle i ciągle różnych rzeczy, niezbędnych mu do szerokiego studjowania psychologii. Podczas drugiego roku więcej leżał na sienniku, niż łąził. Wtedy także zaczął przepisywać na czysto dzieło swego życia, rozłożone w ruchomych kartkach, które zajmowały większą część pokoju. Pewnej nocy jesiennej, nocy wichru i słoty, spoczął na zawsze przy tej robocie. Na kilka miesięcy przed śmiercią wręczył był Paluszkiewicz resztę swego funduszu utrzymującej stancję, gdzie mieszkał Jędrak Radek. Pani owa po zgonie filozofa, o ile mogła, zmniejszyła rozmiary spadku, ale bądź co bądź Jędrak wytrzymał u niej aż do końca roku i przeszedł do klasy trzeciej. Wtedy dał sobie rady. W progimnazjum pyrzogłowskim lepsi uczniowie klasy trzeciej i czwartej mieli prawo udzielania korepetycji wstępniakom i pierwszacom. Radek miał opinię dobrego ucznia. Chłopiec z trudem, o głodzie niemal i w srogiej poniewierce, przetrwał korepetycjami klasę trzecią, czwartą — i zdał egzamin. W duszy jego trwały, jak wiecznwie żywe stygmaty, słowa Paluszkiewicza takie nawet, których nie mógł zrozumieć w całej rozciągłości, jak nieodwołalne prawa żyły rady, wskazówki i napomnienia. Wdzięczność dla opiekuna stała się jak gdyby jednym więcej zmysłem, zapomocą którego badał i przebywał świat.

To, co inni otrzymali jako spadek po całym szeregu przodków ucylizowanych, jako wychowanie domowe, on miał od „pana“. Tem żył i tem się krzepił w swej nędzy.

— Nauka jest to jak niezmierne morze... — mówił pan. — Im więcej jej pijesz, tem bardziej jesteś spragniony. Kiedyś poznasz, jaka to jest rozkosz... Ucz się, co tylko jest sił w tobie, żeby jej zakosztować!

I Radek poprzysiągł sobie, że będzie się uczył.

Maurycy Zych (Syzyfowe prace)

Czy zmianę uczuć spostrzeżliśmy już w którymś z utworów pomieszczonech w tej książce? Czy u Radka tylko uczucia uległy przemianie? — Kiedy śmiejemy się, czytając powyższy ustęp? Czy pełną piersią? Co mać naszą wesołość?

18. BITWA POD BERESTECZKIEM

Dnia 27 czerwca, kiedy cały obóz ruszył się w drogę do Dubna, nadbiegł goniec z doniesieniem, że chan i Chmielnicki się zbliżają. Wysłano natychmiast Czarneckiego, aby wozy do obozu nawrócił; wojsku kazano wracać na wały, wysłano silne oddziały do obsadzenia wszystkich przejść i przepraw, a inżynierowie rozbiegli się do naprawy okopów i szańców. Nie było żadnej wątpliwości o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Co chwila nadbiegały nowe zwiastuny nadchodzącej burzy. Podjazdy polskie, zetknąwszy się z tatarskimi, schroniły się do obozu; pospolite ruszenie przeprawiło się co prędzej, wozy z łoskotem napowrót wracały, a nad wieczorem dalekie łuny dokoła horyzontu i głuchy szmer w powietrzu zwiastowały o zbliżającej się potędze 300.000 nieprzyjaciół. Piechota i luźna czeladź sypały całą noc szańce i okopy; całe wojsko spało pod bronią, a nikt pod gardłem z obozu oddalać się nie ważył.

Nazajutrz (28 czerwca) całe tłumy słuchały z wielką skruchą nabożeństwa, w obozie otrąbiono całodzienny post z powodu wigilii św. Piotra i Pawła, i żaden żołnierz nie tknął się jadła. O 10 godzinie zrana straż polska przybiegła z tem, że nieprzyjaciela na oko widziała. Wysłano na zwiady Bogusława Radziwiłła, generała infanterji. Ten ujrzał zrazu wielkie tłumy, poczem około południa pokazały się pierwsze oddziały tatarskie.

Jazda polska stała w pogotowiu pomiędzy wałami a szańcami obozu. Zamojski, strażnik koronny, przebiegał szeregi polskie, wołając w imieniu króla, aby nikt na harce wyjeżdżać się nie ważył. Dopiero o 5 godzinie popołudniu, kiedy już była pewność, że nieprzyjaciel więcej sił na pole bitwy nie przyprowadzi, pozwolono doświadczonym weteranom wyjechać na ochotnika i przyjąć wyzwanie. Rozpoczął się tedy taniec tatarski, a raczej polowanie na ludzi, w którym nie chodziło o to, aby zabić przeciwnika, ale aby go żywcem pochwyć. Podjeżdżali do siebie, gonili się nawzajem, naganiali, czyhając jeden na drugiego, z wielką pociechą i zabawą całego wojska, które się z wałów, szańców i szyków z ciekawością temu widowisku przypatrywało.

Największą uwagę obu stron zwracał na siebie Tatarzyn, siedzący na pysznym pstrokatym koniu. Uganiał za nim stary szlachcic mazowiecki i, nie mogąc go żywcem pochwyć, uderzył na ostro, i wkrótce murzyk tatarski zachwiał się i, lecąc z konia, upadł głową w tył na stronę swoich towarzyszków. Mieli zaś Tatarzy za pewne *omen*, że pierwszy trup, który głową na ich stronę upadnie, wróży im pewną klęskę. Rozwściekieni tym wypadkiem, zbiegają się w jedną chmurę, szykują się i pędzą jak wichur pod szańce.

Hetman wysłał chorążego kor. z kilku pułkami naprzeciw nieprzyjaciela. Tuż za nim pośpieszył marszałek koronny na czele swego pułku, wysłany od hetmana z pomocą. Widząc, że się walka na dobre rozpoczyna, wysłano ks. Wiśniowieckiego w 6 chorągwi kozackich i Stef. Czarneckiego z rotą usarską. Za nimi rozkazano szlachcie krakowskiej, sandomierskiej, łęczyckiej i ruskiej ruszyć na nieprzyjaciela. Widok przeważnej siły przymusił Tatarów do odwrotu.

O dziesiątej sprowadzono wojsko z pola. Ogólna wesołość panowała w obozie, a żołnierz, znużony całodziennym stanem, wziął się dopiero w nocy do jadła.

Nazajutrz o świcie, dnia 29 czerwca, ruszyła cała jazda królewska w pole. Ustawiono ją w znacznej odległości od okopów, podczas gdy reszta wojska stała gotowa w obozie. Lewem skrzydłem dowodził hetman pol. Kalinowski, w środku stało pospolite ruszenie, wojewoda braćławski na prawem. Król i wojsko zwyciężyło sobie stanowczej bitwy.

Dzień był jasny, jak nadzieja zwycięstwa. Równo z dniem pojawiły się od Horynia oddziały tatarskie nad przeprawą. Bito do nich z dział i ręcznej broni i za przeprawę ich zagnano. Około jedenastej uderzył nieprzyjaciel większymi siłami i opanował przeprawy, słabo jednym oddziałem dragonji i polowami armatami bronione. Liczne oddziały ruszyły na równinę i rozpoczęły, jak zazwyczaj, harce, podbiegając pod szyki i wołując do walki. Wkrótce potem wzniosły się ze wszystkich stron słupy dymu. Kościoły, dwory, wsi na kilkumilowej przestrzeni stanęły w ogniu. Stutysięczna orda i cała jazda kozacka rozlała się po równinie w odległości półtorej mili od szyków polskich: pola i lasy pokryły się nieprzyjacielem. W pół godziny nadbiegło mnóstwo drobnych oddziałów tatarskich, gęściejszych niż w dniu poprzednim, i stanęły szeroko rozwartem półkolem, jakie pół mili od szyków polskich, zapaliwszy wszystkie sąsiednie wsi dla postrachu Polaków. Na środkowym wzgórzu pokazał się główny korpus ordy i jazda kozacka, kierując ku lewemu skrzydłu wojsk polskich. Podczas gdy chan wraz z hetmanem kozackim zdaleka przez perspektywę początku fortuny wojennej wypatrywał, rozpoczęła się bitwa, jakiej nikt nie pamiętał, bitwa 200.000 jeźdźców.

Przeraźliwy okrzyk Ałlah! Ałlah! wstrząsnął powietrzem, ziemia zadrżała pod kopytami stu tysięcy koni. Lewe skrzydło polskie posunęło się naprzód, centrum i prawe skrzydło stały nieporuszone. Główna siła tatarska uderzyła na lewe skrzydło, które zaraz przy pierwszym starciu zupełnie zostało ogarnione. Trzykroć wywijały się pułki jakby z matni, trzykroć znów na nowo były zabrane. Zdawało się już, że lewe skrzydło nie wytrzyma natarcia, kiedy silny atak wojewody podolskiego, który to skrzydło od prawego boku posiłkował, wybawił je ze stratą rotmistrza i kilkunastu towarzyszy. Cała potęga tatarska rzuciła się tedy na centrum. Wybiegł naprzeciw niej pułk Szczawińskiego, brzesko-kujawskiej szlachty, ratował go Lanckoroński; za nim pośpieszył hetman polny i ks. Jeremi Wiśniowiecki. Z samego środka centrum wysunęły się pułki hetmana wielkiego i, rzuciwszy się na następującą ordę, rozerwały całą wstęgę tatarską i zmieszały się tak z poganami, że niepodobna było rozróżnić Polaka od Tatara, tylko buńczuki i chorągwie migwały się w powietrzu. Ruszył za nimi pułk podkanclerzego litew-

skiego, ale musiał wrócić razem z innymi, boby żadna noga nie była wyszła cała z tego chaosu. Cofnęli się wszyscy pod działa polowe, które silnym ogniem napad nieprzyjaciela wstrzymały.

W lewym centrum wrzała walka najsilniej. Dwie chorągwie, Kżanowskiego, kasztelana halickiego, i starosty lubelskiego, które ruszyły bronić zmęczonych pułków, wróciły posiekane. Obaj dowódcy zginęli, wraz z nimi dużo znakomitych rycerzy. Na zbliżających się Kozaków rzucił się pułk królewski z całym zapędem. Ruszyły za nimi pułki Sobieskich i szlachta podolska, rzucił się jeszcze raz pułk hetmana wielkiego kor.; Tatarzy wzięli chorągiew hetmańską. Na jej obronę kazano Lubomirskiemu, Radziwiłłowi i Sapieżę uderzyć na nieprzyjaciela. Na całej linii bojowej wrzała walka bez planu, bez rozkazów. Każdy dowódca robił, co chciał; jeden bronił drugiego. Bitwa wznawiała się kilkakrotnie. Niektóre chorągwie w zapale wojennym zapędziły się dalej, niż potrzeba, i, goniąc nieprzyjaciela, który uciekając walczył, zostały otoczone i w pień wycięte.

Trwał bój do drugiej popołudniu, poczem orda odeszła, zadawszy klęskę Polakom. Padło 200 znakomitych rycerzy z polskiej strony, a co najgorsza, nieprzyjaciel pozostał panem pozycji, zajmując wzgórza i odciążając pole i paszę dla koni. Był to ciężki dzień z powodu straty tyłu rycerstwa, ale i pogaństwu dał się we znaki. Mieli do tysiąca zabitych i rannych, zginęło wielu murzów, a pomiędzy innymi Mechmed Geraj i sławny Tuhaj-Bej, którego szablę dostał starosta krasnostawski za waleczność. Buńczuk Haslan-murzy wzięto, a Muffrah-murzę, młodego i walecznego rycerza, bliskiego krewnego i podskarbiego chana, który o mało co nie wziął do niewoli młodego starosty jaworowskiego, towarzysze tegoż żywcem pojмали.

Tego dnia na radzie wojennej postanowiono wystąpić na jutro z całą siłą i ostatniej próbować decyzji.

O 2 godzinie po północy, 30 czerwca, słuchał król mszy św. i zaraz potem wyjechał z inżynierami w pole, aby miejsce rozpatrzeć. O 3 godzinie, zostawiwszy 3.000 piechoty w zawartym obozie, wyciągnął w pole ze wszystkiem wojskiem (80.000) i począł je szykować.

Chmielnicki niemniej był czynny. Całą noc przeprowadzał swoje tabory, armaty i piechotę, a z brzaskiem dnia wraz z chanem wojska swoje szykować zaczęli.

Silna mgła, która pola i lasy zaległa, zdawała się być przepowiednią wygranej, bo w takim czasie Tatarzy najniebezpieśliwiej wojowali. Obie strony, gotując się do ostatecznej rozprawy, stały w tej strasznej mgle od 3 zrana i nie widziały się wzajemnie. Dopiero o 10 godz., kiedy mgła nagle opadła, ujrzały ze zdumieniem swoją i nieprzyjacielską potęgę.

Oba wojska pomknęły się cośkolwiek ku sobie. Polacy stanęli przy ostatnim szańcu, a Tatarzy rozpoczęli zwyczajne harce, na które król pod gardłem wyjeżdżać zakazał. Aż do godziny 3 po południu stały tak oba wojska nieczynne; harcowników tatarskich spędziły armaty z pola. Król wysłał do chana parlamentarza, wyzywając go do bitwy, ale nie dostał żadnej odpowiedzi. Kazał więc król, aby ks. Wiśniowiecki zaczął. Za chwilę usłyszano trąby i bębny. Ośmnaście chorągwi wybiegło z frontu lewego skrzydła; na czele ks. Jeremi z gołą szablą w ręku, bez zbroi i bez czapki na głowie, pędził jak w taniec po piaszczystej błoni. Wichur niósł przed nim tumany piasku nieprzyjaciółom w oczy, słońce biło w nich promieniami.

W tym samym czasie uderzono w bębny na prawem skrzydle nieprzyjaciela, a sułtani Nuradyn i Gałga ruszyli na czele Tatarów sułtańskich i Turków sylistryjskich naprzeciw chorągwiom Wiśniowieckiego. Wraz z Tatarami ruszyły konne pułki kozackie i, wyprzedziwszy ich w biegu i pomieszawszy się z nimi, skoczyły na Wiśniowieckiego. Ośmnaście chorągwi polskich zniknęło w tłumie nieprzyjaciół, pył, poruszony kopytami końskimi, i tuman piasku, wichrem niesiony, owinał całą tę masę; w czarnej mgle nie widać było nikogo i zdawało się, jakby już stamtąd nikt nie miał powrócić. Na pomoc Wiśniowieckiemu leciały województwa krakowskie i sandomierskie, obożny koronny Szczawiński z pułkiem swoim i szlachta łęczycka z prawego skrzydła. Pułk za pułkiem leciał i ginął w tej trąbie powietrznej z kurzu i piasku.

Tymczasem król przelatywał szeregi i zachęcał do walki za wiarę, za świątynie zrabowane, za prawo Boskie. „Ruszajcie — wołał — pamiętajcie na przodków waszych odwagę

i męstwo! Przysięgam, że albo razem z wami zwyciężąc z pola powrócę, albo razem z wami zginę!“ Kiedy tak wołał, przebiegając szyki, kanclerz Leszczyński, otoczony duchowieństwem, kazał podnieść znak krzyża św. i z wałów ostatniego szańca błogosławił całemu wojsku... Chorągwie skłoniły się do ziemi, huk wszystkich armat zatrzęsł powietrzem, centrum i prawe skrzydło ruszyło naprzód.

W szykach polskich wielka była otucha i męstwo. Czy to słowa królewskie, czy szczęśliwe przecucie, czy wrodzona Polakom w chwilach ostatecznych odwaga — dość, że żołnierze niewypowiedzenie weseli, niezwykłego prawie nabierali serca. Chorągwie Wiśniowieckiego naprzód zetnęły się z Kozakami z wielką zapalczewością. Na pułk Szczawińskiego i województwo łęczyckie uderzył sułtan Nuradyn i, rozpedziwszy ich jednym natarciem, zwrócił się na województwa krakowskie i sandomierskie. Walczyła szlachta z zaciętością, ale nie mogła podoląć przeważającej sile tatarskiej; dopiero ks. Wiśniowiecki, rozgromiwszy Kozaków, ruszył jej w pomoc i zmusił Nuradyna do ucieczki.

Podczas gdy skrzydło lewe z taką energią odparło nieprzyjaciela, centrum pod dowództwem króla posuwało się bardzo powoli i to tylko lewym bokiem, bo całe prawe skrzydło stało w miejscu i nie można go było skłonić do pośpiechu. Król posyłał ordynansy po ordynansie, prosił, rozkazywał, groził — wszystko napróżno. Wojewoda braclawski i marszałek koronny odpowiadali, że wołą gardło stracić, niż ojczyznę i pana; że ruszyć z miejsca nie mogą, bo w lesie jest zasadzka. Istotnie w lesie był sam Chmielnicki z całym korpusem strzelców.

Słyszając o zasadzce w lesie i widząc posuwającą się armję Chmielnickiego i zbliżającą się noc, zaczęli dowódcy pojmować plan nieprzyjaciela i całą grozę położenia. Nie było czasu do namysłu: tylko wielka śmiałość mogła uratować od wielkiego nieszczęścia. Centrum i lewe skrzydło ruszyło gwałtownie naprzód, strzały armatnie padały raz po raz, coraz częściej i coraz trafniej. Kilkudziesięciu zabitych murzów zanieśiono pod nogi chana. Wreszcie sułtan Amurad, brat chana, uderzony kulą armatnią w piersi, padł wśród okrzyków grozy tatarskiej, i zaraz cała orda zaczęła się mieszać, jak spłoszone stado wilków. Wkrótce też, jakby na dany znak, pierzchnęła na wszyst-

kie strony, a sam chan ranny w nogę, zostawiwszy rydwan i wielki bęben, bałt zwany, którego głosu Tatarzy słuchali, i namiot swój na wzgórzu, dosiadł konia i z wiatrem uleciał do Leśniowa.

Na widok uciekających mas tatarskich tabor kozacki stanął, a potem zwolna cofać się począł. Chmielnicki zostawił swoich w lesie i popędził za chanem, aby go z drogi nawrócić. Islan Geraj, otoczony trupami swoich dowódców, zmienił konia i śpieszył w dalszą drogę, kiedy się hetman pokazał. Wstyd, strata brata i ludu, dokuczliwa rana i przepadła wyprawa — wszystko to zatrzęsało Tatarom na widok swego sprzymierzeńca i przyjaciela. Nie dał mu przyjść do słowa, zakrzyknął zdrajcą, kazał pochwytać, do konia przywiązać i popędził przed sobą cztery mile jeszcze tego samego dnia w stronę Wiśniowca. Orda — pisze Bogusław Radziwiłł — zagarnawszy Chmielnickiego, uszła.

Ten niespodziewany wypadek rozstrzygnął ostatecznie całą bitwę; połowa nieprzyjaciół uciekła, połowa została — bez głowy. Wojsko polskie zajęło wszystkie wzgórza, chorąży z lekkimi pułkami ruszył w pogoń za Tatarami, a o godzinie 9 zostały puste pola po nieprzyjacielu. Niebo zastoniło się ciężkimi chmurami, błyskawice latały w powietrzu, deszcz jak z cebra puścił się na pole bitwy, kiedy król i wojsko upadli na kolana i zaczęli śpiewać: *Te Deum!*

Był to szczęśliwy dzień dla Rzeczypospolitej: cały ogrom niebezpieczeństwa przeszedł jak chmura, wichrem w inną stronę pędzona.

Ludwik Kubala (Pod Beresteczkiem)

Streść ten szkic w ten sposób, ażeby streszczenie nie zajęło więcej ponad stronę, ażeby jednak równocześnie nie opuścić nic ważnego.

19. POJEDNANI

Szczapy ognia płonęły na kominku w izbie stancy kresowej. Zebranych wkoło ogniska słuchaczom rycerz kresowy pan Muszalski takie opowiadał przygody:

W młodości odziedziczyłem na Ukrainie, koło Taraszczy, posiadłość znaczną. Miałem i dwie wioski po matce wedle Jaśta, ale w ojcowiznie rezydować wolał, że to Ordy bliżej

i o przygody łatwiej. Fantazją żołnierską gnany na Dzikie Pola, w kompanji niespokojnych duchów chodziłem i rozkoszy zasnalem. Dobrze mi było na majątności; to tylko dolegało mi srodze, iż miałem lichego sąsiada. Był to prosty niegdyś chłop z pod Białocerkwi, który za jakieś tam usługi otrzymał od króla szlachectwo. Zwał on się Dydiuk. A trzeba waćpaństwu wiedzieć, że my się od pewnego wodza Samnitów wyprowadzamy, zwanego Musca, co po naszymu „mucha“ znaczy. Ów Musca, po nieszczęśliwych przeciw Rzymianom wyprawach, na dwór Ziemowita, syna Piastowego, przybył, który przezwiał go dla większej wygody Muscalskim, co potem potomność na Muszalskiego przerobiła. Poczuwając ja się tedy do krwi tak zacnej, z wielką abominacją patrzyłem na owego Dydiuka. Bo, żeby był umiał ten honor, jaki go spotkał, szanować i większą doskonałość stanu szlacheckiego nad wszelkie inne uznać, możebym nic nie mówił. Ale on ziemię jako szlachcic trzymając, z samej godności jeszcze się naigrawał. Więc pasja trawiła mnie dzika i począłem go gnębić. Nie zląkł się, człek był śmiały, z nawiązką płacił. Na szable byłby wyszedł, ale ja tego nie chciałem, mając nikczemność krwi jego na uwadze. Znienawidziłem go, jak zarazę, i on mnie nienawiścią ścigał. Raz w Taraszczy, na rynku strzelił do mnie; o włos mnie nie zabił; ja zasię rozszczepiłem mu głowę obuszkiem. Dwakroć zajeżdżałem go z dworskimi ludźmi, dwakroć on mnie z hultajstwem. Nie zmógł mnie, ale i ja przecie nie mogłem mu dać rady. *Oidium* rosło we mnie z każdym dniem, ażem pożółkł. Ciągłe o tem jeno myślałem, jakoby go schwytać.

Ale Pan Bóg zrządził inaczej.

Miałem za wsią pasiekę zacną i raz poszedłem ją oglądać. Było to pod wieczór. Zabawiłem tam ledwie z dziesięć pacierzy, aż tu *clamor* jakowyś o moje uszy uderza. Obejrzę się: dym jako obłok nade wsią. Po chwili lecą ludzie. „Orda! orda!“ A tuż za ludźmi — ćma, powiem acaństwu! Strzały lecą jakoby deszcz zacinał, i, gdzie nie spojrzę, baranie kozuchy i djabelskie mordy ordyńskie. Ja do konia! Nimem nogą strzemięcia dotknął, już mnie z pięć albo sześć arkanów chwyciło. Rwałem je przecie, silny byłem... *Nec Hercules!*...

W trzy miesiące potem znalazłem się z innym jassyrem za Bachczysarajem, we wiosce tatarskiej, Suchajdzik zwanej.

Panu memu było na przewisko Sałma-bey. Bogaty był Tatarzyn, ale nieludzki i dla niewolników ciężki. Musieliśmy pod batogami studnie kopać i w polu pracować. Chciałem się wykupić: miałem za co. Przez pewnego Ormianina pisałem listy do moich majątności pod Jasłem. Nie wiem, czy listy nie doszły, czy okup w drodze przejęto, dość, że nic nie przyszło... Powieźli mnie do Carogrodu i na galery sprzedali.

Siłaby o tem mieście opowiadać, od którego, nie wiem, jeżeli jest większe i ozdobniejsze na świecie. Ludzi tam, jako traw w stepie, albo kamieni w Dniestrze... Mury na Jedykule srogie. Wieża przy wieży... W grodzie razem z ludźmi psi się błakają, którym Turcy krzywdy nie czynią, dlatego widać, że się do pokrewieństwa poczuwają, sami psubratami będąc... Nie masz między nimi innych stanów, jeno panowie a niewolnicy, zaś nad pogańską nie masz cięższej niewoli. Bóg wie, czy to prawda, ale tak na galerach słyszałem, że wody tamtejsze, jak jest Bosfor i Złoty Róg, które w głąb miasta zachodzi, z łez niewolników powstały. Nie mało tam i moich się polało...

Straszna jest potencja turecka, i żadnemu z potentatów tak wielu królów, jako sułtanowi nie podlega. Sami zaś Turcy powiadają, że gdyby nie Lechistan (tak oni Rzeczpospolitą, matkę naszą, nazywają), tedyby już *orbis terrarum* dawno panami byli. „Za plecami Lacha — powiadają — reszta świata w nieprawdzie żyje, bo ów — prawią — jak pies przed krzyżem leży, a nas po rękach kąsa...” I mają słuszność, bo przecie tak było i tak jest... Siła jest złego w naszej Rzeczypospolitej, ale przecie tak myślę, że nam ową funkcję i Bóg kiedyś policzy i ludzie może policzą.

Ale owo wracam do tego, co mi się przygodziło. Ci niewolnicy, którzy na łądzie, w miastach i po wsiach żyją, w mniejszej jęczą opresji od tych, którzy na galerach wiosłować muszą. Bo onych galerników raz na brzegu nawy wedle wiosła przykuwszy, nie odkuwają już nigdy, ani na noc, ani na dzień, ani na święta — i do śmierci w łańcuchach żyć tam trzeba; a tonie-li okręt *in pugna navali*, to oni z nim razem tonąć muszą. Nadzy są wszyscy, zimno ich mrozi, deszcz mo-

czy, głód gniecie, a na to niemasz innej rady, jeno łzy i praca okrutna, bo wiosła są tak wielkie i ciężkie, że dwóch ludzi do jednego trzeba...

A mnie przywieźli w nocy i zakuli, posadziwszy naprzeciw jakiegoś towarzysza niedoli, którego *in tenebris* poznać nie mogłem... Kiedym to usłyszał ów stukot młota i dzwonięcie kajdan — miły Boże! zdawało mi się, że ćwieki moja trumnę zabijają, chociaż i tobym wolał. Modliłem się, ale nadzieja w sercu, jakoby ją wiatr zwiął... Jęki moje dozorca batogami potłumił, więc przesiedziałem cicho całą noc, póki nie zaczęło świtać... Spojrzę ja wtedy na tego, kto ma ze mną wiosłem robić — Jezu Chryste miły! — zgadnijcie państwo, kto był naprzeciw mnie? — Dydiuk!

Poznałem go zaraz, chociaż był goły, wychudł i broda urosła mu w pas, bo już dawniej był na galery zaprzedan... Począłem się na niego patrzeć, on na mnie; poznał mnie także... Nie mówiliśmy do siebie nic... Oł, na co nam obom przyszło! Ale przecie taka jeszcze była w nas zawziętość, że nie powitaliśmy się po Bożemu, ale uraza buchnęła w nas, jak płomień, i aż radość chwyciła za serce każdego, że i jego wróg tak samo cierpieć musi...

Tegoż samego dnia nawa ruszyła w drogę. Dziwne było z największym nieprzyjacielem za jedno wiosło imać, z jednej misy ochłapy jeść, którychby psi u nas jeść nie chcieli, jedno tyraństwo znosić, jednym powietrzem dychać, razem cierpieć, razem płakać... Płynęliśmy po Hellesponcie, a potem po Archipelagu. *Insula* tam przy *insuli*, a wszystko w mocy tureckiej... Oba brzegi takież... świat cały!... Ciężko było. W dzień znój niewypowiedziany. Słońce tak pali, że aż woda zda się od niego płonąć, a kiedy one blaski poczną drgać i skakać na fluktach, rzekłbyś: deszcz ognisty pada. Pot się z nas lał, a język przysychał nam do podniebienia... W nocy zimno kąsało jak pies... Pociuchy znikąd — nic, jeno strapienie, żal za utraconem szczęściem, strapienie i mordega. Słowa tego nie wypowiedzą...

Potem pozęglowaliśmy naokół Poloponezu. Dzień szedł za dniem, tydzień za tygodniem; myśmy z Dydiukiem słowa do siebie nie rzekli, bo jeszcze hardość i zawziętość mieszkąta w naszych sercach... Ale poczęliśmy zwolna kruszeć pod

ręką Bożą. Z trudu i zmienności aury grzeszne cielsko jęło nam prawie odpadać od kości; rany, surowcem zadane, gnoiły się na słońcu. W nocy modliliśmy się o śmierć. Co się zdrzemnę, to słyszę, jako Dydiuk mówi: „Chryste pomyłuj! Świataja Preczystaja, pomyłuj! daj umerty!“ On też słyszał i widział, jakom ja do Bogarodzicielki i Jej Dzieciątka ręce wyciągał... A tu jakby wiatr morski urazę z serca zwiewał... Coraz mniej, coraz mniej... W końcu, jakem nad sobą płakał, tom i nad nim płakał. Jużeśmy też oba spoglądali na siebie inaczej... Ba! Poczęliśmy sobie świadczyć. Jak na mnie przyszły poty i śmiertelne znużenie, to on sam wiosłował; jak na niego, to ja... Przyniosą misę, każdy uważa, żeby i drugi miał. Ale patrzcie acaństwo, co to natura ludzka! Poprosto mówiąc miłowaliśmy się już, ale żaden nie chciał tego pierwszy powiedzieć...

Kiedy już okrutnie nam było źle i ciężko, powiedziano nam w dzień, że nazajutrz spotkamy się z wenecjańską flotą. Żywności też było skąpo, i wszystkiego nam żałowali prócz bicia. Przyszła noc: jęczymy zcicha i — on po swojemu, ja po swojemu — modlimy się jeszcze żarliwiej. Patrzę ja przy świetle miesiąca, aż jemu ciurkiem łzy na brodę lecą. Wezbrało mi serce, więc mówię: „Dydiuk, toć my z jednych stron: odpuśćmy sobie winy“. Jak to usłyszał — miły Boże! — kiedy chłopisko nie ryknie, kiedy się nie zerwie, aż łańcuchy zabrękały. Przez wiosło padliśmy sobie w ramiona, całując się i płacząc... Nie umiem rzec, jakeśmy się długo trzymali, bo tam już i pamięć nas odeszła; jenośmy się trzęśli odełkania...

Pan Bóg pobłogosławił nas i łaskę swoją okazał, ale narazie gorzko przypłaciliśmy ów braterski sentyment. Oto, trzymając się w objęciach, poplątaliśmy tak łańcuchy, żeśmy ich odczepić nie mogli. Przyszli dozorczy i dopiero nas rozczepili, ale kańczug więcej godziny świstał nad nami. Bito nas, nie patrząc gdzie. Popłynęła krew ze mnie, popłynęła i z Dydiuka, pomieszła się i poszła jednym strumieniem w morze. No! nic to! stare dzieje... na chwałę Bożą!

Od tej pory nie przyszło mi do głowy, że ja od Samnitów pochodzę, a on chłop białocerkiewski, niedawno uszlachcon. I brata rodzonego nie mógłbym więcej miłować, jakom

jego miłował. Choćby też i nie był uszlachcon, jednoby mi było — choć wolałem, że był. A on po staremu, jako niegdyś nienawiść, tak teraz miłość oddawał z nawiązką. Taką już miał naturę.

Nazajutrz była bitwa. Weneccjanie rozegnali naszą flotę na cztery wiatry. Nasza galera, potrzaskana srodze z kolumbryn, zataiła się przy jakowejś pustej wysepce, poprosto skale, z morza sterczącej. Trzeba ją było naprawiać, a że żołnierze poginęli i rąk brakło, musieli nas rozkuć i siekiery nam dać. Jakeśmy tylko na ląd wysiedli, spojrzę na Dydiuka, a u niego już to samo w głowie, co u mnie. — „Zaraz?“ — pyta mnie. „Zaraz!“ — mówię i, nie myśląc dłużej, w łeb dozorcę: wtem on samego kapitana. Za nimi inni jako płomień! W godzinę skończyliśmy z Turkami, potem zładowaliśmy jako tako galere i siedli na nią bez łańcuchów, a Bóg miłosierny kazał wiatrom przywiał nas do Wenecji.

O żebraczym chlebie dostaliśmy się do Rzeczypospolitej. Podzieliłem się z Dydiukiem podjasielską posiadłością, i oba zaciągnęliśmy się znowu, żeby za nasze łzy i naszą krew zapłacić. Podczas potrzeby podhajeckiej Dydiuk poszedł aż do Krymu. Lecz gdy powracał, syt zemsty od strzały poległ. Ja zostałem i teraz oto, ilekroć łuk naciągam, czynię to na jego intencję.

Henryk Sienkiewicz (Pan Wołodyjowski)

Czy możnaby tej opowieści dać napis „przetworzony“. Gdyby tak, dlaczego? Które ze znanych utworów przyszły Ci na myśl, gdyś czytał „Pojednanych“? Dzięki czemu? Która scena w „Pojednanych“ wzruszyła Cię najsilniej? (Która we „Wiestawie“, w ustępie „W kopalni węgla“ w „Głupim Franku“, w noweli Sienkiewicza „W niewoli tatarskiej“?). Czy potrafiłbyś namalować w myśli obraz przedstawiający chwilę napadu Tatarów (na podstawie opowiadania Muszalskiego)? Co musiałaby Ci poddać wyobraźnia? Dlaczego w opowiadaniu Muszalskiego brak szczegółów obrazu?

20. BUDOWLE RENESANSOWE I BAROKOWE W POLSCE

Renesansem nazwano wielki zwrot, który dokonał się w początku wieku XV w życiu umysłowym przez rozbudzone upodobanie w zabytkach świata klasycznego. Poeci, rzeźbiarze, architekci, badając te zabytki, kształcili się i przyswajali sobie

cały zasób artystycznych zdobyczy Rzymian i Greków. Odrodziła się poezja, rzeźba, odrodziło się budownictwo.

W budownictwie naczelną zasadą u starożytnych była symetria, niczem niezakłócona harmonia. Budowle były tak pomyślane w planie ogólnym i w szczegółach, że nie można było nic im dodać ani ująć bez zepsucia pięknej całości. Tę zasadę naczelną przyjęli od starożytnych architekci doby odrodzenia i pilnie jej przestrzegali przy wznoszeniu świątyń i pałaców.

Wyrazem jednolitości i zespolenia form w kościołach renesansowych jest kopuła. Umieszczano ją w miejscu, w którym przecinały się nawa główna z poprzeczną, a w ten sposób kopuła wiązała i jednoczyła symetryczną budowę wewnętrzną w nierozzerwalną, harmonijną całość. Zamiłowanie do kopuły, jak i wszystkie inne upodobania, wzięto od Rzymian.

Zewnętrzna strona kościoła ujmowała również harmonijnością. Front, rozczłonkowany równo, zdobity gzymsy, przyparte kolumny, tudzież nysze z figurami świętych — wszystko wykute bardzo pięknie i ozdobnie. Kopuła kończyła się na zewnątrz najczęściej latarnią, kulą i krzyżem. Wieże, o ile je umieszczano, służyły tylko do ozdoby frontu i nie były wysokie. Na tych wieżyczkach widniały zazwyczaj kopułki lub latarnie.

Pałac w stylu renesansowym przedstawiał się jako budowa w czworobok, o czworobocznym dziedzińcu, wzdłuż którego biegły korytarze; w częściach piętrowych odpowiadały korytarzom galerje. Front domu był nadzwyczaj starannie obmyślany, rozłożenie okien i drzwi tak przeprowadzone, by wszędzie panowała harmonia. Mury facjaty wznoszono często z wielkich ciosów kamienia, który tak obrabiano, aby wydobyć piętno pomnikowego materiału. Mur taki nazywano rustyką.

Ozdoby składały się z liści nadzwyczaj bogato przedstawionych i starannie wykutych. Formy roślinne łączyli artyści z formami zwierzęcymi, mitologicznymi, a nawet z różnymi przedmiotami, jak świeczniki, maski, zbroje i t. d. Najpowszechniej jako ozdobą posługiwano się nagimi aniołkami.

Odrodzenie przekształciło się w *barok*. Różnica między stylem odrodzenia a barokiem leży w ogólnym charakterze. W renesansie całość jest gruntownie obmyślana, i każdy szcze-

gół odgrywa tu rolę, budowla barokowa wywołuje wrażenie nie konstrukcją, lecz malowniczością. Gzymsy np. niczego tam nie dźwigają, jak w renesansie, ale są użyte poprostu do ozdoby. Posuwają się architekci do tego nawet, że umyślnie gzymsy przerywają, a w przerwie nie wahają się umieścić jakiejś figury. Nie wzdrygają się kolumny stawiać wolno bez żadnej łączności, a na wierzchu jej sadzać również figury. Domy stają się coraz to potężniejsze. Bramy zdobią potężne rzeźbione postacie trzymające gzymsy, czyli tak zwane karjatydy. Sale tak kościołów jak i pałaców są okazałe, ozdoby figuralne przesadne i pełne teatralności, linje pówyginane i wyszukane. Styl ten panuje głównie w w. XVII.

Pierwsze budowle w stylu renesansowym stanęły we Włoszech w XV stuleciu, a za początek odrodzenia w architekturze uważa się rok rozpoczęcia kopuły na katedrze florenckiej (1420). W Polsce zaznaczył się renesans w budownictwie dopiero z początkiem wieku XVI dzięki wpływom Węgiei i inicjatywie Zygmunta Starego, do pierwszych zaś wybitniejszych budowli epoki odrodzenia u nas należy kaplica zygmuntońska na Wawelu, wykonana w latach 1528—1530 przez Bartłomieja Berecci z Florencji.

Zewnątrz, w dolnej części, przedstawia się kaplica jako budowa kwadratowa bez okien, poprzedzielana bardzo starannie opracowanymi pilastrami¹⁾, wspartymi na cokole²⁾. Ponad czworoboczną podstawą wznosi się ośmioboczny bęben z oknem okrągłym na każdej stronie; naroża ozdobione są pilastrami. Na bębnie wspiera się kopuła, pokryta miedzianą łuską, pozłoczoną później kosztem Anny Jagiellonki. Wyżej jeszcze stanęła latarnia o wydłużonych okrągłolukowych arkadach. Dach latarni pokrywa metalowa korona. Latarnia przechodzi w smukły ośmiobok, zakończony szpicem, na szpicu zaś mieści się kula, a na niej stoi nagi aniołek, dźwigający koronę i jabłko z olbrzymim krzyżem.

Całej tej konstrukcji zewnętrznej odpowiada wewnętrzna. Każda ze ścian dolnej kwadratowej części dzieli się w kierunku pionowym na część środkową z nyszą, złożoną z łuku, wspar-

¹⁾ Pilastr, filar, czyli słup pionowy, występujący na kilka cali ze ściany albo z rogu między dwiema ścianami. — ²⁾ Cokół, najniższa część ściany budynku, stanowiąca przejście od ściany właściwej do fundamentów.

tego na impostach¹⁾, i z dwu części bocznych, ujętych pilastrami, między którymi znajduje się niza z figurą stojącą, a wyżej jeszcze medaljon z popiersiem. W poziomym kierunku każda ściana składa się z cokołu, na którym wspierają się pilastry, a wyżej gzyms i architraw²⁾). Figury, stojące w nyzach, przedstawiają patronów kaplicy, medaljony zaś czterech ewangelistów i królów Dawida i Salomona.

Pod względem proporcji i umieszczenia kopuły kaplica zygmuntońska należy do arcydzieł odrodzenia. Wywarła też ogromny wpływ na sztukę w Polsce i wywołała sporo naśladownictw, nawet później w dobie baroku. Miejscowi kamieniarze przekształcali jednak nierzadko formy pierwowzoru, i tak powstał rodzimy renesans i barok. Tu należy kaplica Boimów we Lwowie, wykonana w latach 1609—1619 przez miejscowych artystów.

Z kościołów renesansowych posiadamy wspaniały kościół św. Piotra w Krakowie. Stoi on na pograniczu między odrodzeniem a barokiem. W planie przedstawia formę krzyża, środek budowli wieńczy przepiękna kopuła. Obszerna nawa zwraca odrazu uwagę widza. Jezuitom chodziło o to, aby zgromadzić pobożnych razem i skupić ich koło ambony, stąd nawy boczne zredukowano do nieznaczących rozmiarów. Kopuła nie tylko panuje nad budową zewnątrz, zwłaszcza od strony zachodniej, ale uwytatnia się również wewnątrz budowli. Rośnie ona w miarę zbliżania się od wejścia ku głównemu ołtarzowi i występuje w całym majestacie, gdy widz stanie pod nią; wtedy jej stosunek do nawy i chóru, polegający na znakomitem obmyśleniu proporcji, zaznacza się w całej pełni i nadaje budowie piętno wybitnego artyzmu. Kościół ten wystawili Jan Marja Bernardone z Como i Jan Gislenus rzymianin, ogrodzenie przed facjatą z dwunastu apostołami w patetycznych pozach wykonał Hieronim Canavesi.

Jednym z najpiękniejszych dzieł rozwiniętego renesansu w Polsce jest wykonany z wielkim poczuciem piękna kościół kamedułów na Bielanych pod Krakowem, dzieło architektury Andrzeja Spezza. Miejsce naw bocznych zajmują w kościele

¹⁾ Impost, ta część przeciwległej konstrukcji, na której się łuk opiera. —

²⁾ Architraw, belkowanie spoczywające na pilastrach.

tym kaplice; nawy poprzecznej i kopuły brak. Na szczególniejszą uwagę zasługuje piękna facjata z ciosu z dwiema wieżami.

We Lwowie są także z tej epoki dzieła w tym samym stylu, ale bez podobnej artystycznej wartości. Wyróżnia się cerkiew wołoska z t. zw. wieżą korniaktowską, niegdyś bardzo piękną, obecnie zepsutą. Plan budowy cerkwi odpowiadał wprawdzie obrządkowi greckiemu, ale w wykonaniu zaznaczył się styl Zachodu, obejmujący całą Polskę. Tu należy wymienić również lwowski kościół OO. bernardynów. Wogóle po całej Polsce rozrzucone są kościoły w stylu rozwiniętego renesansu, przechodzącego w barok, i w stylu baroku. Plan przyjmuje najrozmaitsze kształty, nieraz nawet kształt rotundy, otoczonej niższą nawą boczną, przyczem nie brak kopuły i dwu frontowych wież. Takim jest kościół parafjalny w Klimontowie w Sandomierskiem. Bywają kościoły nieraz bardzo skromne, z jedną nawą, jednakże z dążnością do przepychu, charakteryzującego styl. Styl ten trwa przez cały wiek XVII. Z końca wieku wspomnieć należy kościoły św. Krzyża i PP. wizytek w Warszawie, tudzież św. Piotra i Pawła w Wilnie.

Najpiękniejszym przykładem baroku z końca XVII wieku jest kościół św. Anny w Krakowie.

* * *

Początek rozwojowi *świeckiej* architektury w stylu odrodzenia dał zamek królewski na Wawelu. W roku 1449 wybuchł pożar w krakowskim zamku i zniszczył królewską rezydencję. W miejsce spalonej, zaczęto naprzód stawiać budowę na mniejszą skalę, ale później zabrano się do wzniesienia wielkiego i wspaniałego gmachu. Architektem, który objął kierunek nad budową, był Włoch, Franciszek della Lore i prowadził ją w latach 1510—1516. Zamek jednakże o takim planie, w jakim go obecnie widzimy, wykończył znany nam już Florentczyk, Bartłomiej Berecci.

Dziś tak wewnątrz jak i zewnątrz pod względem architektonicznym zmieniło się wiele, ale pozostało mimo to niejedno, co tłumaczy nam pochwały współczesnych, zachwycających się gmachem. Imponujący dziedziniec z arkadami dokoła, na dole i na obu piętrach gmachu, wykazuje odrazu

system renesansowej budowy pałacu. Arkady te, później podmurowane, wyglądały ciężko i niezgrabnie, pierwotnie jednak ich struktura była lekka i pełna aryzmu. Prześliczne były zwłaszcza szczupłe, a nadzwyczaj silne kolumny drugiego piętra, dźwigające rzeźbiony, bardzo ozdobny pułap wystającego dachu. Szereg olbrzymich okien otwierał z jednej strony widok do sal z galerji, z drugiej widok na Kraków. Nad dziedzińcem panowała olbrzymia baszta, zwana „wybranką“. Do sal prowadziły odrzwia i marmurowe schody. Sale były obszerne, niektóre z nich miały stałe przeznaczenie, jak sala senatorska, poselska, marszałkowska. Najdłużej przetrwała sala poselska, bo do końca XVIII wieku. Urządzenie jej było wspinałe. Drzwi do niej wyłożono kosztownem drzewem, perłową masą i kością słoniową, w suficie osadzono 193 piramid z gałkami złoceniemi. Między temi piramidami mieściły się głowy, snycerską robotą misternie wyrabiane i malowane, a było ich 196. W pośrodku sufitu znajdowały się trzy orły, pogoń i wąż jako herby Bony Sforzy, a nadto zwisał pajak spiżowy, przy którym widziało się lwa, trzymającego herby koronne i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Poniżej fryzu¹⁾ sufitowego na ścianach sali wymalowano postacie królów i królowych.

Zewnątrz styl odrodzenia nie zaznaczył się tak wybitnie, symetryczność jednak i regularność w układzie okien, dachy zdobne dachówkami, układanemi we wzory, dymnikami i kominami, wszystko to wyglądało harmonijnie i bardzo okazałe.

Za przykładem królewskim poczęto stawiać zamki magnackie i domy w stylu odrodzenia. Zamków dochoowało się niewiele — wspaniały tęczyński popadł w ruinę — z tych, które ocalały, najlepiej dozwala poznać strukturę zamek w Baranowie, w powiecie tarnobrzskim. Więcej zabytków znajdziemy w miastach, bo, jak magnaci naśladowali króla, tak mieszczanie szli w ślady magnatów. Kamienice mieszczańskie tej epoki mają rozwinięte fronty, dziedzińce obszerne i otoczone kruzgankami na arkadach. Charakterystycznym motywem, który w Krakowie się wytworzył, są t. zw. attyki, czyli szczyty domów, zasłaniające dach i jego spadzistość. Włoskim architektom chodziło o to, ażeby całość dostroić do linii horyzontalnej,

¹⁾ Fryz, środkowa gładka część belkowania między architrawem a gzymsem.

a temu właśnie przeszkadzały konieczne u nas spadziste dachy, które trzeba było zakryć. Przykład attyki takiej widzimy na Sukiennicach, których przebudowę w stylu odrodzenia prowadził architekt Jan Marja Padovano od r. 1541 do 1573. Ozdobą każdego domu był nadto portal.

Gzyms podpierają kolumny, a na gzymisie znajdowały się napisy. Facjatę zdobiły często rzeźby, niekiedy malowane. Tu i ówdzie stawały w stylu odrodzenia ratusze, a do najpiękniejszych zaliczyć należy ratusz w Poznaniu.

Barok nie zaznaczył się wielkimi zmianami w planie domów. Dawne formy renesansowe zostały rozczłonkowane i pogięte, aby przedstawiały się najokazalej, karjatydy trzymają gzymсы, nie usprawiedliwione żadną architektoniczną potrzebą. Nie o harmonję tu chodzi, lecz o malowniczość i przepych. Najpiękniejsze budowle w stylu barokowym stanęły w Warszawie.

Według Feliksa Kopery (Architektura i rzeźba w Polsce)

21. WIATR HALNY

Chmurny dzień przeszedł niespostrzeżenie w mrok wieczoru i gasnął w cieniach zaciągającej się nocy.

Aneroid¹⁾ spadł nagle w przeciągu pół godziny tak, że należało się spodziewać jakichś niebywających kataklizmów powietrznych. A jednak cóż już mogło być gorszego? Zdawało się, że powietrze jest już tak nasiąkłe parami wodnymi, iż gorzej mogłoby być chyba, gdybyśmy się ocknęli na dnie jakiegoś jeziora, oko w oko z pstrągami, rybami i żabami.

W nocy wśród ślepej ciemności zbudził nas nagły świst, brzęczenie szyb, trzeszczenie dachów i wycie pieców. Zdawało się, że skrzydła ogromnego ptaka z szumem piór wielkich, jak masztowe sosny, uderzają o ściany chałupy, zmiatają lby świerków i znowu gdzieś giną w głębi czarnej nocy. Wtedy na chwilę wszystko cichło, żeby nagle wybuchnąć z nową siłą szaleństwa i wściekłości.

W stronie zachodu wśród czarnych chmur ciemniał jeszcze czarniejszy płat nieba, na którym ostro migotały płomyki

¹⁾ Barometr metalowy.

gwiazd, jak gdyby chwiejąc się od podmuchów wiatru. Grał on najrozmaitszemi głosami. Dudnił po drabinach dachu, jak gdyby jakieś bosc stopy tańczyły tam zapamiętale; świszczał i jęczał w konarach świerków, turkotał, roztrącając się o ściany chałupy, a w przerwach jego podmuchów groźnie mruczał i bełkotał wezbrany ulewą potok.

Znużeni wkońcu nastuchiwaniem tej dziwnej muzyki usnęliśmy i nie obudziliśmy się, aż blisko południa, powitani tym samym świstem i szumem. Deszcz ustał, raczej nie miał czasu padać, porywany przez ciepły dech wiatru i rozpylany w mgłę, która świetlanemi kręgami leciała od południowego zachodu, skrząc się promieniami słońca.

Świerki gięły się jak trzciny, tarzały się, zadzierając w górę zielone warkoczki igliwia, chwiały się jak pijane, kręciły się i biły czołem o ziemię, strząsając szyszki ulatujące na wietrze razem z pianami i bryzgami potoku.

Dolinę zalewało blade słońce, świecąc się na mokrych dachach i połyskując na potokach, które rozbiegały się po łąkach i po lesie mnóstwem strug białych i pędziły spienione, niecierpliwie i zaciekle. Ku zachodowi jaśniał w niebie wielki otwór, napełniony bladym błękitem. Na lewo, ponad szczytami, niebo zawalone olbrzymiemi kłębami chmur ciemnych, lecących napozór z szaloną szybkością, a w rzeczywistości przewalających i szamocących się na miejscu. Od tego czarnego zwału odrywały się kosmyki i małe kłębki pary i umykały spodem, jak stada wystraszonych gołębi, wzlatując i osiadając na wzgórzach, okalających Zakopane od północy. Potężny wir powietrza tańczył w środku doliny, kłębił i szarpał całym tem morzem chmur, zalegających góry. Porywał wielkie szmaty mgły i rzucał w stronę północnego wschodu, gdzie się kończyła dzika jazda wichru i chmury stawały na miejscu, zapychając widnokrąg kłębami fioletowych obłoków. — Zdawało się, że jakaś potworna ręka przędzie z olbrzymiej, zalegającej pół nieba kądzieli, i rzuca w przestrzeń motki jedwabistej przędzy.

Chwilami wszystko cichło. Świerki się prostowały, chmury ustawały w locie i zwolna wznosiły się w górę, osłaniając ponad regłami szkarpy i szczyby skał szarych...

Lecz w tejże chwili nowy podmuch wiatru porywał je, strącał na dół, kłębił, szamotał, bił niemi o ziemię, ciskał

w niebo, niszczył i szarpał z jakąś warjacką zapamiętałością. Wianie tego wichru ma w sobie jakąś gwałtowność nerwową: porywy chwilowego szału, omdlenia, czajenia się i znowu nagłe, wściekle i nieprzytomne z szaleństwa wybuchy. — Cóż to za wietrzysko? — pytaliśmy gazdę, który, wsadziwszy w zanadrze ręce, patrzył na swoje smreki, szarpane wichrem, kręcił głową i spluwał frasobliwie.

— Wiecie panie, jako wam powiem — to je taki wiatr halny. Widzicie, jako *biere* chmury pod siebie? O! to je *morowy* wiatr! On ta i nie powinienby teraz *duć*, bo *ta* nie jego pora, *cheba*, że *cosi kansi* w niebie gazdostwo się popsowało, *kiej duje*. *Kieby* to zawsze tak *po leku duł*, jako *dzisiok!*... *Kanyco* najdzie — las to skreći i wyłamie, chałupę *praśnie* o ziem, a owies albo jarzec *potarze*, wiecie do znaku het! wyłamie, co i *ździebełka* nie ostanie... O! to je *morowy* wiatr! — dodał, spluwając i odszedł.

Wieczór się zbliżał. Podmuchy wiatrów stawały się coraz rzadsze, chmury wznosiły się wyżej, osłaniając ciemne piramidy regli i niższe podstawy szczytów, ciągle spowitych mgłami.

Słońce, zniżając się ku zachodowi, wyzierało od czasu do czasu czerwoną żrenicą przez poszarpane chmury i rzucało wdał jaskrawe promienie, palące się różowemi plamami na wschodniej stronie nieba.

Chmury coraz rzedyły i, kiedy ciemno-czerwony krąg słońca bez blasku zapadał za fioletowy zrąb falistego widnokręgu, niebo ledwo przesłaniało się lekkim obłokiem, z pod którego przeświecał błękit.

Ponad górami tylko kręciły się jak dymy wulkanów mgły fioletowe, uczeplone do ciemnej granitowej ściany. Noc zapadła. Wkońcu jednak ostatki chmur zwinęły się i uleciały.

Stanisław Witkiewicz (Na przełęczu)

Ile głównych części odróżnisz w powyższym ustępie? Które z wyrazów użytych przez autora przypominają dźwięki słyszane w naturze? Wyszukaj porównania. Wyszukaj zdania, w których autor nagromadził wyjątkowo wiele czasowników. Dlaczego to uczynił? Gdzie w tym ustępie istoty nieżywotne sprawiają na nas wrażenie istot żyjących? Wskutek czego? Czy „Wiatr halny“ to opis czy opowiadanie, proza czy poezja?

22. TATRY

Wdali -- jakby ciągnący łąwą huf kresowy
 Z gwiazdami na szyszakach, z proporcem obłoków
 Zakamieniał, dotarłszy aż do nieba stoków —
 Tak Tatry ciemnym murem zwarły dumne głowy!

Wielki, jak sny młodości, mroźny kraj śniegowy! 5
 Gdzie król burz, halny orkan, błądzi w szacie mroków,
 Gdzie wiszą gniazda orłów, gromów i potoków,
 Gdzie Mistrz świata w obłokach ma tron granitowy!

Tatry! Czemż jak siedzib szukające ptaki,
 Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni 10
 Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?
 O pustyni tatrzańska! bo na tym obszarze
 Całej mojej ojczyzny, o skalna świątyni!
 W tobie jednej są jeszcze swobody ołtarze!

Franciszek Nowicki

23. MORSKIE OKO

(II)

Tu myśl twórcza straszliwą pięknnością wykwiła —
 Pięknnością niezmierną potęgą i siłą,
 Co, gromami na skałach rozdartych wryta,
 Świadczy dziś o przewrotach w łonie ziemskiej bryty.

Dziki zamęt! — głazami zasłane koryta 5
 Zdają się placem boju, gdzie niegdyś walczyły
 Północne groźne bogi i krew ofiar piły
 Z czary, która w jezioro upadła — rozbita.

Wszystko tu do ostrego tonu się nagina;
 Poszarpane gór grzbiety, wody się czernieją, 10
 Skały, wiszące śniegi, zarośla, mgła sina...

Wszędzie surowa wielkość, przed którą maleją
 Sny człowieka, co staje, jak mała dziecina,
 Przed skamieniałą dawnych bogów epopeją!

Adam Asnyk

Zastanów się nad porównaniami w pierwszej i drugiej zwrotce w sonecie „Tatry“, co i z czem porównywa poeta? Dzięki któremu porównaniu rysowuje się przed naszymi oczyma obraz dostrzegalny zmysłem wzroku? Czy z porównaniem spotykamy się także w sonecie „Morskie Oko“? Wskaż przenośnie w obu sonetach. W których wierszach w jednym i drugim sonecie autorowie kreślą obrazy, w których wyrażają uczucia? Jaki zachodzi związek między obrazami a uczuciami? Czy są to uczucia podobne?

24. BROŃ W DAWNEJ POLSCE

Nieodzowną, a najdosłojniejszą część kostjumu w dawnej Polsce stanowiła broń. Inna była broń do boju, inna do stroju; za panem, który przypasał bogatą karabelę, chadzał wyrostek z drugą szablą, by ją podać zaraz, gdyby zaszła potrzeba użyć broni na serjo. Nie dziw też, że szabla stała się przedmiotem zbytku, który atoli nie poprzestał na niej samej, ale przeniósł się także na inne przybory rycerskie. Szlachta tak dalece lubowała się w bogatej i ozdobnej broni, że często broń traciła już cechę oręża i stawała się rzeczą fantazji i teatralnej pompy. Król Stefan Batory, przybywszy do Polski, gorszył się widokiem szlachty w szyszakach i pancerzach, na których więcej było złota i srebra, aniżeli żelaza.

Był to objaw wrodzonego ówczesnym Polakom zamiłowania zewnętrznej świetności, podniecanego ustawicznie wpływem Wschodu, tej ojczyzny broni fantastycznie bogatej. Nigdzie też w Europie nie spotykamy takiego zbytku broni jak w Polsce, a mamy tu na myśli zbytek materialny, bo zbytek w dosłojniejszym znaczeniu, zbytek artystyczny, był na tem polu wspólną cechą wszystkich narodów wysokiej kultury aż do końca XVIII wieku; panował we Włoszech, Francji i Niemczech. Ale podczas gdy w tych krajach płatnerz i miecznik zdobył broń rzeźbą i inkrustacją¹⁾, a więc sposobami prawdziwie artystycznej natury, pozostawiając żelazu i stali to dominujące znaczenie, jakie im się należy, w Polsce obok wszystkich powyższych sposobów zdobnictwa używano tyle złota, tyle drogich kamieni, że stał na zbroi, głównie u szabli stawały się rzeczą drugorzędną, a sam ornament celem.

W inwentarzach magnackich i szlacheckich spotykamy przyłbice i szyszaki z szczerzego srebra, grubo pozłociste, sadzone drogiemi kamieniami. Takim samym przepychem uderzały tarcze, a zwłaszcza t. zw. kałkan, bardzo ulubiony w Polsce: tarcza pleciana z figowego pręcia, owiniętego w barwisty i wzorzysty jedwab, której metalowy środek, czyli t. zw. uchwał, inaczej cyrkuł (rzymskie *umbo*), kuty ze szczerzego złota lub srebra, bywał często prawdziwym klejnotem, tyle drogich ka-

¹⁾ Inkrustacja, wykładanie przedmiotów złotem, hebanem, mozaiką i t. p.

mieni składało się na jego ozdobę. Taka tarcza była raczej kosztownym sprzętem dekoracyjnym, ozdobą kostjumu, konia lub też ściany, aniżeli ochronną bronią; szlachcic wieszał ją nad łóżkiem, tuż pod ryngrafem z wizerunkiem Bogarodzicy, jechał z nią na „okazowanie“¹⁾, wieszano ją pod czapką z białymi piórami przed namiotem hetmańskim, upinano u boku konia na wjazdach uroczystych.

Prawdziwem cackiem, a zarazem reprezentacyjną ozdobą rycerską był sajdak czyli kołczan, który mimo coraz większego udoskonalenia broni palnej nie wychodził bardzo długo z użytkowania, jak wogóle jeszcze po sam koniec XVII wieku całe chorągwie polskie, zwłaszcza t. zw. wołoskie, uzbrojone były łukami. Nawet jeszcze w ostatnich latach XVIII wieku wielu ze szlachty chadzało z sajdkami, które prawie aż do ostatecznej zagłady staropolskiego obyczaju zachowały tradycyjne znaczenie rycerskiego godła. Sajdak bywał albo ze skóry, albo z drzewa, albo z kruszcu. W pierwszym wypadku zdobił go bogaty haft z ciągnionego złota lub srebra, w drugim przybierał nazwę łubia, a kryty był srebrną blachą lub aksamitem i miał ornamentację najrozmaitszej techniki; w trzecim natomiast kruszec bywał szlachetny, a złoto i srebro było kameryzowane²⁾ turkusami, almandynami, a niekiedy i droższymi niż kamieniami, jak tego liczne przykłady spotykamy w inwentarzach i testamentach.

Do najokazalszych i najkosztowniejszych przyborów reprezentacyjno-kostjumowych należały buławy i buzdygany, które z rzeczywistej ongiś wojennej broni obuchowej (*masse de guerre*, *Streitkolben*) stały się już tylko odznakami wojskowej hierarchji, aż wkońcu i u nas w Polsce i to znaczenie straciły, skoro znajdowały się w kilku nawet egzemplarzach w każdym niemal znakomitszym domu szlacheckim, mimo że nie było w nim nigdy ani hetmana ani regimentarza. Z inwentarzy, portretów, z rycin, z opisów, przechowanych do naszych czasów, odnosi się wrażenie, że, kto chciał, ten nosił te odznaki, choć się właściwie należeć powinny były tylko starszyźnie wojskowej. Gdzie jednak armja była improwizo-

wana, tam oczywiście nie brakło także improwizowanych wodzów, regimentarzy, rotmistrzów.

Buława nie ulegała znacznieszym zmianom co do formy, tylko gałka, w regule kulista, przybierała czasem kształt owalny; zato buzdygan miał wiele form rozmaitych, najbardziej zaś z nich typowa i niejako zasadnicza była t. zw. pierzasta, która polegała na tem, że główka buzdygana składała się z sześciu lub siedmiu t. zw. piór, wpuszczonych w trzonek; inne, także często używane formy, nie miały piór i przypominały gruszkę sześciocienną, latarnię, beretkową główkę i t. p. Najskromniejszą, ale w znaczeniu artystycznym najszlachetniejszą ornamentacją buław i buzdyganów była inkrustacja, czyli t. zw. *tausja* złota lub srebrna, jeżeli były żelazne; niello zaś, czyli jak tę technikę nazywano w Polsce: *blachmal*, jeśli były srebrne lub pozłociste. Żelazne obywały się zazwyczaj bez drogich kamieni, co najwyżej sadzone były turkusami; srebrne i pozłociste, oprócz rzeźby i rytowanych ornamentów, obsypywano nierzadko diamentami, rubinami i t. p., niekiedy zaś, i to często, jak świadczą zabytki i inwentarze, buławy i buzdygany robione były całe z półszlachetnych kamieni, z achatu, górnego kryształu, jaspisu.

Nad temi wszystkimi kostjumowo-rycerskimi przyborami górowała jednak szabla. Szyszak, pancerz, sajdak, buzdygan, tarcza służyły tylko na uroczystościach, przy ceremonjach i obchodach publicznych, szabla była codzienną towarzyszką i niezbędną zawsze i wszędzie: w kościele, w domu, w gościnie, w podróży, na sejmiku, na targu, na weselu, pogrzebie, bankiecie. Nie dziw też, że ona przedewszystkiem stała się szczególnym przedmiotem zbytku, mody, amatorstwa. Przechodziła przez rozmaite zmiany rozmaitemi czasy, ale to nie przeszkodziło, że się wyrobił pewien stały typ polskiej szabli, ostatecznie mało co zawisły od wpływu obyczajów postronnych tureckich, węgierskich i niemieckich, choć wpływ ten w pewnych porach bardzo był widoczny. Nawet kaprysy mody nie przeobrażały radykalnie najgłówniejszej rzeczy, poprzestawały na pewnych odmianach rękonośności, na rozmiarach, na pochwach i okuciu, na sposobie upięcia i materiale tych łańcuchów, pasków, rapci, sznurów i pendentów, które z tą różnorodnością nazwy przybierały także różnorodność formy, a czasem nawet

¹⁾ Przegląd pospolitego ruszenia. — ²⁾ Kameryzować, wysadzać drogiemi kamieniami.

i osobne znaczenie, bo np. wiemy, że na znak akcesu do konfederacji wojskowej upinano w odrębny sposób szable na paskach. Według pewnych odmian rozróżniamy do dziś dnia szable Batorówki, Zyguntówki, Augustówki, nazwane tak od królów, pod których panowaniem weszły w używanie.

Odmiany szabli, albo powiedzmy raczej, jej style, zależały przeważnie od krzywizny głowni i od formy jelca czyli rękojeści; ze stanowiska zaś broni siecznej, a więc niejako technicznie, rozróżniano trzy główne rodzaje: koncerz, pałasz i szablę. Wszystkie inne nazwy były tylko synonimami albo oznaczały pewne odmiany nieistotne; kord i multan np. oznaczał to samo co pałasz; ordynka, szerpentyna, karabela i t. p., były to szable odmiennej krzywizny. Koncerz, tak zwany od tureckiego kandzara czyli hanczara, choć wcale do niego nie był podobny i przypominał formą raczej miecz bez krzyża u jelca, figurował tylko na koniu, przytroczony do rzędu; cechą pałasza była głownia prosta, długa i bardzo obosieczna; szablą była zawsze krzywa, z turecka bardzo, z polska lekko krzywa i tylko w trzeciej końcowej części obosieczna. O ile była i jest bronią czysto kostjumową, szablą polską nosi dziś nazwę prawie wyłączną karabeli, ale nazwa ta, bardzo mało zwyczajna jeszcze w XVII wieku, utarła się i weszła w powszechne używanie dopiero w ciągu XVIII wieku — rzecz o tyle dziwna, że powstała bardzo wcześnie, miała bowiem wziąć swój początek od niejakiego Karabela, który na dwór królewski jeszcze w r. 1496 wprowadził bardzo lekką i strojną, po dzisiejszemu mówiąc, salonową szablę, małpującą oręż prawdziwy.

Na kostjumowej szabli polskiej koncentrował się wszystek zbytek, jaki się rozłaczał na przyborach, o których mówiliśmy wyżej. Wszystkie techniki artystycznej ornamentacji składały się na jej wyposażenie: inkrustacja, rzeźba, rytowanie, niello i kameryzacja drogiemi kamieniami na złocie i srebrze; nie miecznik, ale złotnik i jubiler wysiłał się na jej ozdobienie.

Do jakiego zdumiewającego stopnia dochodził ten zbytek, tego mamy w źródłach bardzo liczne przykłady; dość z nich przytoczyć kilka bez wyboru. W dubieńskim zamku Ostrogskich była szablą otaksowana na 6000 talarów; szablę Ossolińskiego przy wjeździe do Rzymu szacowano na 20.000 zł.; wojewoda

smoleński Firlej płaci Gabrjelowi Dobrogostowi, złotnikowi lubelskiemu, dwanaście zł., a więc nawet przy ówczynie bardzo niskim kursie złotego przeszło 5000 za samą robotę od oprawy szabli, a cóż dopiero kosztować musiał materiał, użyty przy tej robocie, skoro czytamy w jej opisanu, że montowana w szczerem złocie, ozdobiona była nie tylko emalją, ale osypana rubinami i diamentami, a z rubinów niektóre miały wielkość migdała.

Jak szablą tak i czekan towarzyszył zawsze szlachcicowi. Nazwę czekana wywodzą niektórzy z węgierskiego, mylnie wszakże, bo jak sam czekan tak i jego nazwa przyszła do Polski i Węgier ze Wschodu, gdzie ta broń nazywała się dżukan. Na zachodzie znana była pod nazwą *marteau d'armes*, *horsmanhammer*, a używała jej jazda; w Polsce służyła za broń i laskę zarazem. Jakoż czekan taki, jaki noszono u nas, był i wygodną do opierania się laską i straszną bronią przy zwadzie, tak niebezpieczną, z tyłu krwawych i śmiertelnych wypadków osławioną, że trzema konstytucjami, z lat 1578, 1601 i 1620 zakazano mieć ją przy sobie na miejscach publicznych pod karą dwóchset grzywien. Czekan był laską najczęściej bardzo ozdobną, drutem srebrnym lub stalowym okręconą, której rękojeść stanowiło żelazo z jednego końca w obuch czyli młot, z przeciwnego końca w długi, ostry i spiczasty grot czyli t. zw. *nadziak* zakończony, a *cios*, zadany jednym czy drugim końcem, jeśli ugodził w głowę, albo ciężko ranił albo na miejscu zabijał. Przy uroczystych wjazdach i obchodach przytraczano bogato złotem nabijane czekany, porówno z koncerzem i tarczą, przy rzędach na koniach; świta wielkopańska, jeżeli miała na sobie kolczugi, trzymała je jak szablę przy ramieniu, żelazem do góry.

Wpływ Turcji na broń utrzymywał się statecznie w pewnej mierze, zmniejszył się jednak bardzo znacznie za panowania ostatniego Jagiellończyka i za dynastji Wazów, ustępując coraz więcej pola wpływowi zachodnim i niewątpliwie nie byłoby nam pozostało tyle wybitnych jego śladów, gdyby w ostatnich latach XVII wieku zwycięstwa Jana III nie zasypały były nagle całej prawie Polski niezmiernie bogatym łupem broni, rzędów, szat, sreber, kobierców, naczyń i sprzętów tureckich, które ozdobiły nie tylko zamki wielkopańskie, ale

także dwory i dworki szlacheckie i nadały strojowi i urzędzeniu mieszkań uderzające piętno wschodu. Była to niejako nagła orientalizacja smaku polskiego. Zwyciężona i upokorzona Turcja wywarła w przeciągu kilku lat więcej wpływu na fizjognomię obyczajową szlachty, aniżeli przez setkę lat wywierala groźna i zwycięska.

Władysław Loziński (Życie polskie w dawnych wiekach)

25. MARATON

(w skróceniu)

...Sardes gore! A spowity w dymie
Gnuśny mieszkaniec snem rozkoszy drzemie
I, osmalone nim przetarł powieki,
Już go objęły złote ognia rzeki,
Już nieprzyjaciół stopą pierś mu tłoczył 5
I nóż ocierał, co się w niej obroczył...

Ha! Sardes gore! Lament się rozrasta...
Ha! Sardes gore!...

Z płonącego miasta

Wybiegł niewolnik, a za nim w pogoni
Jęk konających przy uchu mu dzwoni... 10
I leciał nocy osłoniiony mrokiem.

Czasem za siebie rzucał trwożnym okiem,
A wiatr przez góry za nim żarem dmuchał
I wrzask niósł z sobą. On stanął i słuchał:
Może mu teraz wróg braci wyrzyna 15

I starą matkę napawa krwią syna
I chatę niszczy ogniem i żelazem?...
— Hej! niema czasu! Z satrapy rozkazem
Pędź dalej, gończe! Jeszcze drogi wiele!
Gdy wrócisz, trupy policzysz w popiele... 20

Zerwał się goniec, znękany boleścią,
Ruszył przez puszcę z nakazaną wieścią
I biegł tak skoro aż do wschodu słońca;
A gdy na czatach zszedł innego gońca:
„Hej, Sardes gore! do Suzy! do Suzy!” 25
Krzyknął i wrócił. A tamten przez gruzy
Jak struś popędził, rozwinawszy skrzydło —
I znikł przed słońcem jak nocne straszdytło...

* * *

W Suzie na dworze król Darjusz ucztuje;
Stu niewolników jemu usługuje, 30

Stu niewolników na kłęczkach się wije.
On innej wody przy stole nie pije,
Tylko z Choaspu¹⁾ dalekiej krynicy,
A chleb je tylko z eolskiej pszenicy,
A wino jego, to aż z Chalibamu²⁾, 35
Sól z puszczy Afryki, ze świętego chramu
Zeusa Ammona. Bo każda kraina
Pod jego ręką żelazną się zgina;
Co ma najlepsze, z drugimi pospołu
W pokorze znosi do pańskiego stołu. 40

A gdy tak Darjusz rozległ się za stołem,
Przybieżał goniec i padł przed nim czołem
I woła: „Panie! Sardes, Sardes płonie!
Sardes, to klejnot w twej złotej koronie,
A oto rokosz podnieśli Jończycy, 45
Sprzymierzeńcami są im Ateńczycy
I palą miasto!” A drugi nadbieży
I woła: „Panie! Sardes w gruzach leży!
Ateńczyk spalił zamek i świątynię,
Winem napełnia święcone naczynie 50
I tobie, królu, przy uczcie urąga!”

Król, wściekły gniewem, wielki łuk naciąga
I w błękit nieba wypuszcza zeń strzałę
Z prośbą do Bogów, aby tę zakałą
Krwia obmył dali. I jednego sługę 55
Odstawił, aby każdą rwącą strugę
Wrzawnych uczył jego tamował wykrzykiem:
„Pomnij się, Panie! mścić nad Ateńczykiem!”

A potem Magów rozkazał przywołać
I pyta: „Grekom godzien też podołać? 60
Naród to wielki, gdy taki zuchwały.”
A oni rzeką: „Królu! kraj ich mały
I w mniejsze jeszcze rozerwany państwa:
Łatwo go w jarzmo zakować poddaństwa.
To szczypta ziemi, tyle, co zatrzyma 65
Przechodzącego podeszwa olbrzyma.
A gdybyś kazał ostremi pazury
Rozerwać stare Babilonu mury,
To mógłbyś, panie, żwirem i kamieniem
Zasypać kraj ten z całym pokoleniem.” 70

Magowie prawdę mówili ci, królu.
Naród to mały, lecz, jak pszczoła w ulu,
Każdy zosobna o swym domu radzi,

¹⁾ Choasp, rzeka w prowincji Suzjanie; w srebrnych puszkach wożono wodę z jej źródła dla Darjusza. — ²⁾ W Syrii, między Eufratem a Orontesem.

A gdzie potrzeba, wszystek się gromadzi.
 O! kraj to mały — tyle, co zatrzyma 75
 Przechodzącego podeszwa olbrzyma:
 O! kraj to mały, niby szyba tarczy,
 Lecz na grób wrogom przecież go wystarczy!

* * *

Z czterech stron świata ciągną się zastępy,
 Z czterech stron świata zlatują się sępy, 80
 Medy z Egiptem, Pers z Indyjanami,
 A Artafernes i Datys wodzami.
 Aż wicher się zrywa od wiania buńczuków,
 I gwar powstaje od pochrzęstu łuków!
 Od końskich kopyt ziemia poczerniała, 85
 Tak wielka koni i ludzi nawała!
 Moznaby nimi pobić cały świat ten,
 A tam krzyk tylko: „Do Aten! do Aten!“

I mają rozkaz surowy wodzowie
 Żadnej ateńskiej nie przepuścić głowie 90
 I wiele, wiele przysposobić łuków —
 Tyle w Atenach wezmą niewolników.
 Ciągną szarańczą. Z pięknego Miletu
 Zostały jeno ogryzki szkieletu.
 Na szyjach niewiast szczerbiły się miecze, 95
 Chodzono w zakład, kto więcej wysiecze.
 Naksos w płomieniach, nad nią dymy w chmurach;
 A starce z dziatwą chronią się po górach.
 Morska Eubeja w perzynie osiadła;
 Harda Eretrja do ziemi przypadła! 100
 I cała Grecja struchlała i zbladła.

* * *

W Atenach trwoga; lud tłumem się zbiera,
 Milczy i smutnie po sobie spoziera.
 Wierny swój naród opuściły bogi
 I do wyboru dały mu dwie drogi: 105
 Łańcuch i hańba — lub śmierć i mogiła!
 A jedni szepcą: „Nieprzyjaciół siła!
 Nacóż się przyda ofiara i męstwo?“
 A drudzy krzyczą: „Śmierć albo zwycięstwo!“
 Śród nich Miltjades, jak zestannik bogów, 110
 Jak ona Pitja z delfickich trójnogów,
 Słowem podźwiga zwątpiałego ducha.
 Lud go otoczył — zwiesił skroń i słucha.
 „Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,
 Niech sobie powróz okręci na szyję, 115
 Niech własną wolę na wieki okiełza;
 Pan niedaleko — niech do niego pełza

I tam, głaskany, a potem wzgardzony,
 Niechaj na progach wybija pokłony;
 Niech jak pies głodny czołga się bez końca 120
 Za pańską nogą, która nim potrąca.
 A my zostaniemy! My w nieszczęściu razem!
 Albo wytępić wrogów tem żelazem,
 Lub za najświętszą wielkich bogów wolą
 W grobie się wolni schronim przed niewolą. 125
 Na naszej skroni tylko z laurów wieniec
 Lub bladeść trupia — nie wstydu rumieniec!
 Wy się trwożycie tą liczbą ogromną?
 I tą potęgą, co się zda niezłomną?
 Cóż jednak znaczy taka cma motłochu, 130
 Wylęgła z prochu, czołgająca w prochu,
 Którą do boju popędzają biczem,
 Aby nie pierzchła przed wolnych obliczem?!
 Jakąż nad nami może mieć przewagę
 Zgięty niewolnik, którego odwagę 135
 Nikt nie ocenia, co bez łez umiera,
 A gdy zwycięży, całą sławę zbiera
 Żelazna ręka, co go w bój wypycha,
 A którą władza nie prawo, lecz pycha?
 A nas, nas wielkich praojców posągi 140
 Do świetnych czynów wzywają, jak ongi;
 Długim szeregiem ogrodziły rynek,
 Ażeby sędzić każdy nasz uczynek,
 Aby nas gromić marmurową twarzą,
 Jeżeli wrogi ziemię ich znieważą. 145
 A nas, nas wszystko do boju porywa,
 Każda piędź ziemi mogiłami żywa,
 To jasne niebo, co niesie w obłoku
 Cienie poległych, widne duszy oku,
 I cała przeszłość, ta przeszłość wiekowa, 150
 Co w swoim łonie tyle sławy chowa!
 Bogowie z nami! Jedno nasze ramię
 Tysiąc najemców zgruchoce i złamie.
 Bogowie z nami! Oni nas prowadzą!
 Oni nam siłę Tytanów nadadzą! 155
 Niechże was wspiera ich błogosławieństwo!“
 A lud wykrzyknął: „Śmierć albo zwycięstwo!“
 I śród radości weselných okrzyków
 Posłał do Sparty i do Platejczyków
 Prosić pomocy. 160

* * *

Nad Maratonem
 Wzniósł się niebo zarzewiem czerwonym.

Nad Maratonem przeciągają sępy,
Siadły na skałach i dziób ostrzą tępy.
Bijąc skrzydłami, niecierpliwie kraczą,
Rychło też ścierwo na polu obaczą. 165

A przeciw Persom stoi garstka ludzi:
Persom się zdaje, że ich oko ludzi;
A gdy poznali istotę zjawiska,
Zagrzmiał w ich szykach śmiech urągowiska;
Med pomrukuje: „Szaleni! Szaleni! 170
Jeden na tysiąc! my niezwycześni!”

Greccy wieszczkowie dobrą wróżbę głoszą,
I na znak dany miecze się podnoszą,
Noga wprzód sunie, mur się tworzy z tarczy;
Od strony Medów już miljon strzał warczy. 175
Już się zbliżają, już ku sobie biegną,
Szczęk, jęk, kurzawa...

Niech ich bogi strzegą!

* * *

W Atenach pusto. Kto mógł miecz podźwignąć,
Już ojca swego w boju chciał wyścignąć;
W nagłej potrzebie, dla kraju posługi 180
Rzucano skarby, warsztaty i pługi;
Nawet swych mędrców uczniowie odbiegli
I za kraj może w tej chwili polegli,
I każdy ziszczał nie słowem lecz czynem,
Że niewyrodnym był ojczyzny synem. 185

W Atenach pusto. Śród obszaru miasta
Pozostał starzec, ślepiec i niewiasta.
A kto mógł, patrzył w trwożnym niepokoju,
Czy nie obaczy co od strony boju.
Nic, nic nie widać! I słońce zagasło 190
I gwiazdy... — Cyt — cyt; coś w pobliżu wrzasło...
Prędkimi krokami coś po bruku bije
I woła: „Tchu! Tchu! Głosu! Grecja... żyje!
Cześć! Cześć!... Miltjades! Tchu! Zwycięstwo z nami!”

Kobiety z domów wyszły z pochodniami... 195
Z gałązką lauru Grek ulicą bieżał
I padł, wołając: „Zwycięstwo!” — Już nie żył.
A lud się ciśnie, podnosi mu głowę,
Rozrywa zbroję: — całe ciało zdrowe!
Ni śladu rany! 200

Na pobojowisku
Po cało dziennem, morderczem igrzysku,
Po krwawym trudzie, po stoczonym wojnie
Tysiące ludu usnęły spokojnie.
Grecy z Persami na jednym postaniu

Leżą bez gniewu w wiecznym pobrataniu. 205
A przy nich kruki skaczą i godują
I schryplym głosem braci swych zwołują.
Z jednego Greka kruk ciało wyrwa.
Grek konający tak do niego śpiewa:

„O szarp, szarp serce, niech już zaumiera!
O pij, pij, kruk! — krew to bohatera! 210
Szarp, pij, a dziób twój jak ramię urośnie!”

Niewiasty greckie śpiewają żałośnie,
Nad każdym trupem chylą się z kagańcem,
Czy okrytego nieprzyjaciół szańcem 215
Nie ujrzą ojca, kochanka lub męża...

Wschodzący księżyc bije w lustrze oręża:
To Sparta idzie — obaczyć ciekawa,
Gdzie się toczyła Aten walka krwawa, 220
Gdzie Med okrutny, co swe straszne imię
Obwieszczał Grekom w krwi, w pożarów dymie,
Teraz bezwładny snem spokojnym drzymie.

Kornel Ujejski

Dlaczego poeta podzielił poemat swój na części? Czem poszczególne części łączą się z sobą? Czy zajmują nas losy poszczególnych osób, o których w poemacie czytamy? (A w *Iljadzie*, w *Ogniem i mieczem*, w *Grażynie*?). Czy więcej nas zajmuje postać Miltjadesa, czy to, co on mówi? Uzasadnij swe twierdzenie. Kogo nazwałbyś bohaterem poematu? Co oglądamy z bitwy pod Maratonem? Czem różni się obraz tej bitwy od obrazów w *Iljadzie*, w *Ogniem i mieczem*, w *Grażynie*? Jakie uczucia budzi w nas okrzyk „Niech ich bogi strzegą”? Czy to okrzyk? Która scena w poemacie najsilniej nas wzrusza? Jaką myśl główną zawiera poemat? Czy „Maraton” to poemat opisowy czy liryczny? Jeśli odpowiedź sprawia Ci trudność, wyjaśnij, co tę trudność powoduje.

26. WEWNĘTRZNE URZĄDZENIE DAWNYCH PAŁACÓW I DOMÓW SZLACHECKICH

Starożytne pałace pańskie do dziś dnia jeszcze tu i ówdzie widzieć się dają; pomurowane od prapradziadów, służą wnukom i prawnukom, z małą naprawą, w takim kształcie, w jakim przed wiekami były wystawione. Jakże kto gmacny po ojcu odebrał, w takich mieszkał; nie znając jeszcze zbyt wiele, niewielkiej potrzebował wygody.

Pałace murowane składały się zwyczajnie z dwu pięter. Wewnętrzny ich rozkład był: przysionki, ganki, izby wielkie

i wysokie, po narożnikach izdebki małe, alkierzyki, apteczki, kapliczki i skarbcce.

Obicia w pokojach pańskich bywały albo szpalerowe albo włóczkowe krosnowej roboty albo adamaszkowe; ostatnie były najparadniejsze. Kolor adamaszku czworaki był: karmazynowy, zielony, żółty i błękitny. Jakiego koloru były obicia, takiego były i firanki do okien, pospolicie kitajkowe. Także krzesła i kanapy pod jedną były maścią, od której pokój brał nazwę, np. pokój żółty, zielony i t. p.

Stoliki małe, do zabawy służące, nie miały kształtu wymyślnego i z prostych były tarcic. Nakrywano je kobiercami rozmaitemi, tureckimi, perskimi, kosmatymi, gładkimi, jedwabnymi, włóczkowymi, złotem i srebrem haftowanymi lub bez złota i srebra; także sukniem w różne kwiaty i figury wyszywanym, z frendzlą dokoła jedwabną. Wielkie zaś stoły po odbytych obiedziach albo do sieni wynoszono albo sukniem gładkim nakrywano.

Którzy panowie chowali kapelę wielką, u takich bywały dla nich ławki w jednym narożniku sali, czerwonym sukniem obite albo gołe, lub też chórki pod sufitem. Którzy mieli małą kapelę, mieścili ją w jednym pokoju bliskim sali, skąd melodia wychodziła do siedzących u stołu i tańczących.

Pomniejszych panów i szlachty mającej dwory najwięcej bywały drewniane, we dwa piętra lub w jedno, przyozdobione zewnątrz galerjami, wystawami, gankami i przysionkami. Lecz ten kształt nie był powszechny, gdyż niektóre były budowane w prosty czworogran jak stodoły i szopy. Wyżej opisany rozkład wewnętrzny był niemal wszędzie równy, tak w pałacach pańskich, jak w szlacheckich dworach. Com zaś napisał o obiciach i innych ozdobach pałaców pańskich, to samo znajdowało się u możnej szlachty, u pomiernych zaś dosyć było na jednym i drugim pokoju obitym, krzesłami, kanapami i t. d. ozdobionym, gdy reszta zostawała bez obicia, prostymi do siedzenia ławami opatrzona.

Od połowy panowania Augusta III, gdy weszło w modę powszechną synów pańskich i mającej szlachty prosto ze szkół wysyłać zagranicę dla nabycia poloru i dobrego gustu, wszczęło się w narodzie obrzydzenie do starych struktur, do starych mebli czyli ruchomości. Skoro panicz po śmierci ojca

został panem majątności, najpierwszą jego rzeczą było odebrany po pradziadach pałac czy dwór przerobić albo całkiem rozwalić, a postawić nowy, choć słabszy, ale kosztowniejszy. Meble także staroświeckie, owe obicia adamaszkowe z pokojów powyrzucano, chwycono się obić lekkich naprzód, brokatelowych, podobieństwo adamaszku mających, ale tańszych, dlatego nawet i szlachcicowi o jednej wiosce do nabycia łatwiejszych. Lecz i to niedługo zarzucono. Weszły w modę obicia płócienne w kwiaty i różne figury malowane, wesole, choć podłe i nie trwałe. Dalej znowu nastąpiły obicia papierowe, takiegoż kształtu jak płócienne, a że jeszcze od płóciennych tańsze, więc nie tylko już pańskich pokojów, ale też i mniejszej szlachty, a na ostatku żadnego domu majątnego mieszczanina nie obaczył papierowem obiciem nie obitego.

Panowie, gardząc zawsze tem, co się staje pospolitem, i chcąc mieć zawsze coś nowego, udali się do obić włoskich *al fresco*. czyli na świeżym murze malowanych, których szacunek zależy od malarskiej ręki, przedniejszej lub podlejszej. Co przedtem kosztował adamaszek na cały pałac i dostał się wnukom, to teraz tyle kosztowało malowanie jednego pokoju, a że takie malowanie prędko peźnie, więc po kilku latach modnemu panu sprawiało obrzydzenie i zniewalało do nowego malowania.

Przydano do tego malowania sztukaterję i wyzłacanie listew, gzymsów i lamperyj czyli obwodów spodnich. Nastąpiły lustra zwierciadłowe, w ramach brązowych, suto wyzłacanych, po ścianach rozwieszane z lichtarzami do świec kryształowemi. Zawieszano także zwierciadła wielkie nad stoliki do przeglądania się, w ramach jak najwytworniejszych, a prócz tych luster ściennych były jeszcze lustra wiszące od sufitu, ogromne, kryształowe, o kilkunastu świecach; gdy je pozapalano, pokój, suto złotem ozdobiony, zdawał się płonąć od światła.

W tymże czasie na miejsce starych podłóg, z prostych tarcic, nastąpiły podłogi z taflí stolarskich, w kostkę układanych, woskowane, po których chodzenie tak ślizgie jak po lodzie. U wielkich panów do samego woskowania i czyszczenia podłóg trzymają pacholków, którzy się nazywają froterami. Jednak za panowania Augusta III te podłogi woskowane nie były, tylko

w pałacach wielkich panów. W Puławach w jednym pokoju widziałem sufit, ściany i podłogę całą ze zwierciadła.

W meblach także nastąpiła odmiana. Wymyślono krzesła i kanapy ze skóry pozłocistej w różne floresy. Potem wprowadzono krzesła plecione w kratkę z trzciny z brzegami i nogami drewnianymi. Jednak kanapy te i krzesła plecione nie trwały długo, jako słabe. Zastąpiły je kanapy i krzesła krajowej roboty, mocne, bo na urząd dla każdego robione. Dalej nastąpiły taborety czyli stołki bez poręczy, wyścielane włosem końskim, a zwierzchu objane naprzód grubem płótnem, a po niem jaką materją, np. trypą, brokatelą, atlasem, adamaszkiem, ale tylko w pałacach wielkich panów, i to w pokojach paradnych. W domach szlacheckich na krzesła, kanapy i taborety, grubem płótnem obciążnione, kładziono opony sycowe (cycowe), tasiemkami podwiązywane, które po zabrukaniu do wyprania lub po rozdarciu do naprawy łatwo mogły być zdjęte. Ta ostatnia moda, tańsza od atlasów i adamaszków, została i po Augustacie III; biorąc ją jednak w porównanie z gołymi dawnymi ławkami i stołkami, co najwięcej sukrem pokrytymi lub czarną skórą ciętą obitemi, można nazwać zbytkiem. Syc bowiem prędko się smoli i drze, a więc na miejsce zdartego często trzeba sprzącać inny i nowy koszt łożyc, którego nie znali dawni Polacy, konserwując raz umeblowane pokoje przez wieki i oddając je synom w tymże samym stroju, w jakim je odebrali od przodków.

Nastąpiły także różne stoliki składane, biurka, kantorki i szafy, rozmaitych wielkości i kształtów, jedne lakierowane pokostem chińskim, drugie wysadzane kością albo drzewem odmiennem od tego, z jakiego były zrobione. Antaby do takich sprzętów i okładki do zamków dawali z srebra, z brązu, z mosiądzu w ogniu pozłacanego. Gdy szafa była wysoka, w miarę człowieka, i miała drzwi podłużne od góry do dołu, zwała się szafą, gdy była niska w pół człowieka i miała szuflady jedną pod drugą, zwała się biurkiem; gdy zaś była nakształt stolika na nogach, z jedną szufladą, ukośnie na wierzchu, drzwiami zamykaną, które to drzwi, otworzone i horyzontalnie spuszczone na nodze wysuwanej, do tego przyprawnej oparte, służyły zamiast stolika do pisania, zwała się

kantorkiem; dawniejsi takie szafy albo stoliki zwali pulpitemi.

Cokolwiek napisałem tu o meblach pałaców pańskich, to wszystko w pewnej mierze odnosi się do dworów i domów szlacheckich, jakoteż mieszczan bogatych, mianowicie kupców warszawskich, którzy w żadnym zbytku panom pierwszeństwa nie ustępowali i przez to nieraz bankrutowali.

Andrzej Kitowicz (Opis zwyczajów i obyczajów za Augusta III)

27. MARNOTRAWSTWO

Znałeś dawniej Wojciecha? — Któż nie znał! Co teraz
 Bez sług, ledwo w opończy brnie po błocie nieraz,
 Niegdyś w karecie, z której dął się i umizgał,
 Takich, jakim jest dzisiaj, roztrącał i bryzgał.
 Ustępowali z drogi wielmożnemu panu 5
 Lepsi i urodzeniem i powagą stanu.
 Nieraz ten, który przedtem od filuta stronił,
 Westchnął skrycie natenczas, gdy mu się uklonił.
 Musiał czcić, czegoż złoto nie potrafi dzielne?
 Niedługo przecież trwały te czasy weselne, 10
 Na złe wyszła wspaniałość. Przyjaciele kuchni,
 Junacy heroiczni, wzdychacze miluchni,
 Filozofy nakoniec, jak pustki spostrzegli,
 Z maksymami, z wdziękami, z junactwem odbiegli.
 Został się niedostatek, z nim wstyd dawnej pychy: 15
 A co niegdyś wytrząsał kufle i kielichy,
 Co szampańskim, węgierskiem pyszne stoły krasił,
 Wiadrem potem u studni pragnienie ugasił.
 Jak to przyszło? nieznacznie. Łakome są żądze,
 Pełen jest świat oszustów, toczą się pieniądze: 20
 Zyskał Wojciech szalbierstwem, stracił wszystko zbytkiem,
 A niedługo się ciesząc niecnoty pożytkiem,
 Nawet tego nie doznał, gdy nic nie dochował,
 Żeby zdrójcy, bankruta ktokolwiek żałował.
 To gorsza, kiedy młody dziedzic wielkiej włości 25
 Zysk zasług swoich przodków, cnoty, poczciwości,
 Niszczy podły odrodek. Znałeś Konstantyna?
 — Alboż widzieć odrodków u nas jest nowina?
 Znałem go, ale w nędzy. — Jam znał w dobrym stanie;
 Młodo zaczął wpaniałe swoje panowanie, 30
 Młodo skończył. Rodzice dzieckiem odumarli.
 Opiekunowie naprzód, jak zazwyczaj, zdarli.

Dorwał się panicz rządów. Natychmiast odrazu
 Jedni z sławy, ci z zysku, a tamci z rozkazu,
 Dworzanie, pokojowi, krewni, asystenci, 35
 Przyjaciele, sąsiedzi i plenipotenci,
 I ta wszystka niesyta stołowników zgraja,
 Co się zyskiem obłudy karmi i upaja,
 Natarli wstępnym bojem. Rad pan wszystkim w domu,
 Wrota jego nie były zamknięte nikomu. 40
 Niech zna świat, jak pan możny, dzielny i bogaty.
 Grzmią bębny na dziedzińcu, na wałach armaty,
 Żaki prawią perory: ksiądz prefekt za niemi
 Drukiem to wypróbował, że dzięły wielkimi
 Przeszedł pan przodków swoich, godzien krzesel, tronów, 45
 Prawnik Piastów po matce, z ojca Jagiellonów.
 Wiwat pan! brzmią ogromnem hasłem okolice!
 Dymy z kuchni, jak z Etny: a sławne piwnice,
 Co dziad, pradziad szacownym napępiał likworem,
 Pełne zgrai ochoczej stanęły otworem. 50
 Wiwat pan! niech wiekuje szczęśliwy i zdrowy!
 Objął sienie, przysionki zapach dryjakwowy¹⁾:
 Wala się, wadzi, wrzeszczy rozpojona tłuszczą.
 Pan rad w domu, każdego do siebie przypuszcza,
 Ten wziął konia z siedzeniem, tamten za przystługę 55
 Nieboszczyka pradziada z lamusu²⁾ czeczugę³⁾:
 Ów wlecze złoty dywan, co w skarbcu spoczywał,
 Dywan, co stół naddziada ministra okrywał,
 Gdy w usłudze publicznej pracował lub sądził.
 Śmieją się z starych gratów, a jakby pobłądził, 60
 Wyszydają wiek dawny, nowy rzesza chwali.
 Liczne przodków portrety wyrzucono z sali.
 Natychmiast, że zbyt wielka, ścieśniają gmach stary,
 Cztery z niej gabinety i dwa buduary.
 Że w nich były starego dzieje testamentu, 65
 Nie cierpiano szpalerów⁴⁾ jednego momentu;
 Wziął je sąsiad za wyżła, a za dwie papugi
 Zyskał zbroję złocistą wzamian sąsiad drugi.
 Pan kontent. Skoro w rannej porze słońce błysnie,
 Już się przez przedpokoje ledwo kto przeciśnie; 70
 Ten ustawia pagody chińskie⁵⁾ na kominie,
 Ten perskie gerydony⁶⁾, ów japońskie skrzynie.
 Pełno muszli zamorskich, afrykańskich ptaków;
 Wrzeszczą w kłatkach papugi, krzyk szczygłów, świst szpaków.

¹⁾ Korzenny. — ²⁾ Lamus, magazyn. — ³⁾ Czeczuga, rodzaj szabli. —
⁴⁾ Szpalery tu: makaty. — ⁵⁾ Chińskie posazki z ruchomymi głowami. —
⁶⁾ Gerydon, podnóże na świecznik, lichtarz.

Bije zegar kuranty, a misterne flety 75
 Co kwadrans, co godzina dudła menuety.
 Wchodzi pan, pasie oczy nowemi widoki;
 Zewsząd gładkie pochlebstwa i ukłon głęboki,
 Znają się na wielkości, i pan na niej zna się.
 A chociaż do mówienia z gminem uniża się, 80
 Zna, czem jest. Wszyscy: wiwat! skoro tylko kichnie;
 Na kogo okiem rzuci, każdy się uśmiechnie,
 Kontent z pańskich faworów. Wtem nowe kredense,
 Dwa mniemane Wandyki¹⁾ i cztery Rubense²⁾
 Niosą w pakach hajduki: wyjmują, gmin cały 85
 Złoto ważne uwielbia, czci oryginały.
 A pan wszystkich naucza, jak Rubens w marmurze
 Jeszcze lepiej rznął twarze; a w architekturze,
 Co to wszystkich patrzących dziwi i przenika,
 Nie było cenniejszego mistrza nad Wandyka. 90
 To, to pan! krzyczy zgraja, to wiadomość rzeczy!
 Wtem, gdy wszyscy w aplauzach, a żaden nie przeczy,
 Wśród ciżby wielbiącej — regestryk podaje
 Snycerz, malarz, tapicer, których cudze kraje
 Nato do nas zesłały, aby według stanu 95
 Dogadzali wytwornie wspaniałemu panu.
 Nie czytał pan regestrów. Kto rejestra czyta?
 Podpisał: niech zna Niemiec, jak Polska obfita.
 Lecą dni w towarzystwie dobranych współbraci;
 A że wojaż nowemi talenty zbogaci, 100
 Jadą do cudzych krajów. Z projektu kontenci,
 Wyśłani na kontrakty już plenipotenci,
 Ten sprzedaje w pół darmo, a wdzięczen ochocie,
 Dał ułomek kradzieży kupiec w dożywocie;
 Ten zastawia za bezcen, ów fałszuje akty; 105
 Tak to robią szczęśliwych zyskowne kontrakty!
 Wraca się przecież częśćka do tego, co zdarli.
 Wdzięczen, że go w potrzebie nieuchronnej wsparli,
 Wyjeżdża: niesie haracz niszczącej nas modzie,
 A weksel lichwą płatny mając na powodzie³⁾, 110
 Dziwi kraje sąsiedzkie nierozumnym zbytkiem
 I z tym swojej podróży powraca użytkiem,
 Że, co panem wyjechał przystojnym i godnym,
 Wraca grzecznym filutem i żebrakiem modnym.
 Nie ganię ja podróży, ale niech nie niszczą; 115
 Co po guście, dłużnicy gdy płaczą i piszczą?

¹⁾ Van Dyck, sławny malarz flamandzki (um. 1641). — ²⁾ Rubens, również znakomity malarz flamandzki (um. 1640). — ³⁾ Mając weksel płatny na powodzie, t. j. zagrożony weksłami lichwiarskimi.

Co po fantach, za które poszły wsie dziedziczne?
 Bogacimy ubodzy kraje okoliczne,
 A zbytek, co się tylko czczym pozorem chlubił,
 Okrasił nas powierzchnie, a w istocie zgubił. 120

Ignacy Krasicki

Między kim toczy się rozmowa? Ilu marnotrawców poznajemy? Czem różnią się, czem są do siebie podobni? Kiedy jest Konstantyn szczególnie śmieszny? A kiedy nas oburza? Która scena wysuwa się w „Marnotrawstwie“ na plan pierwszy? Dzięki czemu? Czy tylko Wojciech i Konstantyn zostali pokazani w tej satyrze w ujemnym świetle?

28. PIJAŃSTWO

„Skąd idziesz“? — Ledwo chodzę. — „Słabyś“? — I jak jeszcze!
 Wszak wiesz, że ja się nigdy zbytecznie nie pieszczę,
 Ale mi zbyt dokucza ból głowy okrutny.
 — „Pewnie wczoraj był wesół?“ — Dłatego dziś smutny.
 — „Przejdzie ból: powiedzże mi, proszę, jak to było? 5
 Po smacznym, mówią, kąsku i wodę pić miło“.
 — Oj nie miło, mój bracie! bogdaj z tem przystowiem
 Przepadł, co je wymyślił! jak było, opowiem.
 Upiłem się onegdaj dla imienin żony.
 Nie żal mi tego było. Dzień ten obchodzony 10
 Musiał być uroczyste Dobrego sąsiada
 Nieźle czasem podpoić. Jejmość była rada,
 Wina mieliśmy dosyć, a że dobre było,
 Cieszyliśmy się pięknie i nieźle się piło.
 Trwała uczta do świtu. W południe się budzę: 15
 Cięży głowa, jak ołów; krztuszę się i nudzę.
 Jejmość radzi herbatę, lecz to trunek mdlący.
 Jakoś koło apteczki przeszedłem niechcący:
 Anyżek mię zaleciał. Trochę nie zawadzi;
 Napilem się więc trochę: może mi poradzi. 20
 Nudno przecie. Ja znowu: już mi raźniej było.
 Wtem dwóch z uczty wczorajszej kompanów przybyło.
 Jakże nie poczęstować, gdy kto w dom przychodzi?
 Jak częstować, a nie pić? i to się nie godzi;
 Więc ja znowu do wódki! wypilem niechcący 25
Omne trinum perfectum, bo trunek gorący
 Dobry jest na żołądek. Jakoż w punkcie zdrowy,
 Ustały i nudności, ustał i ból głowy.
 Zdrów i wesół wychodzę z moimi kompany —
 Wtem obiad zastaliśmy już przygotowany. 30
 Siadamy. Chwali trzeźwość pan Jędrzej; my za nim.
 Bodaj to wstrzemięźliwość! pijatykę ganim.

A tymczasem butelka nietykana stoi.
 Pan Wojciech, co się bardzo niestrawności boi,
 Po szynce, cośmy jedli, trochę wina radzi: 35
 Kieliszek jeden, drugi — zdrowiu nie zawadzi.
 A zwłaszcza, kiedy wino wytrawione, czyste.
 Przystajem na takowe prawdy oczywiste.
 Idą zatem dyskursy tonem statystycznym:
 O miłości ojczyzny, o dobru publicznem, 40
 O wspaniałych projektach, mężnym animuszu;
 Kopiem góry dla srebra i złota w Olkuszu,
 Odbieramy Inflanty i państwa Multańskie,
 Liczymy owe sumy neapolitańskie, 45
 Reformujemy państwo, wojny nowe zwodzimy,
 Tych bijem wstępnym bojem, z tamtymi się godzimy:
 A butelka nieznacznie jakoś się wysusza.
 Przyszła druga; a gdy nas żarliwość porusza,
 Pełni pociech, że wszyscy przeciwnicy legli,
 Trzeciej, czwartej i piątej aniśmy spostrzegli. 50
 Poszła szósta i siódma, za niemi dziesiąta.
 Naówczas, gdy nas miłość ojczyzny zaprzęta,
 Pan Jędrzej, przypomniawszy zórawińskie kłęski,
 Nuż w płacz nad królem Janem. — Król Jan był zwycięski!
 Krzyczy Wojciech. Nieprawda! — A pan Jędrzej płacze. 55
 Ja gdy ich chcę pogodzić i rzeczy tłumaczyć,
 Pan Wojciech mi przemówił: Słyszysz w a ś ć — mi rzeczce.
 Jakto w a ś ć? nauczę cię rozumu, człowiecze!
 On do mnie, ja do niego — rwiemy się zajadli:
 Trzyma Jędrzej: na wrzaski służący przypadli. 60
 Nie wiem, jak tam skończyli zwadę naszą wielką,
 Ale to wiem i czuję, że wzięt w łeb butelką.
 Bogdaj w piekło przepadło obrzydłe pijaństwo!
 Cóż w niem? tylko niezdrowie, zwady, grubijaństwo.
 Oto profit: nudności i guzy i plastry! 65
 — „Dobrze mówisz! podłej to zabawa hałastry.
 Brzydzi się niem człek prawy jako rzeczą sprośną.
 Z niego zwady, obmowy nieprzystojne rosną,
 Pamięć się przez nie traci, rozumu użycie,
 Zdrowie się nadweręża i ukraca życie. 70
 Patrz na człeka, którego ujęła moc trunku:
 Człowiekiem jest z pozoru, lecz w zwierząt gatunku
 Godzien się mieścić, kiedy rozsądek zaleje
 I w kontr naturze postać bydłą przywdzieje.
 Jeśli niebios zdarzenie wino ludziom dało 75
 Nato, aby użyciem swoim orzeźwiało:
 Użycie darów Bożych powinno być w mierze.
 Zawstydzają pijanice nierozumne zwierzę,
 Potępiają bydłęta niewstrzymaność naszą:

Trunkiem według potrzeby gdy pragnienie gaszą,
 Nie biorą nad potrzebę. Człek, co niemi gardzi,
 Gorzej od nich gdy działa, podlejszy tem bardziej.
 Mniejsza guzy i plastry, to zapłata zbrodni;
 Większej kary, obelgi takowi są godni,
 Co w dzikim zaślepieniu, występni i zdroźni,
 Rozum, który człowieka od bydłęcia różni,
 Śmiaż za lada przyczyną przytępiać lub tracić.
 Jakież zysk taką szkodę potrafi zapłacić?
 Jaka korzyść za taką utratę nagrodzi?
 Zła to radość, mój bracie, po której żal chodzi!
 Ci, co się na takowe nie udają zbytki,
 Patrz, jakie swej trzeźwości odnoszą pożytki:
 Zdrowie czerstwe, myśl u nich wesoła i wolna,
 Moc i rażność niezwykła i do pracy zdolna;
 Majętność w dobrym stanie, gospodarstwo rządne,
 Dostatek na wydatki potrzebne, rozsądne;
 Te są wstrzemięźliwości zaszczyty, pobudki,
 Te są. Bądź zdrow! Gdzie idziesz? — Napij się wódki.

Ignacy Krasicki

Kto prowadzi rozmowę w tej satyrze? Jakie trzy odrębne sceny można wyróżnić w opowiadaniu małżonka-gospodarza? Którą z nich najlepiej widzimy? (dzięki czemu?). Jak uzasadnia małżonek-gospodarz, dlaczego za każdym razem wypadało mu się uraczyć? A jak patrzy na pijaństwo? Dlaczegoż budzi w nas wesołość? Czem bawią nas jego przyjaciele? Czy śmiejemy się przez cały czas, czytając satyrę powyższą? Jakich środków używa Krasicki, by zwalczać nałóg pijaństwa? Czy tych samych środków użył w poprzedniej satyrze, by odwozić od marnotrawstwa?

28. PAN BOROWSKI

Pisałem o bandzie albeńskiej, a mało kto wie, co znaćta banda, do której się tak starano należeć, iż każdy miał sobie za wielki zaszczyt być jej członkiem. Książę Karol Radziwiłł, będąc jeszcze miecznikiem litewskim, utworzył ją w Albie, w domu wiejskim, z ogrodem pod Nieświeżem. Pan Piszczalo, niegdyś księcia nauczyciel, trafiając w myśl jego, przepisy tej bandy ułożył. Patenta podpisywał książę, jako naczelnik towarzystwa, którego kanclerzem do śmierci był pan Ignacy Wołodkowicz, a sekretarzem pan Michał Rejtan. Każdy członek w listach podpisywał się „Radziwiłłowski przyjaciel“, a książę go nazywał „panie kochanku“. Że zaś zawsze ze swoimi Albeńczykami obcował, to nazywanie Panie kochanku

zamieniło się u niego w przysłowie, które ustawicznie powtarzał. Mundur Albeńczyków był barwy radziwiłłowskiej: kontusz słomianego koloru, żupan błękitny, pas umyślnie nato w Słucku robiony, srebrny, w orły czarne z trąbkami, spinka z emalii błękitnej, na której z brylancików była cyfra z trzech liter: K. X. R.

W tym mundurze trzeba było chodzić w Nieświeżu: a gdyby kto, nie mając patentu, ważył się gdziekolwiek ten mundur wdziać na siebie, mógł być pewien, że zostanie zmuszony go zrzucić. I tak pan Skirmunt, co był księcia komisarzem na księstwie birżańskim, nie będąc do tego upoważnionym, ale zaufany w stopniu, który otrzymał między sługami księcia, pokazał się raz w tym mundurze na licznej zgromadzeniu u pana Burby, cześnika rosińskiego a rządcy generalnego ekonomji szawelskiej. Ale na swoje nieszczęście znalazł tam dwóch prawdziwych Albeńczyków: pana Bonifacego Sołohuba, koniuszego nowogrodzkiego, i pana Jana Wierzejskiego, regenta sądów nadwornych. Ci na niego napadli, mundur zdarli i jeszcze samego wyszturchali, lubo to było w uczciwym domu. Pan Skirmunt o to się zalił przed księciem: ale książę nie tylko, że przyznał słuszność panom Sołohubowi i Wierzejskiemu, ale nawet oddalił pana Skirmunta, bo sam ściśle przestrzegał ustaw zgromadzenia, którego był twórcą.

Żeby być przypuszczonym do tego grona, trzeba było być szlachcicem karmazynowym i osiadłym, tęgim do korda, dzielnym do konia choćby najdzikszego, w sztuce łowieckiej doświadczonym i niepospolitej odwagi. Książę nie mógł nikogo patentować, jeno za wstawieniem się dwóch części całego towarzystwa. Obowiązki patentowanych były: stawić się na każde wezwanie księcia konno i w całym rynsztunku iść z nim, gdzie ich poprowadzi, a nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, w każdym wypadku łba nadstawić za honor Najświętszej Panny, księcia wojewody, swój własny i każdego z członków towarzystwa.

Były rozmaite przepisy dla tej szkoły prawdziwie bohaterskiej; w rządzie innych ten, że dwaj Albeńczycy, mający między sobą zajście, nie mogli się ciągać po jurysdykcjach¹⁾,

¹⁾ Jurysdykcja, tu sąd.

ale powinni byli rzecz kończyć u siebie, zdając się na jednego z kolegów, który w pewnych okolicznościach miał władzę dozwoić im nawet rozprawy na szable, jeśliby innego nie było sposobu do zgody. Z tego powodu zdarzył się zabawny wypadek w Nieświeżu, który szczególnie okazał dobroć księcia.

Razu jednego zjechało się kilku „Radziwiłłowskich przyjaciół” w Samuelowie u jw. Mikołaja Morawskiego, generała wojsk litewskich; między nimi był pan Leon Borowski, najpoufalszy domownik księcia, i pan Bonifacy Sołłohub, co to kiedyś pana Skirmunta wyszturczał. Pan Bonifacy strzelał niepotem, bo miał wzrok krótki, ale z oszczepem na niedźwiedzia żwawo chodził, bo był silny i nieustraszony. Miał on strzelbę dwururną, hiszpańską, nad jaką lepszej u samego księcia nie było, i zawsze z sobą ją woził. Pan Leon, co nadzwyczajnie miał oko, chciał ją koniecznie dostać i różne mu proponował facjendy. Ofiarował za nią cztery konie siwo-pstrokate, którymi przyjeżdżał do Samuelowa: ale i to było napróżno, bo lubo pan Bonifacy do nich dość się palił, był twardy i ciągle go zbywał, powtarzając:

— Prędeż się ze skórą niż z dubeltówką rozstanę.

— Naco ci się ona zda, kiedy ty strzelać nie umiesz?

— Czy umiem czy nie umiem, to nie twoja rzecz a strzelby nie dam.

— A jużci, kto ma strzelbę, powinien okazać, że ona mu zda się na coś.

— To szczęście, że ty nie jesteś łowczym wielkim litewskim, bo twój zarzut mógłby mnie obchodzić; ale wiem, że może strzelam tak dobrze, jak ty.

— Możesz tego dać dowód: niedaleko dworu jest knieja niewielka, ale dobra; obrzućmy ją siecią, mam sforę gończych z sobą, od których lepszych i w Nieświeżu nie znajdziesz, a cała psiarnia jw. generała jest na twoje usługi; on obławy nam nie odmówi ani dojeżdźaczów. Pójdźmy więc ze świtem do kniei; prócz ciebie nikt strzelać nie będzie. Jeżeli wyniesiesz zwierza, ja ci oddam moje cztery konie, a jeżeli skwasisz polowanie, pożegnaj się ze swoją strzelbą.

— Zgoda! ale zróbmy układ na piśmie i wręczmy go jw. generałowi; bo jak ubiję zwierza, to ty żarcikami gotów mnie zbyć; wszak my się nie od dnia wczorajszego znamy.

— Pisz, co ci się podoba, ja wszystko podpiszę; bo wiem, że ubijesz zwierza, jak ci na nosie chyba siedzie.

Wziął tedy pióro i papier pan Bonifacy i napisał transakcję¹⁾ formalną, mocą której pan Leon Borowski, komornik słonimski, obowiązywał się oddać panu Sołłohubowi, koniuszemu nowogrodzkiemu, cztery konie siwo-pstrokate wraz z uprzężą, jeśliby ten na polowaniu, warunkami określonym, w przeciągu trzech godzin ubił zwierza; w przeciwnym zaś przypadku strzelba dwururna pana Sołłohuba z napisem: *Diego mas Toledo*, złożona w ręce jw. Mikołaja Morawskiego, generała litewskiego, uproszonego na egzekutora dobrowolnej tej umowy, miała przejść na własność pana Borowskiego. Transakcja podpisana została przez obie strony i pieczętarzy, a jw. generał natychmiast wszelkie przygotowania rozporządził.

Cały dzień pan Leon napastował pana Bonifacego żarcikami, ale pan Bonifacy fantazji nie tracił i powtarzał: Obaczmy, kto wygra zakład.

Nazajutrz, przed piątą jeszcze, wszyscy już byli w kniei samuelowskiej, zwanej Koski. Po jakimś czasie, wprzód, nim psy głos dały, usłyszano strzał. Wszystkich to mocno zadziwiło, aż tu pan Bonifacy wydobywa się z gęstwiny, ciągnąc za ogon jednego z psów pana Leona, którego dopiero przestrzelił, i odzywa się:

— Proszę o konie; ubiłem zwierza!

— Jakto? — powiedział pan Leon — ty za psa mi zapłacisz, a pokaż zająca, jeżeli chcesz, aby konie były twoje.

— Przeczytaj opis, panie bracie, tam o zającu niema wzmianki, tylko o zwierzu, a spodziewam się, że pies zwierzę.

— Do kogo innego wpan idź ze swojemi krotochwilami, a ja pana generała proszę o strzelbę.

Pan generał na to: odczytamy w domu opis; a gdy strony mi poruczyły onego dopełnienie, do niego stosować się muszę.

Wrócili wszyscy do domu, pan Leon nie posiadając się ze złości, a pan Bonifacy za boki trzymając się ze śmiechu. Przybywszy do domu, pan generał włożył okulary, przeczytał transakcję i powiedział:

¹⁾ Transakcja, umowa.

— Niema wyraźnego rodzaju zwierza, co miał być ubity, a zatem wedle opisu w istocie pan Bonifacy wygrał zakład.

— Ja na to nigdy nie przystanę — odezwał się pan Leon — odwołuję się do sumienia wszystkich myśliwych, czy pies może uchodzić za zwierzę.

— A juźci nie ryba — rzekł pan Bonifacy; — pożegnaj się z końmi, panie Leonie, a nadal w opisach twoich lepiej się pilnuj.

— Ty moich koni nie dostaniesz, a strzelba moja będzie, chyba Pana Boga niema na świecie; jeżeli pan generał z mojej własności mnie wyzuje, mamy jurysdykcję, do nich się udam po sprawiedliwość; prędzej cały majątek stracę, niż pozwolę, aby mnie błażeństwem gębiono.

— Nie strasz mnie ziemstwem ni grodem, bo my obydwaj Albeńczyki; musimy między sobą wszelkie zatargi kończyć. Ja na żadne twoje pozwy nie stanę, błaźnić się nie chcę. Który z naszych niech nas sędzi, ja na każdego przystanę; najwłaściwiejby gospodarz stanował.

— Z przeproszeniem jw. generała, jak się na niego zapiszę, to zasłużę, by mi szarą gęś przypięło; pan generał przed wprowadzeniem sprawy już waćpanu słuszość przyznał: piękniebym wskórał w jego sądzie.

A pan generał: — Ja się nie ubiegam, bym wasze spory rozstrzygał; zapiszcie się, na kogo chcecie, a ja zatrzymuję i konie i strzelbę u siebie i temu oddam, komu ją dekret kompromisarski przysądzi.

— Przystaję na to — odpowiedział pan Bonifacy — i piszę się, na kogo zechce pan Leon, byle na Albeńczyka. Uważajcie, panowie, moją powolność: wygrawszy sprawę, poddaję ją pod sąd; bo wedle opisu rzecz skończona i mam niezaprzeczone prawo do koni, jak do strzelby.

— To waćpan tak sobie tłumaczysz interes; ale obaczmy, co inni powiedzą. Jeżeli ci, co psy biją, mają się nazywać myśliwymi, to moje konie przepadną.

— Ja o waćpana przycinki nie stoję. Całe życie przywykłeś z drugich żartować, to waćpanu teraz nieznośnie, że z samego zażartowano; ale tu idzie o rozstrzygnięcie rzeczy, kto ma nas sędzić?

— Ja na samego księcia się zdaję.

— Zgoda, niech naczelnik nas sędzi. Jw. generał miał dziś do Nieświeża jechać; jedźmy z nim i tam kończmy; jw. generał nie zapomni zawieźć z sobą naszego opisu. A patrz, panie Leonie, jak sprawa ze mną łatwa: że już ty spieszony, ofiaruję ci miejsce na mojej bryczce.

— Nie doczekasz nigdy, abym z twojej łaski miał korzystać; wolę iść piechotą, niż siedzieć na waćpana powozie. Ja choć lubię żartować, ale bez cudzej krzywdy, a waćpan po moją własność sięgasz. Wstydzilibyś się z taką sprawą przed księciem występować; śmiechu tylko z siebie narobisz. Trzymaj już nareszcie swoją strzelbę, ale na Boga! odczep się od moich koni.

— O! prawda! jaki waćpan mądry! tylko, że nie wmożysz we mnie, bym odstąpił od mojego; sam się wstydzić będziesz w Nieświeżu za swój upór i że, będąc komornikiem, dałeś się złapać w opisie przez takiego, co nigdy nie był w palestrze. A kiedy nie przyjmujesz mojej grzeczności, mniejsza i mnie z tem, że wolisz iść piechotą, niż obok mnie siedzieć.

Pan Leon nic nie odpowiedział, a widząc, że wszyscy w tym interesie sprzyjali panu Bonifacemu, tak się rozżłościł, że od nikogo miejsca przyjąć nie chciał w powozie, choć mu je każdy uprzejmiem ofiarował; ale u arendarza furę najął i sam jeden puścił się do Nieświeża.

Zjechawszy się w Nieświeżu, opowiedziały strony interes księciu, prosząc, by chciał zostać superarbitrem¹⁾. Na to książę: — Dobrze, podejmuję się tego: jedźcież więc do Nowogródka i wracajcie z przyznaną inskrypcją²⁾.

Zaczęto ją pisać. Pan Leon chciał koniecznie, by w niej domieszczono, że książę wojewoda wileński będzie sędził rzecz wyływającą z komplancji, w Samuelowie zawartej, tłumacząc wyrazy wedle ich znaczenia powszechnie przyjętego: ale pan Bonifacy temu się oparł, sprawiedliwie wnosząc, że takie informacje w inskrypcji byłyby pewną nauką, ubocznie księciu daną, przeciwną delikatności, winnej tak wielkiemu mężowi,

¹⁾ Superarbitr, zwierzchnik sądu polubownego. — ²⁾ Inskrypcja, wpis, w języku sądowym dług, na który niema osobnego dowodu, lecz wciągnięty jest tylko w księgę sądową, zawierającą wszystkie długi.

i kiedy ksiązę podejmuje się sędzić sprawę, to nie może być jak tylko sędzią bezwarunkowym, i strony wszelką ufność powinny w nim położyć. Dał się przekonać pan Leon, bo w tem jednomyślnie wszyscy obecni przyznali słuszność panu Bonifacemu. — Pojechali więc z inskrypcją do Nowogródka, ale każdy osobno; bo pan Leon tak był rozjątrzony na pana Bonifacego, że mówić z nim nie chciał, a cóż dopiero obok niego w pojeździe siedzieć. Pojechali więc, przyznali inskrypcję przed grodem i nazajutrz wrócili do Nieświeża z wszelką gotowością.

Książę napisał akt sądu kompromisarskiego i kazał sprawę wprowadzić, a że był biegłym w sądownictwie, pomiarkował, iż strony, będąc na siebie bardzo zawzięte, nie mogłyby tłumaczyć swojej rzeczy bez wzajemnych leży¹⁾, po których, jako ludzie odważni i zuchwali, skończyliby na gorszem; gdy przytem obadwa byli mu miłymi i gdy zawsze między swoimi Albeńczykami ile możności jedność chciał utrzymać: nie pozwolił żadnemu z nich ani słowa wyrzec przed ogłoszeniem dekretu i nazaczył kary po dwieście złotych na rzecz bonifratrów nowogrodzkich za każde odezwanie się tak jednej, jako i drugiej strony. Z tego powodu obliłował mnie pan Leon, abym od niego stawał.

Każda strona na żądanie samego księcia dodała mu po jednym arbitrze *cum voce consultativa*; od pana Leona zasiadł pan Michał Rejtan, pisarz ziemski, a pan Bonifacy uprosił pana Michała Radziszewskiego, chorążego starodubowskiego. Wprowadzenie sprawy, indukta²⁾, repliki³⁾, wystuchanie świadków, trwały dni dwa, po których upłynieniu ksiązę ogłosił dekret, przysądzający cztery konie panu Bonifacemu Sołohubowi; a stosując się do konstytucji z r. 1784, za sprzeciwienie się pana Leona Borowskiego dobrowolnemu opisowi nakazał mu zapłacić grzywien około dwóchset złotych na rzecz pana Bonifacego, z których potrącił ośmdziesiąt złotych na bonifikatę⁴⁾ szkody jego poniesionej w psie gończym, zastrzelonym przez pana Sołohuba.

Pan Leon, gdy czytano dekret, pobladł, wargi mu się trzęsły i, nie podziękowawszy księciu, w niepohamowanym

¹⁾ Lezja, obraza. — ²⁾ Indukt, pierwsze opowiedzenie sprawy. — ³⁾ Replika, odpowiadanie na zarzuty. — ⁴⁾ Wynagrodzenie.

gniewie, natychmiast wyjechał z Nieświeża. Przybywszy do Niehoreły, dóbr, które z łaski księcia za bezcen trzymał, napisał do księcia list pełen wymówek, wyrzucając mu niesprawiedliwość i odsyłając mundur albeński z oświadczeniem, że już do tego towarzystwa należeć przestaje, nie chcąc mieć dłużej nad sobą naczelnika tak parcjalnego w sądeniu. Dodał przytem, że nieprawemu wyrokowi nigdy nie ulegnie, że jako wolny szlachcic będzie szukał sprawiedliwości po sądach szlacheckich, nie znajdując jej w kaprysach pańskich — i inne dotkliwie rzeczy. Książę, gdy odebrał list, głośno kazał go odczytać. Myśmy potrucholeli na taką zapamiętałość pana Leona względem swojego dobroczyńcy. Ale ksiązę, zamiast coby się miał obruszyć, zaczął się śmiać do rozpuku, mówiąc:

— Panie kochanku, coś pan Leon bardzo się rozchime-rował! jednak jakoś się da przeprosić.

Tu nie koniec. Pan Leon, wyraźnie jakby do niego coś przystąpiło, zaczął ciągać księcia po sądach, usiłując wszędzie zwalić kompromisarski dekret, a wszędzie przegrawszy, podał na księcia prośbę do Rady Nieustającej. Dopiero ksiązę się obraził, bo tej jurysdykcji nienawdził i opierał się, co miał siły, jej ustanowieniu. Pan Leon nic zgoła nie wskórał; bo Rada Nieustająca odmówiła mu uchylenia dekretu, tem więcej, że wówczas jej marszałkiem był jw. Jelski, podkomorzy smoleński, mąż światły i znający, że w narodzie żadna władza nie jest w prawie naruszyć świętości kompromisu; a ksiązę, do najwyższego stopnia obrażony, zaawizował pana Leona o wykupno Niehoreły i, złożywszy sumę przed aktami, odebrał na siebie majątek, więcej rocznego dochodu przynoszący, niżeli wynosiła cała kwota, zastawą na nim oparta. Nadto jeszcze się odgrażał, że na tem nie poprzestanie, i kilkakrotnie, prawie codzień przed nami powtarzał:

— Panie kochanku, nie mam ani przyjaciół ani sług wiernych; pan Leon mnie ukrzywdził, a nikt się za mną nie ujmuje. Biada temu, kto przyjaciół przeżyje; gdyby żył Zawisza lub Wazgird lub Bohuszewicz, dawnoby pan Borowski poznał, co to jest Radziwiłła krzywdzić; a cóż dopiero gdyby Ignacy Wołodkowicz zmartwychpowstał! Wszyscy Albeńczycy moje folwarki za bezcen trzymają; słudzy się panoszą — i to całe ich przywiązanie!

Te słowa wnętrzości nam przeszywały jakby nożem, bośmy i pana Leona szczerze kochali pomimo jego dziwactw. On, będąc w największych względach u księcia, nietylko że żadnemu z nas nie był na przeszkodzie, ale owszem każdemu pomagał, za każdym mówił i prosił, tylko za sobą nigdy. Z drugiej strony nasze obowiązki dla księcia były święte. My chleb jego jedli, i smaczny; i gdyby pan Leon nie przeprosił księcia, radzi nieradzi musielibyśmy się z nim rozprawiać; bo sławy swego pana od napaści bronić trzeba.

Przyjaciele tedy i słudzy księcia zrobiliśmy między sobą jakby sejm jaki, aby jakoś tak rzeczy pogodzić, żeby nie mieć sobie nic do wyrzucenia ani względem przywiązania i wdzięczności dla naszego księcia, ani względem przyjaźni, którąśmy dochowali panu Leonowi. A że pan Jerzy Płaskowidzki był między nami mężem wielkiego zdania, jedynym do rady, szanowanym przez wszystkich i mającym wielką wziętość u samego pana Leona, uprosiliśmy go, by się do niego udał i wmówił mu, aby się upokorzył przed księciem, jak sama słuszność tego wymagała po nim, a nie czekał, aż my, pomimo że go kochamy, zmuszeni zostaniemy, chociaż z boleścią serca, zadość uczynić naszej powinności, jak tego bywały przykłady. Bo książę, lubo z uniesieniem wyrzucał nam, żeśmy na jego sławę byli obojętni, w duchu dobrze wiedział, że nie tak rzeczy się miały, i niedawno był odebrał dowód, ile jego przyjaciele i słudzy byli do niego przywiązani.

Kiedy książę Michał Radziwiłł, wówczas kasztelan wileński, mając sprawę z księciem wojewodą, sprowadził był na niego aż z Poznania sławnego mecenasa, pana Ratyńskiego, co go dobrze w Wilnie pamiętają, bo chodził z ogromną upudrowaną fryzurą i z kólczykiem przy lewym uchu; to gdy on mecenas przeciw naszemu księciu w indukcje wystąpił z lezjami w przytomności kilku Albeńczyków, ci to napozór obojętnie przyjęli; ale dwóch dni nie upłynęło, kiedy książę kasztelan z panem Ratyńskim wyjechali na kawę do Pohulanki, gdzie już trybunalska jurysdykcja nie dochodziła. Pan Paweł Uzłowski i Pan Bazyli Czeczott, oba Albeńczyki i nowogrodzianie, z kilku sługami księcia wojewody tam wpadli i w obliczu księcia kasztelana jego umocowanemu po pludrach porządnie dali pamiątkę. Książę kasztelan tak się przeląkł, by

i jemu samemu się nie dostało, że w Wilnie parę niedziel obłożnie chorował, a pan Ratyński, wylizawszy się, pocichu, że go świat nie widział, wrócił do Wielkopolski ze swoim nadspodziewanem honorarjum. Książę wojewoda umiał ocenić dowód poświęcenia, ale był nieco markotny, iż z jego powodu chybiło się gościnności na Litwie względem brata Wielkopolanina, i to wymawiał; a pan Bazyli Czeczott jeszcze nas wszystkich i samego księcia rozśmieszył, tłumacząc się, że wedle praw naszych *in loco delicti* każdy powinien być karany.

Kiedy więc nie oglądano się na jo. księcia kasztelana, wysokiego senatora i imiennika naszego księcia, czegożby się nadal mógł spodziewać pan Leon? Jednak widać było po księciu, że w duchu taki tęsknił za panem Leonem; bo choć się na niego odgraża, bywało, póki trzeźwy, jak się podochoci, przez zapomnienie często go wspomina w dobry sposób, a wyspawszy się, znowu się odgraża.

Pan Jerzy znalazł pana Leona w Słonimie, gdzie on był komornikiem, i zastał go ledwo nie w czarnej melancholji.

— Patrz, panie okolniczy¹⁾ — powiedział mu, przywitawszy go — gdzie mnie czart zapędził! Dwudziestoletnie zasługi djabli wzięli; piękny majątek utraciłem i jeszcze wcześniej czy później po skórze oberwę. Nic nie brakuje, tylko tego! Czemże pana przyjmę? Mam pół garńca wódki starej, tem traktować będę, bo skąd wziąć co więcej? Już moje pasy lite zastawione po żydach się walają, a sakiewka pusta. Dało mi się we znaki polowanie samuelowskie! Ale sam znam, że się nie popisał. Wstyd mi. W Warszawie, chodząc jak chłystek koło Rady Nieustającej za moim głupim interesem, którego nie mogłem nie przegrać, chociażbym i królewskim był synem, takem się wyszastał ze wszystkich moich funduszków, że chyba piechotą byłbym na Litwę powrócił, gdyby poczciwy Sołłohub nie był mnie stamtąd wywiózł. Sołłohub płakał przede mną, krusząc się, iż z niego wyszło moje nieszczęście. Co on winien? Ja jak ostatni błazen postąpiłem. Jakem wpadł w niełaszkę u księcia, to ode mnie stronią, jak gdybym w dziegciu był skąpany. Bóg ci odplaci, żeś o mnie nie zapomniał.

¹⁾ Sędzia miejski na Litwie.

I nalawszy kielich wódki, wypił do pana Jerzego. Wypił i pan Jerzy.

— Co myślisz z sobą robić, panie komorniku?

— Albo ja wiem, co będzie dalej. Teraz przyjacielskie oblizcze mnie zabłysło; tego dawno nie było. Więc zmartwieniom zrobi się przerwa, jest przynajmniej z kim wypić. Na frasunek dobry trunek: do waćpana, panie okolniczy!

— A cóż to, panie Leonie, czyż z desperacji gorzałką już się rozpiłeś?

— Kto, ja? jakem sodalis, wodę jak kaczka piję. Albo mam za co i z kim pić? Wiesz, skąd u mnie ta wódka? Oto wczora tydzień się skończył, jak ona nienaruszona stoi w tej flaszy. Przybył do mnie szlachcic z zaścianka Raców — wszak musisz znać okolicę Raców pod Nowogródkiem?

— A dla Boga!

— Nieborakowi parę koni ukradziono! opytem trafił za niemi do Słonima, gdzie je znalazł u Fabjasza sukiennika. Nie mając tu prócz mnie znajomego, bóm nieraz na słomki w jego okolice chodził, do mnie się udał i garniec wódki starej mi przyniósł, prosząc o pomoc. To z nim razem część jego wódki wypilem, a potem biedakowi wykierowałem interes. Fabjasza nastraszyłem grodem, ale tak, że żydzisko nietylko iż konie oddał, ale jeszcze dwadzieścia złotych nawiązki mu odliczył za ekspens podróży. Cóż to, panie Jerzy, nie pozwalasz, bym do ciebie wypił?

— Ach, kochany panie Leonie, jabym truciznę gotów z tobą pić; ale wolałbym wina kieliszek!

— To już wyraźnie natrząsas z siebie. Gadać o winie takiemu, co pięciu złotych nie ma przy duszy! Minęły te czasy, kiedy pan Leon z niehorelskiej piwnicy łaskawych przyjaciół częstował; teraz, czem bohać, tem rad.

— Ja ci pożyczę pieniędzy.

— Dziękuję, łaskawy przyjacielu; a gdzie *pignus responsionis*?¹⁾ Wszak wiesz, że sumka, którą miałem na Niehorele, jest nieboszczki mojej żony: leży ona teraz w aktach nowogrodzkich bez pożytku dla mnie, a czterdzieści tysięcy moich własnych, co mi zostały z krwawej pracy, siadły makiem

¹⁾ Poręka oddania.

u pana Łopota; od trzech lat ani kapitału ani procentu nie widzę. Ja je mam za przepadłe.

— Co za nowa desperacja?

— Albo to ja pozywać się będę kiedykolwiek? Dał mi się już proceder we znaki! Żeby kto mi teraz i chłopstwo zadał, tobym się nie bronił. Dziękuję ci, panie Jerzy, ale twojej ofiary nie przyjmę.

— Panie Leonie, porzuciłbyś bluźnić; wszak wiesz, że nie uchodzę za takiego, co swoją pracę w błoto rzuca. Kiedy ci chcę pieniądze powierzyć, to widno, że muszę upatrywać jakąś pewność dla siebie. Oto masz w tym ładunku sto czerwonych złotych; wykup, coś pozostawiał, potraktuj mnie dobrem winem, jeśliś mi rad — a pieniądze wrócisz mi w Nieświeżu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Ja w Nieświeżu! Wątpię panie okolniczy, żebyś za dobrą ewikcję¹⁾ swoich stu czerwonych złotych przyjął monetę, która dla mnie przygotowana w Nieświeżu, a która (dodał z głębokim westchnieniem) i tu nakoniec mnie znajdzie.

— Co mamy na sucho rozprawiać? bierz pieniądze, poślij po wino, napisz mi dokumencik, a przy kielichu i uradzim i uradujem się.

— Tać to i Bóg i ludzie wiedzą, że masz więcej rozumu niż ja: zrobię, co każesz.

Obliczył pieniądze pan Leon i swego chłopca posłał do winiarni, dając mu czerwony złoty i mówiąc:

— Ruszaj do kupca, połóż mu w ręce, co ci daję, żeby mi przysłał przez ciebie garniec tego wina, co po Świętochowskim dostał.

Sama nadzieja, że będzie traktował gościa miłego dobrem winem, rozweseliła pana Leona. On, co był najgościnniejszym z ludzi, odzyskał teraz ten humor, jaki zwykle miał, będąc wyrocznią nieświeską.

Przynieśli wino: zasiedli obaj przyjaciele. Pan Leon dokument napisał, odczytał go z uwagą pan okolniczy i, porządnie złożywszy, schował w zanadrze. Kielichem zaczęli się bawić. Opowiadał różne dykteryjki pan Leon, tak dowcipnie,

¹⁾ Ewikcja, gwarancja, ubezpieczenie.

że nietylko garniec, ale i dziesięć możeby się niespostrzeżenie wypróżniło, tak miło czas schodził! Ale gdy przyszło do interesu, to jest, jaką furtką trafić do księcia, zaczęły się smażyć umysły. Rozmaite środki podawał pan Jerzy, a pan Leon zawsze odpowiadał:

— Ja na to się nie odważę: znam księcia impet: jak mu się pokazuje, krwawo mnie zhańbi, i nie jeleń, ale pan Leon *personaliter* weźmie w skórę i, między nami mówiąc, wart tego. Nieraz sam sobie chcę dać po skórze, a onby mnie miał folgować! Nadto mu się naraziłem. On poczciwe ma serce, ale mój postępek był tak nieroztropny, tak niewdzięczny, tak zapamiętały, że i świętej pamięci księciu Sierotce byłbym się naprzykrzył. Niema rady, on wszelkie do mnie przywiązanie utracił.

— Otóż wiesz co? panie Leonie, on ciebie kocha. Kiedy trzeźwy, to na twoim łbie szyny żelazne łamie; ale jak tylko się podchmieli, ciebie szuka i, przymrużywszy oczy, mruczy, nalewając kielich: „Do ciebie, panie Leonie!”

— Co powiadasz?

— Bóg świadek, że kilka razy to było przy mnie. Cały dwór za tobą tęskni i, jeżeli ci prawdę mam powiedzieć, bo ty wiesz, że *in vino veritas*, cała Alba mnie do ciebie, panie Leonie, wysłała w delegacji, abym ciebie jakoś przywabił do przeproszenia księcia, bo wszyscy radzi mieć po dawnemu twoje plecy za sobą w Nieświeżu, a nie być zmuszonymi gdzieś tobie drogę poniewolnie zastąpić.

— Tam do diabła! Kiedy tak się rzeczy mają, pojedę do Nieświeża.

— Kiedy?

— Jw. Plater, kasztelanic trocki, w przyszłym tygodniu zeni się z panną Rzewuską, chorążanką litewską, siostrzenicą księcia; więc jadę do Nieświeża na wesele.

— Takoz ci przystąpiło coś nowego do głowy — taki dzień wybierać! Nieproszonemu na wesele się pokazać?

— Albo ja sam nie potrafię się zaprosić?

— Czy ty oszalał! wszystko u ciebie bez miary: toś dopiero do zbytku był tchórzliwego serca, a teraz wpadasz w zarozumiałość. Posłuchaj mojej rady. Po weselu jak się porozjeżdżają, a księżę zacznie tęsknić za siostrzanką, przyjdiesz do niego z księdzem Kantembryngiem i powiesz...

— Ta-ra-ra-ra! Nacoby ja w asystencji księdza chodził? Ja wolny szlachcic przecie: nie dam sobie w kaszę napluć? *Audaces fortuna iuvat timidisque repellit*. Dość o tem, panie okolniczy dobrodzieju! Co pan Bóg natchnie, to się zrobi: a teraz cały frasunek, że u garnca dno się pokazuje. Pozwolisz po drugi posłać?

— Nie, nie, jakem sodalis, ani kropli! Będzie ze mnie. Moje konie popały, słońce nisko, a przed zachodem muszę być u jw. Śliźnia, podkomorzego słonimskiego, w interesie mojego szwagra i tam przenocowawszy, ze świtem wracać dla opowiedzenia się z mojego poselstwa do ciebie przed sejmikiem relacyjnym dworu nieświeskiego. Bywajże mi zdrów, kochany panie Leonie, niech Pan Bóg tobie instynktuje i nie dopuszcza na ciebie nowych szaleństw. Tylko ceremonji ze mną nie rób; trafię do moich koni.

— A jużci, na progu żegnać ciebie nie będę! Niech cię Bóg prowadzi i odplaci dobrego twojego serca. Wszystkim kłaniaj się ode mnie, a najwięcej pani okolniczynie, mojej dobrodziejce. Kiedy mi wszyscy dobrze życzą, tem samem widać, że Bóg ze mną. Oj, bieda, że u mnie nocować nie chcesz.

— Jakem sodalis, gdyby nie mojego szwagra interes, kijem-byś mnie od siebie nie odpędził. Upadam do nóg twoich, panie Leonie.

— Z boleścią serca rozstaję się z tobą, panie Jerzy. Nie zapomnij westchnąć za mną czasem do Pana Boga i Najświętszej Panny, aby mi się udało; — wszak my obadwa sodalisy.

Tak pożegnawszy się czule, pan okolniczy siadł na swoją bryczkę, a pan Leon w dobrej nadziei i wesołym humorze z dziedzińca wrócił do swojej izby. Opowiadał nam pan Jerzy za powrotem do Nieświeża to wszystko, com opisał. My się nigdy nie spodziewali, żeby pan Leon odważył się bez przygotowania wpaść do Nieświeża, jeszcze w czasie, kiedy księżę siostrzenicę wydawał i kiedy listy zapraszające po całej Litwie biegały; jakże tu było nieproszonemu przyjechać do zairytowanego na siebie gospodarza? Ale kto mógł pana Leona przeniknąć?

W dniu, w którym się miało odbyć wesele, pamiętam jak dziś, o dziewiątej zrana po mszy świętej księżę siedział w sieni, dokąd my przynieśli w kobiałce szczenięta świeżo narodzone

z Nepty, wyżlicy faworytnej; ksiązę był w złym humorze, bo nic nie mówił, tylko mocno sapał, głaszcząc sukę i jej potomstwo, a nakoniec odezwał się: „Panie kochanku, kazałem, aby mi z Łachwy kilka łosi i dzików przywieźli na wesele chorążanki, a dotąd ich nie widać. Przyjdzie się wstydzić przed kasztelanicem trockim, że u Radziwiłła kapcański obiad. Nikt mnie nie słucha, drwią ze mnie: odkąd mnie pan Borowski ukrzywdził bezkarnie, za Boże stworzenie mnie nie mają. Trzeba uciekać z Litwy, bo doczekam tego, że we własnej mojej chacie w komornik słonimski da mi w skórę, a moi przyjaciele jeszcze mu pomogą. Jak tylko oddam chorążankę, zaraz wyjadę do Ołyki; między koroniarzami szukać będę przyjaciół, a Litwy i znać nie chcę“.

I coraz mocniej począł sapać; a my, cośmy go otaczali, nie wiedzieliśmy, co z sobą robić, tak nas temi wymówkami piłował.

Wtem w sieni drzwi się odmykają i wchodzi — kto? Pan Leon Borowski! z miną gęstą, w kontuszu nowogrodzkim pon-sowym, z pasem tak litym, aż się oczy ćmiły — niziuteńko skłonił się przed księciem. Ksiązę tak się zmieszał, że aż języka zapomniał w gębie. Wstał, znowu usiadł w krzesło i odezwał się w rozłargnieniu:

- Co słyszać? panie Leonie!
- Teraz słyszać, że dwóch wielkich głupców na Litwie.
- Kto taki?
- Jeden ksiązę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, drugi Leon Borowski, komornik słonimski.
- Jakto? przerwał ksiązę, mocno zasapawszy.
- A tak, ksiązę panie. Radziwiłł, że się porwał na im-peratorowę, a Borowski, że się porwał na Radziwiłła.

Cóż powiecie? Ksiązę, zamiast coby się miał gniewać, zaczął się śmiać do rozpuku, a potem rzekł:

— Panie Leonie, waćpana całe życie błazeństwa trzymać się będą. A kto waści zaprosił do Nieświeża na wesele?

— Sam się zaprosiłem, ksiązę panie; zatęskniłem się w Słonimie. Wykroczyłem, o tem Bóg i ludzie wiedzą więcej jeszcze, niż sam ksiązę. Bij mię, bom wart tego; ale ostrzegam, że w. ks. mość i hakami od Nieświeża mnie nie odpędzisz.

I klął przed księciem. Ksiązę się rozczulił, kilkakrotnie go ucałował, mówiąc:

— Panie Leonie! bądź dobrej myśli, a o tem, co minęło, nie gadajmy.

Pan Leon padł mu do nóg i rozbeczał się; ksiązę go podniósł i zaprowadził do stancji, dokąd my wszyscy za nim poszli.

Ksiązę ciągle odtąd był wesoty, bo pan Leon miał dar szczególny jego rozweselać, jako i nas wszystkich. Wrócono mu Niehorełę i mundur albeński przy dawnych względach — i odtąd już nigdy pan Leon księciu się nie naraził.

Henryk hr. Rzewuski (Pamiętniki Soplicy)

Czy się nam podoba pan Borowski? Jeżeli nie, co nas w nim razi? A w księciu wszystko się nam podoba? A u Albeńczyków? A w tym, który to zdarzenie opowiada (w panu Soplicy)? Czy Soplica tak, jak my, patrzy krytycznie na pana Borowskiego, księcia, Albeńczyków? — Wyszukaj w opowiadaniu pana Soplicy wyrażenia i zwroty trące nieco rubasnością. Czy rażą nas one w „Panu Borowskim“? Co uczycza opowiadaniu barwy staropolskiej?

30. Z ŻYCIA SZKOLNEGO

za panowania Augusta III Sasa

W dawnych szkołach polskich nie dosyć było na usilności profesora, starającego się dla własnej sławy i zasługi wlać w uczniów umiejętność tego, czego uczył; nie dosyć było także przez kary szkolne przymuszać gnuśnych, ażeby się koniecznie uczyli: nauczyciele starali się jeszcze sztucznymi a skutecznymi sposobami zapalić w studentach taką chęć do nauki, któraby ich nie dla bojaźni kary, ale dla punktu honoru do onejże pobudzała.

Wymyślono tedy „emulusów“, t. j. współzawodników, dzieląc całą szkołę na pary, jednego przeciw jednemu. Jeżeli który nje miał pary, uniknął wprawdzie emulacji, ale miał za to pilniejsze na siebie oko profesora. Ci tedy współzawodnicy przesadzali się we wszystkim jedni nad drugich, a który nad swoim przeciwnikiem — czyto w lekcji, czy w jakim zapytaniu znienna zadaniem, czy w pisaniu okupacji czyli wypracowania — otrzymał górę za sądem profesora, miał prawo karać zwyciężonego przeciwnika, co bardziej gniewało i wsty-

dziło, niż bolało, zatem do oddania za swoje przez przesadzenie w nauce pobudzało.

Druga emulacja była powszechna, t. j. jednej połowy klasy przeciw drugiej połowie. Jedna strona szkoły nazywała się *pars Romana*, druga *pars Graeca*; pierwsza była lepsza, wyższa. Nad każdą z tych stron na ścianie w tyle ławek wisiała tablica z napisem strony, t. j. *pars Graeca, pars Romana*. Jeżeli jedna strona popisała się lepiej w lekcji szkolnej nad drugą, czyto na zadane przez profesora pytanie lepiej odpowiedziała niż druga, czy też przeciwnej stronie zadała taką trudność, iż jej owa strona rozwiązać nie umiała, a zadająca strona rozwiązała ją sama z pochwałą profesora: w takim razie profesor zwyciężającej stronie nadawał pochwały: *decem laudes, centum laudes, quingentae laudes, mille laudes*. Otóż strona, która takie *laudes* od profesora odbierała, zapisywała je na swej tablicy, zbierając je przez cały tydzień lub miesiąc. Gdy przyszła sobota albo ostatni dzień miesiąca, rachowały się strony ze sobą: ta, która miała więcej, rugowała z ławek mającą mniej, przesiadając się na jej miejsce; to był cały zysk wygranej. Która strona wygrała, pisała się *pars Romana*, a która przegrała, musiała przyjąć imię *partis Graecae*. Otóż to podzegało w studentach ambicję do pierwszeństwa.

Oprócz tego także honory szkolne były niemałym bodźcem do nauki. Te zaś były następujące: dyktator, *imperatores*, audytorowie, *auditor auditorum*, cenzor.

Dyktator miał swoją ławkę osobną na boku katedry profesora. Jak dyktator rzymski w nagłych tylko potrzebach rzeczypospolitej bywał kreowany, tak też i ten szkolny. Kiedy cała szkoła zagadniona była jakąś kwestją, jednak odpowiedzieć nie umiała, jeden zaś, jakoby salwując honor całej szkoły, oświadczył się, iż chce na tę kwestję odpowiedzieć i w samej rzeczy odpowiedział: tedy niezwłocznie za tę deklaracją profesora, z okrzykiem całej szkoły, zostawał dyktatorem. Godności tej przywileje były następujące: pierwszy — ławka osobna; drugi — niezawisłość od audytora i cenzora; trzeci — że zarobione na swoją korzyść *laudes* wolno mu było której chciał stronie podarować, bądź *parti Romanae*, bądź *parti Graecae*, (a że dyktator za każdą zasługę dziesięć razy więcej zyskiwał *laudes*, niż wszyscy inni studenci, więc której stronie on po-

darował swoje krocie i miliony, ta zazwyczaj drugą przewyższała); czwarty przywilej — że z żadnej powinności szkolnej, jakoto z pensów, okupacji domowej, *exercitium*, skryptury i tym podobnych nie mógł od niego żądać sprawy nikt, oprócz samego profesora; ale ten, jeżeli pana dyktatora, w swoich przywilejach zaufanego, w czemkolwiek znalazł niegotowym, natychmiast degradował go *ad scamnum asinorum*¹⁾). Stamtąd skazany mógł się przez poprawę wydobyć, mógł przyjść między drugich, a nawet miejsce dyktatorskie odzyskać. O godność tę zewsząd się ubiegano, osobliwie w ten dzień, kiedy strony grecka i rzymska miały się między sobą z *laudesów* rachować i miejsca sobie odbierać, albowiem ten, który dyktatora spędził, zostawał panem wszystkich jego *laudesów*.

Imperatorowie mieli ten zaszczyt, że w ławkach szkolnych pierwsze zasiadali miejsce, na procesjach publicznych z laskami przed swoją szkołą paradowali i każdy katalog swojej partji utrzymywali, zapisując w nim każdego studenta, który umiał i jak umiał *pensa*²⁾). Imperatorami bywały zawsze panięta albo majątniejszych mieszczan dzieci, które, w lepsze od innych sukienki przyodziane i urodziwsze, mogły piękniejsze czoło szkoły tworzyć, ale przytem, jeśli nie lepiej od drugich, to przynajmniej równo z drugimi trzeba się było uczyć i w postępkach najmniej mieć płochości.

Audytorowie i audytor audytorów nie mieli żadnej prerogatywy, tylko cokolwiek reputacji, iż się dobrze uczyli, kiedy zostali audytorami; ponieważ tego urzędu nie powierzano tępym chłopcom, ale bystrzejszym i w nauce pilnym. Audytorowie obowiązani byli przychodzić do szkoły przed wszystkimi, ażeby przed nadejściem profesora mogli wysłuchać pensów i podać notę do zapisu. Po wysłuchaniu innych audytorowie sami swoje *pensa* odmawiali przed audytorem audytorów, a ten znowu odprawiał swoje przed którymkolwiek audytorem. Oprócz pensów codziennych każdy student obowiązany był w sobotę powiedzieć czyli odmówić napamięć *pensa* całego tygodnia, a jeżeli ich nie umiał, bywał karany.

Cenzor nareszcie notował postęпки studentów tak w szkole, ażeby się między dziećmi jakowa nieprzystojność nie działa,

¹⁾ Do osłej ławy. — ²⁾ Lekcję zadaną.

jakoteż w kościele i to w nim najbardziej, ażeby zachowana była jak największa skromność. W sobotę odbywał się obrachunek i wymiar kary stosownie do przewinienia. Jeżeli przeciw zanotowaniu cenzora obwiniony dowiódł swej niewinności świadectwem innych studentów, mających u profesora wiarę, odbierał karę pan cenzor.

Według Andrzeja Kitowicza (Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III)

31. SZKOLNE CZASY JANA DĘBOROGA

(W skróceniu)

Spotkałem się powtórę z Janem Dęborogiem;
 A że dobry znajomy, więc starym nałogiem
 Począł mi swoje dawne przypominać czasy:
 Jako on zdał egzamin aż do drugiej klasy
 I jako mu się wiodło w naukowej pracy, 5
 Jacy nauczyciele, towarzysze jacy,
 Na jakichto czas schodził zabawach, mozołach,
 I jak dawniej uczono po klasztornych szkołach.
 Dobrych nauczycieli i szkolnych współbraci
 Stawił mi kilkanaście przed oczy postaci... 10
 Naszych dziadów chłostali jezuici starzy,
 Naszych ojców chłostali ojcowie pijarzy,
 A nam się bazyljańska różga przypomina
 Albo dominikańska twarda dyscyplina.
 Ha! niech im za te chłosty niebiosa zapłaca! 15
 Prawda, tego płazyli, jeśli było za co;
 Ale kochali dźwignę serdecznie i szczerze,
 Ćwiczyli po Bożemu w nauce i wierze
 I ściśle strzegli *mores*; — ich baczną opieką
 Niejednego krajowi darowała cześć... 20
 Lecz wracając do pana Jana Dęboroga,
 Garstka jego przypomnień, choć treścią uboga,
 Tak mi się zdała rzewną, tak mu z serca płynie,
 Zwłaszcza jego powiastka o księdzu *Łacinie*, 25
 Tak mi duszę rozrzewnia, tak serce przenika,
 Żem ją przedsięwziął spisać gwoli czytelnika;
 A kreślę ją tem wierniej, z tem większym zapalem,
 Że ja księdza Łacinę i sam niegdys znałem...
 Szkoła była w klasztorze, a kwatery w mieście,
 A w szkole wszystkich uczniów może osób dwieście, 30
 A miasteczko zamożne stało przy jezierce,
 Przy nim starego zamku piętrzyły się wieże.
 Za moich szkolnych czasów jeszcze zamek mieści

Resztkę dawnej świetności i resztkę powieści:
 Że tu żyli potężni w kraju dygnitarze, 35
 Których ciała w potężnej spoczywają farze.
 Nieraz widziałem trumny, gdzie leżą ich ciała:
 Zewnątrz heban, aksamit — wewnątrz kość spróchniała.
 A nad trumną łacińska legenda wryta.
 Co mało kto zrozumie, mało kto wyczyta... 40
 Lecz wracam do miasteczka, kędy były szkoły;
 I tutaj stara przeszłość sypie się w popioły,
 Wał, co bywał obronnym, zarasta pokrzywa,
 Zegar w zamkowej wieży stęka, dogorywa.
 Pleśnieje mur kościelny, dzwonica się chyli, 45
 A okna dwóch pałaców deskami zabili;
 Upadkowi bram miasta nikt nie zapobieży,
 Spadły herby dziedzica z ratuszowej wieży.

Jak jedyna pamiątka przeszłości minionej,
 Grają w wieży kościelnej nierozbite dzwony. 50
 Dobrze głos ich pamiętam. Jeden, różańcowy,
 Budził ze snu do pracy rozmarzone głowy.
 Głos miał długi, jęczący — a jednakże słodki,
 Zwolywał na różaniec starce i dewotki...
 Trzeci dzwon był najmniejszy w swoich braci rzędzie; 55
 Lecz głos jego do śmierci pamiętny mi będzie:
 Głos miał cienki, dobitny, dzwięczny niesłychanie,
 Trzepał prędko jak student, gdy umie zadanie,
 Echa nie miał — a jednak za jego wyrazem
 Dwieście serc młodocianych uderzało razem; 60
 To postrach, to nadzieję budził swemi tony:
 To był nasz dzwonek szkolny, *Piotrem* narzeczony!
 Och! jakże się pragnęło wśród naszej drużyny,
 By prędej pana Piotra przyszyły imieniny,
 A on jak solenizant hojny i wspaniały 65
 Zasygnuje wakacje aż na miesiąc cały!
 Lecz jeszcze do imienin Piotrowych daleko.
 Zadzwonił... śpiesz do klasy z książkami i teką..

Kładąc rękę pod szkaplerz białego habita,
 Ksiądz prefekt dyrektorów o nasz postępek pyta, 70
 A grzecznie ich częstując z tabakiery dużej,
 Uśmiecha się łagodnie albo czoło chmurzy.
 Pięknież to było czoło! zmarszczki go nie szpecą,
 Włos jasny, kędzierzawy przerzedział mu nieco,
 A na czole dostrzeże, kto uwagę zwraca, 75
 Że panuje myśl wyższa, nauka i praca...
 Taki mąż w mniszej sukni, w ubogim klasztorze,
 Był ojcem naszej szkoły. Pochwała, nagana

To była sprawiedliwość święta, niezachwiana;
 A kiedy ją odbierał, to czuł umysł młody, 80
 Że jest godzinę tej kary albo tej nagrody.
 A jeśli jego kary zasłużonej, świętej
 Zdołał czasem uniknąć przez szkolne wykrety,
 To nieraz mi się zdaje, że karę tej winy
 Los odłożył na życia późniejsze godziny: 85
 Łzy, któremi nawiedza Bóg duszę zbolatą,
 Może przy szkolnej ławie wylać należało.

Tymczasem w klasach grzmi cizba gwarliwa,
 Jak gdyby w ulu, gdy rój odlatywa;
 Dwadzieścia głosów zadania się uczy, 90
 Dwadzieścia głosów śmieje się i huczy;
 Piłka, nieznacznie rzucona gdzieś z boku,
 Grzmoce o ziemię w sprężystym podskoku.
 Najgłośniej krzyczał najstarszy z wąsali,
 Co zawsze winę na mniejszego zwali; 95
 Nim do cenzora dojdzie nasza skarga,
 To on cię jeszcze za uszy wytarga.
 Cóż malcom począć? wszak wiadomo przecie,
 Że kto ma siłę, ma słuszność na świecie.
 Ale i słabym na silnych jest rada, 100
 Gdy z łańskiego trudna rzecz wypada,
 O! wtedy widzieć wąsalców postacie!
 Pokornie proszą: Podpowiedz mi, bracie!
 Więc gdy się biedak w odpowiedziach błąka,
 Tak mu podpowiesz, że ustrzeli bąka: 105
 Profesor krzyczy, a pusty śmiech w sali —
 To cała nasza zemsta na wąsali.
 Wąsał za swoje oddawał cichaczem,
 Ale był triumf, że i my coś znaczem.
 Piłka się zwija — bębni szkolna ława. 110
 Po całej sali wrzawa i kurzawa.
 Prefekt, choć wszystko słyszy z korytarza,
 Lecz się niezawsze na wrzaski obraża!
 Wszystkich nie skarcić, to i czasu szkoda!
 Więc myśli sobie: przesumi krew młoda. 115
 Tylko gdy czasem swawolna drużyna
 Zanadto głośnie wrzaski rozpoczyna,
 Prefekt w drzwi puknie albo je uchyli:
 Nastaje cisza — cisza jednej chwili,
 I znowu wrzaski kipią z całą mocą, 120
 Aż w oknach szyby trzęsą się, dygocą.
 Drzwi się otwały — wpót taktu, wpót słowa,
 Po gwarze cisza nastąpiła grobowa,
 Niejedno trwogą uderzyło serce,

Profesor przeszedł... klęknął w katederce... 125
 Wszyscy pokłękli i w jeden głos żywy
 Zabrzmiała modła: „Boże dobrotliwy!
 „Ześlij dar ducha na głowy twych dzieci,
 „Co serce wzmocni i rozum oświeci,
 „Byśmy dla kraju naukę pojęli, 130
 „Ciesząc rodziców i nauczycieli!“
 Profesor powstał — rzucił wzrok surowy:
 — „No, panie Janie! ile części mowy?“

Stańcie mi przed oczami w waszej białej szacie!
 Groźne a razem drogie mych mistrzów postacie! 135
 Och! niejedną twarz waszą, tak dobrze mi znaną,
 Zakryto w czarny kaptur, piaskiem zasypano
 I postać niegdyś w szkole przewodzącą dumnie
 Zakopano w mogile, w jedlinowej trumnie,
Requiem zaśpiewano w ton grobowy długi, 140
 I rozwiął wiatr cmentarny ślad waszej zasługi.
 Gdzie wy ojcowie ducha? W dalekim klasztorze
 Pozostało was tylko dwóch, albo trzech może,
 W chórze lub mniszey celi wiodą ciche życie...
 A reszta — z górnych niebios za nas się modlicie. 145
 Dziśbyście nie poznali małego pieszczocha,
 Którego i ksiądz prefekt i każdy z was kocha:
 Był dzieckiem — dziś w cierpieniu twarz stała się starą,
 Był wiernym — świat mu serce zaraził niewiarą;
 Był jednym z pierwszych uczniów — wszak pomną koledzy — 150
 Dziś miota się po falach niezgłębionej wiedzy,
 Łamiąc ręce w rozpacz — bo uznał w swej dumie,
 Pierwszych liter mądrości że dotąd nie umie.
 Wyście mnie zapomnieli — ale ja was pomnę;
 Wasze twarze, postacie mam w sercu przytomne. 155
 Oto z pierwszego planu spogląda surowo
 Stary ksiądz *Matematyk* z rozczochną głową.
 Na jego białej szacie jest plama dwojaka,
 Bo bielsza jeszcze kreda i czarna tabaka;
 Lecz zato jego serca nie skaziła plamka. 160
 Na dziesiątym, na setnym ułamek ułamka
 Nieugięty jak Kato, jak cyfra w algebrze;
 Nikt od niego litości w zdaniu nie wyżebrze.
 Na tablicy i w życiu kreślił prostą linię
 I pomiędzy ojcami miał prawą opinię... 165
 Ciężył na naszych sercach, jakby głaz kamienny,
 Pierwiastek kwadratowy, pierwiastek sześcienny:
 Wyciągnij, jeśliś łaskaw, wyciągnij go sztucznie!
 Mnie liczył ksiądz profesor między słabe uczenie.
 A jednak szczerze kochał — a że lubił łowy, 170

Czasem odwiedzał w święta nasz zakąt domowy:
 Ze strzelbą, z moim ojcem przechadzał się borem,
 Lub w szachy na papierze grał z definitorem.
 Więc wtedy mawiał do mnie: — „Ej, źle, panie Janie,
 „*Źle poszło centum bovum*, źle poszło zrównanie! 175
 „A tu najpierwsza w świecie liczbowa nauka:
 „Nikogo nie oszukasz, nikt cię nie oszuka!“
 A jednak mimo liczby, kwadraty, sześciiany,
 Często ksiądz Matematyk bywał oszukany.
 Wiedząc, że trochę grosza po bracie dziedziczy, 180
 Nieraz przyszedł do niego żebrak tajemniczy
 I prosił o jałmużnę lub kredyt otwarty:
 Wziął pieniądze — przehulał — albo przegrał w karty,
 Lecz ksiądz teologiczną formułę miał na to:
 — „Bóg mi zato zawdzięczy stokrotną zapłatą! 185
 „Weź kredkę i porachuj — toć rachuba prosta:
 „Jałmużna do nagrody — jako jeden do sta“.
 I rad z dobrego czynu, rad ze swej formuły,
 Czując i czystą duszę krył w pozór nieczuły;
 A gdy niósł chętną pomoc dla biednych współbraci, 190
 Co się w liczbach pomylił, to mu Bóg zapłaci.

(W podobny sposób kreśli poeta wizerunki innych nauczycieli, mianowicie księdza *Rusaka*, t. j. nauczyciela języka i literatury rosyjskiej, księdza *Fizyka*, t. j. nauczyciela nauk przyrodniczych i fizyki, księdza *Francuza* księdza *Historyka*, księdza *Katolika*, t. j. katechety, wreszcie księdza *Niemca*).

Postać księdza *Laciny* mam skreślić wam jeszcze,
 Lecz w osobnym obrazku i potem ją streszczę.
 Łzę rzewną, łzę serdeczną na grób jego zleję,
 A teraz dalsze szkolne rozpowiem koleje. 195

„Choć ich każdy przebył tyle, Jedna, druga misa strawy,
 Ale każdy w sposób inny, Ani ujrzyś, gdzie przepadła.
 Każdy lubi w rzewną chwilę Dogryzając kostki w dłoni,
 Gonić myślą wiek dziecinny, Leci w ogród orszak żywy, 215
 Śmiechem, płaczem lub tęsknotą Na przechadzkę nim zadzwoni
 Rozpamiętać przeszłość złotą. Piotruś — dzwonek nas poczcziwy.
 Dzwonek brzęknął — już po szkole, Ot... zadzwonił! jaka zmiana
 Hulaj dusza na swobodzie! W kołatanu nawet dzwonka!
 Czas do domu — tam w gospodzie Tak niemiło zrzedził zrana,
 Misa dymi już na stole. 205 Tak uprzejmie teraz brząka,
 Pan Dyrektor nie utrzyma, Dzwonek szkolny, to jedyny
 Lecim pędem w nasz podwórek; Do kłopotów i pocieszeń,
 Po obiedzie nauk niema, Dalej, dzieci! piłkę w kieszeń,
 Bo dziś czwartek albo wtorek. Poza miasto na równiny! 225
 Głód i młodość, dwie przyprawy, Poza miastem gaj lipowy,
 Okraszają proste jadła; Tysiąc ptasząt w gaju gwarzy;

Jaki piękny, jaki zdrowy,
 Po wilgoci korytarzy!
 A tu wietrzyk łąta zwawo,
 Że pobiegać aż podnieta;
 Wśród gaiku plac z murawą,
 Do palanta — dobra meta!
 Ot niedawno jadąc z miasta,
 Przejeżdżałem tamtą stroną: 235
 Gaj lipowy wytrzebiono,
 Wiatr coś ciężko w skrzydła szasta:
 Przypomnienia przyszły tłumnie,
 Żal się zakradł w głębię łona...
 Dziś i oddech cięższy u mnie,
 Dziś i łąka mniej zielona.
 Przy krynicy, nakształt mary,
 Siedzi starzec zgięty wpoły;
 Wszak to Aron... Aron stary,
 To przyjaciel całej szkoły! 245
 Nosił ciasta i owoce,
 Do serc naszych miał swe drogi.
 Często z nami w piłkę grmoce
 Lub wymyśla grę w pierogi.
 Za gotówkę lub za słowo
 Służył chętnie swym towarem:
 „Dla mnie wszystko jednakowo,
 „Ja pogadam z państwem starem!“
 Znał imiona i nazwiska,
 Znał i ojca i sąsiada, 255
 Nasze figle widział zbliska,
 Ale nigdy nie wygada.
 Obeznany z obyczajem,
 Zbratan z szkołą lat dwadzieści,
 On nas kocha, on nas pieści,
 I my jego lubim wzajem.
 Tak żyjący w swym żywiole
 Kwitnął czerstwem, bo bez trosków;
 Kilka w brodzie siwych włosków,
 Kilka zmarszczek miał na czole; 265
 Miał od święta żupan suty,
 Czapkę sutą, sobolową...
 Teraz jakby duch pokuty
 Z pochyloną siedzi głową.
 Teraz starca broda biała,
 Z ust figlarne znikły żarty,
 Twarz zmarszczona, wynędzniała,
 A na grzbiecie łachman zdarty.
 Niemasz na nim skrzyni z ciastem,
 Którą zwieszał przez ramiona: 275
 Nad upadłem w gruzy miastem
 Roni dumki gruz Arona.
 Mnie nie poznał i nie dziwa!
 Wypiaśtował tyle dzieci,
 Pamięć ginie... a czas leci,
 Odmianami twarz pokrywa.
 Gdym go nazwał, kiedym wspomniał
 Niegdyś znane mu imiona,
 Starzec nieco oprzytomniał:
 — „Niemasz — rzecze — już Arona!
 „Tu u pana przed oczyma
 „Stary żebrak... oszarpaniec.
 „Szkoły niema... dziełek niema,
 „Gruszek niema... wszystko za nic!...
 „Oj wy młodzi... oj wy młodzi!
 „Jakie losy różne... różne!
 „A wasz' Aron z torbą chodź.
 „Kahał płaci mu jałmużnę.
 „Człowiek został rok już trzeci
 „I włóczęgą i sierotą. 295
 „Zmarła żona, zmarły dzieci...
 „Mniejsza o to... mniejsza o to!...
 „Bóg pociechy nie dochował,
 „A tu śmierć już przed oczyma...
 „Ot gruszkamibym częstował,
 „Ale gruszek u mnie niema“...

Lecz wróćmy do szkoły. Z przechadzki nas wiodą
 Ordynkiem, parami, jak wojsko z wyprawy;
 Powietrzem i ruchem ogrzawszy krew młodą,
 To jakoś do książki człek bardziej był zwawy. 305
 I rzeźwiej już do snu pościółkę uścielę,
 I lepiej się modli nazajutrz w kościele.
 Inakszym szły torem nauki u księży,
 Niż w lata dawniejsze u synów Lojoli:

Łacina nietylę już dzieci ciemieży,
Syntaxis i *praxis* nietylę mozoli... 310
 Lecz nad czem najbardziej starania swe łożą?
 By rosła jak trzeba moralna w nas siła,
 By każdą naukę uważać za Bożą,
 By każda nauka o Bogu mówiła, 315
 By ludziom od dziecka wyłożyć najprościej:
 Że święty strach Boży — początek mądrości.
 Gdzie czyn był szlachetny, gdzie wola pobożna,
 Gdzie mieszkał duch pański w naddziadach i dziadach,
 Książd Niemiec, książd Francuz, najczęściej jak można, 320
 Stawili w niemieckich, francuskich przykładach,
 Lubili rozprawiać ogniście i wiele
 O królu Stefanie, o królu Jagielle.
 I książd Matematyk, z łagodnym wyrazem,
 Od figur i cyfer — do wiary rad zbacza 325
 I mówi, że koło — wieczności obrazem,
 Że trójkąt — to Trójcę Najświętszą oznacza.
 Że linija prosta — to chrześcijan droga,
 Że nią się najkrócej dostaniesz do Boga.
 Książd Fizyk tłumaczy, że sztuką w naturze 330
 I piorun sprowadzić i deszcz stworzyć można;
 Lecz zawsze dodawał: — „Bóg wskazał bieg chmurze,
 „A w chmurze jest piorun na głowę bezbożną;
 „Konduktor, choć chmurę rozbraja zdaleka,
 „Nie zdoła ostonić dach złego człowieka“. 335
 Historyk, marzący czyżyki i klatki,
 Powtarza nam często, gdy książkę otworzy:
 — „Chcesz zbadać ciekawe dziejowe wypadki,
 „To zawsze, mój *ptaszku*, uważaj sąd Boży;
 „Bez niego choć naród podleci... podleci... 340
 „Lecz zginie jak ptaszek wśród śnieżnej zamieci“.
 Tak człowiek na wszystko poglądał z pobożna
 I wiedział napamięć, gdzie prawda i wiara,
 Rozumiał, co można, a czego nie można, 345
 I nigdy nie latał skrzydłami Ikara
 I, pewny swej prawdy, nie troszczył się wiele,
 W sobotę jadł z postem, a święcił niedzielę...

Ot koniec maja — i Boże Biało!
 Jakoś na sercu lekko, swobodnie:
 Już do wakacji tylko zostało 350
 Cztery tygodnie!
 Cztery tygodnie, aż serce skacze!
 W domu zielono, w domu przestronno,
 Ojca zobaczę, wioskę zobaczę,
 Z wiejskimi chłopcy pohasam konno, 355

Władę na gruszę, władę na wiśnię,
 Tak tam wybornie, tak tam wysoko!
 A tu godziny jak naumyślnie
 Żółwiem się wloką!
 Cztery tygodnie... rachunek szczery, 360
 Siedm dni w tygodniu jak jedna chwilka;
 A w dniu jest godzin dwadzieścia cztery,
 Będzie... czterysta czterdzieści kilka.
 Czterysta godzin... a na minuty,
 To ze dwadzieścia i sześć tysięcy! 365
 Tak człowiek, myślą swobodną psuty,
 Chciałby do domu biec najgoręcej.
 Książka nie bawi, bo wioska w głowie,
 Krew prędko bije, dni zwolna płyną.
 Moi wy dobrzy profesorowie, 370
 Jacyście nudni z waszą łaciną!
 Profesorowie czują to sami,
 I rzadko który temu zaprzeczy:
 Więc zamiast męczyć nas zadaniami,
 Każą powtarzać dawniejsze rzeczy. 375
 Człowiek się uczy niby z zapalem,
 Lecz to zapalu tylko ostatki;
 A na dni parę przed Bożem Ciałem
 Idziem na łąki, zbieramy kwiatki...

(Następuje opis uroczystości Bożego Ciała, z największą wspaniałością
 odbywającej się procesji i udziału, jaki w niej brała młodzież szkolna).

Och! szczerze się modliło — i było też o co: 380
 Aby przyszedł duch Boży ze swoją pomocą!
 Uczeń teraz najpilniej do głowy kołace,
 Aby chlubnie uwieńczyć całoroczne prace,
 Aby stanąć z triumfem w domowej gromadce, 385
 Nie wzbudzić gniewu ojca, nie wylać łez matce.
 Egzamin się przybliża: — Bóg sam wiedzieć raczy,
 Jak też pójdzie wśród grona tak licznych słuchaczy?
 Czy się człowiek nie strwoży, co może być snadnie,
 Lub czy jakie pytanie trudne nie wypadnie? 390
 Czątek się liczy z sumieniem i rozmyśla z trwogą:
 O co też niespodzianie zapytać się mogą?
 W klasztornym refektarzu, zmienionym na salę,
 Trzy dni szkolne popisy trwały okazałe.
 Idzie chwila stanowcza... nadeszła nareszcie:
 Pocciwy Piotr z dzwonnicy dał sygnał po mieście. 395
 Bieżym w świetnych mundurach, chociaż zdartych nieco;
 Twarze zapłomienione, a oczy się świecą,
 A serce bije silnie, strachem, to nadzieją,

A kto słabego serca, nogi mu się chwieją.
 Szykują nas szeregami, jak kto siedział w klasie, 400
 Tylko dalej przy końcu jest sukurs w zapasie:
 Bo pomiędzy nieuki są lepsi uczniowie,
 Jak się jeden pomyli — to drugi podpowie,
 Ocali honor klasy. — Otwarto podwoje:
 Strojnych dam, świetnych mężczyzn wyspały się roje! 405
 Księża profesorowie wiją się przed gronem,
 Witają, siedzieć proszą z uprzejmym ukłonem,
 Goście zajmują miejsca; ksiądz prefekt po przedzie
 Zastüżonego starca z okolicy wiedzie,
 Co miał w kraju zasługę, z nauki był znany, 410
 Na zakon kaznodziejski w szczodrocie wylany:
 Więc tego sadza w krzesle, przy najpierwszym stole,
 Odda ukłon uprzejmy po obecnych kole,
 A gdy szmer się uciszył — wstaje ksiądz Łacina
 I z polskiego języka egzamin poczyna. 415
 Z gramatyką nie bawi, rozbioru nie pyta,
 Lecz zato w wyższych klasach pieści się dosyta.
 O Janie z Czarnolasu! o Symonidesie!
 Dotąd wasze piękności moja pamięć niesie,
 Dotąd umiem napamięć hymn rzewny a stary: 420
 „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
 Dotąd mi się idylla stara przypomina:
 „Kozy ucieszne! kozy, ma trzodo jedyna!“
 Och! po latach trzydziestu jeszcze dotąd śni się,
 Jakem ją deklamował na szkolnym popisie, 425
 Jak głos z początku drżący nabrał dźwięcznej mocy,
 Jakem dzielił z Dafnisem jego los sierocy,
 Jakem marzył z nim razem przy cichym ruczaju.
 Jakem kwilił z ptaszęty w leszczynowym gaju.
 Jakem się z trzódką jagniąt na upale nużył! 430
 Dano mi huczny oklask — czuję, żem zasłużył.
 Ksiądz Niemiec i Ksiądz Francuz, tą samą koleją,
 Wzywają tych, co lepiej rzeczy rozumieją.
 I bajka Lafontena ¹⁾, ekloga Gesnera ²⁾
 Na ciekawych słuchaczach wrażenie wywiera. 435
 A tymczasem publiczność już przegląda pliki,
 Nasze prace, pisanie, rysunki, zielniki:
 Każdy poszył z rąk do rąk przechodzi po sali,
 Każdy z gości ogląda i każdy je chwali.
 A twarz dziatwy naprzemian to krasna, to blada, 440
 Zgadniesz, komu największa pochwała wypada:

¹⁾ Lafonten, bajkopis francuski. — ²⁾ Gesner, sielankopisarz niemiecki.

Z twarzy ojców i matek pokolenie młode
 Czyta swą najchlubniejszą, serdeczną nagrodę.
 Lecz wystąpił ksiądz Fizyk — i nastały dziwa:
 Uczeń zaczarowanych rzeczy dokonywa: 445
 Złączył dwa lotne gazy i stała się woda;
 Potem wodę zapalił, gdy znów gazu doda;
 Inszy jeszcze dziwniejszy pokazywał sposób,
 Targnął szklaną machiną całe kółko osób;
 Trzeci dokładnie wskazał, jak się tworzą burze, 450
 Jakby własną osobą był kiedy na chmurze;
 Wreszcie ostatni chłopak, co stał z lewej strony,
 Strzelił z flaszki lejdejskiej — egzamin skończony.
 Wreszcie powstał ksiądz prefekt i w rzewnej przemowie
 Żegna uczniów, rodzicom piękne słówko powie, 455
 Mówi o pilnych uczniach, jak o szkoły wzorze,
 Ubolewa, że wszystkim dziękować nie może;
 Lecz pociesza i tamtych, że Pan Bóg łaskawy,
 Że jeszcze mają młodość i czas do poprawy,
 Że jeszcze wielkie pole dziatwa ma przed sobą 460
 Zostać rodziców chlubą a kraju ozdobą.
 Skończył — a uwieńczając plon całego żniwa,
 Po nazwisku cenniejszych uczniów wywoływa;
 A gość, starzec poważny, w sposób uroczysty
 Daje książki w nagrodę i pochwalne listy. 465
 Tu już niejednej matce, z radości, z boleści,
 Płacz długo przytłumiony w piersiach się nie zmieści,
 Wybuchnie głośnie echem — lecz ten jęk, dokoła
 Szyderczego uśmiechu nigdzie nie wywoła;
 Bo wszyscy, równie tknięci w tak ważną godzinę, 470
 Umieją poszanować uczucia matczyne.

 Z refektarza idziemy wszyscy do kościoła,
 „Te Deum laudamus!“ tysiąc głosów woła.
 Huczają święte organy, biją wszystkie dzwony,
 A najgłośniej nasz Piotruś — tak rozswawolony, 475
 Że upływa minuta, potem minut kilka,
 Inne dzwony umilkły i organ umilka,
 A jego długo, długo uciszyć niełatwo:
 Żegna się rzewnym jękiem z ukochaną dziatwą...
 Och! niejednen, niejednen z szkolnych towarzyszy 480
 Już jego braterskiego brzęku nie posłyszysz...

Nie wrócić lat — dziś inszy świat,
 Już marzyć dość jak dziecię!...
 O mgliste sny minionych dni!
 Poco nalatujecie? 485

Czegoż ci żal? ubiegłych fal,
 Chmur przeszłorocznych z nieba?...
 Rzuć stare sny, oszczędzaj łzy,
 Bo ich na jutro trzeba!

Władysław Syrokomla

W których poematach poznanych dotychczas (nietylko z Wypisów) działo się coś ważnego? A w tym? Czy, czytając „Szkolne czasy“, ciekawimy, co się dalej stanie? Czy porządek ustępów możnaby zamienić bez szkody dla treści poematu? Które jednak ustępy należałoby koniecznie pozostawić na miejscu dotychczasowem? Który z utworów poznanych „Szkolne czasy“ najbardziej nam przypominają sposobem opowiadania? Czy autor nie zwraca uwagi sam sobie, że należy wrócić do przedmiotu? Ile razy przerywa opowieść osobistemi wynurzeniami? Czy zmieniająca się forma wiersza odpowiada zmieniającej się treści i nastrojowi? Czy zawsze?

32. POTĘGA UCZUCIA

Przy śniadaniu powiedziano dziedzicowi, że jeden z fornałi jego zajął w szkodzie konie gospodarza Gajdy.

Niebawem przybył właściciel koni. Dziedzic wyszedł na ganek i zastał tam córkę swą, trzynastoletnią Anielkę, z obawą i ciekawością przypatrującą się olbrzymiemu wieśniakowi, którego twarz była raczej zakłopotana niż groźna.

— Cóż? — zaczął pan Jan. — Znowu twoim koniom podobają się moja pszenica?...

— *Zara*, jasnie panie, ja powiem od początku prawdę — rzekł chłop, pochylając się ku ziemi. — Jak słonko *wzeszło*, kazałem mojej dziewczusze popaść koniska *nade* drogą, tu, gdzie ugor. A *te hycle wzięły*, zawróciły i poszły w pszenicę. Może nie uszczypały jednej trawki, *kiej* przyszedł fornał i zajął *ich*. Tak było, żebym skonania nie doczekał!

Chłop stał, trzymając czapkę w obu rękach, ale śmiało patrząc w oczy dziedzicowi, który uśmiechał się drwiąco.

— No — rzekł dziedzic — dasz trzy ruble fornałowi, który konie zajął!...

— O, la Boga! aż trzy ruble?... — krzyknął chłop.

— Więc idź do sądu! — rzekł dziedzic.

— Panie! a jakże mi iść do sądu, *kiej* mnie Żydy zgodziły do miasta, żebym *zara* jechał. Niech się pan zmiłuje i opuści!

— Słuchajno, a czy ty opuściłbyś mi co?

Chłop milczał.

— Widzisz, jak ty dobrze rozumiesz swoje interesy! Pozwól mi więc, abym i ja swoje rozumiał, i daj dla fornała trzy ruble, jeżeli ci koni potrzeba.

— To już takie pańskie ostatnie słowo? — pytał Gajda.

— Ostatnie.

Gajda sięgnął za pazuchę i drżącemi rękoma wy dobył skórzany woreczek.

— Ha! ma pan! — rzekł, kładąc trzy ruble na ławce. — Przynajmniej za to mojej dziewczusze kości porachuję, żeby pamiętała...

Dziedzic zawołał fornała, który konie zajął, oddał mu trzy ruble, kazał konie wypuścić, a sam wrócił do pokoju.

Kiedy znikł we drzwiach, Gajda pogroził za nim pięścią. Teraz patrząca ciągle Anielka zobaczyła, że człowiek ten ma twarz straszną.

„Porachuję kości mojej dziewczusze!...“ — powtórzyła Anielka, i dreszcz ją przebiegł. Biedna Magda!...

Myśląc o losie Magdy, nie mogła się uspokoić. Chciała ją ratować, ale jak?...

Pomoc matki nie na wiele się przyda, bo matka w tej chwili nie miała trzech rubli, któreby należało zwrócić Gajdzie w celu ułagodzenia go. Możeby pójść do ojca?... Ale instynkt ostrzegł ją, że ojciec śmiać się tylko będzie z jej współczucia.

Na prawo od ganku, za inspektami, leżały budowle gospodarskie: stodoły, obory i stajnie. Tam poszedł Gajda z fornałem po swoje konie. Za parę minut wróci do domu i zacznie bić Magdę.

Co ona myśli w tej chwili? Anielka okrążyła dwór, skreśliła na lewo za inspekta i pobiegła do płotu, ciągnącego się naprzeciw stajni aż do gościńca. Tu zatrzymała się, czekając na Gajdę, równie zatrwożona mającą nastąpić z nim rozmową, jak losem Magdy, jak wreszcie i tem, ażeby jej samej nie spostrzegł ojciec.

Usłyszała powolny tętent kopyt i ciężkie kroki chłopca. W tej części płotu jedna ze sztachet była złamana, Anielka odsunęła ją, przeszła rów pełen pokrzyw, które jej ręce i nogi

poparzyły, i zabiegła drogę Gajdzie. Urodzona do rozkazywania, szła prosić.

Chłop, ujrawszy ją, zatrzymał się i popatrzył ponuro na zbladłą jej twarz i bojaźliwie szafirowe oczy pańskiego dziecka.

— Gospodarzu!... — rzekła Anielka ledwie dostyszalnym głosem.

— Czego? — spytał krótko.

— Gospodarzu, prawda, że wy nie będziecie bili Magdy?...

Chłop aż się cofnął.

— Postuchajcie mnie, proszę was!... Ona taka mała, czy mogła zatrzymać takie wielkie konie?... Ona jest taka — o... mnie po ramię... Widzieliście wy jej ręce? Cóż ona poradzić mogła koniom takimi rękoma? I pewnie bała się ich jeszcze... Ja, gdyby mi koń uciekł, płakałabym tylko... Ona może gonila je, ale... gdyby ją który uderzył kopytem, pewnieby ją zabił...

Na twarzy chłopca malowało się zdziwienie, graniczące z przestraczeniem. Z oczu, głosu, każdego ruchu Anielki biła taka potężna uczucia, że groźny olbrzym widział się wobec niej małym.

— O, nie bijcie jej! — mówiła Anielka, składając ręce. — Wy jesteście tacy silni, ona taka słaba... Gdybyście ją mocniej schwycili, moglibyście udusić... Żebyście wiedzieli, jak ona boi się teraz! Pewnie siedzi w oknie i słucha, czy nie nadchodzicie... Musi płakać i trząść się... bo cóż ona poradzi?... Konie zawiniły, a ją bić mają... Za co?...

— Anielko! Anielko!... — odezwał się z ogrodu wątyły głos guwernantki.

Anielka na chwilę umilkła. Z rozpaczą niemal obejrzała się dokoła, a potem, jakby szczęśliwą myślą natchniona, szybkim ruchem wydobyla z poza gorsu złoty medaljonik i zdjęła go z szyi.

— Patrzcie, Gajdo... Ta Matka Boska jest złota i poświęcona w Rzymie. Dostałam ją od mamy... Kosztuje bardzo dużo, więcej niż trzy ruble... Dała mi ją mama i kazała przez całe życie nosić... Ale macie ją, byleście nic złego nie robili Magdzie!

Dziewczynka, trzymająca taką świętość w ręku, wzrosła w oczach chłopca do znaczenia księdza, trzymającego Hostję. Zdjął czapkę i bardzo wzruszony przemówił:

— Schowaj se panienka ten obrazik przenajświętszy. Ja tam nie Żyd, żebym takimi rzeczami handlował.

— Anielko! Anielko!... — wołała panna Walentyna.

— A będziecie bili Magdę?...

— Nie.

— Z pewnością nie?

— Niech mnie Bóg broni!... — rzekł uderzając się w piersi.

— I nigdy?...

— Już nigdy nie będę bił małych dzieci, boby chyba Pan Bóg jaką karę na mnie zesłał...

— Anielko! Anielko!...

— No, to bądźcie zdrowi!... Dziękuję wam!...

I cofając się do płotu, przesłała mu pocałunek ręką.

Chłop stał, patrzył za nią i słuchał ostatniego szelestu. Potem przeżegnał się i zaczął pacierz mówić. Chwila ta cofnęła go we wspomnieniach aż do pierwszej spowiedzi. Serce mu prędko biło. Gdyby widział cud, nie byłby więcej zmieszany.

Potem zaczął iść wolno ze spuszczoną głową i znikł na zakręcie, trzymając wciąż czapkę w ręku.

Bolesław Prus (Anielka)

33. BOHATERSTWO

Michałko, ubogi wieśniak, który przybył do Warszawy za zarobkiem, stał przed bramą jednej z kamienic, namyślając się, dokąd ma się udać, by znaleźć pracę. Wtem spostrzegł, że na niebrukowanej ulicy, gdzie stało ledwie kilka domów, kręcą się strwożeni ludzie. Krzyczeli i pokazywali rękoma niewykończoną budowlę, przed którą leżały deski, połamane słupy i świeże gruzy. Nad wszystkim unosił się czerwony pył cegły.

Michałko przybiegł bliżej. Tam już zobaczył, co się zdarzyło. Oto — nowy dom upadł.

Cała jedna ściana rozsypała się od góry do dołu, a druga w większej swej części.

W poszczerbionych murach wisały futryny, a dwie belki, przeznaczone do dźwigania sufitów, opadły, pogięły się i potrzaskały, jak wióry. W oknach sąsiednich domów ukazały się zaleknione kobiety. Ale na ulicy, prócz robotników, było ledwie

kilka osób. Wieść o wypadku nie zdążyła jeszcze do środka miasta.

Pierwszy oprzytomniał główny majster.

— Czy nie zginął kto? — pytał drżący.

— Zdaje się, że nie. Wszyscy byli na śniadaniu.

Majster począł rachować swoich, ale wciąż mylił się.

— Czeladnicy są?

— Jesteśmy.

— A pomocnicy?

— Jesteśwa!...

— Jędrzeja niema!... — odezwał się jeden głos.

Obecni na chwilę zaniemieli.

— Tak, on był we środku.

— Trzeba go szukać! — rzekł majster ochryplym głosem.

I poszedł ku przewróconemu domowi, a za nim kilku śmielszych.

Michałko machinalnie zbliżył się także.

— Jędrzeju!... Jędrzeju!... — wołał majster.

— Usuń się pan — ostrzegli go — ta ściana ledwie wisi.

— Jędrzeju!... Jędrzeju!...

Z wnętrza domu odpowiedział jęk.

W jednym miejscu ściana była rozdarta na szerokość drzwi.

Majster zabiegł z tamtej strony, zajrzał i chwycił się oburącz za głowę. Potem jak szalony popędził do miasta.

Za ścianą wił się w boleściach człowiek. Obie nogi zdruzgotała i przycisnęła mu belka. Nad nim wisało urwisko muru, który pękał coraz mocniej i lada chwilę mógł się oberwać.

Jeden z cieśłów począł oglądać miejscowość, skamienieli z trwogi robotnicy patrzyli mu w oczy, gotowi pójść, jeżeli ratunek jest możliwy.

Ranny konwulsyjnie wykręcił się i stanął na dwu rękach.

Był to chłop. Miał czarne z bólu usta, szarą twarz i zapadłe oczy.

Patrzył na ludzi stojących o kilkanaście kroków od niego, jęczał, ale wzywać na ratunek nie śmiał. Mówił tylko:

— Boże mój!... Boże miłosierny!...

— Tu nie można wejść! — rzekł głucho cieśla.

Gromada cofnęła się w tył.

Między nimi stał Michałko, przerażony może więcej, niż inni.

Strach, co się z nim działo!... Czuł wszystek ból rannego, jego bojaźń, rozpacz, a jednocześnie czuł jakąś siłę, która popychała go naprzód. Zdawało mu się, że w tłumie nikt, tylko on jeden ma obowiązek i musi ratować człowieka, który przyszedł tu ze wsi na zarobek. I w tej chwili, kiedy inni mówili sobie: „pójdę“, on myślał:

— Nie pójdę! Nie chcę!

Obejrzał się bojaźliwie. Stał sam jeden przed gromadą, bliżej muru, niż inni.

— Nie pójdę!... — szepnął i — podniósł drąg, który leżał mu prawie przy nogach.

Między ludźmi zaszemrano:

— Patrzcie!.. Co on robi?

— Cicho!

Boże miłosierny, zmiłuj się! — wołał ranny, szlochając z bólu.

— Idę! Idę!... — rzekł Michałko i wszedł między gruzy.

— Zginiecie obaj! — krzyknął cieśla.

Michałko już był przy nieszczęśliwym. Zobaczył jego zdruzgotane nogi, kałużę krwi i pociemniało mu w oczach.

— Bracie mój! bracie!... — szeptał ranny i objął go za kolana.

Chłop podsunął drąg pod belkę i rozpaczliwym ruchem podważył ją. Rozległo się trzeszczenie, a z wysokości drugiego piętra spadło kilka kawałków cegły.

— Wali się! — krzyknęli robotnicy, rozbiegając się. Ale Michałko nie słyszał, nie myślał, nie czuł nic. Silnem ramieniem podparł znowu drąg i już całkiem usunął belkę ze zmiadzonych nóg leżącego człowieka.

Z góry posypały się gruzy. Czerwony pył zakłębił się, zgęstniał i wypełnił wnętrze budynku. Za ścianą słychać było jakieś szamotanie się. Ranny jęknął głośno i nagle ucichł.

W otworze rozdartej ściany ukazał się Michałko zgięty, z trudnością dźwigający rannego. Powoli przeszedł niebezpieczną granicę i, stanąwszy przed tłumem, zawołał z naiwną radością:

— Jedzie!... jedzie!... Jeno mu tam jeden but ostał.

Robotnicy schwycili rannego, który omdlał, i ostrożnie zanieśli do najbliższej bramy.

- Wody!... — wołali.
- Octu!...
- Po doktora!

Michałko powlókł się za nimi, myśląc:

- To ci dobry naród w tej Warszawie.

Zobaczył, że ma ręce zakrwawione, więc umył je w kałuży i stanął pod bramą domu, gdzie leżał ranny. Do środka nie pchał się. Alboż on doktor? czy mu co poradzi?

Tymczasem ulica poczęła się bardzo zaludniać. Biegli ciekawi, pędziły dorożki, a nawet zdaleka słychać było dzwonki straży ogniowej, którą także ktoś zaalarmował. Nowy tłum, już takich, którzy chcieli być wrażeń, skupił się przed bramą, a gorętsi piersiami torowali sobie drogę dla zobaczenia krwawego widowiska.

Jednemu z nich stojący przy furtce Michałko zawadzał.

— Usuń się, gapiu jakiś! — krzyknął jegomość, widząc, że bosy chłop niebardzo ustępuje pod naciskiem jego ręki.

— A bo co? — spytał Michałko, zdziwiony tym zapędem.

— Coś ty za jeden, zuchwalcze jakiś? — wrzasnął ciekawy. — Co to, niema policji, żeby takich próżniaków rozpedzała?...

— Oj! na złe idzie — pomyślał chłop i zląkł się, żeby go za taki postępek nie wsadzono do kozy. I nie chcąc budzić licha, wcisnął się między gromadę.

W kilka minut później poczęto z bramy wołać tego, który biedaka wyniósł z pod gruzów.

Nie odezwał się nikt.

— Jak on wygląda? — pytano.

— To chłop. Miał białą sukmanę, okrągłą czapkę i był bosy...

— Niema tam takiego na ulicy?

Poczęto szukać.

— Był tu taki — krzyknął ktoś — ale poszedł!

Rozbiegła się policja, rozbiegli się robotnicy i nie znaleźli Michałka.

Bolesław Prus (Michałko)

Czy ustęp 32 możnaby zatytułować „Bohaterstwo“, a ustęp 33 „Potęgą uczucia“? Z jakimi kontrastami spotykamy się w jednym i drugim opowiadaniu?

34. SZKOŁA RYCERSKA

W początkach swego panowania założył król Stanisław August Poniatowski w Warszawie „Szkołę Rycerską“, znaną powszechnie pod nazwą „Szkoły Korpusu Kadetów“. Pomimo nazwy nie była to jednak akademja wojenna, lecz średni zakład naukowo-wychowawczy, który miał na celu dać wykształcenie ogólne. Kilka tylko przedmiotów, mogących przydać się w zawodzie wojskowym, i organizacja szkolna, mianowicie podział na „kompanje“, komenda i awanse, wnosily tu pierwiastek „rycerski“. W szkole, której komendantem był książę Adam Czartoryski, uczono języków polskiego, łacińskiego, francuskiego i niemieckiego, stylu, historii polskiej i powszechnej, historii literatury, geografji, sztuk pięknych, geometrii, algebry i arytmetyki, prawa cywilnego i publicznego, fizyki, ekonomji, architektury cywilnej i wojskowej, sztuki fortyfikacyjnej i — tańców. Wykształcenie było więc obszerne, program zakreslony był szeroko. Zobaczmy, jaki duch panował w tym zakładzie.

Pouczy nas o tem w pierwszym rządzie „Formularz przyjmowania kadetów do nowicjatu“, wyjęty ze „Zbioru pism tyczących się Moralnej Edukacji Młodzi Korpusu Kadetów“. Osobliwa ta książeczka zachowała nam cały wstępny ceremonjał, jaki zastosowywano do nowicjuszków, ceremonjał znamienny, bo prawie każdy jego szczegół ukrywał w sobie treść wysoce pedagogiczną.

W pierwszym dniu nowicjusz przedstawiał się komendantowi, oficerom i brygadzie, w której szeregach miał wstąpić. „Formularz“ czyli regulamin nakazywał mu następnie uściskać każdego z przyszłych kolegów i zaznajomić się z urzędzeniem zakładu, poczem następował egzamin wstępny, wedle którego przydzielano kandydata do jednej z siedmiu klas. Nakoniec odbywała się prezentacja wobec profesorów i metrów — i dzień pierwszy był szczęśliwie zakończony. Nazajutrz nowicjusz otrzymywał tymczasowy mundur z granatowego sukna — nosił go przez cały rok, który był próbnym i rozstrzygał, czy młodzieniec, poddany raz jeszcze egzaminowi, zasługuje na to, aby być obleczonym w prawdziwy mundur kadecki.

Ceremonja ta odbywała się uroczyście i z namaszczaniem.

W niedzielę rano w kaplicy szkolnej zbierał się cały korpus kadecki w paradnych, długich uniformach, z szablami przy boku. Nowicjusz — sam jeden tylko bez broni — na klęczkach słuchał mszy solennej u stóp ołtarza, a ksiądz w krótkiej przemowie wyłuszczał mu, jak święte obowiązki wobec ojczyzny spoczywają na jego barkach. Poczem całe towarzystwo przenosiło się z kaplicy na podwórzec szkolny, i tu dopełniał się akt ostateczny.

Przed frontem całego korpusu występował nowicjusz, prowadzony pod ramię przez brygadjera i podbrygadjera, i stosownie do przepisów regulaminu odpowiadał na szereg następujących zapytań, zadawanych przez jednego z „gefrejterów“.

Pytanie: Czego WPan żądasz?

Odpowiedź: Byłem tak szczęśliwym, że mnie osądzono godnym noszenia munduru korpusowego; stawam teraz z prośbą, żebym był uzbrojony.

Pytanie: Masz WPan szczerę przedsięwzięcie tę broń, którą odbierzesz, zażywać zawsze na obronę ojczyzny swojej i swego honoru?

Odpowiedź: Nie inne jest przedsięwzięcie moje.

Korpus prezentuje broń, rozlega się głucho uderzenie w bęben i najstarszy oficer przypasuje nowicjuszowi szablę i podaje mu karabin — wygłaszając przytem krótką przemowę. Nowy zaś kadet w obliczu całego zgromadzenia, wśród ciszy uroczystej, składa publiczne przyrzeczenie:

„Przyrzekam braciom moim, zbrojnie zgromadzonym, że postępami memi ich nie zawstydzę, ani też nowicjuszom, czekającym na ten zaszczyt, który odbieram, nie dam zgorszenia przez opuszczenie się w aplikacji lub zaniedbanie powinności moich“.

Z temi słowy bierze broń na ramię. I jeszcze jedno, ostatnie „przyrzeczenie“.

Brygadjer: Obiecujesz mi WPan, że w pamięci będą u niego przyrzeczenia, któreś tu dał? Imieniem Brygady i mojem pytam cię o to.

Odpowiedź: Przyrzekam na honor.

Obzęd skończony — wieczorem następowała „uciecha kosztu korpusu“, czyli zabawa koleżeńska.

Ceremonja opisana powyżej było niejako symbolem patriotycznej i obywatelskiej atmosfery, jaką wszystko oddychało w tym wzorowym, polskim zakładzie wychowawczym.

Dalszym świętym dokumentem ducha, jaki ożywiał Szkołę Rycerską, jest „Katechizm kadecki“, ułożony przez księcia komendanta.

Każdej soboty musieli kadeci wygłaszać przed swoimi brygadjerami zasady owego „Katechizmu“. Uczniowie umieli go napamięć. Nakazywał on kochać Boga i ojczyznę nade wszystko, zabraniał pokory i służalczości wobec ludzi, zalecał pamięć o godności osobistej. Starszym obowiązany był kadet oddawać cześć bez upodlenia siebie samego, padania do nóg, ściskania za kolana, całowania w ręce, zbyt niskich ukłonów, podpisywania się w listach „podnóżkiem“. Jedno z charakterystycznych pytań brzmiało:

— Czy może być kadet bojaźliwym lub tchórzem?

Odpowiedź:

— Na to nie umiem odpowiedzieć, bo i słowa i rzeczy, które znaczą, są mi nieznanym.

W wykładach „filozofji moralnej“, które zachowały się szczęśliwie do dnia dzisiejszego, wszczepiano w młodzież kadecką cnoty obywatelskie i zalecano pokonywanie własnych namiętności jako „największe zwycięstwo“.

Uczniowie Szkoły Rycerskiej wiedzieli, że kiedyś będą musieli społeczeństwu swemu zdać rachunek z lat przepędzonych na ławie szkolnej, że, ucząc się, nabywając wiedzy, pracują dla ojczyzny. Zasady te wpajano w nich przy każdej sposobności, czynili to profesorowie, przypominały podręczniki szkolne.

Oto co pisał książę Czartoryski w przedmowie do podręcznika „Historji nauk wyzwolonych“:

„Kogo los urodzenia i fortuny wytknął do czynnych obywatelstwa obowiązków, ten starać się winien o wydoskonalenie siebie w tych wiadomościach. Aplikować się będzie do *Historji*, bo przykłady, wzięte z dziejów starożytności i narodów, uczyć go będą, jak o swoim narodzie radzić; do *Prawa natury i narodów*, bo te światła mu dodadzą w tym czasie, w którym mu przyjdzie albo błędne ojczyste poprawiać ustawy lub nowe wytyczyć; do *Matematyki*, bo to bystrzy rozsądek; do *Geo-*

metrji, która do służby wojskowej koniecznie potrzebna... Te maksymy przykładam w ogólności do was, młodzi zacna korpusu kadetów. Wy tę w najopłakańszym, który tylko być może wymyślony, stanie zostającą ojczyznę waszą powinniście załudnić obywatelami gorliwymi o jej sławę, o zwiększenie jej mocy wewnętrznej i poważania postronnego, o poprawę rządów jej w gatunku swym najgorszych“...

Idea szkoły, wychowującej przedewszystkiem obywateli kraju, nakazującej podporządkowywać cele osobiste celom narodowym, przewija się odtąd wszędzie, gdzie Polacy, wkroczywszy raz na szlaki, wiodące do odrodzenia, mieli sposobność wpływać na kierunek swojego szkolnictwa. Spotykamy ją w ustawach i programach Komisji Edukacyjnej w ostatnich latach istnienia Rzeczypospolitej i w Izbie Edukacyjnej niepodległego Księstwa Warszawskiego i w pracach polskiego ministerstwa oświaty w epoce Kongresowego Królestwa i w okręgu naukowym wileńskim, który pod rządami ks. Adama Czartoryskiego wydaje pokolenie najszlachetniejszej młodzieży polskiej, i w liceum krzemienieckim, o którym mówi historia, iż nigdzie nie spotykano takiej spójni pomiędzy gronem nauczycielskim, młodzieżą i społeczeństwem, nigdzie nie umiano tak, jak tu, wpoić zamiłowania do obowiązku. Ten typ naszej szkoły narodowej, dla którego podziw miał król pruski Fryderyk Wilhelm II, nazywając go „przedziwnym“, i który usiłowała bez skutku naśladować Rosja na początku XIX wieku, miał swój pierwowzór już w Szkole Rycerskiej, wychowawczyni Tadeusza Kościuszki.

Antoni Choleńewski (Tadeusz Kościuszko)

35. KOŚCIUSZKO POD RACŁAWICAMI

(Obraz Jana Matejki¹⁾)

Dwóch jest bohaterów zwycięstwa uwiecznionego przez mistrza na płótnie: po lewej stronie obrazu naczelny wódz, który, jadąc mimo lasu, przystanął w tej chwili i, zdjawszy czapkę, wsłuchuje się w entuzjastyczne krzyki chłopów; na prawo

¹⁾ W klasie podczas czytania tego ustępu pomieszczona reprodukcja obrazu.

Głowacki, który stoi przy armacie, z odkrytą głową, pod chorągwią kościelną, prosty, poważny i spokojny, jak przystoi temu, co się poczuł obywatelem kraju i szlachetnym czynem wojennym stanął obok najszlachetniejszych w narodzie.

Dwóch jest bohaterów, ale to nie rozrywa jedności akcji, bo duch, bo myśl obu jest jedna, i dlatego obaj patrzą się na siebie. Kościuszko jakby Głowackiemu wieszował, jakby się dziwił i cieszył, że tak rychło obudziło się w ludzie to obywatelskie i patriotyczne uczucie, które całą siłą obudzić pragnął; Głowacki jakby mówił ukochanemu wodzowi swemu, że spełnił tylko świętą powinność, ale wdzięczny mu, że spełnić ją zdołał. Ta magnetyczna gra oczu góruje nad całą kompozycją.

Za Kościuszką jadą towarzysze zwycięstwa i sztab jego: Madaliński, Wodzicki, Manget, Horoch, Biernacki, a między nimi chorąży konny, którego sztandar z obrzymim orłem polskim unosi się wysoko nad całą grupą zwycięzców. Jadą wszyscy pomiędzy lasem a zbitym tłumem chłopów, stojących przy armatach, pod chorągwią kościelną i witających wielkim krzykiem naczelnego wodza.

Jeden z chłopów, niezrównany charakterystyką swoją, kłania się Kościuszcze czapką do ziemi: inny rzuca czapką w górę i patrzy na nią, aby ją schwytać; dalej jeden, ubrany w kozuch nawywrót, pokazuje palcem Głowackiego; jeszcze dalej chłop jakiś spartł się na armacie i głęboko się zadumał; niektórzy rzucają się sobie z radości na szyję i ściskają się, a na końcu tej grupy jest jeden, który trąbką pastuszą nawołuje, na śmiech ludzki, uciekającą trzodę Moskali. W środku, w największym tłumie, stoi chłop jakiś mędrszy od innych, bo rezonuje bardzo i ręką wyciągniętą wskazuje zabrane chorągwie moskiewskie, leżące na przedzie obrazu. To Świstacki, który towarzyszył Głowackiemu, gdy ten przypadł do armat nieprzyjacielskich i nakrył czapką swoją zapał w jednej chwili, kiedy kanonier już miał doń przyłożyć lont zapalony — obaj za ten czyn oficerami mianowani.

Po prawej ręce Kościuszki, na tym samym planie, co grupa chłopów, zebrane złe duchy kościuszkowskiego powstania. Więc jest tam szlachcic Dembowski, kwaśny i zły, że złota wolność szlachecka jest w niebezpieczeństwie; jest gene-

rał Zajączek, naczelnemu wodzowi trwale zawistny, jest i Kołłątaj na koniu, przysłuchujący się żywej jakiejś rozprawie stojącego przy nim jakobina polskiego, Taszyckiego — obaj jako przedstawiciele hasel rewolucji francuskiej, na nasz grunt przeszczipianych.

Na pierwszym planie cały szereg drobniejszych grup i epizodów, charakterystycznych i pięknych. Zaraz poniżej Zajączka i Kołłątaja jakiś oficer prowadzi więźniów, a niżej jeszcze trup rosyjskiego żołnierza, zabitego jakby piorunem, narysowany znakomicie w skurczu. W środku zaś grupa wprost przepiękna: wsparty na piersiach klęczącego chłopca umiera szlachcic ranny, a przy nim klęczy kapucyn, który go właśnie na śmierć przygotował. Szlachcic wspiera palce lewej ręki na wyjętej z pochwy karabeli, jakby ją w spuściznie przekazywał chłopcu, który, zakrywając twarz ręką, rzewnie płacze. Przy tej grupie leżą chorągwie zdobyte, a jedną z nich składa w tej chwili młody, śliczny chłopak krakowski, który, podniósłszy czapkę w górę, łączy się krzykiem z grupą wyższą chłopów. Dalej chłop, widać spracowany machaniem kosą i to nienadaremnie, bo obciera sukmaną krew z jej ostrza, a sam w kałuży krwi brodzi. Obok, powalony na ziemię kirasjer rosyjski, a nieco wyżej ciała poległych kanonierów. Widać z ich pozy, że padli bardzo nagle i niespodzianie. Bliżej jeszcze ram obrazu, jakiś starszy już chłop, o bardzo pocziwej twarzy, obwiązuje troskliwie i uważnie głowę młodszemu, obalonemu na ziemię, który jednak opowiada coś z takim zapalem, iż zdaje się, że ani bólu, ani rany nie czuje. Na dalszych planach żołnierze i chłopci, między nimi zaś, tuż za Kościuszką, śliczny wiejski chłopak zdejmując słomiany kapelus i wraz z innymi krzyczy.

Całe zdarzenie odbywa się na tle szerokiego krajobrazu, w którym pojedyncze grupy rozrzucone zostawiają między sobą całe szmaty pustego miejsca i stanowią kompozycję jasną, do objęcia okiem i zrozumienia łatwą.

Zatrzymajmy się jeszcze na chwilę przy postaci wodza. Dlaczego Kościuszką tak młody, dlaczego piękniejszy, niż go nam przedstawiają portrety, dlaczego nie w sukmanie? Odpowiedź nietrudna. Malarz-historyk chciał, by całe społeczeństwo polskie, które obraz jego oglądać będzie, wyczytało zeń prze-

dewszystkiem prawdziwe znaczenie Kościuszki, prawdziwą jego rolę w narodzie. To ani rewolucjonista, podburzający lud przeciwko innym stanom, ani naiwny polityk, któryby myślał, że tem zrówna stany, gdy sam ubierze się w sukmanę i będzie chłopą udawał. Ale to krzewiciel amerykańskiej równości wszystkich obywateli wobec tego samego prawa, a połączonych tą samą miłością ojczyzny i pragnieniem, by jej wywalczyć wolność. I dlatego malarz odwrócił twarz Kościuszki zarówno od Kołłątaja i Taszyckiego, jak i od przedstawicieli przywilejów szlacheckich, zestawivszy obie te ostateczności obok siebie; i dlatego nie ubrał go w sukmanę, ale w mundur amerykański, i dlatego każe mu patrzeć się na chłopów, jako na świeżych bohaterów w tej chwili dziejowej, i maluje go pięknym, jak piękną była jego dusza, i młodym, by lepiej wyraził zapał na widok nowej w narodzie siły.

Ks. Eustachy Skrochowski

Patrz na reprodukcję któregośkolwiek obrazu historycznego Matejki i opisz, co widzisz na obrazie, przestrzegając tych głównych zasad, którymi kierował się autor powyższego ustępu. Poczem spróbuj rozpocząć od tła, planu dalszego, a skończyć na planie bliższym i na postaciach naczelnich. Opisz następnie, posługując się pierwszym lub drugim sposobem, obraz dobrze ci znany, którego nie masz przed oczyma.

36. POGRZEB KOŚCIUSZKI

Biją razem wszystkie dzwony jak ludowe głosy,
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,
A nad niemi dzwon Zygmunta, żałość górująca,
Wszystko chłonie — a to niby ojczyzna płacząca.

W cudzych stronach, na tułactwie, wiódł żywot w boleści, 5
Jasnowidza nie zwały uwodzące wieści;
Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łany,
Ale w trumnie, wraca w trumnie hetman ukochany!

Towarzysze już hetmana na ramionach niosą. 10
Chyłą oczy, co żałosną zwilżyły się rosą;
Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha,
A hen z tyłu chmura chłopstwa — to najgłośniejszy szlocha.

Toć to dzieci są hetmańskie — szlochają jak dzieci!
W tłumie kosa racławicka podniesiona świeci, 15
To ich sztandar! wkoło niego tłum jęcząc wykrzyka:
„Koso nasza! choć zdaleka patrz na Naczelnika!“ —

O panowie! zróbcie miejsce — niech się zbliżą chłopci,
Niech tę trumnę miłowaną ich łza szczerą skropi;
Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiędze. 20

I na Wawel między królów ponieśli hetmana
I rozwarła się świątynia, złotem nabijana;
U jej progu stanął Kmita i — „Co zasz on“? pyta —
„Swój! swój! świętszy od waszeci — puszczaj, mości Kmita“!

Zaruszały się posągi — królowie umarli 25
Na kamiennych sarkofagach na dłoniach się wsparli
I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza
I spojrzaniem wniebowziętem wita towarzysza.

Długobrody król nad innych wyżej z łoża wstaje
I przemawia: „Ja, król chłopków, rękę ci podaję, 30
Wždy obadwaj my uczcili zapomniane sługi
I kochali lud gołębi — ja pierwszy, ty drugi“!

U ołtarza arcybiskup i śpiewak Sybilli
Wznosi ręce — każda głowa na piersi się chyli,
A w dziedzińcu korni chłopci o głaz biją czołem, 35
Oni, co, gdy kościół pełny, stoją przed kościołem...

Już skończono mszę żałobną; w chłodne ziemi łono,
W miejsce, gdzie król chciał spoczywać, hetmana spuszczone...
A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłopstwo wzniosło krzyk boleści: „Och, już go zamknęli“! 40

„Och, już wzięli Naczelnika, och! już ty nie naszy,
Ciemność sklepień, blask pozłoty, serca nasze straszny:
Tobie królu towarzystwem i pany w sobolach,
Lepiej tobie z nami leżeć na ojczystych polach!

„Na zielonem, czystem polu, na zielonej łące, 45
Co dnia ptakby ciebie witał i słońce wschodzące;
Wśród upałów twej mogile cień dałyby Tatry,
Z dobrą wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.

„Z białej Wisły mgła powstaje, w górze świeci słonko,
My czapkami tobie kłonię, z kosą idziem łąką; 50
Tybyś cieszył się z jej brzęku, choć śpiący i niemy —
Cóż dopiero, kiedy kosy na sztorc nabijemy!

„Jeśli Pan Bóg zagniewany skryje się na niebie,
Łatwiej znaleźć twą mogiłę, w pomoc wezwać ciebie;
Trudne pisma na nagrobkach, mało kto z nas czyta, 55
Dziecko wskaże na mogiłę — A czyja to — spyta“.

Tak lud żali się i marzy — urywane słowa
Zwolna cichną, lud w cichości jakiś zamiar knowa —
Zamknął uszy na głos świata, własnej głębi słucha,
Nagle splonął, krzyczy, biegnie — dobył iskrę z ducha! 60

* * *

I mogiłę wnieborostą sypie lud serdeczny!
Próżnaż ona! cóż w nią schować na spoczynek wieczny?
Kości w polskim relikwiarzu złożył wódz — jasnovidz,
Lud zatroskał się i myśli... „Hej, do Maciejowic!

Starzy ludzie pamiętają to miejsce wśród błonia, 65
Kędy ranny i omdlały hetman upadł z konia;
Więc tę ziemię, krwią przesiąkniętą, bierzcie jak sakrament,
Złóżcie w urnę i mogile dajcie na fundament“.

Tak zrobili. Z blaskiem zorzy do ofiarnej pracy
Biegną pany i kapłany, chłopci i wojacy, 70
Wszyscy razem, wszyscy równi, zmieszano a tłumnie,
Jak przykazał duch miłości — pracują rozumnie.

Miłość wiąże i umacnia — praca idzie chyżej,
A krakowska cała ziemia woła: „Wyżej, wyżej!
Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie...“ 75
I mogiła Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie...

I urosła; już ją widzi przechodzień daleki,
Każda chata na nią patrzy. Od wieku po wieki
Stać jej w straży będą: Miłość i Wiara — dwie służki;
Wawel runie — a zostanie: Mogiła Kościuszki! 80

Kornel Ujejski

Co osiąga autor dzięki temu, że rozpoczyna poemat słowami „Biją razem wszystkie dzwony“? Czy i w „Pogrzebie Kościuszki“ nie przejawiała się „potęga uczucia“? (czyja? w jaki sposób?). Dlaczego autor umieszcza na straży mogiły Kościuszki „Miłość i Wiara“? Który moment w poemacie jest najbardziej nastrojowy? (dlaczego?). Co w „krzyku boleści“ chłopów przypomina mowę ludową? Wskaż w „Pogrzebie Kościuszki“ przeciwstawienia, stopniowanie. Co autor osiąga stopniowaniem? Które wyrazy poeta powtarza? (w jakim celu?). Wskaż onomatopieję. W których utworach już się z nią spotkałeś?

37. CHMIEL

Chmiel chciał się ziemią sunąć, bo mu to niemiło
Było,
Iż musiał szukać wsparcia i pomocy.
Szedł więc o swojej mocy.

rozciągnął się dosyć... ale cóż się stało?
 Liście żółkniało,
 Kwiat był wąski:
 Schły gałązki,
 Już i rdzeń od wilgoci zaczynał się psować:
 Trzeba się było ratować.
 Gdzież się piąć? Były żerdzie, ale je ominął;
 Jął się chwastu — i zginął.

Ignacy Krasicki

38. STRZELEC I PIES

Uciekł wyżeł od strzelca. Błąkał się dni kilka,
 Nakoniec znalazł pana i — przystał do wilka.
 Gonił sarny, zające, do kaczek się skradał,
 Ale, co tylko zdobył, wszystko to pan zjadał.
 Zła to służba, rzekł zatem, gdzie korzyść nie czeka:
 Bił pan dawny, lecz karmił; wróćmy się do człeka.

Ignacy Krasicki

39. WINO SZAMPAŃSKIE

Nieźle to bywa czasem, co przymusi.
 Mruczało wino, że je czopek dusi.
 I, żwawe wielce,
 Wrzało w butelce:
 I póty wrzało, aż go się pozbyło.
 Ale cóż się wydarzyło?
 Przez połowę wyleciało,
 Co zostało, wywietrzało;
 A nakoniec własnym czynem
 Poszło w ocet, bywszy winem.

Ignacy Krasicki

W czym podobni są do siebie główni aktorowie wszystkich trzech bajek powyższych? Jakie ponadto podobieństwo sytuacyjne znajdziemy w pierwszych dwu bajkach? W której z bajek autor sam wypowiada jej myśl? Czy dałaby się ona zastosować także do dwu bajek pozostałych? Może z tych dwu pozostałych jeszcze jakąś myśl możnaby wyczytać?

40. POWĄZKI I PUŁAWY

Powązki i Puławy — to nazwy dwóch miejscowości, niegdyś w całej Polsce sławnych i opiewanych przez wielu współczesnych poetów; ale nadto są one dla nas jakoby wyrazami

dwóch epok, dwóch kierunków życia. Nierówne były ich losy, choć był obu równie był nietrwały, przemijający.

Kiedy księżę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, bawił u boku króla Stanisława Augusta w Warszawie, zaprzątnięty sprawami publicznymi, żona jego, księżna Izabella z Flemingów Czartoryska, korzystając z pięknej pory wiosennej, lub z letniej pogody, uciekała z dziećmi i z całym swym dworem ze stolicy, aby po wrzawie wielkiego świata odpocząć na łonie pięknej natury. Idąc za modą francuską, księżna urządziła sobie wiejskie ustronie w Powązkach, miejscowości położonej w pobliżu Warszawy. Na rozległej dolinie, przytykającej z jednej strony do pięknego lasu, a z drugiej do obszernego stawu, rozsiane były chatki wieśniacze, zbudowane z nieociosanych krąglaków, słomą lub trzcina posypte. Ze stawu wypływał strumyk, który w różnych kierunkach przerzynał dolinę, a wszędzie łatwo przejść go było można, bo rzucone przezeń były mostki, zrobione z kłoców i gałęzi. Przed chatami były ogródki, zasiane kwiatami, a obok rozciągały się zielone trawniki, na których pasły się baranki śnieżnej białości i kozy. Tych kwiatów ogrodniczek i pasterki tych trzód mieszkały w owych chatach wieśniaczych: były niemi księżniczki Teresa i Marja i dwie towarzyszki ich nauk i zabaw — panny Narbuttówny.

Ale te chaty miały tylko pozór wieśniaczy. Wewnątrz urządzone były z wyszukany zbytkiem i z niezmiernym smakiem. Tak np. urządzenie chaty, zamieszkaanej przez samą księżnę, miało przedstawiać wartość pół miliona. „Wierch podobien do chaty, wewnątrz do świątyni“ — tak zaczyna opis domku księżny Trembecki, późniejszy śpiewak Zofjówki, a kończy go słowami:

Gdy prace pożyteczne me siły nadstąpią,
 Chciałbym być za nagrodę tej chaty murgrabią.

Bo też chata księżny zbudowana z krąglaków, lakierowanych w kolorze drzewa naturalnego, pokryta trzcina, ukrywała wewnątrz czarodziejskie. Jeśli sama łazienka, wyłożona kaflami z porcelany saskiej, przedstawiała wartość trzech tysięcy dukatów, cóż myśleć o salonie i gabinecie!

Nad wejściem do każdej z chat znajdowały się malowane godła, które pod znakami zwierząt, ptaków, kwiatów symbolizowały przymioty mieszkańców zaczarowanego ustronia. Godło nad drzwiami domu księżny przedstawiało kurę z kurczętami. Nad drzwiami chatki księżniczki Teresy umieszczono kosz białych róż z napisem „Dobroć“. Księżniczce Marji wymalowano nad drzwiami ziębę z napisem „Wesołość“. Nad drzwiami chaty młodego księcia Adama widniała jako godło gałązka dębowa z napisem „Stałość“. Nawet osoby należące do dworu książęcego miały swoje chaty ze stosownymi godłami. Tak np. nad chatą pani Wolskiej, żony rządcy i gospodyni całej tej osady, jako godło umieszczono ul z napisem „Pracowitość“.

Taką to sztuczną sielankę, na grunt polski przeszczepioną z Francji, przedstawiały ówczesne Powązki, na których tle osoba gospodyni jaśnieje nietylko przedziwnym urokiem, ale i niezmierną dobrocią serca i czułą pamięcią o wszystkich osobach otoczenia. Każdy bowiem z mieszkańców Powązek, i artysta malarz Norblin, i poeta Książnin, i guwernantka panna Petit, i pułkownik Ciesielski, ochmistrz synów książęcych, domownicy, nawet ci, co częstymi bywali gośćmi, ba! nawet stare sługi — wszyscy mieli tu osobne ustronia, własną chatkę, ręką księżny przybraną i według jej pomysłu zastosowaną do potrzeb, usposobienia i charakteru mieszkańców.

Zbyteczną byłoby rzeczą wyliczać przeróżne ozdoby Powązek, grotty muszlami wysadzone, sztuczne ruiny, złamane kolumny, głazy z napisami lub napisy wyrte na korze drzew i t. p.; co krok spotykała przechodnia nowa niespodzianka, mająca wprawiać w zadumę, budzić marzenie, roztkliwiać lub zadziwiać.

Jednakże ciche wiejskie rozrywki przerywał niekiedy tłum gości, którzy przybywali z Warszawy, a wśród nich nierzadko odwiedzał Powązki sam król Stanisław August z orszakiem dworskim. Bawiono się wtedy wesoło, urządzano rozmaite widowiska i amatorskie przedstawienia, układano żywe obrazy, a za nadejściem nocy palono sztuczne ognie, przy odgłosie doskonałej muzyki zapalano tysiące różnobarwnych świateł, wywołując złudzenie jakiegoś światła zaczarowanego. Po kilku godzinach wesołej zabawy odjeżdżali goście, a mieszkańcy Powązek wracali znów do błogiej ciszy życia sielskiego.

Wszelako Powązki nie były nigdy właściwą siedzibą księstwa, lecz tylko ulubionym schronieniem, w którym dwór książęcy corocznie spędzał wiosnę i część lata.

Niestety! niedługo to trwało: wszystko pierzchnęło jak sen uroczy, zginęło bez śladu. Kiedy po upadku powstania Kościuszki Warszawę zajęli Moskale, przez Powązki przeszły zwycięskie wojska Suworowa — i wszystko, zrabowane lub spalone, przepadło na zawsze. Miejsca, na których niedawno jeszcze wrzało życie wesołe, zaległa cisza głucha, grobowa: na Powązkach założono dzisiejszy cmentarz, powązkowski zwany. Po dawnych zaś Powązkach pozostał tylko obraz pendzla nadwornego artysty malarza Norblina, przedstawiający to miejsce, owiane urokiem czarownych wspomnień.

* * *

Większe miały znaczenie dla współczesnych i trwalszą pamięć u potomnych zyskały sobie Puławy.

Pałac puławski była to budowla czworoboczna, z jednej strony otwarta. Dziedziniec bardzo obszerny, jaki bywa w rezydencjach monarszych, miał swe przedłużenie w szerokich alejach dojazdowych, o czterech rzędach lip, wiodących do miasteczka. Aleje te istnieją do dziś dnia i są wraz ze starymi drzewami parku jedynymi świadkami minionej świetności. Wjeżdżającemu przedstawiał się pałac bardzo okazale, mając u wejścia od zewnątrz wspaniałe wschody ciosowe, w dwa skrzydła załamane, a schodzące się na wysokości pierwszego piętra. Od tyłu gmach cały, zawieszony nad stromem urwiskiem, spadającym do Łachy¹⁾ wiślanej, zachował niezmiennione kształty starej, oryginalnej budowli. Głęboko schodzące podmurowanie z ciosów zrasta się ze skałą, na której wznosi się gmach. Obronną tę budowę, jakby stawianą dla wytrzymania szturmów i oblężeń, wspierają jeszcze szeroko wystające szkarpy ciosowe, po bokach zaś ponad Wisłą wznoszą się baszty. Zachodzi dziwna sprzeczność między charakterem tej samej budowli od strony dziedzińca, a od strony Wisły; tam wszystko otwarte, przestronne, w rodzaju rezydencji monarszych dla wielkiego dworu, a owe wschody zewnętrzne świad-

¹⁾ Łacha, odnoga, boczne koryto Wisły.

czą, że to był przybytek zawsze otwarty dla gości i licznych zebrań; tu przeciwnie, wszystko zamknięte, ściętnione, silnemi murami okolone, jak zamek obronny lub twierdza. Sprzeczność taka spotyka się w wielu rezydencjach panów polskich z XVII stulecia; łączyły one bowiem w sobie podwójny charakter: rezydencji magnackiej dla wytchnienia w pokoju i miejsca obronnego w razie najazdów lub wojen.

Po obu bokach pałacu były skrzydła boczne, niższe odeń o jedno piętro. Mieściły się w nich: dwór książęcy, mieszkanie rezydentów i gościnne komnaty. A gości tu zawsze, ilekroć dwór książęcy bawił w Puławach, bywało wiele, szczególnie za panowania króla Stanisława Poniatowskiego.

Kiedy król, pragnąc ożywić ruch umysłowy w stolicy, skupiał dokoła siebie najgłośniejszych i najznakomitszych w tym czasie poetów, artystów i uczonych na tak zwanych obiadach czwartkowych, które dla nich wydawał zrazu na zamku, a później w Łazienkach — u Czartoryskich w Puławach gromadziło się mniejsze może grono ludzi, ale o wiele bardziej zespolone ze sobą umysłem i sercem.

Byli to nie dworacy, lecz szczerze do rodziny książęcej przywiązani ludzie, wielce zasłużeni na różnych polach publicznego życia. Bawili tam np. ksiądz Grzegorz Piramowicz, sekretarz Komisji Edukacji Narodowej, przykładowy kapłan i znakomity pedagog; Franciszek Dionizy Kniaźnin, pełen wdzięku poeta, i Franciszek Zabłocki, najstawniejszy naówczas komedjopisarz; często bywali tam Ignacy i Stanisław Potoccy, pierwszy słynący z niezwykłych cnót obywatelskich; przez parę lat bawił w Puławach Franciszek Karpiński, pisarz wielce przez współczesnych ceniony i „poetą serca“ zwany; przez dłuższy czas stałe przebywał w domu księstwa Juljan Ursyn Niemcewicz, a Tadeusz Kościuszko bardzo częstym bywał tam gościem...

Myliłby się każdy, ktoby sobie ówczesne Puławy wyobrażał jako jakieś wielkie siedlisko poważnej nauki. Przeciwnie, tam i poważne sprawy i zajęcia przybierały formę lekkiej zabawy. Od kawalerów w Puławach wymagano daru rozmowy, łatwości pióra, aby wiersze napisać do pamiętnika, szaradę ułożyć, w grach towarzyskich zręcznie dobierać rymowanych końcówek i sypać dowcipami. Trzeba także było umieć łączyć

dary Melpomeny i Talji, bo i tańce i teatru amatorskie i obrazy z żywych osób wchodziły nieodzownie w program każdego liczniejszego zebrania. Była to więc dla młodzieży doskonała szkoła towarzyskiego życia, szczególnie rozmowy i ciętości dowcipu. Rozprawiano o książkach, obrazach, podróżach, kwiatach, a o wszystkim wesoło, dowcipnie, w stylu wykwinnym.

Ale obok swobody i pochopności do wesołej zabawy odznaczało się życie w Puławach także gorącością uczuć; każda prawie zabawa, każda uroczystość miała tam cechę patriotyczną. Tak tedy Puławy, zawsze pełne, tworzyły jakby nowy świat, odmienny od czasów saskich.

Księżę i księżna zbliżają się nawet do ludu i włościan. Księżna wraz z córką Marją leczy i uczy dziatwę wiejską, zakłada szkoły, ochronki, szpitale, odwiedza chaty, sadi przy nich owocowe drzewa i pisze dla ludu książki. Księżę — jeden z pierwszych w kraju przed wielkim sejmem — podejmuje i w części przeprowadza myśl stopniowej zamiany pańszczyzny na czynsze, w czterech też gminach dóbr puławskich zakłada na próbę kasy pożyczkowe dla włościan.

Niestety! Nieszczęścia, które w końcu wieku XVIII spadły na Polskę, nie oszczędziły i Puław. Po upadku powstania Kościuszki zwycięskie wojska moskiewskie spustoszyły i zrabowały dwór puławski zupełnie. Z niedawnej jego wspaniałości nie pozostało nic, prócz murów i starych drzew w ogrodzie. Kiedy jednak po przeprowadzeniu rozgraniczenia zabranych posiadłości między Austrią a Rosją Puławy dostały się pod panowanie austriackie, w półtora roku po strasznym owym rabunku powróciła księżna z córką do kraju. Serce jej się ściętnęło — jak sama pisze — na widok strasznego spustoszenia. „Spojrzawszy na pałac — to jej własne słowa — bez drzwi i okien, pustką stojący, nie mogłam powstrzymać się od płaczu... Na środku podwórza usypana była góra z samych odłamków rozmaitych sprzętów, które Moskale, nie mogąc ich zabrać, potłukli i połamali; moi ludzie je na kupę zgarnęli. Głowy, ręce i nogi posągów i figur marmurowych, kawałki porcelany, kryształów, bronzów, mozaik, rozbite fortepiany, mahoniowe i hebanowe sztuki — wszystko to razem w gruzach leżało“...

Ale nie upadła księżna na duchu... Przejęta gorącą miłością ojczyźnej ziemi, postanowiła dom swój odbudować, pamiętając, że to siedziba przodków, spuścizna przeszłości, że więc to, co odziedzyczyła, winna przekazać potomności. Bezwzględnie zabrała się do dzieła; pałac odbudowała i na nowo urządziła, a park przywróciła do dawnego stanu.

* * *

Odrodzone Puławy otrzymały nową postać, a na ich tle i dwór książęcy przybrał inne oblicze.

Powązki, pierwsze dzieło księżny generałowej, były tylko naśladowaniem francuskiego wzoru, sztuczną ilustracją „Ogrodów“ Delilla, były hołdem oddanym modzie. Inaczej stało się w Puławach. Tutaj wszystko, dawne mury, stare portrety i zabytki, zwracały myśl ku przeszłości historycznej i tradycji rodowej; tu stare drzewa przemawiały jakąś mową tajemniczą i w poważniejszy wprowadzały nastrój; rozległy zaś widok wsi polskich, dokoła rozrzuconych, zbliżał do prawdziwych chat włościańskich i do nieudanych i nie-przebranych pasterzy. Księżna Izabela odczuła mowę przeszłości, zrozumiała głos tradycji narodowej i natury rodzimej, jakim do niej wszystko w Puławach przemawiało — i sama tutaj uległa wewnętrznemu przeobrażeniu.

Arkadyjskie idylle znikają w Puławach zupełnie, nie wznoszą się już sztuczne ruiny ni świątynie, bogom greckim poświęcone, lecz powstaje natomiast świątynia dla pamiętek ojczyźnych; nie snują się po gazonach udani pasterze, ale prawdziwa chata włościańska wchodzi w bezpośrednie sąsiedztwo z parkiem pańskim i jej mieszkanie zbliża się do książęcego dworu.

Z tego też pasma wysnują się dwa wzniosłe cele, które księżnie przewodniczyć będą w dalszym życiu: cześć dla narodowych pamiętek i miłość ludu; powstaną bogate zbiory zabytków przeszłości, a obok wielu czynów, dokonanych dla dobra włościan, pierwsza historia polska dla dziatwy wiejskiej.

Przedewszystkiem powzięła księżna myśl zebrania pamiętek narodowych i utworzenia z nich wielkiego obrazu przeszłości naszej. Z tą myślą zwróciła się do tych, o których wiedziała, iż tego rodzaju skarby posiadają i że je chętnie

ofiarują. A kiedy się o usiłowaniach i zabiegach księżny dowiedziano w szerokich kołach społeczeństwa, zaczęto zewsząd dobrowolnie nadsyłać ofiary.

Zczasem, gdy się już tyle zebrano pamiętek, że trzeba było pomyśleć o przyzwoitem ich pomieszczeniu, wówczas za staraniem księżny powstała odpowiednia i wspaniała budowla. Obrano dla niej miejsce w najbardziej malowniczej części puławskiego parku, na wzgórzu wysokim, pokrytem starymi drzewami i zawieszonem stromo ponad Wisłą. Sama księżna wybrała wzór dla tego budynku: z Włoch kazała zdjąć i nadesłać plany starożytnej świątyni Sybilli w Tivoli (starożytnem Tibur) pod Rzymem. Świątynia puławska jest kopją tamtego antyku i od niego wzięła też nazwę. Uroczystością rodzinną było założenie kamienia węgielnego w r. 1798, narodową zaś uroczystością było poświęcenie świątyni i otwarcie zbiorów w r. 1800.

Była to chwila w życiu narodu ważna. Kiedy Polskę wymazano z karty europejskiej, a narodowi odmówiono praw do wolności życia, uwaga ogółu zwróciła się ku przeszłości: przeszłość stała się wszystkim. Umiłowanie zabytków i ducha przeszłości było jedyną rękojmią przyszłości. Dlatego to zbiory księżnej generałowej, choć nierównej były wartości, miały wielki wpływ na ówczesne społeczeństwo, nie wartością swą naukową, lecz urokiem wspomnień narodowych i płynącą z tego źródła czcią przeszłości i potęgą patriotycznego uczucia.

Z prawej strony od pałacu wiodła do świątyni aleja lip starych, którą zamykał fronton świątyni, wsparty na czterech filarach. Gmach otaczała kolumnada o pięknych linjach i kształtnych kapitelach.

Wnętrze świątyni przesklepione było w połowie. Do dolnej części prowadziło wejście uboczne, powojami zakryte. Kilka wąskich okien słabe rzucało światło i nadawało sali posępny, jakby grobowca lub pieczary. Dokoła po ścianach rozwieszono były tarcze i puklerze nowoczesnej roboty; środkowe miejsce zajmowała tarcza Jana Zamojskiego, otoczona tarczami jego potomków. Dalej rzędem szły tarcze Chodkiewicza, Koniecpolskiego, Czarnieckiego, Lubomirskich, Potoczkich, Sieniawskich, a wreszcie tarcze z imionami wodzów legjonów polskich. Zbiór to był umyślnie sporządzony, ażeby

współczesnym przypomnieć imiona i zasługi sławnych tych mężów.

Głównym wejściem po kilku schodach wchodziło się do górnej sali, czyli do właściwego przybytku pamiątek. Przy drzwiach stały dwa lwy z granitu, dar księcia Adama, a nad drzwiami widniał napis w złotych literach: „Przeszłość przyszłości“! Zasłona z karmazynowego aksamitu z bogatą frendzlą złotą i z Pogonią w pośrodku osłaniała wejście. Sala okrągła, ale wyższa od dolnej, miała obfite światło z góry, spadające ze szczytu sklepienia przez wielką taflę wypukłą, która na owe czasy była cenną rzadkością.

Wszystkie w tej sali zgromadzone przedmioty były autentyczne lub uchodziły za autentyczne. Wskazywano tu miecz Jagiełły, Witolda, pałasz Stefana Batorego, bułat wraz z pawężą Jana Sobieskiego. W środku sali, na podstawie z granitu, okrytej starą, złotolitą materją, umieszczono szkatułę hebanową, okutą w złoto, z napisem wysadzonym brylantami na wierzchniej pokrywie: „Pamiątki polskie — zebrała Izabella Czartoryska — w r. 1800“. Tu złożone były co najcenniejsze skarby i relikwie historyczne.

Dokoła w półkręgu stały misternie wyrabiane szafy, a w nich mieściły się najrozmaitsze i nieocenione zabytki i pamiątki, puhary, szkatułki i t. p., a między innymi wazon z kości słoniowej i hebanu, ręką Kościuszki wytoczony dla księżny, kiedy w petersburskim więzieniu pracą swe troski przerywał.

Oprócz świątyni Sybilli powstał w Puławach na pomieszczenie napływających zewsząd zbiorów jeszcze drugi gmach, który nazwano „domem gotyckim“. Budowę tego domu rozpoczęto w pierwszych latach XIX stulecia, a otwarcie jego odbyło się z wielką uroczystością podczas kampanji w r. 1809 w obecności bohaterów, okrytych świeżym wawrzynem.

Przeznaczeniem tego drugiego muzeum był zbiór mnogich zabytków i pamiątek obcego pochodzenia, nie mających bliższej z Polską styczności, które księżna w licznych podróżach swych zagranicą nagromadziła. „Ale tego niedość było dla mnie — wyznaje księżna sama. — Dom gotycki, który zawiera w sobie pamiątki zagraniczne, zdawał mi się czczy i mało znaczący, póki nie umieściłam w nim jakiegoś wspomnienia mojej ojczyzny. Ułamki kamieni, marmury, napisy i kule armatnie,

które zdobią jedną stronę galerji, są to wspomnienia drogie dla Polski. Niema kamyczka w tej części domu gotyckiego, któryby nie przypominał zwycięstw ludzi sławnych i szczęśliwych lat Polski. Na drugiej stronie niema kuli, któraby nie świadczyła o odwadze naszych braci i waleczności Polaków. Wszystko to zewnętrznie na murach umieszczono“.

Zaiste, oryginalny to był pomysł inkrustowania murów zewnętrznych odłamkami ciosów, cegieł z herbami, napisami z różnych czyto budowli czy pomników historycznych. Pomysł ten stworzył rzecz wyjątkową, jakiej nigdzie niema, a która miała swój wdzięk szczególny, a pamiątkowem znaczeniem czyniła na współczesnych niezmiernie wrażenie.

Po r. 1831, po zabraniu Puław na rzecz skarbu państwa rosyjskiego, i pałac i świątynia Sybilli i dom gotycki straszemu uległy zniszczeniu. Pałac przerobiono na szkołę rosyjską, a przerobiono go w ten sposób, że wspaniałe schody ciosowe zupełnie usunięto, a gmachowi odjęto wszelkie piętno stylowe; pozbawiono go wszystkiego, co go zdobiło i zamieniono w pospolity budynek w rodzaju koszar lub magazynu.

Świątynia Sybilli stanęła pustką. Kiedy miejsce to, w dziejach naszych tak pamiętne, zwiedzał autor niniejszego wspomnienia, zastał żelazne drzwi do sali dolnej zamknięte, zajrzawszy zaś przez szpary, ujrzał leżące w nieładzie kamienie, a jeden z nich z orłem polskim kazimierzowskim osobno porzucony na ziemi. Schody do sali górnej były zburzone, niema więc do niej przystępu. Jeszcze smutniej przedstawił się widok domu gotyckiego. Wszystkie kamienie pamiątkowe, zebrane z różnych budowli historycznych, ze ścian domu powyrywano, a przybytek pamiątek zamieniono na letnie mieszkanie jakiegoś generała rosyjskiego: słychać było język obcy i syczące samowary...

Ale jedna przecież została nam pociecha, że owe cenne zbiory pamiątek i zabytków przeszłości ocalały i, umieszczone obecnie w Krakowie w Muzeum Czartoryskich, stoją otworem dla tych, którzy je pragną poznać. Uczeni na zabytki historyczne patrzą okiem krytycznego badania, ale ogół naszego społeczeństwa winien spoglądać na nie z taką samą czcią, z jaką podziwiano je niegdyś w świątyni Sybilli. Do kilku pokoleń przemawiały piękne słowa, które przed stu laty w pa-

miątkowej księdze puławskiej napisał Franciszek Morawski, młody naówczas poeta, późniejszy generał wojsk narodowych:

„Gdyby każdy z Polaków zdał szczerzy rachunek z uczuć, których doznał w tej świątyni narodowych pamiątek, tobyśmy może znaleźli pierwsze zarody niejednego cudu odwagi, niejednej wierności cnotom narodowym, nieugiętości w nieszczęściu i wielu zwycięstw, upiększających dzieje świata, te same dzieje, które tak haniebnie naszą skalaty się zgubą. Zawiodły nas nadzieje, zamknięte wszystkie drogi szlachetnego odznaczenia się w ojczyźnie, przywały nas góry nieszczęść, zdeптano nasze wawrzyny, oniemiały lutnie narodowe, oschła po tyłu polach nasza krew nienagrodzona: lecz dopóki nie zapomnimy tego, co nam ta Sybilla na pamięć przywodzi, póty będziemy narodem, póty żyje Polska. Nie możemy walczyć siłą, walczyć przynajmniej do ostatka cnotą, oświatą, narodowością i całą potęgą dawnych wspomnień. Nie zrażajmy się, nie ostygajmy, czynimy, co możemy, spełniając tę świętą naukę, którą nam Kochanowski na wszystkie zostawił czasy:

„Służmy pocziwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże“.

Według Ludwika Dębickiego (Puławy)

Dlaczego autor twierdzi, że od Powązek większe miały znaczenie dla współczesnych i trwalszą pamięć u potomności zyskały sobie Puławy?

41. FILOMACI

Jak długo przysztym wiekom świecić będzie sława Mickiewicza, dopóty blask jej nie przestanie złocić imion czterech najpierwszych i najbliższych przyjaciół jego: Zana, Czeczota, Malewskiego i Jeżowskiego. A nie będzie ten zaszczyt jakimś niezasłużonym, przypadkowym szczęściem, ale owszem najślusniejszą zapłatą za to ciepło braterskich serc, które dusza naszego poety chłonoła w siebie, stając się dzięki jemu zdolną najszlachetniejszych natchnień.

Wszyscy byli prawie w jednym wieku, z wyjątkiem Jeżowskiego, który był starszy od reszty przyjaciół. Większa, niż w wieku, zachodziła różnica pomiędzy przyjaciółmi w obranych przez nich zawodach. Jeżowski studjował filozofję i klasyczną

filologję, Czeczot i Malewski byli z zawodu prawnikami, Zan uprawiał nauki przyrodnicze i matematykę, Mickiewicz zaś — jak wiadomo — poświęcał się literaturze i poezji. Ta różnorodność zajęć naukowych, przy ciągłej łączności kolegów i wzajemnem udzielaniu sobie nabywanej wiedzy, wywierała szczęśliwy wpływ na młodych przyjaciół, pozwalając ich umysłom wyrabiać sobie wszechstronny pogląd naukowy na świat i jego sprawy.

Ale większą od zajęć naukowych była w tem gronie różnorodność temperamentów, usposobień, charakterów. Każdy niemal z pięciu młodzieńców był odrębnym typem, wszyscy razem wybornie się uzupełniali i tworzyli dobraną harmonję.

Najstarszy Józef Jeżowski (rodem z Ukrainy, z okolic Humania) celował spokojem, chłodnym sądem, ścisłą logicznością myśli i wyrażenia. Zawsze poważny, mówił spokojnie, nie unosząc się nigdy. Często zadumany, lubił samotność i nie wdawał się w żwawe sprzeczki, rozprawy i żarty. Surowy dla siebie, był pobłażającym dla innych.

Wręcz odmiennem usposobieniem odznaczał się Jan Czeczot, kolega Mickiewicza ze szkół nowogródzkich. Żywy, tkliwy, łatwo się dawał powodować chwilowemu uczuciu i łatwo przechodził z oburzenia w rozczulenie, z wesołości we frasobliwość i odwrotnie. Gotowy do wszelkich usług i poświęceń dla drugich, lubił rozłaczać opiekę nad kolegami, szczególnie młodszymi, i nadawać im kierunek moralny, ale, im kogo bardziej kochał, tem bardziej wymagający był względem niego, tem bardziej raziły go w osobie kochanej najmniejsze nawet usterki. Z tego powodu gderał często na tych, których najbardziej kochał. Rozmiałowany był w pieśniach ludowych, które potem zbierał i wydawał.

Jak Czeczot odróżniał się niezwykłą uczuciowością, tak znowu Franciszka Malewskiego znamionowała światowość i praktyczność. Syn ówczesnego rektora, Szymona Malewskiego, młodzieniec miły i przystojny, bywający w wyższych towarzystwach, nabrał ogłady, a zawsze pełen dobrego humoru, który ożywiał jego twarz przyjemną, był pożądanym towarzyszem. Koledzy cenili go też jako miłośnika i znawcę sztuk pięknych.

Tomasz Zan miał wyjątkową naturę, jaka się rzadko ludziom dostaje w darze od niebios. Była to dusza dziwnie har-

monijna i pogodna. Łączył on w sobie i kojarzył w doskonałej harmonii wszystkie niemal przymioty swoich przyjaciół: spokój i rozwagę Jeżowskiego, uczuciowość Czeczota, wesołość i towarzyskość Malewskiego. Z twarzy jego promieniała owa serdeczność i dobra wola, która mu serca wszystkich od razu podbijały, a świadczyły wymownie o szlachetności, pogodzie i czystości jego duszy. Odyniec w swoich „Wspomnieniach z przeszłości“ opowiada, że kiedy w roku 1820 przedstawiono go po raz pierwszy Zanowi, jeszcze jako ucznia szkół boruńskich, Arcy (taki miał przydomek Zan w gronie młodzieży) wyciągnął ku niemu rękę z takim uśmiechem i spojrzeniem, że Odyniec pewnoby ją pocałował, jak księdza prefekta, gdyby się świadków nie wstydził.

Mickiewicz oskrzydlał całe to grono swoich przyjaciół genialną fantazją, jakiej brakło tamtym. Był on jakby kapłanem tego grona, ślącym w imieniu jego wonne kadzidła ku niebu, to też oprócz przyjaźni odbierał jakby kapłańską cześć od swoich przyjaciół i od wszystkiej młodzieży, która się około tego grona później zgrupowała. „On pisał pieśni dla nas — powiada Domejko — jego tylko pieśni śpiewano, a temi pieśniami panował, ożywiał, utrzymywał ducha między młodzieżą“. Ale genialny śpiewak był także — jak okazały najnowsze badania, znakomitym organizatorem.

* * *

Mickiewicz, Zan i Malewski w pierwszych latach studenckich mieszkali pod jednym dachem w murach świętojańskich. Przebywając tak blisko siebie, mogli się tem częściej odwiedzać, tem lepiej poznawać i cenić, tem prędzej zawiązać przyjaźń.

Na zgromadzeniach koleżeńskich, w których i inni studenci Uniwersytetu Wileńskiego brali udział, rozprawiano o chemji, algebrze, zbiorach ustaw, Homerze i Horacjuszu; jednym słowem o tem „wszystkiem, czem, z katedry zajmowano ich uwagę. Prócz tego odczytywano głośno swoje utwory poetyczne, bo nie tylko Mickiewicz w tem gronie pisywał wiersze, ale także Zan i Czeczot. Musiano tam rozmawiać i o innych rzeczach, o potrzebie doskonalenia się wzajemnego i wywierania wpływu moralnego na kolegów, co wiedli próżniacze,

bezcelowe życie. Wreszcie wśród takich rozmów zarysował się przed młodymi przyjaciółmi i ów cel najwyższy, do którego dążyli potem — odrodzenie moralne narodu przez szerzenie oświaty i krzewienie i miłości ojczyzny i braterstwa w sercach młodzieży, i urodziła się myśl zawiązania towarzystwa filomatów.

Nadeszła zaś okoliczność, która stała się deszczem wiosennym dla tego ziarna. Dnia 15 października 1817 roku umarł w Solurze Kościuszko, a w kilka tygodni potem rozpoczęły się w Wilnie żałobne obchody na cześć zwycięzcy z pod Racławic, obchody, w których całe miasto, wszystkie stany i wyznania brały gorący udział. Ta wspaniała manifestacja ducha narodowego musiała oddziaływać potężnie na serca przyjaciół naszego poety i jego własne. Byłżeby to przypadkowy zbieg wydarzeń, że właśnie w tym czasie zawiązuje się towarzystwo filomatów?

Prezesem został Jeżowski. Na posiedzeniach czytano prace literackie i rozprawy naukowe, w których przestrzegano przede wszystkim czystości języka, a przedmiotem ustnych narad miało być wyłącznie obmyślanie środków dążących ku szerzeniu oświaty i braterstwa między młodzieżą ku utrzymaniu w niej narodowego ducha, tak, aby każdy przekładał dobro powszechne nad interes prywatny i szanował bardziej cnotę, niż wszelkie dostojności światowe, bogactwa i wyniesienie się. W pożyciu zaś między członkami zalecano przede wszystkim szczerłość i wzajemną pomoc.

Działanie nazewnętrz, na kolegów, rozpoczęło się zaraz, ale nadzwyczaj powoli i ostrożnie. Ówczesna młodzież uniwersytecka była po większej części butna i próżniacza; zbyt natrączywe działanie mogłoby ją tylko zniechęcić i może w śmiech podać reformatorów. Działano więc z początku na poszczególne kolegi, na swoich znajomych, a najlepiej umiał to robić Tomasz Zan. Toteż głównie dzięki tej zdolności zjednywania serc, podziwianej u Tomasza, z wiosną roku 1820 znaczną już była liczba studentów, z którymi filomaci zawiązali ściślejsze stosunki.

Tę młodzież, a także i innych kolegów, których chciano przyciągnąć do siebie i bliżej poznać, zapraszali filomaci na koleżeńskie, wspólnym kosztem urządzone majówki. Na ma-

jówkach wiedli uczestnicy zabawy ożywione, czasem hałaśliwe, ale zawsze serdeczne pogawędki, śpiewali chóralne pieśni, a czasem ten i ów z kolegów wydobywał z zanadru swój wiersz i odczytywał towarzyszom. Znamy niektóre pieśni na tych majówkach śpiewane. Jedna z nich, napisana przez Mickiewicza, a zaczynająca się od słów „Hej, radością oczy błysną“, streszczała w sobie uczucia i dążenia, które filomaci starali się natchnąć kolegów. Młodzież wracała z tych majówek upojona miłymi wrażeniami, których doznała, a przede wszystkim uczuciem braterskiej, serdecznej miłości.

Józef Tretiak (Młodość Mickiewicza)

42. PIEŚŃ ZEGLARZY

Wesoło żeglujmy, wesoło, Po życia burzliwym potoku! Jak orły w gradowym obłoku, Choć wichry, pioruny wokoło, Wesoło żeglujmy, wesoło!	5	Każde łańcucha ogniwo Przeklęte, gdy się rozpadnie! Gdy rdza się w niego zakradnie, To ogniem czyścić co żywo Rdzawe łańcucha ogniwo!	25
---	---	---	----

Dalej tu do mnie, młodzieńcze! Niech każdy kielich wypróżni! Za życie my ziemi dłużni, Strojmy ją w laurowe wieńce — Żyjmy wielkością, młodzieńcze!	10	Wesoło żeglujmy, wesoło, Po życia burzliwym potoku! Jak orły w gradowym obłoku, Choć wichry, pioruny wokoło, Wesoło żeglujmy, wesoło!	20
---	----	---	----

Niech każdy półbogiem będzie, Choć gorycz dymi z kielicha; Niech pije, niech się uśmiecha, Niech listek lauru zdobędzie, A każdy półbogiem będzie!	15	Przesączmy życie dla życia W wielki ocean ludzkości! Oddajmy ducha i kości, A unikniemy rozbicia, Oddając życie dla życia!	30
--	----	--	----

Wesoło żeglujmy, wesoło Po życia burzliwym potoku! Jak orły w gradowym obłoku, Choć wichry, pioruny wokoło, Wesoło żeglujmy, wesoło!	35
--	----

Edmund Wasilewski

Co należy rozumieć przez życia burzliwy potok, co przez wichry i pioruny, przez kielich, gorycz dymiącą z kielicha, ogniwa łańcucha, rdzę i ogień, ocean ludzkości, rozbicie? Czy zwrotka pierwsza, czwarta i siódma wywołuje w wyobraźni naszej ten sam obraz, co pozostałe? Czy w pozostałych zwrotkach mówi poeta o żeglarzach? Dlaczegoż napis „Pieśń żeglarzy“? Czy w zdaniach poety nie dostrzeczemy stopniowania? Do którego z wierszy pomieszczonych w tej książce „Pieśń żeglarzy“ najbardziej zbliża się treścią, duchem

s posobem wypowiedzenia myśli? O których postaciach, poznanych z lektury tegorocznej, powiedzielibyśmy, że żeglowały wesoło po życia burzliwym potoku, które zdobyły liść lauru, które oddały życie dla życia drugich?

43. TADEUSZ CZACKI I LICEUM KRZEMIENIECKIE

Tadeusz Czacki należał do niewielkiej liczby tych ludzi, którzy pod koniec wieku XVIII, po rozbiciu politycznym Rzeczypospolitej, nie straciwszy wiary w dalszą żywotność narodu i nie chcąc losów jej zasadać na sybkim gruncie kombinacji politycznych, zwrócili się z całą usilnością do cichej, mrówczej pracy na własnej ziemi i zachęcali współziomków do wydobywania sił i zasobów na przyszłość z pośród samych siebie. Wziąwszy sobie za hasło: „*nil desperandum*“¹⁾, w czynnych zabiegach o jego urzeczywistnienie nie strudził się i nie spoczął, dopóki we właściwym sobie zakresie nie okazał nacznie ziomkom jego zbawienności. Wszystkie inne zasługi wobec tej głównej w cień usunąć się muszą.

Jako urzędnik sumienny w Komisji Skarbu położył zasługi niewątpliwe, toteż w historii czasów Stanisława Augusta imię jego chlubnie będzie wspomniane. Jako uczonego znawcę prawa i historyk zajmuje w dziejach nauki naszej miejsce niepoślednie. Ale w żywej pamięci narodu, przechowującej imiona tych, co go okryli sławą lub dobra mu przysporzyli, staje Czacki jako gorliwy wizytator szkół na Rusi, jako śmiały i rozumny twórca Gimnazjum Wołyńskiego i połączonych z nim zakładów, jako rozszerzyciel oświaty naszej na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, jako świątły obrońca „zdobyczy pługa polskiego“.

Urodził się Czacki dnia 28 sierpnia 1765 roku w mieście Porycku na Wołyniu z ojca Szczęsnego, podczaszego kornego, i matki Katarzyny Małachowskiej. Wychowaniem jego zajmował się ojciec, który dobierał mu bardzo dobrych nauczycieli, a Tadeusz wielkie w nauce czynił postępy, celował bowiem nadzwyczaj żywą pamięcią i wielką chęcią do czytania.

Przyszły twórca „Gimnazjum Wołyńskiego“ już w dzieciństwie okazywał niezwykłą troskliwość o wychowanie i wykształcenie dzieci ubogich. Mając lat 12, pieniądze, dawane mu

¹⁾ Słowa Horacego: nie należy tracić nadziei (Ody I, 27).

przez rodziców na drobne przyjemności, przeznaczał na utrzymanie nauczyciela (Franciszka Świątkowskiego), dla dzieci domowników i niezamożnych mieszkańców Porycka, i tym sposobem utworzył szkołę wiejską. Miłość bliźniego i gorąca chęć szerzenia oświaty, a więc przymioty, które w życiu późniejszym miały się stać wybitnymi cechami charakteru Czackiego, już wtedy zjednywały mu serca.

Bardzo młodo, bo zaledwie 19 lat licząc, wszedł w zawód życia publicznego jako członek sądów nadwornych koronnych (r. 1784). Czując, że mu brak bardzo wielu wiadomości do należytego spełnienia obowiązków obywatelskich, wszystkie wolne godziny poświęcał badaniu dzieł prawnych, politycznych i dziejopisarskich w Bibliotece Załuskich, pod światłem przewodnictwem Adama Naruszewicza i Jana Albertrandego. Powołany niebawem do „Komisji Kruszcowej“, musiał się zapoznać z naukami przyrodniczymi, w dwa lata zaś potem (r. 1788) sejm wybrał go na członka „Komisji Skarbowej“, co mu dało i pobudkę i możność zbadania kraju pod względem produkcji i handlu.

Na tem stanowisku, na którym przetrwał do r. 1792, rozwinął Czacki wielce ożywioną działalność. Przedstawił sejmowi potrzebę wysyłania młodzieży zagranicę celem doskonalenia jej w nauce górniczej. Własnym nakładem (10.000 czerw. zł.) wydał hydrograficzną mapę Polski i Litwy z wydatnieniem biegu 4819 rzek wielkich i małych, z oznaczeniem zakrętów, spadków i wszelkich pomocy lub przeszkód do uczynienia ich spławnymi. Oddzielnie, za jego staraniem, wyszła hydrograficzna mapa Dniestru na 13 kartach. W tym też czasie dokonał objazdu prowincji ruskiej, a następnie ukraińskiej dla naocznego przekonania się o stanie komór celnych i o czynności urzędników, jakoteż dla powściągnięcia nadużyć. O tych czynnościach swoich szczegółowo zdał komisji sprawę, do czego dołączył „uwagi o handlu polskim“.

W r. 1791 dnia 7 maja wraz z Komisją Skarbową wykonał przysięgę na konstytucję, ale gdy w r. 1792 zwyciężyła Targowica, wystąpił ze składu Komisji Skarbowej i cofnął się w zacisze domowe, aby się oddać ulubionym swym zajęciom naukowym. Owocem tej pracy było — oprócz paru mniejszych rozpraw i broszur — najcenniejsze jego dzieło

„O litewskich i polskich prawach“ (2 tomy, Warszawa, 1800 i 1801), które imię jego w świecie naukowym rozstawiło. — W tym też czasie, przejęty poczuciem potrzeby utrzymania naukowości polskiej w języku polskim, wraz z Janem Albertrandym, Stanisławem Sołtykiem i Franciszkiem Ksawerym Dmochowskim zawiązał w r. 1800 w Warszawie „Towarzystwo Przyjaciół Nauk“, które wnet rozwinęło działalność niezmiernie żywą.

Ale nie tutaj koniec zasług Czackiego. Rok 1803 rozpoczyna ważny okres w dziejach oświaty na Litwie i Rusi, a zarazem w życiu Czackiego.

Aleksander I pragnął zreformować państwo swoje, a że umiał ocenić ważność edukacji publicznej, więc też, wspierany radą światłych a młodych natenczas ludzi, których do poufałego przestawania ze sobą przypuścił, przedsięwziął przeprowadzić zmianę w urzędzeniu szkół. Do grona tych ludzi należał Adam książę Czartoryski, który był wtedy ministrem spraw zewnętrznych. Cesarz powierzył mu kuratorstwo Wydziału Naukowego Wileńskiego, w którego obręb wchodziły prowincje dawniej polskie, a wówczas do państwa rosyjskiego już przyłączone. Czartoryski tedy wraz z ks. Hieronimem Strojnowskim, ówczesnym rektorem Akademii Wileńskiej, zabrał się do reformy Wydziału Naukowego Wileńskiego i dokonał jej na podstawie i w duchu Ustaw Komisji Edukacyjnej, a Tadeusza Czackiego pozyskał na wizytatora szkół w trzech gubernjach: wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej.

Czacki, który z upragnieniem upatrywał sposobności służenia ogółowi, wziął się do dzieła z całą właściwą sobie energią i gorliwością. Zwiedził powierzone mu szkoły, a przekonawszy się, że stan ich jest bardzo niepomyślny, postanowił zajęć się gruntowną reformą tych zakładów i rzeczywiście bardzo wiele się przyczynił do poprawy szkół w ziemiach ruskich. Ale prócz tego konieczną wydało mu się rzeczą dla podniesienia oświaty założyć w tych stronach wyższy zakład naukowy, któryby młodzież przygotowywał do praktycznego życia, a krajowi przysposabiał ludzi użytecznych.

Z temi myślami zwierzył się ks. Hugonowi Kołłątajowi, który wtedy na Wołyniu mieszkał, i prosił go o rady i wskazówki, „mając nadzieję, że ten, co niegdyś pierwszy Szkołę

Główną w Krakowie wizytował i nią rządził, ten, co doświadczenie łączył z teorią, nie odmówi mu wsparcia". Kółtąj zgodził się chętnie na udział w tej pracy i pomagał Czackiemu w ułożeniu zasad i planu nauczania w zamierzonej szkole. A tymczasem zakrzętał się Czacki około zebrania potrzebnych funduszy. Naprzód zwrócił się do panów i szlachty, a następnie do duchownych, wzywając ich do ofiar i do poświęcenia częściowych dochodów na cele oświaty. I nie zawiódł się mąż zacny. Posypały się datki, ofiary i zapisy tak znaczne, że starczyć mogło funduszy na dostatnie urządzenie i hojne wyposażenie szkoły. Kiedy zaś Czacki, objeżdżając kraj, zbierał fundusze, Kółtąj na podstawie umówionych z wizytatorem punktów wypracowywał projekt urządzeń szkolnych.

Przygotowawszy w ten sposób wszystko, przesłał Czacki swój projekt z uwagami ks. kuratorowi Czartoryskiemu i Uniwersytetowi Wileńskiemu z prośbą o zatwierdzenie i wydanie ustawy dla Gimnazjum Wołyńskiego. Trudności, które nasunęły się jeszcze w ostatniej chwili, pokonał Czacki osobistym swym wpływem, poczem otrzymał zatwierdzenie ustaw i pozwolenie na otwarcie zakładu — z osobnym pismem cesarza Aleksandra I z dnia 29 lipca 1805, dziękującym zasłużonemu mężowi za starania około założenia gimnazjum.

Otwarcie szkoły odbyło się dnia 1 października wobec wielkiego zjazdu obywateli pod przewodnictwem marszałków, oraz osób urzędowych, na których czele był gubernator książę Wołkoński, wobec biskupa łucko-żytomierskiego ks. Cieciszowskiego i licznych grona duchownych, wobec delegatów Uniwersytetu Wileńskiego i warszawskiego Towarzystwa Nauk. Przy huku stu dźwięku wszystkich w mieście dzwonów rozpoczęła się uroczystość okazale urządzone nabożeństwem, na którym ks. Jan Kanty Bożydar Podhorodeński miał kazanie o potrzebie łączenia religii z nauką. Po nabożeństwie nastąpiły mowy. Naprzód przemówił Czacki, który jako twórca zakładu powitał radośnie dostojne grono i wykazał charakter i znaczenie tego wielkiego w dziejach edukacji święta. Wkońcu z gorącą przemową zwrócił się do nauczycieli gimnazjum i do młodzieży szkolnej. W imieniu nieobecnego dyrektora przemówił prefekt Antoni Jarkowski, kiedy mu wręczono dyplom, ustanawiający Gimnazjum Wołyńskie. Wystąpili potem inni

jeszcze mowcy; z pośród nich wymienić należy Jana Nepomucena Wyleżyńskiego, delegata Towarzystwa Przyjaciół Nauk, który w imieniu obywateli wypowiedział pochwałę nauk wogóle i podziękowanie złożył Czackiemu za jego niestrudzoną gorliwość w doprowadzeniu do skutku instytucji, co światłość w narodzie rozszerzać miała.

Uroczystość otwarcia szkoły zakończyła się wspaniałym obiadem.

Nazajutrz rozpoczęły się lekcje, również przy współudziale licznych gości, którzy się bardzo żywo zajmowali nową szkołą i urządzeniom jej zbliżka przypatrzeć się chcieli.

I istotnie niezwykle było urządzenie tego zakładu.

Zasadniczą myślą krzemienieckiej szkoły było zastosowanie nauki szkolnej do praktyki życia, uczynienie z niej środka do przysposobienia krajowi ludzi użytecznych w różnych zawodach. Użyteczność nauki szkolnej w życiu — oto był cel Czackiego. Do tego też celu wiódł i ustrój szkoły i wybór przedmiotów, które w niej wykładano.

Cała nauka dzieliła się na cztery lata niższe, zwane „klasami“, i na trzy „kursy“ wyższe, z których każdy był dwuletni. W czterech klasach niższych uczono głównie języków, mianowicie polskiego i łacińskiego, rosyjskiego, francuskiego i niemieckiego, geografji powszechnej i arytmetyki. Na kursach wyższych wykładano naprzód historję i geografję powszechną, dawną i terażniejszą, matematykę i logikę; następnie fizykę i prawo; nakoniec historję naturalną, chemję i literaturę czyli wiadomości o dziełach pisarzy dawnych i terażniejszych.

Oprócz tych nauk, do których obowiązani byli wszyscy, wykładano jeszcze niektóre nadobowiązkowe. Takie były np. matematyka wyższa, astronomja, mechanika; takie było ogrodnictwo i rolnictwo, tak teoretyczne jak praktyczne, anatomja i chirurgja, jakoteż weterynarja; taką była wreszcie gramatyka języków słowiańskich, języka greckiego, taką też historja literatury. Nadto uczono jeszcze rysunków, muzyki, pływania.

Ale nie tylko na naukę zwracał Czacki uwagę; także wychowanie młodzieży, uszlachetnienie jej serca i wyrobienie charakteru — było głównem zadaniem szkoły krzemienieckiej. Zaraz też w pierwszym roku istnienia zakładu (1806) ułożył

Czacki rozumne przepisy, dotyczące karności uczniów i wogóle stosunku ich do gimnazjum. Zbiór tych przepisów zakończył piękną przemową do młodzieży: „Nie zleknie się sądu historii, jeśli jaka karta jej zostanie dla naszej prowincji wśród dziejów o wielkich wypadkach; lecz nadewszystko nie zarumienię się przed sobą samym i przed wami. Pochlebiam sobie, że mam jakiegokolwiek prawo do waszych serc. Nie chcieliśmy i nie chcemy was smucić. Pomagamy wam być wesółymi; a jeżeli powinność nasza każe wyrządzić szczególnym uczniom przykrość dla ich dobra, stanie się ona zarodem wesołości w dniach dojrzałego życia, kiedy już w surowej cnotcie znajdziecie pomyslności, a wtenczas prawdziwe moralne nieszczęścia nazwiecie skutkiem namiętności, którym rozum nie rozkazuje. Przyności mi waszą ufność i dobre postępowanie w nagrodę mojego do was przywiązania. Niech dla was wszystkich Krzemieniec będzie świątynią cnoty, a przybytkiem nauk“.

Tak też było w rzeczywistości. Zacny założyciel szkoły, czczony i kochany przez młodzież, z radością patrzył, jak coraz piękniej rozwijała się jego szkoła, jak coraz więcej garnęło się do niej młodzieży i jak zczasem coraz więcej wychodziło z niej ludzi światłych i należycie do życia obywatelskiego przysposobionych.

Niedługo jednak sam Czacki cieszył się rozwojem swej szkoły i owocami tej pracy. Umarł nagle dnia 8 lutego 1813 r. w Dubnie, dokąd wyjechał był, aby się zobaczyć z przybyłym na Wołyń księciem Czartoryskim. Stosownie do woli zmarłego, ciało jego przewieziono do Porycka, gdzie 19 lutego odbył się wspaniały pogrzeb, przy nadzwyczaj licznej zebraniu duchowieństwa i obywatelstwa. Serce Czackiego złożono w jednej z sal Gimnazjum Wołyńskiego z tym trafnym napisem z ewangelji: „*ubi thesaurus tuus, ibi et cor tuum*“ (gdzie skarb twój, tam i serce twoje).

Rzeczywiście przez ostatnie ośm lat życia serce Czackiego wypełnione było Gimnazjum Wołyńskim; dzieło przezeń stworzone pochłaniało niemal całkowitą jego działalność; podniesienie szkoły krzemienieckiej do najwyższego szczytu doskonałości stało się celem wszystkich jego usiłowań, przechodzących w wielką, szlachetną namiętność. On ją ukochał głęboką miłością ojcowską, poświęcił dla niej wszystko: majątek, zdrowie,

siły umysłowe, naukę wielką, gorliwość nadzwyczajną. Przy jej zakładaniu i stopniowym rozszerzaniu rozwijał całą przebiegłość serca i przenikliwość rozumu, ażeby dla niej pozyskać fundusze, zjednać przychylność, wymusić uznanie. W organizacji sam wchodził w najdrobniejsze szczegóły, starając się o to, ażeby w szkole jego było wszystko to, czego wymagał postęp nauki i potrzeba kraju, a zarazem wszystko to, czem ognisko domowe uczucia ku sobie pociąga. Chciał, aby gimnazjum jego spełniło jak najlepiej podwójne zadanie — wychowania i nauczania; chciał, aby wychowaniec tego gimnazjum mógł się stać cnotliwym, światłym i użytecznym krajowi obywatelem, a równocześnie człowiekiem towarzyskim; chciał, aby wychowaniec ten w szkole nietylko się uczył, ale i bawił, aby się nie czuł jednostką tylko w tem wielkiem zbiorowisku, ale członkiem jego, mogącym liczyć na przyjaźń, poparcie i pomoc tak, żeby we wspomnieniach swoich zwracał się do szkoły z taką niemal tęsknotą, z jaką zazwyczaj zwracamy się do dni dziecinnych, w domu rodzicielskim spędzonych.

Obrawszy na szkołę miejsce stosowne, małe miasto, nie nadržające sposobności do odrywania się od nauki, przejąwszy swym duchem przełożonych i nauczycieli, biorąc sam czynny i gorący udział zarówno w dopomaganiu do pracy, jak i w podzieleniu zabaw młodzieży, rozciągnąwszy opiekę rodzicielską nad zdrowiem, utrzymaniem, pracą domową uczniów, pobudzając w nich ciągle uczucia szlachetne, podnosząc nastrój chwil uroczystych w życiu gimnazjalnem do tonu podniosłego, interesując się losami uczniów po ukończeniu szkoły — sprawiał, że wychowańcy Gimnazjum Wołyńskiego ukochali je istotnie uczuciem synowskim, a jego założyciela czcili i wielbili.

Wymownym dowodem tej wdzięcznej pamięci i nigdy niewygasłej czci dla zacnego męża był piękny zwyczaj, który od pierwszego roku po jego śmierci trzymał się aż do końca istnienia tej szkoły, t. j. aż do przeniesienia jej do Kijowa (r. 1831) i przemienienia jej na uniwersytet. Józef Korzeniowski, znakomity powieściopisarz, niegdyś uczeń tej szkoły, później jej profesor, a wkońcu dyrektor, opowiada¹⁾, iż, corocznie po skończeniu egzaminów publicznych, w dzień przed uroczystem

¹⁾ W powieści p. t. Tadeusz Bezimienny (r. IX).

zamknięciem roku szkolnego i rozdaniem nagród uczniom, odbywał się obchód żałobny za duszę założyciela. Wtedy w środku ogromnego kościoła szkolnego pod wysoką kopułą wznoszono wspinały katafalk, cała świątynia nappełniała się młodzieżą, zbierali się rodzice, krewni i mieszkańcy miasta w czarnych sukniach; a gdy się msza rozpoczęła, wszyscy profesorowie stawali ze świecami po obu stronach katafalku, a obok nich we dwa rzędy klękali uczniowie, począwszy od najmniejszych do najstarszych, wybrani po czterech z każdej klasy i każdego kursu. Gdy się msza skończyła, wstępował na ambonę znakomity szkoły tej kaznodzieja i głosem przenikającym i rzewnym, który się wciskał do każdej piersi, uczył młodzież obowiązków wdzięczności i wrażeń w serce jej pamięć człowieka, który żył tylko dla niej. Był to obchód dla wszystkich uczniów szkoły krzemienieckiej niezmiernie uroczysty i ważny; żaden go nigdy nie opuścił i żaden przed dopełnieniem tego obowiązku, który dla siebie uważał za święty, nie wyjechał z miasta“.

Tak więc choć dawno już nie żył mąż ów zacny, pozostała żywa o nim pamięć, żył wielki duch jego. Istotnie był to duch wielki. Jak szczytne były jego zasady, poglądy i uczucia, poznać można z listu, który na kilka lat przed śmiercią napisał do syna swego Józefa: „...Od kilkunastu lat publiczne i prywatne nieszczęścia nieprzerwaną idą koleją. Opatrzność może położyć granicę nieszczęściom, może je zwiększyć. Szanujmy wyroki nieba, a pracujmy, aby sumienie nasze zaświadczyło, że jesteśmy godni mieć pomyślność w udziale. Już zbliżasz się do tego wieku, gdzie będziesz poznawał te wszystkie przyczyny, które kraj wymazały z liczby narodów i okropne spuściły klęski... Przekonasz się, że sama cnota jest wszystkim; ona towarzyszyć powinna od pierwszych lat do grobu; ona jedna czyni, że człowiek nie może być zupełnie nieszczęśliwym. Pamiętaj, abyś ziomkom służył. Apatja niech nie ma w twoich oczach cechy cnoty obywatelskiej. Są ludzie, jest ta sama ziemia, która przodków twoich żywiła i ciebie żywi. Jest i będzie wiecznie ten sam Bóg, który współludziom przynosić pomoc i nawzajem odbierać każde...“

Że sam Czacki zasady te stosował w życiu, pokazuje się z jego działalności publicznej, o której pięknie wyraził się ks.

Adam Czartoryski, najlepszy niewątpliwie w tej mierze sędzia. „Pałała w nim — mówił książę kurator w pięć lat po śmierci jego, rozdając medale celującym uczniom krzemienieckim dnia 1 lipca 1818 roku — pałała w nim, jak w mężach starożytności, czysta miłość kraju, cnoty i chwały, a wstręt miał do niskich powodów egoizmu. Od pierwszej młodości każdy rok życia Czackiego odznaczony był dziełem lub pracą, cnotliwym usiłowaniem lub ofiarą użyteczną. Wewnętrzna moralna siła jakaś niezwalczona bez przerwy nagliła go do pięknych czynów, do poświęcenia się to przyjaciółom, to cierpiącym, to krajowi swojemu, to dobru ludzkości i przyszłych pokoleń; o sobie radzić, swój tylko pielęgnować interes — nie było w jego mocy“.

Według Piotra Chmielowskiego (Tadeusz Czacki)

Podaj dyspozycję tego ustępu. Wydziel z dyspozycji te jej części, które mówią o zasługach Czackiego i ujmij zasługi owe w jednolity obraz.

44. OGNIWA

Zaledwie śnieg, okrywający dachy i ulice, szarzeć zaczął we wczesnym zmroku zimowym, okna dużego i ozdobnego domu zajaśniały rześnistym światłem.

Z bramy oświetlonego domu wyszedł mężczyzna, którego broda siwa wydawała się płatkami śniegu, położonym mu na piersi. Paltot futrzany z kosztownym kołnierzem szczerle okrywał postać dość wysoką, z plecami trochę przygarbionymi; brzeg czapki futrzanej dotykał złotej oprawy okularów. Ubranie, ruchy, sam sposób, w jaki naciągał rękawiczki, znamionowały człowieka należącego do wyższych warstw społecznych. Miał brodę siwą, plecy przygarbione i okulary na oczach.

Wszedł w dzielnicę miasta znacznie uboższą od tej, w której znajduje się wspaniałe jego własne mieszkanie. Szyldy jaskrawe migocą w słabym świetle u bram starych i okien niewielkich.

Kołysze się niekiedy i poskrzypuje deska z tłem ciemnym i wymalowaną na niem tarczą zegara, wielką, białą, podobną do twarzy starej i zapłakanej. Spłowiełe cyfry i wskaźniki wyglądają jak zmarszczki przez czas wyrte, a kurzawy letnie i deszcze jesienne złożyły na nich mnóstwo czarnych kropek, jak zaschłych łez.

Wzrok starego pana w futrze bobrowem wypadkiem spotkał się z malowaną twarzą zegara, która w powiewie wiatru zlekka zakotłowała się i zaskrzypiała. Było to coś nakształt zaproszenia, wymówionego tonem żalonym. Zegar na szyldzie! Zegarmistrz! to bardzo dobrze! Właśnie zegarek jego potrzebuje naprawy. Od pewnego czasu opóźnia się wciąż i opóźnia po parę minut codzień. Sam go już ciągle nastawia, naprawia, posuwa, cofa: nic nie pomaga. A przecież zna się na zegarach wyśmienicie. Ale dla przyjaciela starego trzeba zawezwać porady lekarza. Wstąpił na parę wschodków, otworzył drzwi sklepiku. Zatrzymał się u progu; przez minut parę stał, słuchając i patrząc.

Izdebka była mała i niska, od sufitu do podłogi napęczniona szmerem dziwnym, zgiełkliwym, monotonnym i zarazem niespokojnym, szybkim. Nic tu więcej słyhać nie było: ani ruchu ulicznego, ani skrzypienia szyldów, nic, tylko od sufitu do podłogi i od ściany do ściany rozmowa czy narada zegarów wiszących na ścianach i mówiących jeden za drugim wielu głosami suchemi i stukotliwemi: „tak-tak... tak-to-tak... tak-to-tak“.

A w tym szmerze rozmowy, czy narady, zda się, wiekuiściej, u okna jedyne, przy stoliku, na którym paliła się lampa z długim kominkiem, nad mnóstwem błyszczących kótek, sprężynek, haczyków, siedział człowiek w ubraniu długim i wyszarzanem, z dwoma płatami śnieżnemi, jednym na piersiach, drugim nad karkiem zgiętym; była to broda siwa i siwe włosy, wydobywające się z pod jarmutki aksamitnej. W wielkich okularach, z narzędziem delikatnem w rękę siedział i pracował około błyszczących drobiazgów. Czoło miał zmarszczone, wargi odęte i uwagę głęboką w oczach, połyskujących iskrą srebrną z pod brwi siwych i powiek zaczerwienionych. Może ucho jego tak przywykło do stukotliwej rozmowy zegarów i tak się z nią zżyło, że dźwięki inne przebijaly się do niego z trudnością: nie słyszał wejścia człowieka obcego.

W minutę później ze szmeru wytrysnął głos donośny, dźwięczny, dziwnie żywy i świeży, który na całą izbę zawołał: „ku-ku“! i potem już dalej miarowo powtarzał! „ku-ku! ku-ku“! aż za ósmym razem umilkł, a izdebkę napętniła znowu

gwarliwa i pomimo miarowości doskonałej, śpieszna, niespokojna narada zegarów.

Stary żyd z dwoma płatami śniegu starości podniósł głowę, wydęte od skupienia wargi jego rozciągnęły się w błogim uśmiechu, spojrzeniem pełnem zadowolenia powiódł dokoła i spotkał się niem z twarzą przybysza, na której także rozlewał się uśmiech. Powstał nieco ze stołka, jarmutki palcami dotknął i zaczął:

— Czego wielmożny pan...

Spostrzegłszy wszakże futro kosztowne, złotą oprawę okularów, postawę przygarbioną, lecz jeszcze wyniosłą, poprawił się:

— Czego jasny pan żąda?

Ale jasny pan, zamiast odpowiedzieć, szedł wprost ku ścianie z szemrzącymi zegarami i stanął przed tym, który wydał był z siebie głos kukułki.

— Skąd masz ten zegar? Staroświecki!... cyferblat osobliwy!... Skąd go masz? Czyj on jest?

Żyda jakby sprężyna podrzuciła z nad stołka, zerwał się i dwoma śpiesznymi krokami stanął obok starego pana przed szafką hebanową, wysoką; przez otwór jej wyglądało na świat oblicze zegara z kukułką.

— Czyj ten zegar? A czyj ma być? 'On mój! Jak syn swego ojca, jak przyjaciel jest swego przyjaciela, tak on mój!

Mówił z żywością i razem ze śmiechem filuternym, lecz nagle umilkł i uważnie wpatrzył się w gościa, który przecież, na niego uwagi nie zwracając, z głową podniesioną, z ustami trochę otwartymi, przypatrywał się zegarowi, aż zawołał:

— Daj-no stołek i lampę, bo nie mogę dojrzeć pejzażu na cyferblacie. Widzę, że jest, ale nie mogę dojrzeć, jaki...

Przy ostatnich wyrazach wstąpił na stołek, podsunęty mu przez żyda, a uczynił to tak sprężysto, jak gdyby nigdy dotąd nie powłóczył nogami.

— Dawaj lampę! — zawołał.

— Zaraz, zaraz, jasny panie!

I słowa te mówiąc, stary żyd z lampą w ręku znalazł się obok gościa na drugim przysuniętym stołku.

— Widzi jasny pan, jaka to delikatna robota jest i jakie to rzeźbienie i złocenie fajn...

— Empire¹⁾ — szepnął stary pan.

— Ampir! cha, cha, cha! Na moje sumienie, jasny pan zna się na zegarkach, jak, za pozwoleniem, zegarmistrz! Czy-ste Ampir! Już blisko sto lat ma...

— Poczekaj! poczekaj! a toż co za sprężyna?

— Nu, to jest taka sprężyna, że jak ja ją pocisnę, to za-raz z zegara wyleci ptak, skrzydłami załopoce i krzyczeć zacznie.

— Aha! prawda! widziałem raz taką maszynerję...

— Kiedy jasny pan raz widział, to ja jaśnie panu drugi raz pokażę...

Stali na stołkach obok siebie, postawą różni, bo gospodarz był szczuplejszym i niższym od gościa. Światło lampy, którą żyd trzymał w wysoko podniesionej ręce, padało na dwie twarze z rysami niepodobnymi, ale okryte jednostajnie wielką ilością zmarszczek. Obaj mieli okulary na oczach, wlepionych w zegar z błogością jednostajną. Wtem nad ich głowami siwemi i twarzami pomarszczonymi, wysadzony z wnętrza zegara przez sprężynę naciśniętą, wyleciał ptak metalowy, załopotał skrzydłami i dźwięcznie, świeżo, na całą izbę wołać zaczął: „ku-ku“, „ku-ku“. Żyd pierwszy zstąpił ze stołka na ziemię i pomógł gościowi to samo uczynić, poczem, zapominając o postawieniu lampy na stole, znowu na niego patrzył.

— Za pozwoleniem jasnego pana — szepnął nieśmiało — może ja mam omyłkę, ale mnie zdaje się, że moje stare oczy jaśnie pana poznały...

— Poczekaj, poczekaj — z żywością przemówił stary pan — mnie także coś się przypomina. Czy ja cię znałem kiedy?

— Jasny pan graf Ksawery ze Strumienicy...

— No, a ty? bo nie mogę przypomnieć sobie...

— Ja Berek, syn Szymszela, co w Strumienicy pacht trzymał.

— Berek! czy być może? Ale pamiętam wybornie! Siostra moja brała cię za model do jakiegoś obrazka.

Żyd głową skinął potakująco; lampę postawił na stole, bo ręce drżeć mu zaczęły. Wyciągnął z kąta stare krzesło z materacem wklęsłym i poręczą nadłamaną, zapraszając gościa,

aby usiadł. Cmokał wargami, śmiał się; czerwone powieki mru-gały mu pod siwemi brwiami bardzo prędko, jak od olśnienia. Usiadł nakoniec, wpatrywał się w gościa i wydawał dźwięki niewyraźne, w których przecież słychać było radość i zdziwienie. Ale i stary pan przypatrywał mu się z podziwem.

— Czy być może? Ty Berek!... ty... ten Berek z kręcącymi się włosami złotymi, z twarzą rumianą, jak u dziewczyny, z oczami, jak turkusy? Siostra moja wzięła cię za model do jakiejś figury w obrazie, potem często przychodzisz do pałacu... Więc to ty jesteś?

— Ja... ja sam, jasny panie! A jasny pan jest tym paniczem, co na schody strumienieckiego pałacu nigdy inaczej nie wchodził, jak po cztery przeskakując. Aj, czy ja nie pamiętam, jak jasny pan Ksawery konno jeździł! Żeby nie wiem wielu paniczów na koniach jechało, to on wszystkich wyprzedził! Ja to wszystko widział, choć przy płocie albo za oknem pałacu stojąc...

— Ależ właśnie, właśnie — podchwycił hrabia — ja cię też najlepiej pamiętam stojącego przy sztachetkach, na dziedzińcu lub w ogrodzie i przypatrującego się wszystkiemu oczyma, które posiadały dziwnie naiwny wyraz ciekawości i uciechy... Nieraz mówiliśmy z siostrą o tobie, że wyglądasz, jakbyś cieszył się całym światem i nigdy dosyć nacieszyć się nie mógł...

Żyd śmiał się zcicha:

— A jasny pan czy nie cieszył się wtedy całym światem? Hrabia zamyślił się i westchnął.

— Naturalnie — odpowiedział — młodość!... razem byliśmy młodzi, mój Berku!

Nie spuszczać oczu z jaśnie pana, żyd znowu zapytał zcicha:

— A teraz?

— Teraz! cóż? Jesteśmy razem starzy...

Żyd oparł dłonie na kolanach, wzrok wlepił w ziemię, zgarbił się, zmalął.

— Cy! cy! — cmokał — czemu my nie mieli zestarzeć się razem, kiedy my razem młodzi byli? Każdy człowiek na świecie, czy żyd, czy chrześcijanin, czy wielki, czy maleńki, ma młodość i ma starość... i dla każdego młodość to radość,

¹⁾ Empire, styl z czasów Napoleona I (empire = cesarstwo).

a starość to taki smutek, co jego już aż do grobu nie można z siebie zdjąć... Każdy to ma...

Umilkł. Hrabia milczał także i tylko zegary na ścianach gwarzyły szmerem suchym, niespokojnym: „tak-tak“, „tak-to-tak“, „tak-to-tak“, „tak-to-tak“.

— Czy jasny graf wie — zaczął żyd po chwili nieśmiało — że ja rodziców jasnego pana pamiętam, jakbym ich wczoraj widział? Pan graf ojciec był małego wzrostu, ale taki sobie dumny na twarzy, a pani grafini miała takie ręce, co ja zawsze myślał, że to są białe kwiaty... te, co w ogrodzie rosły i ogrodnik mówił, że to są *lile*... Niech jasny pan nie rozgniewa się, że ja zapytam: czy jasny tato i jasna mama jeszcze żyją?

Tym razem w uśmiechu hrabiego była gorycz, gdy odpowiedział:

— Gdzie tam, mój Berku! Czyż podobna, abym ja miał jeszcze rodziców przy życiu? Te białe lilje, o których mówisz, oddawna już w ziemi.

Głos mu drgnął, ale hamując wzruszenie, życzliwie zapytał:

— A twoi rodzice? Ojca prawie nie pamiętam, ale matkę przypominam sobie bardzo dobrze. Szczupła, nieduża kobiecina, spracowana, z twarzą zwiędłą, ale pięknymi jeszcze oczyma, czarnymi i ognistymi, jak płomienie...

Żyd milczał chwilę, poczem zwracając ku podłodze palec suchy i ciemny, rzekł zcicha:

— Te płomienie, co ich jasny pan pamięta, dawno już w ziemi!

Zegary szemrały „tak-tak“, „tak-to-tak“, „tak-to-tak“; dwaj ludzie milczeli z duszami zatopionymi w szmerze czasu.

Żyd pierwszy obudził się z zamyślenia i przemówił:

— A czemu ja winien tę wielką łaskę Pana Boga, że do mnie takiego starego znajomego przyprowadził.

Hrabia wyjął z kieszeni staroświecki zegarek i położył go na stole. Żyd z przyjemnością wziął go w palce i, oglądając z uśmiechem, zapytał:

— A jaka na niego skarga? Czem on zgrzeszył? On późni się? Jasny pan próbował jego naprawiać, i nic nie pomogło! Cy, cy! ja już widzę, że z nim niedobrze, on jest bardzo chory. Jego trzeba rozebrać i leczyć...

Hrabiemu oczy błysnęły z za okularów. Zaniepokoił się i zarazem ucieszył.

— Czy możesz to zrobić zaraz?

— Czemu nie? Ja będę bardzo kontent, jeżeli jasny pan trochę u mnie posiedzi i sam będzie widział, że ja temu choremu nic złego nie zrobię. Tylko ja sobie większą lampę zapalę, bo do takiej roboty, przy takiej małej lampie, moje oczy za słabe...

Hrabia w coraz lepszym humorze zawołał:

— Dobrze ci, że możesz sobie większą lampę zapalić, a ja nie mam z sobą tych okularów, których używam do naprawiania zegarków...

— Aj, aj! co to za bieda? U mnie jest kilka par różnych okularów; niech jasny pan dobierze sobie, która będzie najlepsza. Czy jasnego pana oczy tak samo proszą, żeby je ze służby uwolnić?

— Oj tak, mój Berku, bardzo nawet proszą... i djabelnie mi to dokucza. Bez okularów ani rusz, a i przez okulary czasem trudno...

Żyd wyjął z szuflady kilka par okularów i rzekł:

— To *rychtyg* jak mnie. Nasze oczy razem postarzały.

Po kilku minutach obydwaj siedzieli pochyleni nad stołkiem, zatopieni w pracy rozbierania zegarka i oglądania różnych jego części. Pracując, rozmawiali, ale już tylko o przedmiocie zajęcia swojego, bo w tej chwili wszystko, co pracą nie było, uleciało bez śladu z ich pamięci.

Wtem z tej fali szmeru suchego i śpiesznego wydobył się głos basowy, bardzo czysty i wydzwaniać zaczął: raz, dwa, trzy!

Dwaj ludzie podnieśli z nad stołu głowy i opuścili na kolana ręce. Żyd mówił z uśmiechem:

— Nu, jasny pan dobrze zna się na zegarkach... Już ja widzę, że jasny pan ma do zegarków takie upodobanie, jak dawniej miał do bystrych koni.

Hrabia wesoło też odpowiedział:

— To prawda, mój Berku, to prawda, że nabrałem tego zamiłowania niewiedzieć jak i dlaczego. Ot, różne dziwactwa czepiające się starości...

Żyd skrzywił się i z niezadowoleniem zaczął mruzczyć:

— Dziwactwo! jakie to dziwactwo? Dlaczego to ma być dziwactwo? Zegarek to jest piękna maszyna i temu rozumowi ludzkiemu, co ją wymyślił, honor robi. On dla człowieka czasem lepszy przyjaciel niż drugi człowiek, bo on nigdy nie kasa! Chi, chi, chi!

Zaśmiał się zcicha, ale hrabia z zamyśleniem słuchał mowy jego i, potakując mu, odrzekł:

— Rozumną rzecz powiedziałeś: ta gadająca maszyna jest z człowiekiem, kiedy wesoło i kiedy smutno... Czy wiesz, że ten mój zegarek był ze mną już wtedy, kiedy to, jak powiadasz, miałem zamiłowanie do bystrych koni...

— Aj! aj! — cmoknął żyd — taki młody panicz miał już taki drogi zegarek!

Hrabia uśmiechnął się.

— Nigdy nie brakowało mi drogich rzeczy, ale zabrakło nieraz osób drogich... Nigdy nie zapomnę przedśmiertnych godzin mojej matki... Doktor powiedział, że śmierć zbliża się będzie wtedy, gdy puls słabnąć zacznie, i poszedł spocząć, bo był strasznie znużony i niewyspany. Sam jeden zostałem przy jej łóżku i często z zegarkiem w jednej ręce, a z jej ręką w drugiej, badałem... czy już się zbliża... Im więcej zbliżała się, tem rzadszem było uderzenie pulsu, i zdawało mi się, że tem szybciej posuwała się wskazówka zegarka. Posuwała się, a w tej lilji, którą pamiętasz, puls ustawał, ustawał... aż ustał. To, co zbliżało się, przyszło. Na zegarku było pięć minut i trzy sekundy po północy...

Żyd z wilgotnemi oczyma głową trząś potakująco, i zegary na ścianach szemrały chórem: „tak-tak“, „tak-to-tak“, „tak-to-tak“, tak-to-tak“.

Po chwili żyd zcicha zapytał:

— A czy jasny pan zawsze spał dobrze w nocy?...

Hrabia uczynił ręką gest ironiczny.

— A kiedy jasny pan nie spał, to czy myśli jasnego pana były zawsze wesołe? Nu, ja sam wiem, że one czasem musiały bywać niewesołe. A kiedy jasny pan leżał w ciemności, z niewesołemi myślami w głowie, to może on wtedy bardzo pomалу szedł?

— Jednak szedł — odpowiedział hrabia — i noce czarne przeciągały...

— A kiedy one przeciągały, wszyscy spali. tylko on jeden do jasnie pana gadał... a co on gadał? On jasnego pana pocieszał, że i ta czarność przejdzie...

— Jak wszystko przechodzi — dokończył hrabia i na parę minut zamyślił się głęboko. Czuł się zdziwionym. Poco on tak długo tu siedzi i tak poufale rozmawia z tym łapserdakiem?

Znał go niegdyś! Cóż stąd? Wspólnych wspomnień przecież mieć nie mogą ani wogóle wspólności żadnej. Wszedł tu, aby oddać zegarek do naprawy, i zasiadł na długie godziny. Co więcej, wcale nie chciało mu się odchodzić i prawie niespodziewanie dla samego siebie zapytał:

— Jakże ci się powodzi, mój Berku? Jak powodzi się teraz? Czy masz rodzinę i dostateczne środki do życia?

Żyd podziękował za te pytania życzliwe i dość obszernie odpowiadać zaczął. Bogatym nie był, kapitałów nie zebrał, ale środki do życia posiadał jakie takie i nędzy nie cierpiał. Pracował jeszcze i zarabiał tyle, ile potrzeba na życie — a ile mu tam potrzeba teraz, kiedy jest już sam i ma przy sobie jedną tylko wnuczkę, która go dogląda i także szyciem trochę zarabia! Rodzina liczna, kilkoro dzieci, kilkanaścioro wnuków, ale to wszystko...

Machnął ręką.

— Wie jasny pan co? Jest taka zagadka, i ja bardzo ciekawy, czy jasny pan zna ją, czy nie zna... Jakim sposobem to może być, żeby człowiek miał familję i razem nie miał familji? Mówiąc to, zatopił w twarzy hrabiego wzrok badawczy i trochę filuterny.

— Nu, czy pan tę zagadkę zna?

Po ustach hrabiego przeleciał uśmiech ironiczny.

— Znam tę zagadkę, Berku, znam bardzo dobrze...

Żyd obiema dłońmi uderzył o kolana i z frasunkiem zawołał:

— Oj, poco jasny pan ją zna? Jej lepiej nie znać! Nu, ale kiedy my obydwa ją znamy, to już ja jasnie panu o mojej familji opowiadać nie będę. Oni porządne ludzie i poczciwe ludzie, i niektóre to nawet edukowane i bogate, ale oni nie moje... oni swoje i świata, nie moje...

Miał kilka córek, ale jedna tylko nie przestawała nigdy należeć do niego. Kochała go i pielęgnowała, była światłem

i rozkoszą jego oczu; ale dawno już jej nie widział i nigdy już nie zobaczy. Spotkały ją w handlu niepowodzenia i nie-szczęścia. Z mężem i z dziećmi wyjechała do Ameryki, aby szukać lepszego losu... Miewa niekiedy listy od niej, ale co to listy? On jej nigdy już nie zobaczy, i jest to taki wielki smutek, który można znieść spokojnie i cierpliwie tylko dlatego, że on z Boskiej ręki pochodzi. Co robić? Żrenice jego, o których hrabia mówił, że były niegdyś błękitne, jak turkusy, teraz szare i zamglone pod czerwoną powieką zaświeciły łzami. Lecz wkrótce otrząsł się ze wzruszenia i, wywdzięczając się za życzliwe pytania, przemówił nieśmiało:

— Niech jasny pan nie rozgniewa się, że ja zapytałem o siostrę jaśnie pana, o tę jasną panienkę hrabiankę, co niegdyś mnie biednego żydka, na obrazie malowała. Czy ona żyje? Co robi? Jak jej się powodzi?

Po chwili milczenia, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, hrabia odpowiedział:

— Miałem trzy siostry, ale z tą, o którą pytasz, kochał się najwięcej. Żyje, powodzi się jej dobrze; ale dawno jej nie widziałem i może nigdy już nie zobaczę. Wyszła za Anglika, mieszka w Anglii; nie przyjeżdża tu nigdy, a mnie, bliskiemu podróży największej, trudno jest puszczać się, choćby w niewielką... Ona dla mnie umarła, choć żyje... Cóż robić!

Żyd słuchał uważnie i głową trząsał smutnie.

— Jasny pan ma taki smutek, jak i ja. I jasny pan prawdziwą rzecz powiedział: ona umarła, choć żyje. Ja tak samo o swojej Małce myślę.

Machnął ręką i zamilkł, a hrabia, ciągle wpatrując się w podłogę, krótko odpowiedział:

— Wiem.

Obaj umilkli, a dokoła zegary mówiły szmerem nieustannym: „tak-tak“, „tak-to-tak“, „tak-to-tak“, „tak-tak“, aż nagle wytrysnął ze szmeru głos donośny, na całą izbę wołający: „ku-ku! ku-ku!“ Hrabia wstał. Z głową podniesioną długo patrzył na zegar staroświecki, aż przemówił:

— Ile żądałbyś za ten zegar?

Żyd, siedzący przy stole, głowę podniósł i, uśmiechając się, odpowiedział:

— Co ja mam za niego żądać? ja za niego nic nie żądam.

— Jakto? przecież handlujesz zegarami!

— Jasny pan powiedział prawdę. Ja zegarami handluję, ale ten zegar do handlu nie należy.

Hrabia ze zdziwieniem obrócił się ku niemu.

— Dlaczego? to przedmiot mający cenę znaczną. Sam nabyłbym go chętnie.

Żyd wstrząsał głową potakująco.

Ja wiem, że to jest drogi zegarek i że ja-bym za niego dostał dobrą cenę, ale ja jego nie sprzedam. Czy jasny pan słyszał kiedy, żeby przyjaciel sprzedawał przyjaciela?

Hrabia patrzył na mówiącego prawie z osłupieniem.

Żyd zaś powoli mówić zaczął:

Jeżeli jasny pan posłucha mojego gadania, to ja wszystko opowiem. Prędko już będzie czterdzieści lat, jak ja ten zegar mam. Ja jego za tanie pieniądze kupił i dlatego kupił, żeby za większe sprzedać! Ale wtenczas mój Mosze, który teraz kupcem jest i wielkie interesy ze zbożem prowadzi, był takim małym chłopcem, co do chederu chodził. Aj, jakie to było dziecko, ten mój Mosze! Żeby jasny pan jego znał, to sam dziwiłby się, że takie dziecko na świecie może być. A kiedy ja ten zegar kupił, to tego samego dnia mój Mosze powrócił z chederu taki słaby, taki smutny i taki mizerny, że mnie strach wziął, żeby on nie zachorował i żeby mnie Pan Bóg tego jedyne go syna nie odebrał. Wtenczas, raptem, ten zegar zakukał. A była wtedy godzina dziesiąta, to on długo kukał, aż dziesięć razy. Za pierwszym razem Mosze podniósł głowę i zdziwił się, za drugim on już nie na ziemię patrzył, ale na niego, za trzecim razem oczy u niego zaświeciły, i on krzyknął: „Aj, aj! tate, co to jest? skąd ty to wziął!“ I zaczął śmiać się do zegara tak, jak nieprzymierzając, człowiek, co jego długo w ciemności trzymają, śmieje się, kiedy zobaczy słońce. Ja bardzo był kontent, że on śmieje się, skoczył na stołek i tę sprężynkę, co jasny pan wie, nacisnął, a jak ją nacisnął, to z zegara wyskoczył ptak i zaczął skrzydłami łomotać i jeszcze mocniej kukać. Nu, jak on tego ptaka zobaczył, ten mój Mosze, to on już całkiem z kąta wyleciał, starszą siostrę obiema rękami porwał i zaczął z nią przed zegarem tańczyć, a jak on ze starszą siostrą tańczył, to i dwie młodsze, takie maleńkie, że ledwie od ziemi odrosły, schwyciły się za

obie ręce i także zaczęły tańczyć. Ja ze stołka nie zląził i partrzał, jak oni wszyscy tańczyli i śmiali się. Ptak kukał, a ja przy tym zegarze, na stołku stojąc, w myślach Panu Bogu dziękował, że Mosze już nie chory i że w moim domu taki wielki smutek przemienił się w taką wielką wesołość.

— Nu, czy ja mógł wtenczas ten zegar sprzedać, kiedy mnie Pan Bóg przez niego swoją łaskę okazał?

Umikł i dość długo siedział z dłońmi złożonymi na kolanach.

Hrabia, z czołem na dłoni, uważny i zastłuchany, milczał także, a obie głowy ich siwe i pochylone oblewał dokoła szmer czasu potakujący, nieustanny: „tak-tak“, „tak-to-tak“, „tak-to-tak“, „tak-to-tak“.

Po chwili ze szmeru tego wyłonił się znowu głos żyda znizony, prawie szepczący:

— Ja-by jaśnie panu przez cały dzień opowiadał różne rzeczy o tym zegarze i jeszczebym wszystkich nie opowiedział. Ale jedną jeszcze powiem. Niech jasny pan tej jednej rzeczy cierpliwie posłucha.

Opowiedział, że kiedy jego najmilsza Małka do Ameryki wyjeżdżała, on nie przeprowadzał jej na dworzec kolei, ponieważ czuł, że nie powstrzyma się od płaczu. Więc córka i dzieci pożegnały go tu, w tej samej izbie, i poszły sobie, a on jak nieżywy siadł na ziemi, w kącie, i płakał i jęczał do Pana Boga, za co On na niego takie wielkie nieszczęście przysłał. Wtem rozległ się świst długi i taki ostry, że całkiem przeszył mu serce. To był gwizd odjeżdżającego pociągu. Już jego Małka przestała tu być, już ona, choć żyje, dla niego umarła...

— Czy jasny pan uwierzy? Ja pamiętam, że było wtedy dwadzieścia trzy minuty po dziesiątej...

Hrabia wstał zamyślony.

— Mój Berku — rzekł — rozumiem dobrze, dlaczego nie chcesz sprzedać tego zegara. Czytasz ty na nim tak, jak ja na swoim — przeszłość.

Żyd głową potrząsnął z zadowoleniem wielkiem.

— Jasny pan prawdę powiedział. Jasny pan na swoim zegarku tak, jak ja na swoim — czyta przeszłość. Ją każdy ma.

Stali teraz naprzeciw siebie, bliscy już rozstania, lecz ociągający się z pożegnaniem, czując kowala niewidzialnego, który

kuł pomiędzy nimi ogniwa niespodziane, a dokoła postaci ich przygarbionych i zwątlonych fala czasu płynęła ze szmerem nieustannym, stukotliwym: „tak-tak“, „tak-to-tak“, „tak-to-tak“, „tak-to-tak“.

* * *

Kilka miesięcy upłynęło. Wiosna była wczesna, pogodna, słoneczna. Stary Berek wyszedł z izby, napelnionej wiecznym szmerem zegarów, i przed drzwiami stanął na dwóch wschodach, które łączyły je z chodnikiem.

Stał w świetle i ciepłe słonecznym rozgrzany, rozweselony. Godzina była południowa, ludność miasta ruszyła się żwawo; z ulic pobliskich, od tej ludniejszych, dochodził dobrze znany gwar i turkot, w którym ucho żyda niebawem rozróżniać zaczęło odgłos mniej zwyczajny. Był to śpiew basowy, to wzdymający się, to milknący, to znowu płynący w gwarze gminnym nutą uroczystą.

Berek wsłuchiwał się przez chwilę, poczem głową kiwnął na znak, że zrozumiał znaczenie tego śpiewu. Orszak pogrzebowy przeciągał niedaleko i wciąż się przybliżał.

Wkrótce ukazał się. Z za wysokiej ściany kamienicy wysunęło się naprzód kilka postaci w bieli, czarny krzyż wznosił się w złotym powietrzu, pochodnie zapalone błysnęły łańcuchem płomieni żółtych, martwych, smutnych. Śpiew żałobny wzdał się i połączył z turkotem kół powolnym i głuchym. Zaczerniały grube kiry. Wóz pogrzebowy, zaprzężony w sześć koni i otoczony ludźmi okapturzonymi żałobą, wiózł na szczycie trumnę ociekającą srebrem. Potem, za wozem wspaniałym, widać było długi szereg par ludzkich postępujących powoli, w żałobie grubej, ale strojnej. Był to jeden z najwspanialszych i najbogatszych pogrzebów, jakie w tem mieście odbywały się kiedykolwiek.

Przez duże szkła okularów i perspektywę wąskiej ulicy Berek spokojnie patrzył na orszak. Lecz gdy parę wyrazów wypadło z tłumy ulicznego i o słuch jego potrafiło, drgnął, wyprostował się i zaczął zapytywać, sam nie wiedząc, kogo: Kto taki? graf? jaki graf? co to jest? kto to umarł? czyj to pogrzeb?

Z temi pytaniami, tłoczącemi się na wargi bezkrwiste, znalazł się na chodniku i przechodniowi jakiemuś zagroził drogę.

— No cóż? Nie zatrzymuj mię, żydzie! czyj to pogrzeb? Hrabiego Strumienieckiego pogrzeb! Więc cóż? czego trzymasz mię jeszcze za potę? Którego Strumienieckiego? Ojca... ojca... starego hrabiego Ksawerego... Puszczaj, bo mi pilno!

Puścił potę przechodnia, głowę w tył przechylił i, patrząc na błękitny pas nieba, mówił, prawie krzyczał:

— On umarł? pan graf Ksawery umarł? Jak to może być? Dlaczego?

Przechodnie, śpieszący dla ujrzenia pogrzebu wspaniałego, potrącał go i ze zdziwieniem oglądali się na starca, który, przez wielkie okulary patrząc w samo niebo, ze sterzącą brodą srebrną, zawodził lament brzmiały zapytaniami. Ale nie trwało to długo, bo stary żyd, porwany jakąś nieprzeżoną siłą, począł biec, jak tylko mógł, w stronę, w którą pociągnął orszak pogrzebowy. Rękoma zgarniając dokoła nóg odzież długą, biegł z chodnika na chodnik, z ulicy w ulicę, przygarbiony, z żylastą szyją wyciągniętą naprzód, ze sterzącą kądzielą srebrnej brody. Śpieszył ogromnie. O niczem nie myślał, tylko o dopędzeniu orszaku pogrzebowego; innej chęci nie czuł, tylko tę jedną.

Orszak posuwał się powoli, dopędzić go nie było bardzo trudno. Berek wkrótce wpadł w jego szeregi ostatnie, ale się tem nie zadowolił. Biegł jeszcze, zręcznie prześlizgiwał się wśród tłumu, gdzie ten najgęstszym był, robił nawet pięścią, aż się znalazł obok pań i panów idących parami za trumną.

Dopóki biegł i przebijał się przez tłumy, nie myślał o niczem, party uczuciem, które było siłą instynktową, niejasną, lecz niezmożoną. Teraz zaczął dziwić się samemu sobie i temu, za którego trumną dreptał obok krewnych i przyjaciół najbliższych, potykając się o kamienie.

— Nu, czego on wtedy siedział u mnie kilka godzin, prawie całą noc? Czego on ze mną rozmawiał jak z bratem? Czego ja za tym wozem leciał, jak dowiedział się, że to on na nim jedzie? czego ja teraz za nim idę?

Tak myślał, dziwił się coraz więcej jemu i sobie, ale szedł.

Za miastem stało się przestronno, promiennie, czysto, świeżo. Pola z zieloną runią rozłożyły się ze stron obu, młode brzozy zasrebrzyły się kosą białą, wiatry lekkie latały w złotem powietrzu, roznosząc wonie ziół.

Berek od bardzo dawna już nie opuszczał miasta, a teraz, gdy tylko je opuścił, powiało nań Strumienicą. Wiatr, brzozy, promienie rozsiane w powietrzu szeptały mu w oba uszy: Strumienica! Strumienica! Stoi przy płocie dziedzińca, patrzy na takie same brzozy, na taki sam kawałek wody błękitnej i słucha, jak ptak w lesie kuka...

Oczy wlepił w trumnę ociekającą srebrem.

— To był początek twój i mój...

Przez bramę naoścież otwartą orszak wszedł na cmentarz i wśród mogił, usianych fiołkami, rozsypał się po lesie grobowców i krzyży. Wtedy Berek, uderzony wielkiem strwożeniem, przystanął, a gdy fala ludzka przepłynęła, pozostał samotnym.

Ale nie odchodził i czuł, że pomiędzy nim a trumną spuszczoną do ziemi kował niewidzialny kuł ogniwa niespodziane.

U przeciwnego końca cmentarza stała pstra masa ludzi, wzbijały się śpiewy uroczyste, promieniał krzyż na grobowcu wysokim. Żyd ze spuszczoną głową dreptał pośród brzozy i rozmawiał z samym sobą... Brama cmentarza była ciągle otwarta naoścież, ale on nie odchodził; nawet usiadł pod brzożami...

Cmentarz staczał się po wysokiem wzgórzu nad rzekę, za którą leżały pola zielone i piaski żółte.

Żyd wyciągnął szyję i patrzył na piaski.

— Co to jest? — zamruczał — co to ma znaczyć, czy to on? ja nie wiedział, że jego stąd można widzieć?

Na żółtych piaskach majaczyło miejsce jedno, obwiedzione murem niskim i napełnione kamieniami sterczącymi. Nie było tam, jak tutaj, ani drzew, ani grobowców; nic, tylko mnóstwo kamieni sterczących, w blasku słońca czerwonych — i dokoła żółte piaski. Cmentarz żydowski.

Berek oparł łokieć na kolanie, twarz na dłoni i kiwał się powoli to wtył, to naprzód, w takt kowadła, które pomiędzy nim a trumną zasypywaną piaskiem kuło ogniwa niewidzialne. Zcicha mówił:

— Tu jest koniec twój i mój!

Przestał mruzczyć, ale siedział jeszcze pod brzożami, szary w zieloności otaczającej, wśród świergotu ptastwa, nad mogiłą nakrapianą fiołkami.

A dwa cmentarze, jeden cały w drzewach i krzyżach, drugi ze sterczącymi kamieniami na piaskach żółtych, jedno wspólne niebo skuwało ogniwem wysokiem i szerokiem.

Eliza Orzeszkowa

Co różni hrabiego i Berka? Co ich łączy? Czy łączące ich „ogniwa“ spostrzegają i oni sami? Jaką myśl pragnęła autorka wypowiedzieć? Czy potrafisz wskazać „ogniwa“ w którymś z innych utworów, pomieszczonych w tej książce?

45. WSPOMNIENIE MATKI

Z twardej szosy bryczka skręciła na uboczny gościniec, z gościńca na dróżkę, zajmującą między działkami chłopskimi szerokość nie większą od pospolitego wygonu. Stońce już się skryło za grzbietem wzgórz, zostawiając po sobie tylko precudną zorzę, w kierunku której bryczka zdążyła i na którą zwrócone były oczy Marcinka i jego matki. Konie biegły miernego kłusa, wózek toczył się zwolna. Po obudwu stronach drożyny stały niwki żyta, na którym nie widać było jeszcze kłosów, mocno zielone smugi owsa i zagony lnu. W pobliżu czerniła się biedna wioska. Dalej na tle przejrzystego firmamentu widać było ciemne kształty łańcucha wzgórz, porośtych jałowcem i brzezina.

Zdarzyło się, że w przeddzień uroczystości Zielonych Świątek wypadł pani Borowiczowej jakiś pilny interes w Klerykowie. Zawarta na początku roku szkolnego znajomość z nauczycielem ułatwiła jej uzyskanie dla Marcinka na dwa dni świąteczne urlopu, wypisanego na urzędowym blankiecie z ogromną pieczęcią. I oto wiozła do Gawronek jedynaka, jako niespodziankę dla ojca i całego folwarku. Radość obojga była tem większa, że ani matka ani syn nie spodziewali się tak pomyślnego załatwienia sprawy, gdyż rzadko kiedy dawano na te święta urlopy.

Gdy wózek polnemi dróżkami zjeżdżał do rozdołu między dwoma wzgórzami, noc już zapadała. Zbocza gór wznosiły się stromo po prawej i lewej ręce, a wielkie ich garby, niby kolana i stopy wysuwały się z mroku i rosły w oczach, gdy się ku nim zbliżano. Dolina była dość długa, a nie szeroka, w niektórych miejscach nawet tak wąska, że na dnie jej ledwo

mogły zmieścić się obok siebie: strumień i droga. Na wiosnę i około św. Jana potok przemieniał się w rzekę, w wielką, oszalałą rzekę, której wody dosięgały wysoko rosnących brzoź na zboczach pagórków i zostawiały na jałowcach pokosy zmulonego siana, garście lnu i całe nieraz krzewy, z korzeniami wydarte na odległych górach. To też droga, sąsiadująca z tą burzliwą rzeczulką, była, ściśle mówiąc, suchem łożyskiem potoku. Nikt jej tam nigdy nie naprawiał ani nie przeinaczał: była sama sobą, zmieniała się i kształtowała swobodnie, posłuszna tylko prawom przyrody, zupełnie tak, jak osypiska i wyrwy.

Nad wodą rosły zwarte olszyny i przystaniały zakręty rzeczne. Gdzie niegdzie stały kępami duże, smutne wierzby, o długich gałązkach i wąskich liściach.

Konie wlokły się noga za nogą po kamienistym szlaku i były dopiero w pierwszym skręcie doliny, gdy na górę wszedł księżyc. Białe światło zwolna rozpadło się w dole, na zboczach gór i po wąwozach. Widać było śpiczaste jałowce pod samymi szczytami i brzożki o listkach srebrzyście lśniących, kołyszące się od wietrzyków. Na dalekiej przestrzeni bielity się kamienie rzeczno-łożyska. Tu i ówdzie poza cieniem krzewów lśniły się między kamieniami ruchliwe, maleńkie fale i wodospady płytkiego w tej porze strumienia, który, jak żywa istota, coś szeptał w głębokiej ciszy.

Ten szept opowiadał Marcinkowi cudowne rzeczy o wszystkim, co zaszło przy tych wodach, odkąd pewien uczeń klasy wstępnej przestał taplać się na bosaka w rzece, łapać sakiem płotki, okonie i małe szczupaki. Osoba wychowawca gimnazjum została gdzieś na uboczu, i Marcinek, zapatrzony w blask wody, począł na szum jej odpowiadać jakiejś innej osobie, która była napoty nim samym, napoty kimś zupełnie nieznanym.

Tak siedząc cicho przy matce, zabrął w niezmiernie daleki świat marzeń.

— Paniczek to nawet nie wie, że nam gniadą ukradli! — zawołał nagle Jędrak, służący za fornała.

— Gniadą ukradli — rzekł Marcinek, jak zbudzony ze snu. — Przecie gniada idzie przed twoim nosem u dyszla...

— E! a i cóż ta z tego, kiedy ją ukradli..

— Czy on prawdę mówi, mamusiu?

— Opowiedzże paniczowi, jak to było... — rzekła matka Marcinka.

Gniada klacz była ulubienicą całego folwarku; rozpowiadano o niej istne legendy. Jędrek zaczął więc opowiadać, jak gniadą ukradziono i uprowadzono gdzieś daleko od domu i jak klacz sama powróciła do stajni.

Marcinek słuchał tej opowieści w głębokim wzruszeniu. Oczy jego obejmowały z miłością i pieśczołą łeb gniadej, widoczny dobrze na tle srebrnej wody. Po małych nadrzecznych łąkach rozpościerała się już rosa, jak lśniący obrus, utkany z włókienek mgły i światła. Na niebie rozprysły się gwiazdy w niezliczonym mnóstwie i w niewystłowanym przepychu. Zdawało się, że od nich odrywają się niezmiernie małe świecące cząsteczki i powoli, nikłymi warstwami zsypują się ku ziemi. Z traw szerzyły się zapachy dojrzewających kwiatów, od rzeki pociągał wilgotny, mocny i miły odór rokit i wikliny. A wody wciąż szeptały... Rozmowa ucichła.

Pani Borowiczowa miała wzrok skierowany na roziskrzone niebo. Dawne wspomnienia ciągnęły ku niej z dalekich przestworów cudownej nocy. Serce jej roztwierało się naoścież dla przyjęcia wszystkiego, co człowiek uczciwy pielęgnuje i kocha. Ziemskie troski, codzienne znoje, interesy i małości ustąpiły na chwilę, i matka Marcinka o wielu rzeczach i sprawach, niemal zapomnianych, myślała, myślała...

W pewnym miejscu przejeżdżało się wbród rzeczulkę. Wkroczywszy do wody, konie natychmiast zatrzymały się, schyliły łby i jęły głośno żłopać wodę.

Marcinek położył głowę na kolanach matki, i przycisnąwszy usta do jej rąk spracowanych, szepnął:

— Mamusiu, jak to dobrze, że mama po mnie przyjechała. ...Tak sobie jedziemy razem... To dopiero dobrze...

Gładziła pieśczołliwie jego włosy i, schylając się, w sekrecie, nie wiedzieć przed kim, szepnęła mu do ucha:

— Będiesz zawsze kochał swoją matkę, zawsze a zawsze?...

Słodkie łzy, padające wielkimi kroplami z oczu chłopca, zastąpiły jej wyrazy odpowiedzi.

Tuż za rzeką droga wieszła się po urwistem zboczku góry, zarosłem tarniną i lasem dzikich głogów. Gdy te zarośla

zrzędy i rozsunięły się, widać już było w pobliżu migające światełka wioski, a dalej za nią w nizinie wielką, białą od księżycy szybę stawu i światła w gawronowskim dworze. Konie szły zwolna pod górę. Marcin wyskoczył z wózka i oczyma pełnemi łez spoglądał na te dalekie, duże okna, świecące w ciemności.

Przed wsią w pustce, na wzgórzu, stała drewniana kapliczka, spróchniała już zupełnie od przyciesi aż do żelaznego kogutka na szczycie dachu. Dokoła tej staruszki rosły bujne bzy z ogromnymi kiściami pachnących kwiatów. Marcinek szybko skoczył ku kapliczce, wspinał się na płot i ułamał ogromny pęk kwitnących gałęzi. Wózek oddalił się i zbliżał już do wioski. Chłopiec rzucił się pędem po drodze i, zziębnięty, cały ten pęk rozkwitły rzucił matce na kolana. Nie miała serca wymawiać mu, że obrabował biedną, starą kapliczkę. Mokre kwiateczki odrywały się, spadały wraz z kroplami rosy i lgnęły do jej palców, a duszny zapach tak dziwnie ją upajał...

* * *

W lecie tego roku pani Borowiczowa zmarła. Marcinek początkowo nie odczuł tej straty. Z pogrzebu zabrał go ojciec do Gawronek. Dom był w nieładzie. Największy pokój, gdzie jeszcze tak niedawno stała trumna, czuć było kopciem świec. Pan Borowicz pociągnął Marcinka do sąsiedniego, który był sypialnią nieboszczki. Panował tam jeszcze większy nieład. Pan Borowicz usiadł pod oknem, i zdawało się, jakoby słuchał, jak haczyki okna monotonna stukają w ramę, jak wiatr dzwoni po szybach... Marcinek wpatrzył się w opustoszałe łóżko i wtedy poczuł, że mu matka umarła.

Był to koniec wakacyj. Zaraz potem życie szkolne całym go pochłonęło. Czasami, w chwilach nieszczęść i katastrof, budziło się w nim owo zdumienie, jakiego doznał w pustym pokoju matczynym — i wtedy czuł w sercu wielką i nieopisaną sierocą boleść. Kiedy w trwogach i rozpaczach biegł do matki, do jedynej swojej ucieczki, stawał mu w oczach tamten pokój głuchy i oniemiały... Ojciec, zapracowany na swym folwarku z podwójną teraz energią, bo sam musiał doglądać gospodarstwa kobiecego, mało się chłopcem zajmował. Dbał o to przedewszystkiem, ażeby wyciągnąć grosz na wpis,

na stancję i książki. Marcin nie miał już teraz ani wykwinniejszej bielizny ani przysmaków. Nikt już teraz nie dzielił tak gorąco jego triumfów szkolnych, ani nie opłakiwał niepowodzeń, ani nie zachęcał do nowych wysiłków. Ojciec dowiadywał się o to jedynie, czy nie ma dwójek. To też chłopcu świat opustoszał, zgasło nad nim słońce, i nastał jakby po dniu promiennym wieczór zimny i nielitościwy.

Różne odtąd przejścia strasznie przygnębiająco oddziaływały na Marcinka. Raz z powodu, że strzelał z kolegami prochem ze starego pistoletu, groziło mu wydalenie ze szkoły. Czuł się szczęśliwym, gdy usłyszał wyrok, iż skazany jest w drodze wielkiej łaski na długą kozę o chlebie i wodzie. To, że go nie wydalono z gimnazjum, przypisał w głębi swego serca wsta-wiennictwu matki. Zaraz też po opuszczeniu kozy poszedł do kościoła.

Odwieczna katedra była pusta zupełnie. Zimny mrok zasyciał jej całą nawę i kąty, a Marcinek szukał jeszcze bardziej skrytego miejsca. Znalazł je w ciemnym przejściu pod chórem. Stały w tym miejscu skrzynie ze świecami, chowano tam schodki, drabinki, jakieś stare ornamenty i inne rupiecie kruchciane. Marcinek upadł na kolana w tym mroku, przytulił twarz do zimnych kamieni i począł żarliwie się modlić. Dopiero pan Rozwora, główny kościelny, dzwoniąc kluczami na znak, że się kościół pod wieczór zamyka, wystraszył go z kryjówki.

Nazajutrz wczesnym rankiem znowu Borowicz klęczał w tem samym miejscu. Odtąd wstawał wcześniej i przed lekcjami zawsze zmierzał na swe miejsce pod chórem. Pewnego razu klęcząc tam, wysłuchał kazania, jakie do wiernych miał jeden z wikariuszów. Nauczał on dnia tego przeważnie służące i rzemieślników, jak należy przymuszać się do modlitwy. Prostemi zwrotami mowy zapewniał, że modlitwa z początku człowieka nudzi i nuży, potem wchodzi w zwyczaj, a wreszcie zacznie być przyjemną, jak czysta i cała koszula dla nędzara, który chodził w brudnym łachmanie. Marcinek wziął do serca tę naukę i począł zaprawiać się do modlitwy. Zrazu odmawiał jeden tylko pacierz, później odmawiał ich kilka na różne intencje; czasem dobre i złe stopnie, dobre lub złe rozwiązanie zadań, wreszcie wszystkie zjawiska życia, wszyst-

kie wypadki stały się w jego umyśle zależnemi od modłów porannych.

W duszy Marcinka z niczego wyrosło uczucie nieznanego, cudowny kwiat wieku dziecięcego: ufnosć. Roztoczyła ona dookoła chłopca jak gdyby nadziejski zapach. Wszystko było zrozumiałe i wytłumaczone w tej zaczarowanej krainie, wszelkie zjawiska i rzeczy objęte były prawdziwym porządkiem, którego punktem wyjścia był pacierz. Nic się tam nie działo bez przyczyny, każdy wypadek był rezultatem jakichś dobrych lub złych uczynków; czasami był karą albo nagrodą za dobre albo złe myśli, nieraz za marzenia, czyste jak pierwszy śnieg. Jezus Chrystus, którego skroń okrwawiona zwiędła się w stronę krypty w najbliższym od niej ołtarzu, zdawał się nakłaniać ucha i słuchać nieskończonych modłów. Im więcej wypowiadały ich usta dziecięce, tem więcej było ich w sercu. Za pacierzami szły pospolite prośby o rzeczy małej wagi, przedziwne ślubowania, nieraz bardzo pokorne skargi. Dziwna siła ciągnęła wszystkie myśli chłopca coraz dalej i dalej, wywierała na jego postępowanie wpływ bezwarunkowy, zmuszała go np. do wyuczenia się lekcji nie dla nauki ani dobrych stopni, lecz dla jakichś zaziemskich potrzeb serca. Nadewszystko ta pobożność słodziła sierocत्व Marcinka. Nie był wówczas sam jak dawniej, nie czuł żadnego opuszczenia. Jego zmarła matka żyła, wiedziała o wszystkich troskach, smutkach i radościach. Nieraz odzywał się w głębi jego duszy jej głos, jako dobre postanowienie, albo trzymał go niby ręką. Marcinek nie miał wówczas dawniej odczuwanych niepokojów i żalów. W głębi nocy sierocych wiedział dobrze, że mu włos z głowy nie spadnie. Był to cudowny sen na łonie Boga.

Maurycy Zych (Syzyfowe prace)

Czy wyobrażasz sobie dokładnie krajobraz, wśród którego wlokły się konie wiozące Marcinka? Spróbuj go naszkicować i pomyśl, jakich barw przysztoby Ci użyć, gdybyś go miał namalować? W jaki sposób krajobraz łączy się ze „światem marzeń“, w który „zabrnął“ Marcinek? Dlaczego Marcinek, jadąc do domu, roni łzy? Jakie stany duszy dadzą się u Marcinka odróżnić w dobie jego sierocत्व? W których poznanych w tym roku utworach krajobraz tworzył harmonję ze stanami duszy osób, okazujących się na tle krajobrazu? W których wytwarzał w czytelniku nastrój zgodny z tem, co się w utworze dzieje?

46. ECHO KOŁYSKI

- Gdym jeszcze dzieckiem był,
Budzącem się na świat;
Gdy wąły życia kwiat
Jeszcze się w pączku krył:
Na łono mię matka brała,
Pieściła i całowała,
Gdym jeszcze dzieckiem był.
- Pamiętam po dziś dzień,
Jak, kojąc płacz i gniew,
Nuciła tęskny śpiew,
Co falą słodkich brzmień
Dobycwał uśmiech na nowo;
I każde piosenki słowo
Pamiętam po dziś dzień.
- „Dziecino, nie płacz, nie!
Rozjaśnij swoją twarz!
Dopóki matkę masz,
Nie może ci być źle;
Na mojem oprzej się łonie,
Ja cię przed bolem zasłonę:
Dziecino, nie płacz, nie!
- „Chowaj na później łzy!
Dziś jeszcze Anioł Stróż
Girlandą białych róż
Okala twoje sny;
Na tkance marzeń pajęczej
Maluje kolory tęczy:
Chowaj na później łzy!
- „Rozkoszą wszystko tchnie,
Śpiewa ci ptaków chór.
W twem niebie niema chmur
Ani goryczy w łzie,
Życie z uśmiechem cię wita,
I każdy kwiat ci rozkwita,
Rozkoszą wszystko tchnie.
- „Więc duszę swoją pieść
Jutrzenką rajskich farb
I czystych uczuć skarb
W niewinnej pieśni mieść!
Byś mógł zaczerpnąć w tym zdroju, 40
Gdy ci przybraknie spokoju —
Więc duszę swoją pieść!
- „Bo przyjdzie inny dzień,
W którym, o synu mój!
Napotkasz tylko znój 45
Zamiast rozkoszy tchnień;
5 Zdrada ci oczy otworzy,
Nieufność ducha zuboży,
Bo przyjdzie inny dzień.
- „Przyjdzie ci płacić krwią 50
Serdecznych marzeń dług,
10 Zdepce cię w prochu wróg,
Znieważy boleść twą;
Szlachetny poryw zapału
I miłość dla ideału 55
Przyjdzie ci płacić krwią.
- „I ból swój będziesz niósł
Samotny sercem w świat!
Zawodów, złudzeń, zdrad
Będzie ci wieniec rósł, 60
Cierniami otoczy skronie,
20 Skrępuje na zawsze dłonie —
I będziesz ból swój niósł.
- „Na taki życia zmrok,
Rozbicia straszną noc, 65
Zachowaj ducha moc
25 I jasny dziecka wzrok;
Niech ci wspomnienie kołyski
Przyniesie matki uściski
Na taki życia zmrok! 70
- „Pomimo gorzkich prób
30 Zawsze ach! dobrym bądź!
Z miłością drugich sądz
I patrz z nadzieją w grób;
75 Nie zatrać dziecinnej wiary,
Nie żałuj swojej ofiary
35 Pomimo gorzkich prób.
- „O! nie mów, dziecię me,
Że marny życia trud,
Że wszystko fałsz i brud, 80
A prawdą tylko złe;
Że trzeba wąpić i szydzić,
Pogardzać i nienawidzić —
O nie mów, dziecię me!

- „Na matkę wspomnij swą, 85
Na miłość, co bez plam:
Zwątpieniu zadaj kłam
I obmyj duszę łzą;
Wierz w piękność ducha słoneczną
I miłość, która jest wieczną: 90
Na matkę wspomnij swą“.

Adam Asnyk

Dlaczego matka każe dziecku chować na później łzy? Jakim każe mu być dla drugich „pomimo gorzkich prób“? Dlaczego nigdy mu nie wolno mniemać, że „wszystko fałsz i brud“? Czy poeta dlatego tylko pisał ten wiersz, by dać obraz płaczącego dziecka i pocieszającej je matki? Wypowiedz myśl, zawartą w utworze, w formie odezwy. Zwróć uwagę na wiersze 23—26, 60—62. Czy to, o czym w tych wierszach czytamy, możnaby narysować? A treść Twojej odezwy? Czy w „Echu kołyski“ znajdują się, prócz dostrzeżonych własnie, inne także obrazy? Skądże ich tak wiele, czy poeta umyślnie je tworzył, by poemat się podobał?

47. SKLEP STAREGO MINCLA

Sklep Mincla znałem oddawna, ponieważ ojciec wysyłał mnie do niego po papier, a ciotka po mydło. Zawsze biegłem tam z radosną ciekawością, ażeby napatrzeć się wiszącym za szybami zabawkom. O ile pamiętam, był tam w oknie duży kozak, który sam przez się składał i machał rękami, a we drzwiach — bęben, pałasz i skórzany koń z prawdziwym ogonem.

Wnętrze sklepu wyglądało jak duża piwnica, której końca nigdy nie mogłem dojrzeć z powodu ciemności. Wiem tylko, że po pieprz, kawę i liście bobkowe szło się na lewo do stołu, za którym stały ogromne szafy, od sklepienia do podłogi napełnione szufladami. Papier zaś, atrament, talerze i szklanki sprzedawano przy stole na prawo, gdzie były szafy z szybami, a po mydło i krochmal szło się w głąb sklepu, gdzie było widać beczki i stopy pak drewnianych.

Nawet sklepienie było zajęte. Wisiały tam długie szeregi pęcherzy naładowanych goryczyą i farbami — ogromna lampa z daszkiem, która w zimie paliła się cały dzień, sieć pełna korków do butelek, wreszcie wypchany krokodylek, długi może na półtora łokcia.

Właścicielem sklepu był Jan Mincel, starzec z rumianą twarzą i kosmykiem siwych włosów pod brodą. W każdej

porze dnia siedział on pod oknem, na fotelu obitym skórą, ubrany w niebieski barchanowy kaftan, biały fartuch i taką szlafmycę. Przed nim leżała wielka księga, w której notował dochód, a tuż nad jego głową wisiał pęk dyscyplin przeznaczonych głównie na sprzedaż. Starzec odbierał pieniądze, dawał gościom resztę, pisał w księdze, niekiedy drzemał, lecz pomimo tylu zajęć, z niepojętą uwagą czuwał nad biegiem handlu w całym sklepie. On także, dla uciechy przechodniów ulicznych, od czasu do czasu pociągał za sznurek skaczącego w oknie kozaka i on wreszcie, co mi się najmniej podobało, za rozmaite przestępstwa karciał nas jedną z pęku dyscyplin.

Mówię: nas, bo było nas trzech kandydatów do kary cielesnej: ja, tudzież dwaj synowcy starego — Franc i Jan Mincelowie. Czujności pryncypała i jego biegłości w używaniu sarniej nogi doświadczyłem zaraz na trzeci dzień po wejściu do sklepu.

Franc odmierzył jakiejś kobiecie za 10 groszy rodzyneków. Widząc, że jedno ziarnko upadło na kontuar (stary miał w tej chwili oczy zamknięte), podniosłem je nieznacznie i zjadłem. Chciałem właśnie wyjąć pestkę, która wcisnęła mi się między zęby, gdy uczułem na plecach coś, jakby mocne dotknięcie rozpalonego żelaza.

— A szelma! — wrzasnął stary Mincel i, nim zdałem sobie sprawę z sytuacji, przeciągnął po mnie jeszcze parę razy dyscypliną od wierzchu głowy do podłogi.

Zwinąłem się w kłębek z bólu, lecz od tej pory nie śmiałem wziąć do ust niczego w sklepie. Migdały, rodzyнки, nawet różki miały dla mnie smak pieprzu.

Urządziwszy się ze mną w taki sposób, stary zawiesił dyscyplinę na pęku, wpisał rodzyнки i z najdobroduszniejszą miną począł ciągnąć za sznurek kozaka. Patrząc na jego półuśmiechniętą twarz i przymrużone oczy, prawie nie mogłem wierzyć, że ten jowialny staruszek posiada taki rozmach w ręku. I dopiero teraz spostrzegłem, że ów kozak, widziany z wnętrza sklepu, wydaje się mniej zabawnym, niż na ulicy.

Sklep nasz był kolonialno-galanteryjno-mydlarski. Towary kolonialne wydawał gościom Franc Mincel, młodzieniec trzydziestokilkoletni, z rudą głową i zaspaną fizjognomią. Ten najczęściej dostawał dyscypliną od stryja, gdyż palił fajkę,

późno wchodził za kontuar, a nadewszystko niedbale ważył towar. Młodszy zaś, Jan Mincel, który zawiadywał galanterją i obok niezgrabnych ruchów, odznaczał się łagodnością, był znowu bity za wykradanie kolorowego papieru i pisywanie na nim listów.

Tymczasem na ulicy budził się szmer i za szybami sklepu coraz częściej przesuwali się przechodnie. To służąca, to drwał, jejmość w kapturze, to chłopak od szewca, to jegomość w rogatywce, szli w jedną i drugą stronę, jak figury w ruchomej panoramie. Środkiem ulicy toczyły się wozy, beczki i bryczki tam i napowrót... Coraz więcej ludzi, coraz więcej wozów, aż nareszcie utworzył się jeden wielki potok uliczny, z którego co chwila ktoś wpadał do nas za sprawunkiem.

— Pieprzu za trojaka...

— Proszę funt kawy...

— Niech pan da ryżu...

— Pół funta mydła...

— Za grosz liści bobkowych...

Stopniowo sklep zappełniał się po największej części służącymi i ubogo odzianymi jejmościami. Wtedy Franc Mincel krzywił się najwięcej; otwierał i zamykał szuflady, obwijał towar w tutki z szarej bibuty, wbiegał na drabinę, znowu zwijał, robiąc to wszystko z żalosną miną człowieka, któremu nie pozwalają ziewnąć. Wkońcu zbierało się takie mnóstwo interesantów, że i Jan Mincel i ja musieliśmy pomagać Francowi w sprzedaży.

Stary wciąż pisał i wydawał resztę, od czasu do czasu dotykając palcami swojej białej szlafmycy, której niebieski kułasiak zwieszał mu się nad okiem. Czasem szarpnął kozaka, a niekiedy z szybkością błyskawicy zdejmował dyscyplinę i ćwiknął nią któregoś ze swych synowców. Nader rzadko mogłem zrozumieć, o co mu chodzi, synowcy bowiem niechętnie objaśniali mi przyczyny jego popędliwości.

Około ósmej napływ interesantów zmniejszał się. Wtedy w głębi sklepu ukazywała się gruba służąca z koszem bułek i kubkami, a za nią — matka naszego pryncypała, chuda staruszka w żółtej sukni, w ogromnym czepcu na głowie, z dzbankiem kawy w rękach. Ustawwszy na stole swoje naczynie, staruszka odzywała się schrypniętym głosem:

— Gut Morgen, meine Kinder! Der Kaffee ist schon fertig...

I zaczęła rozlewać kawę w białe, fajansowe kubki.

Wówczas zbliżał się do niej stary Mincel i całował ją w rękę, mówiąc:

— Gut Morgen, meine Mutter.

Potem przychodził Franc Mincel, Jan Mincel, August Katz, a na końcu ja. Każdy całował staruszkę w suchą rękę, porysowaną niebieskimi żyłami, każdy mówił:

— Gut Morgen, Grossmutter!

I otrzymywał należny mu kubek, tudzież trzy bułki.

A gdyśmy z pośpiechem wypili kawę, służąca zabierała pusty kosz i zamazane kubki, staruszka swój dzbanek i obie znikaty.

Za oknem wciąż toczyły się wozy i płynął w obie strony potok ludzki, z którego co chwila odrywał się ktoś i wchodził do sklepu.

— Proszę krochmalu...

— Dać migdałów za dziesiątkę...

— Lukrecji za grosz...

— Szarego mydła...

Około południa zmniejszał się ruch za kontuarem towarów kolonialnych, a zato coraz częściej zjawiali się interesanci po stronie prawej sklepu, u Jana. Tu kupowano talerze, szklanki, żelazka, młynki, lalki, a niekiedy duże parasole szafirowe lub ponsowe. Nabywcy, kobiety i mężczyźni, byli dobrze ubrani, rozsiadali się po krzesłach i kazali sobie pokazywać mnóstwo przedmiotów, targując się i żądając coraz to nowych.

Pamiętam, że kiedy po lewej stronie sklepu męczyłem się bieganiną i zawijaniem towarów, po prawej największe strapienie robiła mi myśl, czego ten a ten gość chce naprawdę i czy co kupi. W rezultacie jednak i tutaj dużo się sprzedawało; nawet dzienny dochód z galanterji był kilka razy większy, aniżeli z towarów kolonialnych i mydła.

Stary Mincel i w niedzielę bywał w sklepie. Rano modlił się, a około południa kazał mi przychodzić do siebie na pewien rodzaj lekcji.

— Sag mir — powiedz mi: was ist das? có to jest? Das ist Szublade — to jest szublada. Zobacz, co to jest w te szub-

lade. Es ist Zimmt — to jest cynamon. Do czego potrzebuje się cynamon? Do zupe, do legumine, potrzebuje się cynamon... Co to jest cynamon? Jest taki kora z jedno drzewo. Gdzie mieszka taki drzewo cynamon? W Indji mieszka taki drzewo. Patrz na globus — tu leży Indji. Daj mnie za dziesiątkę cynamon... O du Spitzbub!... jak tobie dam dziesięć raz dyscyplin, to będziesz wiedział, ile sprzedać za dziesięć groszy cynamon...

W ten sposób przechodziliśmy każdą szufladę w sklepie i historję każdego towaru. Gdy zaś Mincel nie był zmęczony, dyktował mi jeszcze zadania rachunkowe, kazał sumować księgi, albo pisywać listy w interesach naszego sklepu.

Mincel był bardzo porządny, nie cierpiał kurzu, ścierał go z najdrobniejszych przedmiotów. Jednych tylko dyscyplin nigdy nie potrzebował okurzać, dzięki swoim wykładom buchalterji, geografji i towaroznawstwa.

Powoli, w ciągu paru lat, tak przywykliśmy do siebie, że stary Mincel nie mógł obejść się beze mnie, a ja nawet jego dyscypliny począłem uważać za coś, co należało do familijnych stosunków. Pamiętam, że nie mogłem utulić się z żalu, gdy raz zepsułem kosztowny samowar, a stary Mincel zamiast chwycić za dyscyplinę — odezwał się:

— Co ty zrobiła Ignac?... Co ty zrobiła!...

Wolałbym dostać cięgi wszystkimi dyscyplinami, aniżeli znowu kiedy usłyszeć ten drżący głos i zobaczyć wylęknione spojrzenie pryncypała.

Obiady w dzień powszedni jadaliśmy w sklepie, naprzód dwaj młodzi Minclowie i August Katz, a następnie ja z pryncypałem. W czasie święta wszyscy zbieraliśmy się na górce i zasiadaliśmy do jednego stołu. Na każdą wigilję Bożego Narodzenia Mincel dawał nam podarunki, a jego matka w największym sekrecie urządziła nam (i swojemu synowi) choinkę. Wreszcie w pierwszym dniu miesiąca wszyscy dostawaliśmy pensję (ja brałem 10 zł.). Przy tej okazji każdy musiał wyegitymować się z porobionych oszczędności, ja, Katz, dwaj synowcy i służba. Nierobienie oszczędności, a raczej nieodkładanie codzień choćby kilku groszy, było w oczach Mincla takim występkiem, jak kradzież. Za mojej pamięci przewinęło się przez nasz sklep paru subjektów i kilku uczniów, których

pryncypał dlatego tylko usunął, że nic sobie nie oszczędzili. Dzień, w którym się to wydało, był ostatnim ich pobytu. Nie pomogły obietnice, zaklęcia, całowania po rękach, nawet upadanie do nóg. Stary nie ruszył się z fotelu, nie patrzył na petentów, tylko wskazując palcem drzwi, wymawiał jeden wyraz: fort! fort!...

Po wielu latach praktyki zostałem wreszcie subjektem. Ale smutne to dla mnie wspomnienie, bo w tym samym roku pryncypał nasz, stary Jan Mincel, zakończył życie. Oto pewnego dnia, usiadłszy na swym fotelu pod oknem, już nie podniósł się z niego. Umarł, oparty brodą na księdze handlowej, trzymając w ręce sznurek, którym poruszał kozaka.

Matka pryncypała żyła jeszcze długi czas; kiedy w roku 1853 wróciłem z zagranicy, zastałem ją w najlepszym zdrowiu. Zawsze schodziła rano do sklepu i zawsze mówiła:

— Gut Morgen, Meine Kinder, der Kaffe ist schon fertig...

Tylko głos jej z roku na rok przyciszał się, dopóki wreszcie nie umilkł na wieki.

Bolesław Prus (Lalka)

Którą z osób w „Sklepie starego Mincla“ najdokładniej widzimy i poznajemy? (dzięki czemu?) Kiedy uśmiechałeś się, czytając ten ustęp? Czy potrafisz powiedzieć, dlaczegoś się uśmiechał? Kiedy czuwałeś rozrzewnienie? Który z ustępów pomieszczonych w tych wypisach wywołał w Tobie uczucia podobne do tych, jakie budzi „Sklep starego Mincla“?

48. Z „PIEŚNI JANUSZA“

POŻEGNANIE

Panna młoda, jak jagoda,	Ciężka droga, bo na wrogą,	
Stojąc we drzwiach płacze:	Nie rwij się, koniku!	
„Kiedyż ja cię,	W krwawem polu,	
W naszej chacie,	W srogim bolu,	
Tu znowu obaczę?“	Legnie was bez liku,	15
5		
Przed dziewczyną, przed maliną,	„Idź, gdy trzeba! niech Cię nieba,	
Stoi chłopak zbrojny,	Niech Cię Bóg prowadzi!	
A koń wrony,	Lecz ten krzyżyk	
Kulbaczony ¹⁾	I szkaplerzyk	
Rwie się niespokojny.	W boju nie zawadzi.	20
10		

¹⁾ Kulbaczony, okulbaczony, osiodłany.

Za wygraną zmów co rano:	Przyjął krzyżyk i szkaplerzyk,
Trzy Zdrowaś i Wierzę;	Westchnął — dosiadł konia —
Kto pobożny	Skinął głową:
I ostrożny,	„Bądź mi zdrową!“
Tego i Bóg strzeże“.	I ruszył wzdłuż błonia.
25	35

Rzekła — płacze. — Wrona kracze,	Ale prędzej z szarej przędzy
A to wrzask złowrogi.	Srebrna nić wypłynie,
Nie pomoże	Niż we swaty
Święty Boże!	Do jej chaty
Kraj nad wszystko drogi.	Staś kiedy zawinie.
30	40

KRAKUSY

Grzmia pod Stoczkiem ¹⁾ armaty,	Wszak to działa, nie dziwo? 25
Błyszczą białe rabaty ²⁾ ,	Wszak to blisko, wiarusy?
A Dwernicki na przedzie	Hej na działa — a żywo!
Na Moskala sam jedzie.	Dalej naprzód Krakusy!“ —

„Hej za lance chłopacy! 5	I krzyknęli wraz „hurra!!!“
Czego będziem tu stali?	Właśnie, gdy wróg nacierał; 30
Tam się biją rodacy,	„Co tam leci za chmura?“
A myż będziem słuchali?	Pyta sztabu jenerał.

Chodźwa trzepać Moskala,	„Jenerale! Krakusy
Bo dziś Polska powstała! 10	Znać swą pocztę ⁴⁾ rzucili“. —
Niech nam Polski nie kala —	„Oszałeli wiarusy,
Hej zabierzwa mu działa!“	Bez rozkazu ruszyli! 35

I zerwali się razem,	A to czyste warjaty,
Posterunek rzucili,	Patrz, jak lecą po roli!
Nie wołani rozkazem 15	Patrz, jak wiercą granaty!
Na batalję przybyli.	Nie daruję swawoli!“ 40

„Cóż tu słyhać, ułanie?“ —	Lecz gdy wódz się tak gniewa,
Pyta jeden z nich żwawo.	Groźnie patrzy dokoła,
„Kropią naszych, Mospanie.	Ktoś od walki przybywa
Słońce zeszło dziś krwawo!“ 20	I zdaleka już woła:

„Ejże? kropią, mówicie?! —	„Jenerale! to chwaty! 45
Jakże kropić nie mają,	Od lewego tam skrzydła
Kiedy wy tu stoicie,	Wiodą cztery armaty,
A wej ³⁾ oni strzelają?! —	I Moskali jak bydła!“ —

¹⁾ W lutym 1831 r. jenerał Józef Dwernicki, dowodząc 12 szwadronami Krakusów, pobił jenerała rosyjskiego Geismara, który stał na czele dwu wyborowych pułków dragońskich, 2 pułków strzelców konnych, 10 sotni Kozaków, a dział trzykroć razy miał więcej niż powstańcy. Z dział, z wyjątkiem jednego, stracił Geismar wszystkie. ²⁾ Rabaty, wyłogi na mundurach (z franc.).

³⁾ A wej, a dyć, (gwarowe), wszakże. ⁴⁾ Posterunek, miejsce wyznaczone.

Lecą, lecą wzdłuż błonia,
Grzmią krakowskie kopyta: 50 „Dzielnieście się spisali!
A Dwernicki spał konia Zawsze Polak tak bije!“
I okrzykiem ich wita: A Krakusy wołali: 55
„Nasza Polska niech żyje!!!“

POWRÓT KONIA

Kurz się drogą bałwani,
Świat tumany ciemią: „O, dla Boga! dla Boga! —
Jadą, jadą ułani Skąd-że go to macie?
Sandomierską ziemią. Wszak to konik z Ozoga,
Konik po mym bracie!

Białe na nich wyłogi: 5 Oj sierotę już chata, 25
„Dyć to pułk nam znany!
A gdzież Jonek z Ozogi? Kiedy on zabity.
Gdzie nas brat kochany? Gdzieżeś podział mi brata,
Koniu jabłkowity?“

„Wszyscy święci Janieli!
Cały pułk już mino! 10 A obadwa ułani 30
Gdzieście brata podzieli?“ W podwórko przybyli
„Zginął! — rzekli — zginął!“ I obadwa stroskani
Na dziewczkę patrzyli:

A wtem znowu ktoś jedzie: „Zatrzymajcie go sobie!
Dwóch ułanów czesze; Nikt go wam nie bierze.
Jeden konie z nich wie, 15 Oj, wasz Janek już w grobie! 35
Drugi ognia krzesze. Tu jego szkaplerze.

Koń się szarpnął przed górką,
Zarżał, urwał wodze, Jam je zabrał w szczerości,
I poleciał po drodze, A te nasze świętości
Co wyskok, w podwórko. 20 Niech Moskal nie kala! 40

Możeć moje szkaplerze
Da tam kto ojcowi. —
No, bywajcie nam zdrowi!
Niech Was Bóg tu strzeże!“

CHATKA W PUSZCZY

Pośród puszczy jodłowej „Idź spać, dziecię! idź duszko!
Nad rojstami¹⁾ dziedzina²⁾. Sama ojca powitam...“ — 10
Leśnik poszedł na łowy,
A przy matce chłopczyzna. „No, to idę na łóżko,
Polny konik świegoce; 5 Lecz coś jeszcze zapytam:
Cienką wstęgą z łuczywa Czemu, powiedz mi, mammo!
Dym błękitny wypływa, Nie strzelają tak samo,
A płomyczek migocze. Jak to w lecie strzelali? 15
Czy już niema Moskali?“ —

¹⁾ Rojsty, bagna litewskie, z piaskiem na dnie, z wierzchu zarosłe zieleń.
²⁾ Dziedzina: tu w znaczeniu: zagroda.

„Cyt, maleństwo! mów ciszej! Na to matka wydała
Bo w pobliżu żołnierze; Z piersi tchnienie żalotne,
Jak cię czerkies posłyszysz, A dziecina pytała:
To cię z sobą zabierze!“ 20 „Kiedyż wrócą?“ — „Na wiosnę!“

„A ten panicz gdzie, mammo, — „Co, na wiosnę!? oj mammo!
Coś mu dała śniadanie? I znów będą strzelali?
Co to w białej sukmanie I zagrają tak samo,
Stał przy koniu za bramą? Jak nad ranem raz grali?“
Tak się grzecznie uśmiechał, 25
Dał mi jadąc trzy grosze, „Tak, tak samo. — Śpij duszko, 45
Powiedz, mammo, mi proszę! Bo już późno, śpij sobie!“
Gdzie ten panicz pojechał?“ — „To już idę na łóżko;
Lecz na wiosnę coś zrobię!“

„On pojechał z naszymi, „Cóż ty zrobisz, dziecino?“
Siedem Niemnów przebrodził, 30 „Jak tu oni nadpłyną 50
I nie wrócił do ziemi, I znów staną nad lasem,
Gdzie się matce narodził.“ To się bardzo ucieszę,
I podrosnę tymczasem,
I za nimi pośpieszę!...“

„Może on się tam smuci?
Mamo! może on płacze?
Kiedyż ja go zobaczę? 35
Mamo! kiedy on wróci?“

Wincenty Pol

Czy pieśni powyższe nie łączą się w pewną całość? Czyje i jakie uczucia poeta w nich wyraża? Czy nastrój wszystkich pieśni jest jednakowy? W której z pieśni jednoczą się dwa różne nastroje?

49. KSIĄDZ PIOTR

Lubił ksiądz Piotr w letnie południe za ogrodzenie plebańskie wyjść i, na ławce pod starym cisem siadłszy, w świat patrzeć. Widział stąd zboża złociste, pełne modrych bławatków i maków czerwonych, różowe i białe zagony koniczyn, łąki zielone, przesiane mnóstwem różnobarwnych kwiatków, mieniące się pod blask słoneczny. Widział bór ciemny, jakoby pod drzącą, przeźroczą gazą złoto-szmaragdowego światła, i gdzieś daleko mgliste, błękitniejące góry; a nieopodal widział jezioro wielkie, cichą, lekko falującą z wiatrem rozchwiej wodną, nenufarami u brzegów i szeleszczącym sitowiem zarosłą, iskrzącą się miejscem jak blacha srebrna w słońcu, miejscem siwą lub siwo-fioletową. Po jeziorze pływały kaczkki dzikie, czerniąc się na topieli sznurami, zawisały ponad niem czaple o skrzydłach szerokich i chmary czajek krzykliwych,

a jezioro ciągnęło się szeroko, głęboko w kraj, ciche, senne, lekko z wiatrem faliste.

Wszystko to było zatopione w jakąś srzeżogę światła, nieskończenie spokojne, rozległe, prawie bezgraniczne, jakby zasłuchane w wiatr i szum łąk i wody, łagodnej smętności, rozkołysanych tęsknot, jakiejś polnej zadumy i dziwnych, ogromnych upojeń pełne...

Ksiądz Piotr patrzył i patrzył i zrazu odróżniał zboże od łąk, a las od wody, ale powoli poczynał mu się ten cały duży i rozmaity świat zlewać, łączyć, zamieniać w jedną wspólną barwę, błękitną i przeświecłą. Zboża, kwiaty, trawy i ciche kręgi fal jeziora i czaple na szerokich białych skrzydłach i stada krzykliwych czajek i obłoki srebrzyste i niebo jasno-błękitne, wszystko to napełniało mu oczy i uczyniło w nich wielką światłość pogodną i niezmiernie słodką. Zdawało się księdzu Piotrowi, jakoby on już nie świat sam rzeczywisty, ale duszę świata widział, raczej opar jakiś czy mgłę, kolory ziemi niosącą, niż samą ziemię.

A potem to widzenie więcej duchem, niż oczyma, poczynało się gubić i rozwiewać w przestrzeni wyłaniających się pamięci obrazów, niegdyś widzianych. Zatem poczynały się w duszy księdza Piotra rozbłękitniać olbrzymie przewieje morskie z okrętami o białych żaglach i olbrzymie przewieje pustynne; poczynały w niej szumieć cedry Libanu i palmy oaz arabskich, poczynały w niej rósć piramidy milczące i wulkany o czerwonych kiściach płomienia u szczytu; poczynały się jawić miasta wschodnie, stubarwne, i owe rzymskie martwe, z ziemi dobywane, i ludzi tłumy i zwierzęta dziwne; tworzył się w niej jakiś łagodny, przyćmiony odległością czasu chaos wrażeń, ogarniało ją zapomnienie się, zamyślenie. I nieraz dopiero wysłany umyślnie przez gospodynię ulubieniec staruszka siedmioletni sierota, Ignas Znajda, budził go z zadumy, ciągnąc za sutannę.

— Jegomość!

— A... a co?

— Jegomość spali?

— E, tak mi się tylko nieco drzemało.

— Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, zaraz idziemy.

— Jegomość!

— A co?

— A cy Pon Jezus to tak po niebie chodzi, jak jegomość po ziemi?

— A tak.

— A cy je bosy?

— A pewnie. Pocóżby tam buty nosił, kiedy ciepło.

— A cy je wielgi?

— Ho, ho! Jak świat!

— A to jak pierun gruchnie, to mu między palce od nóg leci?

— A pewnie, pewnie.

— A cy je dobry?

— Ho, ho! Jak miód!

— A miód je dobry?

— A czyś to nie próbował?

— A Pombók?

— Pan Bóg też jest dobry.

— Jesce lepszejsy?

— Nie, jednako, jednako.

— A wielgi je Pombók?

— Taki, jak i Pan Jezus.

— Jegomość!

— A co?

— Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, chodźmy.

— No to podźcie. Dojcie renke. Pomalućku, boście starzy.

I Ignas brał za rękę księdza Piotra i szli razem ścieżką ku plebanji, rozmawiając po drodze dużo i serjo.

Zajęty służbą Bożą i ludzką, a zajęty bardzo ciężko, nie miał ksiądz Piotr wiele czasu myśleć o śmierci. Ale pewnego jesiennego wieczora, kiedy słońce zaszło, ostatnie fioletowe plamy kładąc na ciemnym niebie, ksiądz Piotr, który długo przedtem siedział w milczeniu na ganku od ogrodu, zdając się drzemać, zwrócił nagle głowę ku siedzącemu naprzeciw organście i rzekł poważniejszym niż zazwyczaj głosem:

— Panie Dzięgielewski, mnie się zdaje, że trzeba iść.

— A dokąd, że śmiem zapytać?

— Dalej, niż stąd do kancelarii parafjalnej. Tam... I pokazał ręką ku bielejącemu się opodał murowi cmentarnemu.

Dzięgielewski zachnął się:

— A co też ksiądz kanonik dobrodziej wygaduje! Po prawdzie, żeby powiedzieć, to nawet nie przystoi, pfe! Jeszcze można w złą godzinę...

— No, zobaczysz, panie Dzięgielewski, organisto kłoniccki, że mnie już trzeba iść. Już czas.

— O, o! Wolałby jegomość nawet nie wymawiać takich przykrości.

— E, już i czas. Spowiadałem się właśnie dziś rano, jakby umyślnie. I komunię przyjąłem. Gotów jestem. Po księdza wikarego też jeszcze postać można będzie, ale przeprosić go pięknie, bo pewnie nad „Summą teologiczną“ albo „Naśladowaniem Chrystusa“ będzie siedział. Takich kanonikami robić, nie mnie starego bajdę.

Od pół szły przez ogród chłodne i zwiędłe wonie jesienne i słycać było cichy, jednostajny szum wiatru.

— Panie Dzięgielewski — ozwał się staruszek.

— Słucham księdza kanonika dobrodzieja.

— Ubierzesz mię w nową sutannę, tę na jedwabnej podszewce, pasem jedwabnym przewiążesz, szpilką złotą z Korabiem przepiąć, buty nowe wyglansować, łańcuch kanoniczny na szyję, orderzy moje wojskowe na pierś. Sygnet zostawić na palcu, niech idzie ze mną... Obsypiesz mnie kwiatami, dużo macierzanki, bo pachnie, narcyzy w głowach. I szablę moją, mości Dzięgielewski, złamać, bo jestem z rodu ostatni... Cóż to, ty buczysz, panie Dzięgielewski?

— U-u-u..., bo ksiądz kanonik tylko mi serce kraje...

— Albo wiesz co, panie Dzięgielewski, szabli łamać szkoda, ale mi ją pod sutannę we fałdy włożysz. W rękach krzyż, nibym ja tylko ksiądz, ale tam, pod bokiem, szabla... Czujesz, jak z mego ogrodu pachnie, panie organisto?

— Czu-czuję... księże kan-n-noniku dobrodzieju.

— Testament jest tam, w biurku. Wszystko w porządku. Żebyś mi tu zawsze, panie Dzięgielewski, kwiaty w doniczkach podlewał i ogrodu strzegł. Nic nie sprzedawać, nic nie wypędzać. Na wszystko fundusz jest. Na dziady i na baby,

na sieroty i kaleki, na zwierzyniec. U mnie było jedno serce dla całego świata. Bóg wszystko stworzył, wszystko miłuje i o wszystkim wie, Panie Dzięgielewski!

— Co ksiądz kanonik rozkaże?

— Bułanki panu Strzemieskiemu do Topolicy postać. Broń Boże nie sprzedawać! On im łaskawy chleb da. Strzałę weźmie porucznik Kotwicz, to kawaleryjski koń. Może da Bóg, jeszcze obaj nie tej trąbki będą słuchali, co dzisiaj. Ho, ho!... Z majątku mego będzie fundusz na zakład wychowawczy, a tobie, panie Dzięgielewski, przekazałem dziesięć tysięcy i jeszcze tamto i owo, a tu masz ciepłą ręką tę tabakierkę szyldkretową z rubinem, żebyś o starym księdzu pamiętał.

— Uu, uu, uu, księże kanoniku dobrodzieju!...

— A nie klękaj przedemną waść, nie całuj mię po kolanach, fe, wstyd, wszyscyśmy równi. A że ja mam więcej, to ci daję. Tak powinno być i koniec. A nie bucz tak, panie Dzięgielewski, bo ludzi pobudzisz... Narobią się dzień cały, potrzebują spać. Ja się też choć pół życia napracowałem, trza iść spać... A tak przecież dziwnie... Niby się wie, że się ma umrzeć, a tak dziwnie... Tu jutro już może człeka nie będzie, a tu żeby choć jeden listek z lipy opadł, żeby choć jedno źdźbło trawy zawiędło. A przecież wszystko z jednego Boga wyszło, Bogiem trwa...

Jak mi się też żywo przypomina, jakem tu pierwszego dnia przyjazdu po alei grabowej w ogrodzie chodził... Takie były te graby, jak dzisiaj, rozłożyste i szumiące. Lat pięćdziesiąt, pół wieku zgórą... Nie chce mi się wierzyć, żeby ta pszenica tak samo prosto rosta, a przecież będzie... Tyle lat. Com ja tu chrzciał, com tu pochował... O, jak to jasno!...

Przez liście winne, które ganek gęsto obrosły, poczęła wmykać się światłość miesięczna, cicha i srebrzysta, zawisała na liściach i patrzyła wdół. Szum wiatru, poruszając liśćmi, jakoby przymykał i odchylał jej powieki. Ksiądz Piotr spoglądał jakiś czas w górę, potem głowa opadła mu ku piersi, a pan Dzięgielewski, któremu grube tzy spływały na wąsy, słyszał, jak staruszek szeptał:

— Niema co, niema co, trzeba iść. Teraz wieczór, jutro rano, ale trza... Jak to księżyc na mnie patrzy... Jakby mi jasność jaką zapowiadał niebieską. Ale kto wie... Nigdy się ni-

czego nie bał, com się to śmierci napatrzył w oczy, a przecież mi jakoś straszno... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu. Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu. *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa.*

Opuścił jeszcze niżej głowę na piersi i milczał chwilę, ale nagle podniósł ją i silnym głosem przemówił:

— Mości Dziegielewski, jak odśpiewają *Requiescat in pace*, każesz ze wszystkich moźdierzys parafjalnych huknąć... Pamiętam w brzezince leci na mnie oficer dragoński, jak go chlasnę! Ale to było w dobrej sprawie, panie Dziegielewski... Poprawno ten knotek w lampce przed Matką Boską Bolesną... Tak...

Poczem ksiądz Piotr przymknął powieki i począł drzeć, ale organiście się zdawało, że głowa opada staruszkowi coraz niżej, i że oddycha coraz głębiej i słabiej. Trwało to czas jakiś, aż się pan Dziegielewski zaniepokoił i miał już wstać, aby przywołać gospodynię, gdy zegar uderzył dwa razy na wpół do dziesiątej, i we drzwiach, wiodących z sieni do ganku, ukazał się mały Ignas Znajda w koszulinie i płóciennych majteczkach. Podszedł ku fotelowi księdza Piotra i, pociągnawszy go lekko za sutannę, ozwał się:

— Jegomość! Podźcie! Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli spać. Podźcie, dojcie renke! Pomalućku, boście starzy. Jegomość!

Ale kiedy ksiądz Piotr nie poruszył się, ani nie odpowiedział, wówczas Ignas podniósł wielkie oczy na pana Dziegielewskiego i spytał:

— Panie organisto! cy jegomość pomarli!

Kazimierz Tetmajer

Jaki rys charakteru ks. Piotra głównie się uwydatnia? Czego dowiadujemy się o jego przeszłości? W jaki sposób? Za co go kochamy? W jakim wieku może być ks. Piotr? Czy śmierć jego sprawa na nas takie wrażenie, jak śmierć Podbipięty? Co godzi nas z jego śmiercią? O ile krajobraz łączy się w harmonijną całość z przedmiotem noweli? Pomyśl, czy rola krajobrazu we „Wspomnieniu matki“ była podobna? czy zupełnie taka sama? Kiedy się uśmiechamy, czytając nowelę powyższą? Czy tak często, jak czytając „Sklep starego Mincla“? Czy z takich samych powodów? Kiedy uśmiechamy się a równocześnie odczuwamy rozrzewnienie?

50. LWÓW POD CHMURAMI

Połowa lipca 1920 r.

Wchodzimy, znieacka otworzywszy drzwi do jednej z sal koszar armji ochotniczej we Lwowie — i oto widok: młodziutki, może szesnastoletni chłopak, sam tu, samiutki, z karabinem na ramieniu „przepowiada sobie“ mustrę. W skupionym wyrazie twarzy ta sama czujna uwaga, z jaką miesiąc temu wbił w głowę: „siła światła jest odwrotnie proporcjonalna do kwadratu oddalenia“; ten sam jeszcze szkolny nawyk „obkuczania“. Nie chce tracić ani chwili czasu, powtarza sobie to, czego przed godziną uczyli go na placu. Sam sobie komenduje i sam komendę wykonywa. To jeden z tych, który i w szeregu musi być „celującym“. Gdy nas zobaczył, opuścił nieco niezdarnie nogę, którą z marsową tężyzną unosił był w górę, którą tupotał, co sił wlezie w starą podłogę koszarową — stanął nieporadny i zaczerwienił się, jak przyłapany na jakimś wstydzie. Chłopię drogie! gdybyś mógł w nas wszystkich odcyfrować tę sumę cisnącego się do serca rozrzewnienia, gdybyś wiedział, jak pięknem byłeś zjawiskiem w swej gimnazjalnej pilności, w swojej żądzy zostania jak najprędzej żołnierzem, nie wstydzilibyś się!

Wchodzimy do sali następnej. Gromada chłopaków tego samego wieku. Na widok oficerów zrywają się na równe nogi i cisza. Właśnie taka sama cisza, jak w klasie przy wejściu groźnego dyrektora.

— Kto tutaj jest kapralem? — pyta podporucznik.

— Ja — wysuwa się jakiś podrostek.

Po minie porucznika widzę, że będzie jakaś burza. W istocie:

— Co kapral powinien powiedzieć, gdy do izby wchodzi oficer? — pyta szesnastoletniego dygnitarza plutonu.

Kapral namyśla się chwilę. Patrzy niepewnie w oczy władzy. Niema wątpliwości: kapral nie wie, co powinien kapral mówić w takim wypadku.

— Cześć? — próbuje zgadnąć przyciszonym głosem.

— Więc nie wiesz. Kapral powinien zakomenderować: bacność! Tego nie wiesz?

I tu nastąpiła straszna egzekucja. Porucznik zwrócił się do zebranych z następującą informacją:

— Widzicie tego kaprala? Wiedźcie o tem, że to nie jest żołnierz; to jest cywil.

Po oczach ofiary znać było, że takiej hańby może nigdy w życiu nie przeszedł. Nazwano go cywilem!

— Ten chłopak jest dopiero trzeci dzień w wojsku, nieborak; nic dziwnego, że nie wiedział — objaśnia mię porucznik, gdyśmy już wyszli z sali — ale niech mi pan wierzy, ja znam ambicję skautów: duszę z siebie wydrze, całą noc będzie kuł regulamin i jutro będzie wszystko wiedział znakomicie. Wolałby trupem paść, niż doczekać się drugi raz despektu, jakim jest nazwanie cywilem. Przecież wszystkie jego marzenia, cały jego entuzjazm ześrodkowuje się w nim w tem upojnem przeświadczeniu: „jestem żołnierzem!“ Tacy oni wszyscy — dlatego obronili już raz Lwów.

Wizytacja rozciąga się na coraz dalsze przestrzenie koczownicze. Oto skautki segregują¹⁾ stosy mundurów, koców i bielizny, oto inne skautki pod wodzą doświadczonej niewiasty warzą strawę, oto znowu magazyn chleba. Tam oficer poucza gromadę urwisów o tajnikach karabinu maszynowego, tam regestrują broń. Wszędzie, gdzie spojrzeć, wre życie i tężyzna pasuje się z natłokiem doraźnych trudności. Nad wszystkim czuwają starzy, z listopada r. 1918, obrońcy Lwowa, oficerowie. Na wieść o tem, że brygadjer Mączyński formuje oddział ochotniczy, zleciało się to bractwo ze wszystkich stron. Porzucili swoje zajęcia, rodziny. Stanęli na nowo do warsztatu wojennego.

Ileż tu typów — i jaka ich mnogość! Oto jurysta²⁾ z aspiracjami³⁾ przyszłego profesora prawa międzynarodowego. „Jest jakaś ironja w moim losie — mówi mi — oddałem się całej nauce, która ma budować pokojowe normy współżycia narodów i państw. I oto po raz drugi już muszę stawać do dzieła, które jest zaprzeczeniem tej nauki, mojej specjalności“. Koledzy zaś o nim mówią, że mimo „tego jakiegoś prawa, czy jak tam międzynarodowego“ jest znakomitym oficerem i przelewał już krew nie za darmo w roku 1919. Oto znów z bujną czupryną nad wysokim czołem myśliciela ascetycznie⁴⁾ zbud-

¹⁾ Rozdzielają. ²⁾ Prawnik. ³⁾ Aspiracja, dążenie do czegoś. ⁴⁾ Ascetycznie od ascety (asceta: człowiek ćwiczący się w pobożności, umartwiający ciało).

wany chemik. Jest on — zdaje się — plutonowym w jednej z kompanij ochotniczych.

W składzie młodych oficerów przeważa typ byłych harcerzy. Znać to po ich sposobie spełniania obowiązku, w czem jest coś z przysięgi, coś z realizowania jakiejś świętej prawdy. Skaut co dnia powinien spełnić choć jeden dobry uczynek. Ich służba wojskowa ma ten sam charakter. Taki oficer nie dośpi, nie doje, zamorduje się — a wszystko, co do niego należy, wykona z harcerską precyzją¹⁾ i opanowaną ekstazą²⁾.

I nad całością ochotnictwa lwowskiego unosi się duch jakiegoś religijnego skupienia się w sobie. Nie znajdziesz tu mazowieckiego rozchulania się radości. Nawet piosnka na placu ćwiczeń — brzmi, jak akt surowego obowiązku.

Wspomnijmy z „Trylogii“, jak wyglądał Lwów, gdy temi samemi drogami, co i dziś, od Płoskirowa, od Zbrucza ciągnęło „trzysta tysięcy nieprzyjaciół, armja większa od tych, jakie Niemcy lub Francja mogłyby wystawić, a dziksza od zastępów Tamerlana“.

Wspomnijmy:

„Niektórzy uciekli z miasta, wywoząc rodziny i mienie, okoliczni zaś mieszkańcy szukali w niem schronienia; wyjeżdżający i wjeżdżający zawalali ulice i wzniecali tumulty o przejazd; wszędy pełno było wozów, pak, łomoków i koni, żołnierzy z pod najrozmaitszych znaków; na wszystkich twarzach czytałeś niepewność, gorączkowe oczekiwanie, rozpacz lub rezygnację. Co chwila przestraszył, jak wir powietrzny, zrywał się niespodzianie, rozlegały się krzyki: „jadą, jadą“! — i tłumy poruszały się, jak fala, czasem biegły naoslep przed siebie, rażone szaleństwem trwogi, dopóki nie pokazało się, że to nadjeżdża jakiś nowy oddział rozbitków. A oddziałów tych kupiło się coraz więcej — ale jakże żalony widok przedstawiali ci żołnierze, którzy jeszcze niedawno w złocie i piórach szli ze śpiewem na ustach, a dumą w oczach na ową wyprawę! Dziś obdarci, wygłodzeni, znędzniali, pokryci błotem, na wyniszczonych koniach, z hańbą w twarzach, podobniejsi do żebraków, niż do rycerzy, litośćby tylko wzbudzać mogli, gdyby był czas

¹⁾ Dokładnością. ²⁾ Uniesieniem.

na litość w tem mieście, na którego mury wnet mogła się zwałić cała potęga wroga. I każdy z tych pohańbionych rycerzy tem jedynie się pocieszał, że tak wielu, że tyle tysięcy miał towarzyszków wstydu; wszyscy kryli się w pierwszej godzinie, by następnie, ochłonawszy, rozwodzić skargi, narzekania, rzucać przekleństwa i groźby, włóczyć się po ulicach, pić po szynkowniach i powiększać tylko nieład i trwogę.

Jakżeś inny, Lwowie dzisiejszy, od tego Lwowa po kłęsce piławieckiej. Lwów jest spokojny dziś i normalny, choć walki wrą już nad Seretem. Cudzoziemiec nie domyśliłby się, że na ustach wszystkich przejezdnych tkwi niecichnące pytanie: „co słyhać na froncie?“.

W jednym tylko Lwów przypomina owe czasy, które Sienkiewicz opisuje:

— Mieszczanie chcą się bronić! — powiedział Kuszel Skrzetuskiemu.

Gdy wszystko pierzchało, gdy zgroza padła na Rzeczpospolitą, mieszczanin lwowski powiedział sobie: „Od tego jesteśmy Lwowem — by zginąć, a nie oddać się bez walki!“! Tylko że dziś mieszczanin lwowski nie jest odosobniony w tej żądzy odporu. Wszyscy: „szlachta i żołnierze“ i „ludzie nikczemnych kondycyj“, jakby powiedział pan Zagłoba, kraj cały chce się bronić. Jak wówczas pod Grozwajerem, i dziś ten odruch sympnia szanów i to samo wołanie: „do broni!“

Przechodzę koło kościoła bernardynów, wpatruję się w uroczy fronton świątyni — i znowu mi się cisną wspomnienia z „Ogniem i mieczem“; wszakci to tutaj, przed ołtarzem, ofiarowano buławę Jeremiemu Wiśniowieckiemu, a od chwili tej rozpoczęła się poprawa losów wojennych. Idę dalej, by od stawnych wspomnień dotrzeć do relikwii niemniej sławnej, choć świeżej: do grobów obrońców Lwowa z roku 1918—1919 na cmentarzu Łyczakowskim.

Na jednym ze zboczy tego najpiękniejszego z miejskich cmentarzy w Polsce wyrównano z wylotem na południe rodzaj lekko spadzistego płaskowzgórza i tam dziś wznosi się lasek białych, najskromniejszych krzyżów.

Przed niektórymi z mogił stoją ławki. Zgóry odgadniesz, że to groby jedyneków. Na tych ławkach siadają matki i tak godzinami zapewne gwarzą ze swą odebraną im pociechą:

— Pamiętasz, kiedy byłeś maleńki, jakem ci na choinkę kupiła konia drewnianego i szabelkę. Mówiłeś wówczas, że jedziesz na wroga, co Polsce ziemię chce odbierać. Dziś płacę po tobie. Ale nic to, synku; nie zważaj na lzy moje — więcej dziś już, gdy cię straciła, dać ojczyźnie nie mogę. Ostatni to mój dar — Jej i tobie.

I płyną z tych ławek rozmowy z grobami. Ciche, ukojne, jak obręcz ramion matczynych nad kołyską.

Włóczyły się złe, stalowe chmury po niebie, gdyśmy z góry wstępowali w te mogiłki. Gdyśmy ruszali zpowrotem ku miastu, zachodzące słońce wyrwało się z za chmur i pękiem triumfalnego, karmazynowego światła padło na gaj krzyżów. Zazłocily się one w tem świetle, jak szturmowy pochód mon-strancji. Stały przede mną jakby jakiś bezcenny, wprost z ziemi ojczystej wyrastający skarbiec złota. Zazłocilo się bohaterstwo tych nieulekłych i złotem wołaniem przemówiło do przybysza:

— Niczem chmury chwilowe na niebie; Lwów nie odda naszych grobów!

Nie oddał!...

Adam Grzymała, Siedlecki (Cud Wisły)

Jak rozumiałeś tytuł tego obrazka? Co autor przeciwstawia „chmurom“? Czem w ciężkich chwilach (porównaj datę na czele pomieszczonej) krzepi siebie i drugich chce pokrzepić? Które z utworów, poznanych w tym roku, przypominają nam się, gdy czytamy „Lwów pod Chmurami“? Dzięki czemu?

51. POWITANIE PUŁKÓW ¹⁾.

Żołnierze! Wy, co w laurach wiekopomnej sławy
Do wolnej i radosnej weszliście Warszawy,
Co bronią, z której wrogów krwi nie znikły ślady,
Budzicie podziw świata, jak wasze pradziady,
Żołnierze, nad te krzyże, które pierś młodzieńczą
Zdobia wam, nad wawrzyny, co wam skronie wieńczą,
Drozsze jest to, co śmiercią walecznych się płaci:
Niepodległość Ojczyzny i szczęście współbraci.

5

¹⁾ W maju 1921 r. powróciły zwycięskie pułki polskie z frontu wschodniego.

Żołnierze! Waszym działem ta największa chwała,
 Że wita was w stolicy Polska zmartwychwstała,
 Żeście jedni z tych właśnie, których walka święta
 Nie dała wolnej ziemi na nowo skuć w pętą
 I obaliła wroga u serca Ojczyzny;
 Żołnierze! Błogosławcie trudy swe i blizny,
 Bo one was zapiszą głoski niestartemi
 Na pierwszej karcie dziejów tej rozkutej ziemi.

Tak niegdyś, przy odgłosie triumfalnych dzwonów,
 Wkraczali do Poznania z piosenką legionów
 Żołnierze Dąbrowskiego, po bitew krwawiźnie,
 Z za mór, z za gór i lasów wróceni Ojczyźnie.
 Tak rycerze Raszyna pod księciem Józefem,
 Odebrawszy Galicję, co żałobnym kwefem
 Niewoli przesłonięta wlokła dni surowe,
 Wnosili do Krakowa orły narodowe.
 Tak pułki, co na Moskwę szły w dwunastym roku,
 Wilnu jutrznię swobody zapaliły w mroku
 I spłoty w jeden uścisk dwie siostry rodzone,
 Tęskniące od ćwierć wieku Litwę i Koronę.

A dziś wyście widzieli, jak Warszawa wasza
 Wyległa na ulice z suterem, z poddasza,
 Z kamienic, co w śródmieściu wznoszą się bogate,
 I z domów staromiejskich, co w odwieczną szatę
 Ukryły serca czujne, wierne, kochające;
 Widzieliście te oczy zapałem płonące,
 Zwrócone do was, wdzięczne, często od łez mętne,
 Oczy kochania pełne, dobre i pamiętne.

Dzieci, co was widziały, nigdy nie zapomną
 Tego dnia, pamięć o nim będzie im przytomną,
 Gdy kiedyś na bój nowy Polska ich zawoła;
 Dziś jeszcze, wśród cichego rodzinnego koła
 Matki będą mówiły o tych, co krew leli
 Za Ojczyznę, a kiedy z dziecięcej pościeli
 Popłynie pacierz dziecka do błękitów proga:
 Ono się będzie za was modliło do Boga.

Żołnierze! dziś przez polskie drogi, pola, łąny,
 Jak w piosnce: wszędzie „nasi biją w tarabany“,
 Na wolnej polskiej ziemi, od brzegu do brzegu,
 Wolny się głos podnosi, wolna pieśń rozlega;
 Ta gleba, którą orzem, to nasza od Piasta,
 To ziarno, które siejem, na nasz plon wyrasta,
 Ojczyźnie jeno służym, dzieciom swym i sobie:
 Tyś to sprawił żołnierzu... i ci, co śpią w grobie...

10

15

20

25

30

35

40

45

50

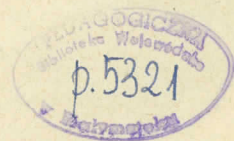
Więc znów, jak mówi piosnka, tym, co borem, lasem
 Szli do Ojczyzny, z głodu przymierając czasem,
 I wzięli w serce młode kulę z wroga ręki
 I leżą w bratnim grobie, gdzieś u Bożej Męki,
 Tym na mogiłę rzućcie wspomnienie braterskie;
 Nie doszli do swej Polski, ale bohaterskie
 Groby ich Polska znajdzie i tęczę rozwiesi
 I w pieśni narodowej na wieczność ich wskrzesi.

55

60

Artur Oppmann (Or-Ot)

Wymień postacie bohaterskie, które poznałeś w tym roku z Wypisów i z lektury w Wypisach nie pomieszczonej. Na czym polegało ich bohaterstwo? Które z osób, poznanych z lektury tegorocznej, poświęciły całkowicie swe służby Ojczyźnie? Czy wszystkie służyły jej w jednaki sposób? — Do których postaci mógłbyś zastosować określenie „przetworzony“? — Które postacie ukochaliśmy, któreśmy polubili, ku którym czujemy niechęć, które są dla nas obojętne? — Jakie sceny w lekturze tegorocznej wzruszyły Cię szczególnie? Czem? — Które utwory mówią zaszczytnie o przeszłości Polski? Z których utworów poznałeś przeszłość obyczajową Polski? Z których lud polski? Jakie rysy ludu naszego uwydatniły się w tych utworach? — Które z utworów nazwałbyś wspomnieniami? Pomyśl, czy nastrój wszystkich tych utworów był podobny. — Które z utworów miały znaczenie przemożne? Czego uczyły? — Które z utworów, poznanych w tym roku, są dziełem wyobraźni, które odtwarzają prawdę? Które z utworów, jakkolwiek są dziełami wyobraźni, starają się równocześnie o odtworzenie prawdy? W których z utworów, odtwarzających prawdę, odgrywa rolę również wyobraźnia? — W których krajobraz odegrał ważną rolę? (jaką?). — Kiedy się śmiałeś (czy z ludzi, czy ze zdarzeń, czy ze sposobu przedstawienia ludzi lub zdarzeń)? — Które utwory zaliczyłbyś do prozy, które do poezji, które do epiki, które do liryki? Przy których zawahałbyś się, gdzie je zaliczyć?



WIADOMOŚCI O PISARZACH, KTÓRYCH UTWORY ZNAJDUJĄ SIĘ W TEJ KSIĄŻCE

- Adam Asnyk** (El...y; 1838—1897; pochowany w „grobie zasłużonych“ na Skałce), wydał wiele drobnych wierszy lirycznych i kilka utworów dramatycznych (np. „Kiejstut“; „Bracia Lerche“).
- Kazimierz Brodziński** (1791—1835), poeta („Wiesław“) i krytyk („O klasycyzności i romantyczności“), profesor historii literatury polskiej w Uniwersytecie Warszawskim.
- Piotr Chmielowski** (1848—1904; pochowany na cment. Łyczakowskim we Lwowie), profesor historii literatury polskiej w Uniwersytecie Lwowskim („Adam Mickiewicz“, „I. J. Kraszewski“, „Studja i szkice z dziejów literatury polskiej“ w 2 t., „Zarys najnowszej literatury polskiej“, „Historja literatury polskiej“ w 6 tomach, „Dzieje krytyki literackiej“ i inne).
- Antoni Chołoniewski**, współczesny publicysta.
- Ludwik Dębicki** (1840—1908), publicysta, autor monografii p. t. „Puławy“ w 4 tomach; „Portrety i sylwetki z XIX w.“ w 3 t.
- Jan Karłowicz** (1836—1903) znawca języka i badacz życia ludu. Pod jego redakcją zaczął wychodzić „Słownik języka polskiego“ (dotychczas nieukończony).
- Andrzej Kitowicz** (1728—1804), autor cennych pamiętników („Opis obyczajów i zwyczajów za Augusta III“, „Pamiętniki do panowania Augusta III i Stanisława Augusta“).
- Jan Kochanowski** (1530—1584), najznakomitszy poeta polski wieku XVI („Satyr“; „Psalterz Dawidów“; „Pieśni“; „Fraszki“; „Odprawa posłów greckich“; „Treny“).
- Ludwik Kondratowicz** (pseud. **Władysław Syrokomla**), (1823—1862), liryk, tłumacz poetów polsko-łacińskich, autor wielu gawęd („Urodzony Jan Dęboróg“, „Szkolne czasy“, „Stare wrota“ i inne).
- Marja z Wasiłowskich Konopnicka** (1846—1910; pochowana na cment. Łyczakowskim we Lwowie), poetka, napisała wiele utworów lirycznych i obrazków z życia, epopeję p. t. „Pan Balcer w Brazylii“ i kilka nowel (np. „Dym“; „Głupi Franek“; „Nasza szkapa“). Nadto wydała kilka studiów literackich (np. „Mickiewicz, jego życie i duch“).

- Feliks Kopera** (ur. 1871), kustosz Muzeum narodowego w Krakowie, historyk sztuki.
- Ignacy Krasicki** (1735—1801), biskup warmiński, później arcybiskup gnieźnieński, uważany za najznakomitszego poetę z czasów Stanisława Augusta („Bajki“, „Satyry“, „Myszeida“ i inne). Pisał także prozą („M. Doświadczyńskiego przypadki“, „Pan Podstoli“).
- Ludwik Kubala** (1838—1918), wybitny historyk XIX wieku, („Stanisław Orzechowski“, „Jerzy Ossoliński“, „Szkice historyczne“).
- Teofil Lenartowicz** (1822—1893), pochowany w „grobie zasłużonych“ na Skalce, zwany „lirnikiem mazowieckim“, autor wielu utworów lirycznych drobnych i kilku poematów większych (np. „Szopka“, „Zachwycenie“, „Błogosławiona“, „Bitwa raclawicka“).
- Władysław Łoziński** (1843—1912), powieściopisarz, np. „Pierwsi Galicjanie“, „Legjonista“, „Opowiadanie Pana Narwoja“, „Skarb watazki“, — „Madonna Busowska“, „Oko proroka“ i historyk („Mieszczanństwo i patrycjat lwowski“, „Prawem i lewem“ i in.).
- Franciszek Nowicki** (ur. 1864), poeta współczesny („Sonety tatrzańskie“).
- Artur Oppman** (Or-Ot, pseudon.), (ur. 1867), poeta współczesny.
- Eliza z Pawłowskich Orzeszkowa** (1842—1910), wydała bardzo wiele większych i mniejszych powieści (np. z większych: „Pan Graba“, „Eli Makower“, „Marta“, „Meir Ezołowicz“, „Nad Niemnem“, „Bene nati“ i inne; — z mniejszych: „Ogniwa“, zbiory nowel p. t. „Z różnych sfer“, „Melancholicy“, „Iskry“ i inne).
- Wincenty Pol** (1807—1872), pochowany w „grobie zasłużonych“ na Skalce, poeta („Pieśni Janusza“, „Pieśń o ziemi naszej“, „Przygody Benedykta Winnickiego“, „Mohort“ i in.) i prozaik („Obrazy z życia i natury“, „Północny wschód Europy“).
- Bolesław Prus**, właśc. Aleksander Głowacki (1847—1912), znakomity powieściopisarz („Placówka“, „Lalka“, „Emancypantki“, „Faraon“, — bardzo wiele nowel). Powszechnie znane są jego kroniki tygodniowe.
- Henryk hr. Rzewuski** (1791—1866), powieściopisarz („Pamiętki Soplicy“, „Listopad“, „Zamek krakowski“, „Adam Śmigieński“ i inne).
- Adam Grzymała Siedlecki** (ur. 1876), krytyk literacki („Stanisław Wyspiański“, studjum) i wybitny publicysta („Cud Wisły“).
- Henryk Sienkiewicz** (1846—1916), znakomity powieściopisarz (nowele np. „Janko muzykant“, „Latarnik“, „Pustelnik z Maripozy“ i inne; powieści: „Trylogja“, „Ogniem i mieczem“, „Potop“, „Pan Wołodyjowski“, „Krzyżacy“, „Quo vadis?“, „Bez dogmatu“, „Rodzina Połanieckich“ i inne).
- Eustachy Skrochowski** (1843—1895), historyk sztuki; był profesorem Uniwersytetu Lwowskiego.
- Syrokomla** zob. Rondratowicz.
- Kazimierz Tetmajer** (ur. 1865), poeta współczesny, wydał wiele (7 tomików) utworów lirycznych, kilka powieści (np. „Anioł śmierci“) i wiele nowel (np. „Książka Piotr“, „Na skalnem Podhalu“).
- Józef Treściak** (ur. 1841), b. profesor historii literatury ruskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim, wydał wiele cennych studjów o A. Mickiewiczu (np. „A.

- M. w Wilnie i Kownie“ w 3 t.; „Młodość Mickiewicza“ w 2 t.; „Idea Wallenroda“, „A. M. Cześć ku Najśw. Pannie“, „Jul. Słowacki“, świeżo o Bohdanie Zaleskim.
- Korneli Ujejski** (1823—1897), poeta, („Skargi Jeremiego“, „Melodje biblijne“, „Tłumaczenia Chopina“, wiersze różne).
- Edmund Wasilewski** (1814—1846), poeta, znany szczególnie jako autor krakowiaków.
- Stanisław Witkiewicz** (1851—1915), malarz, krytyk i historyk sztuki („Sztuka i krytyka u nas“, „Juljusz Kossak“, „Jan Matejko“). Przyrodę Tatr i życie górali skreślił z plastyką w dziele „Na przełęcz“.
- Bohdan Zaleski** (1802—1886), poeta „ukraiński“ („Dumy“, „Dumki“); wydał też kilka utworów religijnych (np. „Przenajświętsza Rodzina“).
- Maurycy Zych** zob. Żeromski.
- Stefan Żeromski**, pseud. Maurycy Zych (ur. 1864), znakomity powieściopisarz współczesny („Ludzie bezdomni“, „Popioły“, — „Syzyfowe prace“, „Rozdzióbią nas kruki, wrony“ i in.).